

r

Marta Madera

Przyjaciele

JP-

Przyjaciele

Polecamy:

Małgorzata Warda Ominąć Paryż

MARTA MADERA

Przyjaciele

1--Voszyńsl<i i 5-U.a

Copyright O Marta Madera, 2006

Projekt okładki: Paweł Rosołek

Redaktor prowadzący serię: Jan Koźbiel

Redakcja: Jan Koźbiel

Redakcja techniczna i łamanie: Ewa Wójcik

Korekta: Monika Hałucha

ISBN 83-7469-280-4

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa

Drukarnia Wydawnicza im. WL. Anczyca SA.

30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

Tytułem wstępu

Mam dwie córki. Mam dwa koty. Miałam psa. Pracowałam za barem.

Poza tym wszystko w tej powieści jest wysrane z palca.

Wszelkie podobieństwa są przypadkowe.

Przypadki bywają rozmaite.

Sama widziałam, jak ulicą Karmelicką podążały szeregowo dwie baby. Każda w bordowym kostiumie, krótkiej blond fryzurze, z wielką czarną torbą i z kalafiorem. Jedna niosła go w siatce, a druga w dłoni. Pierwsza mogła mieć ze dwadzieścia lat, druga -pięćdziesiąt. Wyglądało na to, że się nie znają.

Znam dziewczynę, która leżąc na plaży we Władysławowie, grzebała leniwie ręką w piasku. I wygrzebała niewielki kartonik. Było to jej własne zdjęcie, które dwa lata wcześniej wydarł ze szkolnej legitymacji nachalny wielbiciel Schował w portfelu i nie chciał oddać. Musiała wyrabiać nową legitymację, a wielbiciela pogonić precz. Jak widać, doleciał aż nad Bałtyk.

Znam też taką, na której widok gasną latarnie. Szłam z nią kiedyś.

Gasły.

Tak więc przypadki bywają niekiedy zaskakujące i naprawdę nie mogę za nie odpowiadać.

PS Barman Pawełek gorąco przeprasza panią w zielonym sweterku. Naprawdę myślał, że to Kaśka.

Obcym kobietom nie wpuszcza się znienacka lodu za dekolt.

Choćby nie wiem jak ponętny.

5

Damianek

- ????... Ludzie się żenią, dzieci się rodzą - rozmarzyła się Gośka, patrząc czule na nasze pociechy, przysypujące się wzajemnie piaskiem.

- Narody się jednoczą. Upadają dyktatury - poszerzyła nam horyzonty Magda i wróciła do piłowania paznokci w szpic, wbrew obowiązującym trendom.

- A ja dalej na piątym roku... - złożyłam nagłą i niespodziewaną samokrytykę przed kolektywem. Kolektyw zamilkł taktownie, nauczony doświadczeniem. Poruszanie tego tematu, niezależnie od tego, kto rozpoczął, mogło się skończyć ciężkim mordobiciem. Choć zazwyczaj kończyło się na groźbach, sugestywnych i urozmaiconych.

Słońce grzało. Jogurty pracowicie wypychały wieczka.

Stary wyliniały pies położył się koło naszej ławeczki i dość niemrawo próbował wykonać dokładnie to, do czego wielokrotnie namawiał mnie mój mąż w chwilach ujawniania przez nas tak zwanych różnic światopoglądowych. Czyli ugryźć się w dupę.

W piaskownicy było gęsto i wrzaskliwie. Miśka, otoczona wianuszkami świeżo poznanych wspaniałych koleżanek, demonstrowała im zestaw koników Bony, uzyskanych dopiero co od babci -babcia odprowadzała nas do parku, a po drodze był sklep z zabawkami. Żywiół, któremu ani babcie, ani wnuczki nie potrafią się przeciwstawić. Matkom pozostaje poszerzyć piwnicę lub dobudować strych.

Babcie, jeśli chodzi o ilość zabawek, są równie nieobliczalne jak wnuczki, tyle że mają więcej kasy. Gorzej z jakością, ale jest to zjawisko mające swe uzasadnienie w historii naszego kraju. Otóż obecne babcie młodość swą pierwszą, drugą i trzecią spędziły w państwie o ustroju, w którym kwestia jakości nie istniała. Jako kryterium dokonywanych wyborów może się ona bowiem pojawić tam, gdzie jakiegokolwiek wybory są możliwe. A babcie młodość swą przeżyły w czasach, gdzie nawet papier toaletowy mógł jedynie, jak Hamlet, być albo nie być. Częściej nie był zresztą. Stąd niemożliwe jest wytłumaczenie babci różnicy między konikiem Bony a konikiem Pony, a raczej niemożliwe jest zbilansowanie owej różnicy na korzyść konika Pony, gdyż różnica jako taka jest aż nadto widoczna. W cenie.

6

Na szczęście Miśka zbyła wgardliwym milczeniem sugestią jednej ze starszych dziewczynek jakoby jej koniki były nieprawdziwe. Odetchnęłam z ulgą.

Ciekawe, na jak długo.

Gośka twierdzi, że na jakieś dwa lata, do zerówki. Wtedy się zacznie na dobre. Optymistka. Miśka ostatnio jednym tchem zażądała: komórki (najpóźniej na komunię; skąd ona, cholera, wie, że na komunię się dostaje takie drobiazgi, no skąd?), aparatu CYFROWEGO (bo kuzynka już ma), zagranicznych wakacji, najlepiej w Japonii (kuzynka była) i oczka wodnego, żeby mogła mieć karasie. Tu kuzynka się przydała, bo pozwoliła Misce kupić karasia i trzymać w jej oczku wodnym, co częściowo załatwiło sprawę.

Misia jeszcze chciałaby mieć psa. I chomika. Na razie nie zgłosili się ochotnicy, którzy mogliby trzymać u siebie naszego psa. Ani chomika.

Nieprawdziwość koników nie przeszkadzała w zabawie, a Miśka, nie wnikając w przyczyny swojej nagłej popularności wśród piaskownicowych dziewczynek, rozdzielała przywileje korzystania ze swojej stadniny.

Adaś i Amelka jak zwykle bawili się obok siebie, solidarnie olewając resztę świata. Adaś zakopywał różne przedmioty - od foremek po szczątki czegoś, w czego pochodzenie lepiej nie wnikać - w piasku, a potem z wielkim zadowoleniem je odnajdywał. Amelka zbudowała pałac dla kochanej biedroneczki. Kochana biedronecz-ka z nerwów zapomniała, że ma skrzydła i próbowała nawiać z pałacu na piechotę. Marne szanse.

Agatka instruowała jednego z maluchów, jak obsługiwać jego własną koparkę.

Było dobrze.

I wtedy pojawił się w piaskownicy śliczny blondynek, na oko trzy latka. Jego koścista babcia przysypała go zabawkami i ulokowała się tuż obok Magdy, zakłócając jej polerowanie paznokci. Magda zmierzyła ją wzrokiem. Babcia wytrzymała spojrzenie, chrząknęła i przysunęła się bliżej. Blondynek przelazł nad swoimi zabawkami, przykucnął koło Adasia i zabrał się do wygrzebywania zakopanej przez niego foremki. Wyglądał sympatycznie. Na imię miał, jak się wkrótce okazało, Damianek.

7

- Damianku! - rozdarła się zniecka babcia. Magda wzdrygnęła się. - Nie zabieraj dzieciom zabaweczek! Mówiłam ci tyle razy! Masz przecież swoje! Pobaw się wywrotką, masz taką śliczną wywrotkę!

Damianek dość posłusznie przelazi z powrotem do swojego kąta i zamyślił się głęboko, wsadzając palce do buzi.

- Damianku! - rozdarła się natychmiast babcia. - Tyle razy ci mówiłam: nie bierz rączek do buzi! Dotykałeś piaseczku, w piaseczku mogą być robaczki! Pieski tu sikają, ktoś tu mógł napluć, a fuj! Damianek popatrzył na babcię, wyjął palce z buzi i podrapał się po głowie.

- Damianku! Nie dotykaj główki, będziesz miał pełno piasku, kto to będzie w kółko mył, zatrziesz sobie oczka i znów będzie z tobą problem! Nie, nie siadaj na ziemi, przeziebiesz się, kucaj, kucaj... Damianek kucnął. Następnie wziął wywrotkę i wywrócił. Po czym wziął łopatkę i z nagłą furią przyklepał nią pałac Amelki wraz z biedronką. Amelka w ryk. Adaś rzucił w intruza łopatkę. Damianek oddał, tyle że pełną piasku.

Na to wszystko babcia Damianka wystartowała z ławeczki, dopadła kochanego wnusia i zaczęła go wściekle szarpać.

- Damianku! Damianku! No - dlaczego - ty - jesteś - taki - agresywny! - sapała, a Damiankowi głowa latała na boki. Magda zacisnęła pięści, wbijając w dłonie świeżo wypilowane paznokcie. Agatka, dziecko obdarzone bezbłędnym wyczuciem i taktem godnym europejskiego parlamentarzysty, odłożyła cudzą koparkę na bok i wbiła w Magdę duże niewinne oczęta.

- Mamo, a co to znaczy „agresywny”? - spytała głośno w chwili ciszy. Babcię zmęczyło właśnie szarpanie Damiankiem. Magdzie-błysnęło oko.

- Agresywny, kochanie, to jest taki człowiek, który złości się z byle powodu, krzyczy, bije innych...

- Na przykład dzieci? Na przykład potrząsuje? - upewniła się Agata, co sprawiło, że zaległa naprawdę głęboka cisza. W ciszy solidarnie szlochali Amelka i Damianek.

- Na przykład, Agatko. Na przykład lepiej dawać dobry przykład - zabawiła się lingwistycznie Gośka, odłożyła jabłko i wstała, żeby przytulić Amelię.

8

Babcia w milczeniu zbierała zabawki. Damianek przykucnął znowu i obserwował ją mokrymi oczami bez wyrazu.

Adaś przemyślał sprawę i podał mu swoją łopatkę. Ale Damianek jej nie przyjął. Odepchnął łopatkę i starannie powycierał rączki o spodnie. Adaś wzruszył ramionami.

Magda zacisnęła usta i wróciła do pilowania paznokci.

Podwójne życie Magdy B.

Magda należy do istot oburęcznych. Równie dobrze potrafi pisać - także malować, prasować, odkręcać słoiki, wygrażać oponentom i tak dalej - prawą, jak lewą ręką. Twierdzi, że zawdzięcza to małomiasteczkowej rodzinie, której było wstyd mieć w domu „majku-ta”, jak mawiała jej babcia. Tresowali ją więc uporczywie, zabraniając używać lewej ręki przy rysowaniu, pisaniu czy krojeniu chleba. Miała ćwiczyć prawą. Więc ćwiczyła. Przy rodzinie. A we własnym zakresie, po cichutku i bez świadków, ćwiczyła również lewą. Ta podwójność jej została.

A nawet się rozszerzyła. Na inne dziedziny życia. Bo Magda niemal wszystko robi podwójnie, zwykle według tego samego schematu: wariant A, zdroworoządkowy - „bo tak trzeba”, i wariant B, nabyty gdzieś mimochodem, zgodny z jej rzeczywistymi potrzebami i pragnieniami. Zazwyczaj skrajnie odmienny.

I tak Magda ma: dwa koty - jedno wielkie futrzaste bydlę imieniem Mikrus i drugie, małe, bure stworzenie rasy dachowej, pochodzenia śmietniczego. Bez imienia. Oba i tak przychodzą na „kici, kici”. A uciekają ze stołu na „hej”. Lub „won”. Lub jeszcze inaczej. Z reguły wystarczy „sssss...”. Mikrus jest pozostałością po pewnym panu, który parę lat temu zniknął z Magdy życiorysu tak samo nagle, jak się w nim pojawił.

-1 fajnie. Z całego tego Marcuszka i przyległości najlepszy był kot - podsumowała Magda trzy lata życia i pojechała na Batorego kupić kotu kosmiczną kuwetę, żeby jej żwirek nie zasypał parkietu. Następnie przycięła kotu pazurki z uwagi na sofę po przodkach. I zmieniła mu imię z Puszek na Mikrus.

- To na pamiętkę poprzedniego właściciela - odpowiedziała, mrużąc złośliwie oczy, na pytanie Gosi, zdumionej imieniem ko-

9

ta w zestawieniu z jego rozmiarem. I odmówiła dalszych komentarzy.

Oprócz dwóch kotów Magda ma dwa mieszkania. Jedno z nich wynajmuje dwóm przemilnym

studentkom, których tryb życia i sposób użytkowania apartamentu stanowi żywy dowód na to, że w naszym wszechświecie entropia wzrasta. I wzrasta. Bez żadnej nadziei na proces odwrotny. Magda lubi swoje studentki. Dostarczają jej stałej rozrywki.

Ostatnio gotowały jajka na średnio za pomocą papierosów Marlboro Light. Setek.

Jest to stary indiański sposób, polegający na tym, że wkłada się jajka do wrzątku, zostawia na małym ogniu, a następnie idzie się na balkon i zapala marlborasa. Setkę.

Po wypaleniu papierosa pędzi się do kuchni, gdzie wyciąga się jajka z wrzątku i są akurat takie, jak trzeba - ścięte białko, płynne żółtko. Studentki robiły tak milion razy. I zawsze działało.

Ostatnio też tak zrobiły, z pewnymi jednakże modyfikacjami, ponieważ dzień poprzedni zakończyły dnia następnego o poranku, w stanie wskazującym na zużycie.

W związku z tym włożyły jajka do wrzątku, zostawiły na dużym ogniu, bo zapomniały go zmniejszyć, a następnie udały się na balkon. Po drodze ustaliły, że samopoczucie mają takie sobie i przydałoby się je nieco poprawić, więc w myśl zasady „idź setko do setki” oprócz papierosków zabrały ze sobą klinika. Stały sobie na balkonie, używając to papieroska, to klinika i omawiając wypadki poprzedniego wieczoru, aż nagle dotarło do nich, że na dworze świeci słońce, a w mieszkaniu zrobiło się jakby ciemniej...

Jedno z jajek podobno WYBUCHŁO. Drugie sfajczyło się w sposób klasyczny, zatruwając atmosferę.

W jedynym garnku znajdującym się w ich mieszkaniu zrobiła się dziura, więc studentki po raz pierwszy w życiu musiały kupić sobie garnek. Bo ten poprzedni był Magdy.

W drugim mieszkaniu rezyduje Magda oraz jej przyległości. Stałe i zmienne. Do stałych zalicza się córka Agata i dwa koty. Do zmiennych faceci. I umeblowanie. Ostatni facet powoli zaczyna za-

liczać się do kategorii stałych, stażem niemal dorównuje jednemu z kotów. A to już o czymś świadczy.

Magda pracuje, jakżeby inaczej, na dwa etaty. Przez większą część dnia jest kreatywną i efektywną pracowniczką jedynej w Polsce Firmy Farmaceutycznej, która kieruje się wyłącznie jasnymi zasadami oraz szeroko pojętą etyką zawodową. Co znacznie utrudnia Magdzie pracę.

Dlatego też - aby odreagować garsonkowy szał oraz z wielu innych powodów - wieczorami Magda pracuje w knajpie, należącej do jej mężczyzny. Tego, co wytrzymał już z nią niemal równie długo jak koty. Knajpa mieści się w Bardzo Modnej Dzielnicy. Nazywa się Smutny Banaś. Dla stałych bywalców po prostu Banaś. Na nikim ta nazwa nie robi większego wrażenia. W sąsiedniej bramie jest zakład fryzjerski Obciach.

Zatem Magda w drugim wcieleniu jest potwornie upierdliwą szefową podejrzanego satanistycznej speluny; ostatnie trzy słowa to cytat z listu sąsiadów do Urzędu Miasta Krakowa. Wcześniejsze trzy to cytat z Mięcia, barmana.

Czasem osobiście pracuje za barem. Nad tymże zajęciem ubolewają różni Magdy krewni. I co poniektórzy znajomi.

Bo przecież Magda skończyła dwa fakultety. Najpierw chemię, a później, po swojemu, cichutko i na boczku, psychologię. I wszyscy się spodziewali, że jakoś to wykorzysta.

A Magda twierdzi, że w obu profesjach ma wykształcenie kierunkowe.

Jej kolega z psychologii jest taksówkarzem. Również twierdzi, że pracuje w zawodzie.

Praca za barem, zdaniem Magdy, jest źródłem nieustającej radości.

Magda szefuje, zwłaszcza pod nieobecność swojego faceta, sporej menażerii typów różnych, głównie męskich. Oprócz tego ma duże grono stałych klientów. Czy może raczej wielbicieli. Jeden jej ciągle stawia wódeczkę, więc Magda pod barem ćwiczy kuglarstwo. A nad barem - picie mineralnej w małych kieliszczykach. Liczy jak za wódkę. Gdyż Magda etykę zawodową i nakazy ma, jak najbardziej, w... pracy. Tej pierwszej.

Z powodu pracy w Firmie Farmaceutycznej Magda jest mocno upośledzona, a mianowicie w tygodniu nie pije. Jeśli już, to jedno,

11

góra dwa piwka, gdyż wonny aldehydowy chuch mógłby nieco przeszkadzać w budowaniu

zaufania do Firmy następnego dnia o poranku.

-I tak plotę androny, jak jeszcze zacznę zionąć aldehydem, to wrzucą mnie po znajomości do karetki i odwiozą do Houston na detoksik... - mówi Magda.

Dla tych, co Magdę znają od zawsze, jak ja, zjawisko jest do dziś dnia niepojęte. Magda co dzień w knajpie - tak, to jest jak najbardziej normalne. Ale Magda w knajpie trzeźwa jak niemowlę? To już głęboka patologia.

A jednak. Co te pieniądze robią z człowieka.

Oprócz faceta trzymanego w mieszkaniu numer dwa wraz z Agatką, Mikrusem i kotem Kotem, który zresztą jest kotką -Magda miewa kochanków.

Przyznała nam się podczas jednego z babskich wieczorów, mocno zakrapianego winem hiszpańskim przywleczonym ofiarnie przez Gośkę z drugiego końca Europy. Oraz drugim winem, przywleczonym z sąsiedniego sklepu nocnego. Miały identyczne etykiety, więc z zapalem testowałyśmy różnicę. Im bardziej wina nie było, tym bardziej nie było też różnicy. Następnego dnia Magda nie szła do pracy i wreszcie rozwiła moje obawy o stan jej zdrowia, gdyż piła. Piła uczciwie, porządnie, do tego stopnia, że zaczęła opowiadać nam co nieco. O tych kochankach właśnie.

- W tym wieku? - prychnęła Gośka, mężatka ze sporym stażem, nasza ostoja ładu moralnego i strażniczka domowego ogniska. Od pewnego czasu.

- Co w tym wieku?! Co w tym wieku, pytam grzecznie? - zaperzyła się Magda, która niedawno miała urodziny i ciężko je przeżyła. - W tym wieku ONI wreszcie mają własne mieszkania, nie trzeba się tarzać po łonie natury, podstawić tyłka pod zuwaczki mrówek, walić cyckiem w dźwignię biegów i w ogóle dokonywać podobnych akrobacji. Żadna matka nie wlezie z herbatką piętnaście sekund przed orgazmem i nie przestanie się kłaniać dozorca, gdyż nawet jeśli robicie TO w bramie, to nie codziennie i o wiele ciszej.

W młodości to się człowiek musiał męczyć...

- Teraz należy dokonać odpowiedniej selekcji wstępnej. -Wzruszyła ramionami. -I już.

12

Przyznałyśmy jej rację. Platonicznie.

Tym bardziej że, jak twierdzi, w jej wypadku poligamia to choroba zawodowa.

Jak chrypka u nauczycieli.

Duduś

Duduś to najlepszy przyjaciel mojego męża. Jest to człowiek o bliżej nieokreślonej profesji aktualnej i ściśle określonych potencjalnych możliwościach. Duduś mianowicie wielkim pisarzem jest. Jest wielkim pisarzem z urodzenia i wykształcenia, natomiast nie jest pisarzem zbyt znanym. Z tej prostej przyczyny, że nic wielkiego, jak dotąd, Duduś jeszcze nie napisał.

Ale mógłby. Gdyby tylko zaczął pisać.

Duduś ma z pisaniem wielki problem. Wygląda na to, że biedaczyna urodził się o sto lat za późno. Lub za wcześniej. W każdym razie w obecnych czasach biedni pisarze muszą sobie jakoś radzić z komputerem. Większość wydawnictw rozwydrzyła się ponad ludzką miarę i z wyjątkiem nielicznych noblistów, rękopisów nie przyjmuje. I ta samodzielność, wręcz samotność, artysty. Żadnych kopistek, sekretarek i tym podobnych pomocy w pracy twórczej. Tylko Pakiet Office wersja któraś tam. A Dudusia komputer gryzie w delikatne inteligenckie paluszki. Przybył na ten świat o sto lat za wcześniej, aby wiedzę na temat obsługi kolejnej edycji Worda wyssać z mlekiem z kartonu. W osiemdziesięciu próbach na sto Duduś kasuje pliki, zamiast je otworzyć.

Wiem, że trudno tego dokonać przypadkiem. Duduś potrafi.

Na razie nasz przyjaciel spędza czas w służbie literatury mówionej. Jest niezrównanym barowym gawędziarzem - i dlatego, między innymi, uwielbiam Dudusia. Jeszcze bardziej cenię sobie duecik Duduś i Magda. Zestawienie spotykane nader często w Smutnym Banasiu. Ponieważ Duduś z reguły kończy wykonywanie swoich licznych dodatkowych profesji akurat wtedy, gdy Magda rozpoczyna swoją stałą, choć równie dodatkową posługę za barem.

Kłóć się z finezją i wyraźnym upodobaniem.

13

Dziś odstawili spektakl w moim własnym domu. Magda przyszła do mnie wyprać trochę ciuchów przed wyjazdem (Abstrakcyjny Kazimierz znów udał się w trzymiesięczną delegację, więc Magda radośnie odpowiada na wszystkie zaległe SMS-y i propozycje spotkania. W ten sposób przyjęła również zaproszenie na cały długi weekend w niewielkim pensjonacie w Zawoi. Zapraszającym jest kolega z Firmy, a wyjazd ma na celu, przynajmniej teoretycznie, aktywny wypoczynek i podziwianie Babiej Góry. Magda po krótkim wahaniu doszła do wniosku, że kolega ma przecież lat czterdzieści, a nie szesnaście, jest dużym chłopczykiem i nie powinien się zbytnio obrazić, jeżeli ona naprawdę będzie chciała zdobyć Babią Górę, a zachować umiar. Jej własna pralka uległa destrukcji dwa tygodnie temu, ale Magda tymczasowo nie ma głowy do materii nieożywionej, zwłaszcza tej złośliwej. Użytkuje cudzą.

Po praniu omówiliśmy się na winko u Magdy. Właśnie pakowałam Malwinę w nosidło, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka.

- Cześć, Marta - wysapał Duduś, starając się nie oddychać w moim kierunku, żebym nie wyczuła aromatu nikotyny, gdyż Duduś, jak powszechnie wiadomo, z reguły nie pali. Do wyjątków, potwierdzających regułę, zaliczają się niektóre wyjścia w sprawach zawodowych. Oraz większość wyjść do knajpy, zwłaszcza do Smutnego Banasia, bo tam jest taka nerwowa atmosfera. Oraz w ogóle wyjście z domu i zniknięcie za rogiem, którego już nie widać z balkonu. Tak więc świeżo wybyły z pieleszy domowych Duduś zawsze śmierdzi jak stara nikotynowa lokomotywa. Pociuszające - dla niego samego, gdyż inni bynajmniej nie są tą kwestią zmartwieni - jest to, że zawsze śmierdzi tak ostatni raz w życiu.

- Cześć - odpowiadam nieco niewyraźnie, gdyż w zębach trzymam smoczek, oczywiście za kółeczko i czapeczkę za czapeczkę.

- Jest twój stary? - pyta uprzejmie Duduś, jakby sam tryskał młodością i wnet faktycznie tryska, bo na horyzoncie majaczy Magdusia.

- Jest, jest - odpowiadam, kopiąc stertę butów i dwie torebki, żeby przetrzeć mu szlak do pokoju. - Właż, my zaraz wychodzimy i zostawiamy wam wolną chatę.

- Do Banasia? - pyta, a w głosie mu dźwięczy: „One mają lepiej”

- Nie - lituje się nad nim Magda. - Tym razem do mnie. Na winko.

14

-Znowu do ciebie? Oj, oj, wy się coś za często spotykacie... A nie zakochałyście się w sobie przypadkiem? Potem skończy się tak, że zamiast pozostawać w uświęconych obyczajem komórkach rodzinnych założycie zupełnie nową i pojedziecie ją legalizować gdzieś na zgniły Zachód! - roztoczył romantyczną wizję Duduś, przemieszczając się chyłkiem na taras w celu pooglądania naszych nowych roślinek, które, jak wiadomo, najlepiej prezentują się na lekko przydymionym tle.

- No coś ty, zwariował? - oburzyła się Magda. - Przecież baby są upierdliwe! Każą sprzątać. I pracować.

- Rozliczają z czasu z dokładnością do dziesięciu minut, a z kasy z dokładnością do dziesięciu złotych - dodałam z obrzydzeniem ku uciesze własnego męża, dalej z akcesoriami w zębach, gdyż miałam przy zapinaniu nosidła tak zwane trudności techniczne.

-I nawet jeśli wykonają za ciebie kilka nieprzyjemnych czynności jak: zmywanie czy prasowanie, natychmiast zabronią ci większości tych przyjemnych. Pić nie wolno, palić nie wolno, grać na komputerze nie wolno, ruchać w naturze tym bardziej, bo one właśnie teraz nie mają ochoty, a o innych zapomnij - dodała Magda ogniście. - W życiu, za żadne skarby nie chciałabym mieć żony! Za nic w świecie! - Otrząsnęła się z odrazą, a ja zapamiętałam przytakiwałam. - Baba to jest dobra dwa razy w tygodniu na kawę. I raz na piwo - zakończyła.

Duduś osunął się na leżak ogrodowy z zadumą na twarzy.

A ja wyplułam czapeczkę, umieściłam ją centralnie na głowie Malwinki i poszłyśmy na winko białe półśładkie. Na pohybel snobom.

Jesteśmy pająki czarne pająki

W przedpokoju zaskrzypiało. Aha! Słyszę jak pięcioletnie płaskie stopki zasuwiają w stronę mojej sypialni. Zaraz będzie: „Mamo-ooo!”

- Mamoooo! - rozległ się cienki, zaspany pisk. - Mamo, gdzie jesteś? Bo nigdzie cię nie ma?
- Tutaj, w komputerowym! - lituję się nad Starszą. - Chodź do mnie! - Staram się wrzeszczeć cicho (oksymoron, ale powszechnie

15

stosowany w praktyce), bo lituję się również nad Młodsza, która usnęła zadowolona w kojcu koło komputera (samo zdrowie).

Pewien poziom słyszalności jednak osiągnęłam, bo plaskające stopki przemieszczają się w moim kierunku.

- Co robisz? Grasz? - Starsza szybko łąduje mi się na kolana, korzystając z okazji uśpienia konkurencji. - Mogę z tobą?

- E, nie gram... Tak sobie łażę po Sieci - mówię, a Miśka parska mi do ucha.

- Jesteś pająkiem! - chichocze. No właśnie.

Jestem pająkiem.

Jeszcze większym pająkiem jest Tatuś. Mój pan i władca. W chwili obecnej na krańcu świata, czyli w USA, z przyczyn zawodowych.

Pojechał parsając i prychając na swoją ukochaną firmę właśnie wczoraj - o planowanym wyjeździe zawiadomili go przedwczoraj. Spoko, wreszcie będziemy mieli czas i okazję ze sobą pogadać. Przez gadu-gadu. Ponieważ jest to rodzaj komunikacji, jaką tygrysy lubią najbardziej. Ustne komunikaty się nie umywają. Dlaczego? Nie wiem.

Jakbym miała ochotę wystosować jakąś dłuższą petycję, to mogę ewentualnie wysłać na forum. Najchętniej „dla dziewczyn po trzydziestce”. Jest to ukochane forum mojego męża. Nie mam pojęcia, dlaczego. Nie jest dziewczyną, przysięgam. Do zeszłego piątku nie był nawet po trzydziestce. Mimo to, jeśli chciałabym mu zasugerować jakiś temat do przemyśleń, warto ująć problem możliwie precyzyjnie i wysłać właśnie tam. Zostanie przeczytany i zarchiwizowany. Przedyskutowany z przyjaciółkami. W każdym razie dostrzeżony. A o to przecież chodzi.

Tak w ogóle to mój mąż jest kochany. Poznałam go zanim zaczął golić zarost, co więcej, zanim posiadał cokolwiek nadającego się do golenia. A teraz nadaje się do golenia w różnych fajnych miejscach - konto, karta kredytowa... I w ogóle jest fantastycznym człowiekiem. Wytrzymał ze mną już tyle lat. Nawet, jeśli musiał się niekiedy uciekać w rzeczywistość wirtualną i tak należy mu się medal.

Jak wróci, zrobię mu kurczaka po hawajsku i masaż po japońsku. Zedrę mu z grzbietu ubranie już w progu i będę masować. Bez

16

cienia litości. Jak się zostawia żony samopas, nawet po piętnastu latach znajomości, to należy liczyć się z konsekwencjami.

Odnosnie golenia: właśnie wczoraj zadzwoniła Gośka i doniosła mi w sekrecie, że jej małżonek zawrócił sprzed kasy hipermarketu z powrotem na szerokie hale, po czym powrócił, triumfalnie ściskając w dłoniach pakiet maszynek jednorazowych.

- Właśnie podjąłem męską decyzję - oświadczył. - Będę się golił pod pachami. Wyczytałem na forum, że inni faceci to robią. I ja też chcę.

Gośka udzieliła zezwolenia. Nawet opatrzyła je komentarzem, że czas najwyższy, bo na widok takich krzaków pozlepianych dezodorantem jej się zawsze robiło gorzej. Ale on oczywiście dopiero musiał wyczytać na forum, żeby coś ze sobą zrobić. Mógł ją zapytać już dawno.

- Więc dlaczego mi sama nie powiedziałaś? - zapytał jej mąż, obrażając się z lekka.

- Bo ja jestem dyskretna i nie narzucam się ze swoimi życzeniami - odparła Gośka. - I nigdy do niczego nie zmuszam - dodała, a jej mąż uprzejmie nie skomentował.

Następnie dyskretna Gosia obdzwoniła z sensacyjną wiadomością mnie, Magdę i taką jedną swoją koleżankę Lilkę. W związku z tym za chwilę pół Krakowa będzie się równie dyskretnie przyglądało, co też Andrzejek nosi pod pachami.

Andrzej też jest pająkiem. Z tym, że on ma limitowany dostęp do Sieci w sprawach niezwiązanych z pracą - czterdzieści minut dziennie. W sobotę i niedzielę dwie godziny. Po południu, pod warunkiem, że wcześniej weźmie dzieci na spacer.

Gośka jest bardzo stanowczą żoną. Ja nie jestem.

Na łożenie po Sieci mój mąż poświęca naprawdę dużo czasu.

Najczęściej ugania się za terrorystami z karabinem maszynowym lub jakąś inną pepechą.

Terrorysty są rzecz jasna wirtualni, choć połowicznie, to znaczy, że są to prawdziwi, żywi gracze, tyle że niekoniecznie prywatnie są terrorystami. Choć kto ich tam wie.

Innym razem łązi sobie leniwie, czytając różne rzeczy i pozostawiając ślady w postaci komentarzy to tu, to tam. Gdyż mój

17

mąż ostatnio dla odmiany dużo przebywał na urlopie i namiętnie śledził rzeczywistość wirtualną i nie tylko. I teraz posiada całą masę własnych poglądów. Wyrobionych jak ciasto drożdżowe.

Wypuszcza je na świat stopniowo i z uciechą obserwuje reakcje.

O wolności owłosienia

Jeżeli chodzi o posiadanie włosów różnej długości i koloru, mój mąż ma bogate doświadczenie. I liczne przemyślenia. Miewał bowiem rozmaite przygody.

Przygody zaczęły się od tego, że w bardzo wczesnej młodości miałam Ideał Mężczyzny. Mój ideał był wysokim, szczupłym brunetem. Z błękitnymi oczami. W młodym wieku człowiek miewa doprawdy zaskakujące pomysły.

Na przykład Miśka żąda odzieży wyłącznie w kwiatuszki i kazała sobie pomalować pokój na kolor neonowej zieleni.

Ja natomiast żądałam brunetów. A otrzymałam coś bliżej nieokreślonego, z przewagą blondyństwa. Nieraz przytaczałam ów przykład jako dowód na to, jak okrutne życie lekce sobie waży dziewicze marzenia.

Mój narzeczony, jak się okazało, słuchał uważnie i dziewiczych marzeń nie lekceważył.

Wybieraliśmy się większą paczką na sylwestra, jako bazę startową traktując mieszkanie, w którym razem z trzema koleżankami wiodłyśmy cudowny akademicki żywot w oparach absurdu, nikotyny i wiedzy medycznej. Z przewagą tego pierwszego.

W owym mieszkaniu, a zwłaszcza w łazience, działy się tego wieczora sceny w pełnym tego słowa znaczeniu dantejskie, gdyż komedia była boska.

Przede wszystkim chodziło o to, że nas było cztery, a lustro było formatu A4.

Drogą losowania wyłoniłyśmy zwycięską parę, która została przepychać się przed lustrem, a ja i Kaśka, pokonane, udałyśmy się do kuchni, zostawić ślady ust różanych na kilku fajkach i piwku startowym.

18

I wtedy mój narzeczony zrobił tak zwane wejście. Staął na środku kuchni nic nie mówiąc, a my oglądałyśmy go uważnie, gdyż coś nam się nie zgadzało.

Choć trudno było tak od razu znaleźć dziesięć szczegółów.

- Włosy! - domyśliła się Kaśka. - Urosły ci włosy! Przez Wigilię? - zdziwiła się.

- Ściąłeś włosy? - spytałam dokładnie w tym samym momencie, bo też mi się wydawało, że to coś z włosami. Ale mój właściciel kręcił energicznie głową i widać było, że chce mu się śmiać.

- No nie! - krzyknęła Joaśka, wyłażąc z łazienki. - Ufarbowałeś włosy!

- I to jest, proszę państwa, prawidłowa odpowiedź! - wykrzyknął ten mój, unosząc ręce do góry, i okręcił się na palcach jak balet-nica. - No i co wy na to?

Jego włosy były czarne z odcieniem fioletowym. Wyglądał niezłe i jak tylko mi wróciła mowa, to zaraz mu o tym powiedziałam. Wzruszył ramionami.

- Chciałaś bruneta, no to masz - rzucił od niechcienia, a ja poczułam się wzruszona tak spektakularnym dowodem miłości.

Ja bym sobie cycków nie powiększyła za nic. Ale może to jednak różnica.

Potem mojemu narzeczonemu spodobała się zabawa i oprócz bruneta miałam jeszcze rudzielca. I ciemną śliwę. A nawet bordo.

Przy bordo udało mu się zestresować jednego kelnera. I jednego zboczeńca, ale o tym później.

Kelner miotał się koło nas w pewnej knajpie w Giżycku, w której przeczekiwaliśmy niekorzystne warunki atmosferyczne. Ponieważ przez długi czas siedzieliśmy przy jednym marnym piwie, kręcił

się wokół i kręcił, aż się w końcu przykręcił.

- Może panie coś jeszcze zamówią? - zapytał głosem uwodzicielskim. W tym momencie mój narzeczony podniósł głowę, odgarniając sobie z twarzy loki bordo i ukazując trzydniowy mazurski zarost pod spodem. Kelnera cofnęło tak, że wpadł na sąsiedni stół.

- O kuźwa, przepraszam, o kuźwa, przepraszam, państwo, tfu, państwo, tfu - mamrotał, cofając się tyłem w stronę baru. Po czym zaczął nas omijać szerokim łukiem i w końcu nie złożyliśmy kolejnego zamówienia. I tak za chwilę przestało padać.

19

Bardziej frapującą przygodę, w której kolor i długość owłosienia też odegrały pewną rolę, przeżył mój mąż (w owym czasie zwany narzeczonym) samodzielnie. Opowiadając o niej, nazywa ją swoim pierwszym razem i coś w tym w sumie jest.

Rzecz się działa wkrótce po powrocie z wakacji, tych samych, na których tak niecień zdenerwował kelnera, czyli w tak zwanym okresie bordowym. Przechodził wówczas fazę dbania o kondycję fizyczną - o psychiczną zadbał już jakiś czas temu, wiążąc się ze mną, co może nie zapewniało mu zdrowia psychicznego jako takiego, ale na pewno zapewniało stały trening wytrzymałości, żeby nie powiedzieć tresurę. O swe walory fizyczne dbał sam. Między innymi wieczorami jeździł na rolkach wzdłuż Błóż.

Wracał sobie kiedyś z takiej przejażdżki - pierwsza w nocy, rejon miasteczka akademickiego, pusto wokół, krok sprężysty pomimo przejechanych właśnie kilku kilometrów, roleczki wdzięcznie przerzucone przez ramię, gdyż odjazdy po dziurawych chodnikach plomby wypadają.

Spojrzał przed siebie, bo co miał nie spojrzeć. Na przystanku autobusowym stał facet.

Cóż - pomyślał narzeczony - pewnie czeka na autobus.

W tym momencie uświadomił sobie, która jest godzina.

Ale - wymyślił zaraz - typek pewnie czeka na nocny.

Tu mój ulubiony kolega zlokalizował siebie i tajemniczego nieznajomego nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni, i zdał sobie sprawę, że żadne nocne nigdy tędy nie jeździły. Przynajmniej do wczoraj.

Cóż - pomyślał przelotnie - może się z kimś umówił, a może jednak czeka na nocny...

Myśląc, cały czas szedł w stronę rzeczzonego przystanku, gdyż tak mu było po drodze. Z bliska odkrył coś ciekawego, a mianowicie, że nieznajomy koleś ma gacie opuszczone mniej więcej do kolan.

Ani chybi leje - pomyślał narzeczony. - No cóż, pewnie już długo czeka i mu się zebrało.

Dziwne było jedynie to, że zamiast odwrócić się tyłem od nadchodzącego właśnie świadka intymnej bądź co bądź czynności, gościu wyraźnie zwrócił się przodem i coś jakby rozpromienił. Po kilku krokach ten mój zdał sobie sprawę, że facio ze spuszczoneymi gaciami najnormalniej w świecie czyni sobie dobrze.

20

Cóż - pomyślał znowu mój narzeczony, człowiek obdarzony nieprzeciętną tolerancją wobec bliźnich i wszelakich ich zachowań - skoro robi to w tak dziwnym miejscu, to widocznie z jakichś przyczyn musi.

Tu niezbędna jest krótka charakterystyka zewnętrzna mojego narzeczonego. W owym czasie wyglądał tak: młody, dość szczupły, odziany w - uwaga - zieloniutki polarek własny, niedbale rozpięty, pod spodem podkoszulek, na szyi zaręczynowy koralik na rzemyku, a na smukłych odnóżach moje legginsy. Szare w dyskretnie czerwone różyczki. Ten nieco awangardowy strój sportowy funkcjonował znakomicie już od pewnego czasu.

Kiedyś ten mój miał ochotę wybrać się ze mną na rolki, a strój miał na sobie galowy, jako że wracał z jakiegoś egzaminu. Ponieważ wizja mężczyzny mego życia pędzącego z rozwianym włosiem, w gajerku i pod krawatem, na rolkach zaparła mi dech w piersiach, pożyczyłam mu podkoszulek i owe legginsy. Jedyne moje gacie, w które się zmieścił, gdyż w owym czasie byłam chuda jak makaron. Wypróbował. I uznał, że jest to najwygodniejszy strój do jazdy, więc zaanektował legginsy na dobre.

Tego dnia rzecz jasna, też miał je na sobie. Do tego adidas i bujny włos koloru bordo do ramion. Mój ukochany podszedł jeszcze kilka kroków i z pewną konsternacją zdał sobie sprawę, że

sprawiający sobie prywatną uciechę na publicznym przystanku facet przypatruje mu się spoza szkieł, grubych jak denka od słoików, a na twarzy rozkwita mu wspaniała, obleśny uśmiech. Najwyraźniej mój ulubiony kolega stał się obiektem osobliwej adoracji.

Narzeczony postąpił jeszcze parę kroków, odgarnął z twarzy włosy bordo i narysował na swym męskim czole wyraziste kółko pod adresem owego pana.

Uśmiech pana zgasł, a zastąpił go wyraz autentycznego przerażenia.

W tej bowiem sekundzie oblech z przystanku zorientował się najwyraźniej, że bordo laseczka nie jest, wbrew pozorom, kobietą.

Ten mój popukał się w czoło raz jeszcze.

I przysięgał potem przez długie lata, że w życiu nie widział śmieszniejszego widoku, niż obraz oblecha, który uciekał w naj-

21

bliższe krzaki, w popłochu usiłując naciągnąć na siebie zwisające gacie.

Wyjechali na wakacje

... wszyscy nasi podopieczni. Oraz większość opiekunów. Została tylko Malwinka, ale ona się nie liczy, ponieważ jeszcze nie umie mówić i nic nikomu nie doniesie. Poza tym można ją raz na czas jakiś wynieść do mojej babci, która akurat jeszcze nie wyjechała, co w tym przypadku jest nader korzystne. Malwinka wielu rzeczy również nie rozumie, więc babci światopogląd nie powinien jej na razie zaszkodzić. Mam taką, silnie podbudowaną wygodnictwem, nadzieję. Bo właśnie ją wyniosłam.

Siedzimy więc radośnie w Smutnym Banasiu. Godzina całkiem młoda. Wydaję imprezę z okazji Zakończenia Karmienia. Impreza będzie kameralna, za to mocno zakrapiana czym się da, gdyż po dwóch niemal latach picia symbolicznego mam ochotę na prawdziwe, porządne, żołnierskie picie. Żadnych symboli. Wszystko. Piwo, wino, drinki - wódki solo nie lubię, od tego jest Anka. Advocaat do kawy. Rum do herbaty. Paw do umywalki. Łeb do wymiany. Kac do poniedziałku.

Z każdego kompletu pozostała jedna osoba. Gośki mąż postanowił zabrać całe swoje potomstwo na prawdziwie męską wyprawę i pojechali z ogromnym namiotem w Beskid Niski. Ledwo zresztą zniknęli za rogiem Gośka również zaczęła przygotowywać się do wyjazdu, bo śniła jej się Amelia gotująca makaron, podczas gdy tatuś z chłopakami pływają łódką po jeziorze, OCZYWIŚCIE bez kapoków. Na nic się zdały nasze tłumaczenia, że w Beskidzie Niskim nie ma ani pół jeziora. Gośka twierdzi, że ten sen miał znaczenie symboliczne i metaforyczne, i że chyba upadła na głowę, żeby wysłać z dwójką czterolatków i jednym ośmiolatkiem osobę tak dziecinną i nieodpowiedzialną jak jej mąż. Nie pomogły Magdy przypomnienia, że na pierwszą połowę wakacji ten sam zestaw dzieciaków Gośka podrzuciła swojej mamie na wieś i jakoś przeżyły. Zarówno dzieciaki, jak i mama.

- Mama to jest mama - ucięła krótko Gośka. - A mój mąż w zeszłym roku zapomniał dać bliźniakom kolację tylko dlatego, że

22

rozgrywał przez Sieć jakiś mecz! - przytoczyła swój dyżurny przykład na mężowską niefrasobliwość, a Duduś jak zwykle w tym miejscu nabrał tchu i przewrócił oczami. Ale tym razem weszła mu w słowo barmanka Paulinka, która jako jedyna nie słyszała tej historii, za to od dwóch tygodni miała męża.

- I co, poszły głodne spać? - spytała ze współczuciem.

- Skąd! Zjadły słoik ogórków, kubek śmietany kremówki i dwie paczki pierniczków alpejskich. I zrobiły sobie kawę zaparzaną po turecku. Podlały nią potem fikusa, bo im wyszła za mocna i nie smakowała. Sraczkę miały do rana. A wiesz, co na to tatuś? Zachwycony, że tak sobie świetnie poradziły. Super. Trzylatki z czajnikiem pełnym wrzątku. Wyobrażasz sobie?

- A co na to fikus? - spytała Paulinka, która miała i fikusa.

- Fikusowi akurat wyszło to na dobre, ale wolałabym przeprowadzać takie zabiegi osobiście - ogłosiła Gośka fakt wszystkim znakomicie znany. Cały problem Gośki sprowadzał się do tego, że ona woli wszystko osobiście. Kto inny (czytaj: małżonek, dziecko, współpracownik) mógłby coś sobie zrobić, zadziałać nie dość szybko, a zwłaszcza nie odłożyć rzeczy na miejsce... Pod tym

względem Gośka, święta kobieta, jest trudnym przypadkiem. Teraz również siedzi jak na szpilkach i zakłóca rodzinie wypoczynek. Trzema telefonami dziennie, co jest wielkością limitowaną. Gosia z dumą ogłosiła nam, że taki właśnie narzuciła sobie limit z przyczyn finansowo-wycho-wawczych. Niestety, wczoraj weszli w obszar, gdzie nie ma zasięgu.

Ciekawe, jak długo takiego szukali.

Wkrótce Gośka się zbiera i goni swoją rodzinę osobiście. Dopiero we wtorek jednak, gdyż jak twierdzi, pozostało jej do wykończenia paru klientów. Wykańcza więc ich po kolei, a w przerwach okupuje ulubiony fragment Banasia. Zwłaszcza, gdy na bramce stoi Kudłaty. Dla jasności: Gosia nie jest płatnym mordercą. Jest tłumaczem.

Siedzimy kręgiem wokół Gośki i wlewamy w nią kolejne drinki, żeby biedaczka wykorzystwała okazję i w końcu się zrelaksowała. Może nam się uda. Zaraz przychodzi Kudłaty, a on działa na Gośkę tak, jakby co minutę wypuszczał z siebie gaz rozweselający N20. Nie musimy jej przyklejać do stołka, siedzi sama z siebie. I głądzi.

23

Właściciel Magdy wyjechał do Holandii na jakieś sympozjum. Magda, ku wielkiemu oburzeniu Gośki, znowu nie wie jakie. Oraz kiedy dokładnie wróci - jak będzie wracał to przecież powie. Dzwoni prawie codziennie.

- No widzisz, a ze mnie to się nabijasz, że tak często dzwonię do męża - pożaliła się Gośka.

Magdzie zaświeciły się zielone oczka.

- Po pierwsze, to on dzwoni do mnie, a nie ja do niego. Po drugie, dzwoni prawie codziennie. Nie trzy razy dziennie. Po trzecie, on mi nie musi relacjonować każdej minionej godziny. To ja mu zdaję krótką relację z Banasia, a potem sobie tylko miło rozmawiamy... Na przykład o seksie - rozmarzyła się nagle Madzia, a Duduś za-krzuszył się piwem. Magda odwróciła się do Gośki. - Rozmawiasz ze swoim przez telefon o seksie?

- Coś ty, przy dzieciach?!

- Przecież nie jesteś przy dzieciach. To on jest przy dzieciach. I myślę, że jakoś by sobie z tym poradził. Takie mam przeczucie. Spróbuj kiedyś, w takiej pogawędce na odległość można się czasem dowiedzieć o partnerze wielu ciekawych rzeczy... - Magda bezwiednie przejechała palcem po brzegu kieliszka. Duduś westchnął rozdzierająco i odwrócił wzrok. Jego żona była w dość skomplikowanej ciąży i musiała się oszczędzać. - Czasem wejdzie się na takie tematy, których nigdy nie poruszyłabyś, leżąc z facetem w jednym łóżku. A przez telefon niejedno można sobie opowiedzieć...

- No nie! Andrzej pomyślałby, że zwariowałam, jakbym nagle zaczęła z nim rozmawiać o seksie. Albo że sobie kogoś znalazłam. Albo coś.

- Raczej coś, bo jesteś ostatnią osobą na ziemi, która by znalazła sobie kogoś do łóżka w ciągu trzech dni - oceniłam. - Myślę, że twój małżonek jest tego świadom.

Na tym zakończyliśmy dyskusję o seksie na telefon, gdyż Gośce wyraźnie było nie w smak rozpracowywanie jej życia erotycznego. Woli omawiać życie bliźnich.

- Nie rozumiem, jak możesz tak mało interesować się pracą swojego mężczyzny - wsiadła od razu na Magdę. - Ja tam wiem wszystko o sprawach zawodowych Andrzeja. Gdzie wyjeżdża, co wygłasza, jakie ma w najbliższym czasie plany... Facet oczekuje takiego zainteresowania!

24

- Może twój facet. Mój czasem mi coś opowiada, a czasem zupełnie nic. - Na Magdę zawsze źle działała jakakolwiek krytyka.

- I co, ciebie to nie niepokoi? Że nie wiesz, czym się zajmuje, z kim przebywa... - zdziwiła się Gośka. - Ja bym tak nie mogła. Muszę wiedzieć, czy wszystko jest w porządku, z kim najczęściej współpracuje, kogo lubi, kogo nie...

- Dużo by mi dała informacja, z kim mój właściciel aktualnie współpracuje! - prychnęła Magda. - Imię, nazwisko, numer buta? A co mi to da? Nazwiska i tak nie wymówię! Wiem, że mieszka z dwoma gejami, bo było to najtańsze mieszkanie w okolicy. - Magda często mówiła o swoim facecie „właściciel”, co przejęła od jednego z przedstawicieli handlowych, który często, widząc ją za barem zamiast Kazika, pytał: „A kiedy będzie pani właściciel?”, który to skrót myślowy, oburzający

zapewne dla wielu feministek, Magdę nieodmiennie śmieszył. Od Magdy wyrażenie przechwyciłam ja.

- O Jezu, i nie boisz się, że coś mu się stanie? - spytała Paulinka, wlewając sobie dyskretnie rum do coli. Magda uniosła brwi. Paulinka bez mrugnienia okiem postawiła szklankę przede mną. Lubię colę z rumem. Przyjęłam, unosząc brwi jeszcze wyżej. Przecież nie będę patrzyła spokojnie jak personel okrada moją najlepszą kum-pełę. Paulinka westchnęła ciężko. - Mogę sobie zrobić drinka? - zapytała grzecznie.

- Możesz - zgodziła się łaskawie Magda, którą uradował mój powrót do pełnej sprawności imprezowej, w związku z czym miała dobry humor. - Proponuję ci colę z rumem - nie odmówiła sobie jednak malutkiej szpileczki. Paulince poczerwieniały uszy. Magda uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Czy myślisz, że każdy gej jest automatycznie gwałcicielem? - zwróciła się do Paulinki. - Czy obawiasz się, że byle gej jest atrakcyjniejszy ode mnie, i Kaziu, zobaczywszy co traci, zostanie gejem na wieki wieków amen? - zapytała uprzejmie. - Z tego co wiem, to panowie w mieszkaniu stanowią parę. Dlaczego mieliby sypiać akurat z Kaziem, skoro mogą ze sobą? Pewnie w dodatku kochają się nad życie - Magda przyjrzała się przez chwilę obrzydzeniu na twarzy Dudusia. - No co, w naszym tak zwanym normalnym społeczeństwie na pewno nie ma tylu autentycznie zakochanych w sobie par, co wśród ludzi homoseksualnych. Oni są razem, bo tego chcą. Nic więcej ich ze sobą nie trzyma.

25

- Tak, ale średni czas takiego bycia razem jest u nich nieporównywalnie krótszy - odezwała się Gośka. - Nic ich nie trzyma, więc zmieniają partnerów co chwilę.

- Stereotyp - warknęła Magda. - A poza tym mówimy o jakości związku, nie o jego długości.

- Brak związku jakości z długością to propaganda głoszona przez panów o krótkich penisach - ogłosiła elegancko Gosia. - Moim zdaniem zupełnie nie dotyczy związków jako takich. O jakości związku najlepiej się wypowiadać po jakichś dwóch latach jego trwania. Wtedy dopiero da się ocenić, czy taki związek jest coś wart.

- A to niby dlaczego? - zaperzyła się Magda, której liczne związki z reguły trwały znacznie krócej niż dwa lata; z dwoma, bodajże, wyjątkami. Abstrakcyjny Kazimierz należał już do wyjątków. - Ja tam bardzo dobrze potrafię ocenić, czy dany związek jest dobry czy zły. Może być na przykład fantastyczny, nawet jeśli trwał dwa tygodnie - dodała, a Duduś dla odmiany zaczął chrząkać, bo przypomniał sobie jak poznał Magdusię.

- A ten co tak prycha? - zainteresowałam się. - Prycha i prycha, i ludność opluwa. Duduś, nie utop nam się!

- Nie, nic - wycharczał Duduś, złapawszy oddech. Był okropnie czerwony. - To tylko to piwo. Dużo gazu dzisiaj ma.

Magda zapaliła papierosa, a mnie aż skreśliło. O bogowie, papierosy! Przecież mogę już palić papierosy!

- Paulinka, dawaj mi tu zaraz fajeczki. Mentolowe - zadysponowałam, przerywając tym samym dyskusję o związkach, bo Paulinka zdziwiła się niezmiernie.

- Ty palisz? Od kiedy? Nie wyobrażam sobie ciebie z papierosem! - powiedziała, czym wzbudziła entuzjazm pozostałej części ekipy, w tym Kudłatego, który właśnie do nas dołączył.

- Coś ty! - kwiknął radośnie. - A ja sobie nie mogłem wyobrazić Marty bez papierosa! Co ją ostatnio widziałem, to jakoś mi wyglądała niedobrze... Myślę sobie: chora, zła, ciąża jej nie służy albo mąż nie bzyka - a to wszystko jasne: bez papierosa! No, teraz jest okej. - Przekrzywił głowę jak rzeźbiarz oceniający własne dzieło. Właśnie zaciągnęłam się dymem.

- Nie wyszłaś z wprawy - rozczarowała się Gośka. Nie wyszłam. Moja sprawa.

26

- Chodź, stary, zagramy w rzutki. Tych tutaj dzisiaj nawet słuchać nie warto. Opowiadają straszne rzeczy. - Duduś odsunął ze zgrzytem krzesło.

- Na przykład? - Kudłaty przerwał czynność siadania i pozostał w zawieszaniu.

- Na przykład, że geje tworzą najbardziej kochające się związki na świecie.

- I dlatego proponujesz mi wspólną grę w rzutki? - zdziwił się Kudłaty. - A wydawało mi się, że jesteś zajęty...

- Myślisz, że to przeszkadza? - spytała Madzia natychmiast.

- Jasne że tak. Mówimy o związkach, nie o bzykaniu. O dobrych związkach - przypomniała Gośka. Magda wzruszyła ramionami.

- No i co z tego? Miałam kiedyś trzy związki jednocześnie. Więc byłam zajęta na wszystkie możliwe strony. A związki... Wszystkie były dobre. Jeden nieskonsumowany.

- Jak nieskonsumowany, to chyba nie związek? - spytał Kudłaty, który chodził z Magdą do podstawówki.

- A właśnie że związek - powiedziała Magda cicho, lecz dobitnie -1 wiecie co? Chyba najlepszy, jaki mi się trafił. Zdarza mi się żałować go do dziś...

- Można coś bliższego na ten temat? - zainteresował się Duduś.

- Nie można - warknęła, co sprawiło, że panowie udali się grać w rzutki, a my zeszyliśmy ze stołków barowych do normalnego stolika (starość nie radość), obstawiliśmy się winem białym i czerwonym i kontynuowałyśmy sabat w składzie tradycyjnym. Paulinka za barem dokonywała cudów w zakresie ruchliwości małżowin usznych, aby nastawić je na jak najlepszy odbiór bez sprawiania wrażenia, że podsłuchuje. Po przegadaniu wielu, wielu godzin, opróżnieniu baru z wina czerwonego i skazaniu sporej rzeszy znajomych na pypcie na języku postanowiłyśmy wychynąć na świeże powietrze i przejść się spacerkiem na pobliski plac targowy. Nocne wyprawy na plac bywają ciekawe. Tym razem również nie doznałyśmy rozczarowania. Na placu wciąż było mnóstwo ludzi. Odważni raczyli się kiełbaskami z grilla, rozłożonego między straganami przez starszego fa-

27

ceta z wielkim czerwonym nosem, wyglądającego na notorycznego pijaka, i jego synalka. Nos młodzieńca jeszcze nie dorównywał nochalowi tatusia, ale niewiele mu brakowało. Ten biznes, podejrzewam, że niefigurujący w rejestrach Urzędu Miasta Krakowa, rozkwitał w późne letnie noce, po zamknięciu wszelkich oficjalnych jadłodajni w okolicy i kręcił się niezłe. Facet tą samą spracowaną dłoń liczył pieniądze, nakładał z wielkiego plastikowego wora kolejne kiełbaski, wyciągał z drugiego wora pajdy chleba oraz - też z worka - stłamszone kiszone ogórki. I drapał się po głowie. Panie z sanepidu zeszyłyby na zawał.

Ludzie jedli kiełbasy, niektórzy popijali beczelnie piwkiem -knajpy, co prawda zamykały się jedna po drugiej, ale okoliczny sklep nocny prosperował nadal. Ci bardziej strachliwi, wspomniawszy zapewne na zakaz spożywania alkoholu w miejscu publicznym, czynili jakieś dziwne machinacje w okolicach własnych plecaków, a następnie popijali coś z kartonów po sokach, a co - to już ich sprawa i Gajowego Maruchy.

Było gwarno i radośnie, objawiła się nawet muzyka.

Pod okraglakiem, na szeroko rozstawionych nogach, lekko wsparty o ścianę stanął żydowski skrzypek. Był ubrany w ubiór cudownie tradycyjny, miał ciemny chałat i jarmułkę, chwiał się wyraźnie, ledwo stał, ale grał. I to jak grał! Czysta, dzika melodia, taka, że nogi rwały się do tańca. Kilka dziewczyn nie wytrzymało. Zeskoczyły ze straganów, zostawiając facetów z kartonami w dłoniach i ruszyły w szalony płas. Skrzypek westchnął, otarł pot z czoła, poprawił rozkrok, rzucił im spojrzenie nieco mętne, lecz pełne aprobaty - i zagrał znowu.

Dziewczęta tańczyły, muzyk grał, krążyły butelki i dymił grill. Wszyscy z wszystkimi byli na ty i trwała noc, gwarna i pełna życia, zwyczajna noc na Kazimierzu.

Patryk

Przyczyny najgorszego kataklizmu w życiu naszej uporządkowanej Gosi poznałam już parę lat temu. Mieszkałam jeszcze w mieszkaniu po teściach, Miśka zaczynała karierę w przedszkolu, a Malwi-na była jedynie wstępnym projektem. To znaczy, że nagle po mie-

28

ście zaczęły łązić tabuny matek z noworodkami w wózkach i nosi-dłach. I stada kobiet w ciąży. Gośka, wcielenie punktualności - z nielicznymi wyjątkami, spóźniła się wtedy do mnie ponad

godzinę. W końcu zadzwoniła, przedstawiając się w domofonie cicho i niemrawo. Weszła, rzucając byle gdzie, to znaczy do dzieciennego wózka, gdyż do wieszaka było jakieś trzydzieści pięć centymetrów dalej, czapkę i płaszcz. Szalik dokładnie okręciła sobie wokół szyi, wchodząc do pokoju.

Temperatura u mnie w pokoju sięgała w sezonie grzewczym jakichś dwudziestu ośmiu stopni i nie chciała się obniżać z uwagi na dodatkową liczbę żeberek w kaloryferach, które moi teściowie otrzymali hojną ręką od byłego systemu, co wymaga krótkiej dygresji. Mianowicie duża liczba żeberek miała zrekompensować niską jakość stolarki okiennej oraz w ogóle budynku, gdyż w tym bloku, jak Boga kocham, wiało przez ściany. I to tak, że firanki się ruszały. Widziałam zjawisko w czasach, gdy jeszcze mieszkali tu teściowie. Sama nie używam firanek.

Teść oklejał zimą okna paskudną burą taśmą, utykając wszędzie gąbkę rozmaitego pochodzenia. Wietrzyło się i tak, przez te ściany ze szczelinami niemożliwymi do wypełnienia taśmą.

Któregoś zimowego poranka - a zima była stulecia, rok osiemdziesiąty szósty - teściowi spaliła się dmuchawa i nie mógł rozprostować zziębniętych kości w łazience, wskutek czego poszedł do pracy nieco pobieżnie umyty, z rozpoczynającymi się tak zwanymi korzonkami. W pracy zepsuło się dla odmiany „słoneczko” i w teściu narosło coś potężnego. Zaraz po pracy wstawił swoje obolałe korzonki do Fiata 126p i pojechał do spółdzielni mieszkaniowej wypożyczyć sobie panią prezes. W związku z czym nazajutrz przyszło dwóch i przyniosło żeberka. To znaczy wymieniło kaloryfery. Na większe.

Skutki odczuwaliśmy aż do wyprowadzki, gdyż po ociepleniu najbardziej przewiewnej ściany przez spółdzielnię i wymianie okien na szczelne przez nas samych - po odkręceniu wszystkich kaloryferów na termometrze wewnętrznym słupek cieczy mijał radośnie trzydzieści stopni, nawet w samym środku zimy, i pchał się dalej.

Przetestowaliśmy to, ratując moje zdrowie. Kilka lat temu zachorowałam na ospę wietrzną, ignorując fakt, że jest to choroba

29

dziecięca. Ospę kazano mi wygrzewać - nastawiliśmy kaloryfery cała naprzód i czekaliśmy, co będzie.

Koty przykładały się do wanny, aby się ochłodzić.

Na ogół odkręcaliśmy jeden kaloryfer. Wystarczy, żeby kaktus się spocił.

Tak więc na widok Gośki dokładnie uszczelnionej szalikiem, od razu wiedziałam, że nie jest dobrze.

- Co jest? - spytałam uprzejmie, a Gośka zaczęła mi obmacywać parapet i leżące na nim gazety, co mnie nieco zdumiało, bo wyglądało, jakby szukała fajek, a przecież Gośka od urodzenia bliźniaków nie pali. W każdym razie na trzeźwo.

- Nic, nic... - powiedziała Gosieńka, wymacała mi spod „Wyborczej” paczkę papierosów i jednak zapaliła, patrząc w okno wzrokiem najzupełniej baranym. Westchnęłam i otworzyłam okno.

Cokolwiek ją ugryzło, nie zamierzam zadymiać sobie mieszkania. Sama palę raczej na balkonie, wyjątkowo w kuchni, dokładnie przewieszona przez parapet. Gości na ogół też wywieszam przez okno lub wystawiam na balkon.

- Dmuchasz mi na salony - stwierdziłam z niezadowoleniem. - Te, pani tłumacz, już mi się tłumacz, co się stało. Bo widzę, że coś.

- Czy możesz mi zrobić białą kawę? - W spojrzeniu Gośki wciąż nie pojawiał się najmniejszy ślad inteligencji wrodzonej, nie mówiąc już o nabytej. Westchnęłam.

- Nie mogę. Mleko mi wyszło. Możesz dostać czarną albo zejść sobie do sklepu po mleko. - Znana byłam szeroko z traktowania gości dość nieszablonowo, jak na polską panią domu. Wynikało to nie ze skąpstwa, lecz ze sklerozy, przez którą ustawicznie brakowało mi w domu artykułów podstawowych typu mleko, cytryny czy nawet herbata. Regularnie bywało tylko to, czym żywiła się Miśka. Hormony robią swoje. Herbaty na ogół nie używała, mleko piła w przedszkolu z dużym wstrętem, w domu jej już nie zmuszałam. Z nabiału miałam deserki mleczno-orzechowe oraz serek homo o wdzięcznej nazwie sraciatella - albo jakoś podobnie. Nic z tych rzeczy nie nadawało się do rozpuszczenia w kawie. Chociaż, odnośnie rozpuszczenia...

- Mogę ci jeszcze nalać advocaata, wtedy nie trzeba mleka - zaproponowałam uprzejmie, gdyż bardzo nie chciało mi się schodzić cztery piętra niżej. A po dokładnym obejrzeniu sobie Gośki do-

30
szłam do wniosku, że wysłanie jej gdziekolwiek byłoby dużym błędem.

- Nie... chyba nie... jestem adwokatem...

- Coś ty! A ja dotąd myślałam, że tłumaczem. - Popukałam się palcem w czoło. - No i co z tego, że jesteś samochodem, nie dam ci wychlać całej butelki, tylko chlapnę naparstek do kawy.

Gośka na myśl o wypiciu całej flaszki oprzytomniała trochę i wyraźnie się otrząsnęła.

- A chlapnij - zgodziła się z rezygnacją. I dodała, wytrzeszczając przekrwione oczka: - Widziałam Patryka.

Informacja ta nie wstrząsnęła mną zbytnio, gdyż nikogo takiego nie znałam. Postanowiłam poczekać na więcej. Czekałam jakieś cztery minuty, po czym Gosia zaczęła się zacinać. Jak stara płyta.

- Patryka. Patryka. TEGO Patryka. Mojego byłego z pierwszych lat studiów. Poszłam z nim na kawę.

- I to cię tak poruszyło? - spytałam zdziwiona. - Wyglądasz tak, jakbyś co najmniej poszła z nim do łóżka. Gośka zachnęła się.

- No wiesz?! A niby gdzie miałabym znaleźć wolne łóżko o tej porze? W biały dzień?

- Wydaje mi się, że wszelkie łóżka bywają zajęte raczej w nocy - mruknęłam i przyjrzałam się jej uważnie. Owszem, Gośka należała do kobiet, dla których pójście na prywatną kawę z facetem innym niż jej własny mąż, ewentualnie ktoś z naszej paczki było czynem dość rewolucyjnym. Ale za tym chyba kryło się coś więcej.

Kryło się, oj, kryło. Ze zdumieniem wysłuchiwałam opowieści o Patryku Wspaniałym. Opowieści tym bardziej zadziwiającej, że znałam Gośkę, co prawda dość luźno, już w czasach wczesnodenckich i nie podejrzewałam o burzliwe romanse. Potem poznałam ją nieco lepiej i tym bardziej nie podejrzewałabym. Od kilku lat znam ją lepiej niż własne kuzynki i nie podejrzewałabym wciąż. A jednak.

Patryka Gośka starannie ukrywała przed otoczeniem. Na horyzoncie majaczył już bowiem Andrzejek - spokojny, miły, odpowiedzialny Andrzejek, w pełni aprobowany przez rodzinę i znajomych. Patryk nie był spokojny. Ani odpowiedzialny. Nie był nawet miły, więcej: bywał bardzo niemiły. Ale miał nietypową, południową urodę, głębokie czarne oczy i kupę wdzięku - Gośkę zalały wzbu-

31

zrzoną rzeką rozmaite hormony. Poza tym szastał kasą. Co prawda jako wieczny student nie zarobił jeszcze ani grosza, ale miał mamusię. Mamusia pchała w jedynaka ciężką kasę, którą synalek z rozmachem wydawał. Zabierał Gośkę na wystawne kolacje za pieniądze mamusi. Albo Gośki, jeżeli akurat pokłócił się z mamusią i odcięła mu źródło zasilania. Wtedy z wdziękiem pozwalał sobie fundować rozmaite rozrywki, roztaczając przed Gośką upojne wizje tego, co z kolei sam zasponsoruje, kiedy wróci mu zasilanie. Znaczna część tych wizji pozostała na etapie planowania, ale Gośce to wtedy nie przeszkadzało. Wpadła po odstające uszy. Zawalała kolejne zajęcia, żeby wyskrobać czas na spotkania i zarywała noce nad tłumaczeniami, żeby wystarczyło na kolacyjki w drogich restauracjach.

W tym sensie Gosia odniosła z Patryka korzyść wymierną. Została wziętym tłumaczem długo przed ukończeniem studiów.

Lecz poza tym związek z Patrykiem był tak destrukcyjny, jak to bywa tylko w najbardziej łzawych brukowcach. Patryk Wspaniały krytykował wszystko. Jej uczesanie, jej sposób ubierania się, jej ambicje i pomysł na życie. Gosi rodzina była głupia i małomiasteczkowa, a znajomi w ogóle poniżej krytyki. Dno. Andrzej był sknerą, mrukiem i palantem, a Magda, z którą Gośka akurat zaprzyjaźniła się na angielskim - beznadziejną wypindrzoną nimfomanką. Co nie przeszkodziło Patrykowi obściskiwać Magdę w tańcu i strzelać w jej kierunku czarnym oczkiem na wspólnych imprezach.

Patryk bywał na naszych imprezach jako znajomy niejakiego Adasia z akademika. Tłumaczył

Goście twarżo, że z bólem serca musi umizgiwać się do innych kobiet. Jako niezbędný kamuflaż, rozumie przecież. Żeby nikt się nie zorientował w stopniu ich zażyłości. Stosował ten kamuflaż nader chętnie. A Gosia zachwycała się jego bystrością i usilnie starała się trzymać swoją małomiasteczkową zazdrość na wodzy.

Po tym fragmencie opowieści wreszcie skojarzyłam Patryka. Faktycznie pojawiał się czasem w towarzystwie taki nadęty dupek, opowiadał o domu, który właśnie wykańczali jego rodzice w stylu: „Musiałem ostatnio wydać trzydzieści tysięcy na kominek”, co mnie zresztą śmieszyło, gdyż obilo mi się o uszy, że od trzech lat jest studentem czwartego roku prawa i raczej nie pracuje zarobkowo.

No, ale ja wtedy miałam zupełnie inny zestaw hormonów. Na zupełnie inny zestaw facetów. Po roku namiętnych, ukradkowych spotkań i romantycznych kolacji w drogich restauracjach, za które zresztą coraz częściej płaciła Gośka, jej ukochany wszedł bowiem w permanentny konflikt ze złotodajną rodzicielką i miał tym samym przejściowe problemy finansowe, roku, w którym Gosia usilnie pracowała nad swoim wizerunkiem, wyglądem zewnętrznym i zaściankowymi poglądami, usiłując dostosować się do rosnących wymagań ukochanego mężczyzny, okazało się, że Patryk w podobny sposób urabia jeszcze dwie kobiety.

Nawet się z tym specjalnie nie krył, tylko Gosia wcześniej patrząc, nie widziała. Aż któregoś dnia zobaczyła.

Zbytnio się też nie wypierał - w jego wieku to chyba normalne, że zna różne dziewczyny, żadnej nie traktując poważnie. O co jej chodzi? Jak idzie do łóżka z Gosią, to myśli o Gosi. Uczciwie. Przecież w życiu chodzi o to, aby przeżyć kilka miłych chwil. Więc je przeżywają. Miło. Uroczo. Bez zobowiązań. Kto wie, co jutro przyniesie los.

Poza tym on nie może się z nikim wiązać na poważnie. Bo ma własne ambitne plany i nie wiadomo, czy nie będzie musiał wyjechać, aby je urzeczywistnić. Nie chce nikogo do siebie przywiązywać. Bo potem może być kłopot i kwas. A teraz chętnie korzysta z tego, co przynosi mu każdy dzień. Na przykład z tak uroczej znajomości, jak z Gosią. Ale nic obiecać nie może. Nie może jej w szczególności obiecać, że nie będzie w jego życiu żadnych innych kobiet.

Zaściankowa, nie do końca jeszcze urobiona mentalność Gośki nie mogła zaakceptować takiego postawienia sprawy. I Gośka po tygodniu spędzonym w łóżku z kołdrą na głowie postanowiła tę rzecz skończyć.

Zebrała się w sobie któregoś piątkowego popołudnia, zadzwoniła do lubego do domu, czego zwykle sobie nie życzył, tłumacząc, że jego mama jest uczulona na jego kobiety i może być niemiła. Mama pragnie, aby spotykał się wyłącznie z odpowiednimi kobietami. Gośka najwyraźniej do nich nie należała.

Niemniej jednak zaryzykowała i zadzwoniła. Zastała Patryka i umówiła się z nim na wieczór. Ucieszył się, jak gdyby nigdy nic.

33

Wieczorem zerwała z nim z hukiem, mimo że wyrażał na przemian duże zdumienie, żal i poczucie krzywdy. I robił jej tak zwane sceny uliczne.

Gośka przesiedziała w domu kolejny tydzień, po czym rzuciła się w wir obowiązków, czyli odrabiania zaległych zajęć. I zajęła się na nowo zaniedbanym nieco Andrzejem. Jakiś czas po tym zafundowała sobie nawet drugiego Andrzeja. Juniora.

W tym właśnie czasie poznałam ją bliżej. Wyglądała na zadowoloną, spełnioną zawodowo oraz prywatnie i w pełni oddaną swojej małej rodzinie. Zajmowała się dzieckiem, kończyła studia, chodziła na siłownię i pracowała po nocach. Podziwiałam jej energię i stanowczość. Nieco przesadnie, moim zdaniem, kontrolowała swojego męża, co budziło we mnie pełne rozbawienia zdumienie, gdyż Andrzej zupełnie nie wyglądał na faceta, którego należało kontrolować. Z dużą pogardą traktowała tak zwane kawiarniane życie i wyrażała się o tych, którzy trwonią czas i pieniądze w drogich restauracjach. Z czasem dopiero zgodziła się z nami chodzić po knajpach, i to nie wszystkich. Najchętniej zapraszała nas do własnego domu, na domową szarlotkę z bitą śmietaną. Albo laza-nię z makaronem, który sama ugniatała pracowicie na ogromnej stolnicy. Była jedyną dziewczyną ze wszystkich mi znanych, posiadającą stolnicę.

Patryk objawił się dwukrotnie. Pierwszy raz wkrótce po ślubie, kiedy Gosia obnosiła dumnie po świecie zaokrąglający się brzuszek. Powiedział jej wtedy, że czuje wręcz ojcowską dumę oraz że wygląda przepięknie. Poprosił, żeby mu powiedziała na ucho, bo przecież kobiety to wiedzą, czy to nie jego dziecko. Oświadczył, że obudziło się w nim całe morze czułości i zaproponował, że jeśli to jego, to on może zostać ojcem chrzestnym, bo to byłby niezły numer. Gosia zmierzyła go z góry na dół błękitnym spojrzeniem, po czym dokonała nerwowo pewnych obliczeń i z ulgą stwierdziła, że nawet Patryk Wspaniały nie byłby zdolny do wyemitowania z siebie plemników, które przetrwałyby pięć miesięcy. Nie ma szans. Długi czas później dowiedziała się od Magdy, że Patryk nie był zdolny również do przeprowadzenia tak zaawansowanych obliczeń i rozpowiadał co poniektórym znajomym, że tak naprawdę Andrzejek jest jego synem.

Gosia, wybrnąwszy jakoś spod gradu czarnookich spojrzeń, przez kilka następnych tygodni czuła się zupełnie wytracona z rów-

34

nowagi. Sama siebie nie rozumiejąc, spędzała czas w domu, objając się od ściany do ściany i myśląc o tym, jaki to Patryk Wspaniały bywał nieszczerólny tak naprawdę. Równocześnie słuchała z upodobaniem pewnych piosenek z przeszłości spędzonej u jego boku. Hormony bywają bezlitosne.

W owym czasie, jak twierdzi, zakochała się ostatecznie we własnym mężu. Andrzej, który teoretycznie wiedział niewiele o jej przejściach z Patrykiem, подарował jej na urodziny płytę TEGO WŁASNIE zespołu oraz kilogramy świętego spokoju. Wiedział, że musi jej przejść. I przeszło. Na jakieś trzy lata. Wtedy Patryk pojawił się ponownie, znakomicie ubrany i pewny siebie, jak zwykle. Zaprosił ją na kolację i Gosia, nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, uległa. Twierdzi, że z ciekawości.

Było dziwnie - trochę śmiesznie, odrobinę romantycznie i bardzo wkurzające Tym razem kolację stawiał Patryk, który ku zdumieniu wszystkich skończył wreszcie studia i wysłany przez zapobiegliwą mamuszkę na zgniły Zachód rozpoczął karierę. Miał własne pieniądze. Oprócz tych mamuski. Wciąż miał kupę wdzięku. Z tym wdziękiem oświadczył Gosieńce, że wciąż pozostaje kobietą jego życia. Że tęsknił do niej dniami i nocami i że jest niezmiernie szczęśliwy, mogąc znów patrzeć w jej błękitne oczy. Smutne, jak widzi. Zmęczone. Zupełnie się marnuje w tym beznadziejnym kraju bez perspektyw, z łysiejącym mężem u boku. Widać na pierwszy rzut oka. Marnuje się i już. Była stworzona do zupełnie innego życia niż smętny byt kury domowej. Powinna pomyśleć o sobie, o swoim rozwoju, wyjechać gdzieś, poznać kawałek świata. Gośka zdenerwowała się troszeczkę i powiedziała Patrykowi, żeby się znowu tak nad nią nie użalał, bo ona jest ze swego życia całkiem zadowolona.

Był to z jej strony heroiczny akt odwagi.

- Już ty mi się, Maggie, tak nie tłumacz. - Patryk uśmiechnął się lekceważąco. - Przecież widzę, jak jest. Kiedyś byłaś zupełnie inną kobietą. Chciałaś czegoś od życia.

Po czym zaczął barwnie opowiadać o swoich ostatnich dokonaniach.

Gośka wyszła wkurzona, po drodze wydała trzy stówki na kosmetyki i parę absurdalnie wysokich, eleganckich pantofli, żeby

35

udowodnić sobie i innym, że jest zadbaną nowoczesną kobietą, następnie wstąpiła do matki pożyczyć trzy stówki, bo się zreflektowała, że zabraknie jej na basen dla młodego, wymyśliła tysiąc odpowiedzi, które powinna była rzucić Patrykowi i dotarła w końcu do domu.

Już pod samym domem ostatecznie uznała, że Patryk zupełnie nie miał racji i guzik się zna na jej życiu. Które jest po prostu idealne. Właśnie tak. Idealne. Różę od Patryka mściwie umieściła pod osiedlową kapliczką, uznając, że wyrzucanie wprost do zsypu to już byłaby przesada. Szkoda Bogu ducha winnego kwiatka. Zresztą akurat Patryk mniej by się wkurzył zsyphem niż kapliczką i myśl ta nieco poprawiła Gośce humor.

Niemniej jednak, gdy tylko przekroczyła próg własnego domu, z miejsca zaatakowała Andrzeja wymówkami, że na niej oszczędza i przestał przynosić jej kwiaty. I że używa kiepskich, tanich szamponów, od których łysieje. Nie chodzi na siłownię. Obzera się na noc. I wkrótce będzie gruby

oprócz tego, że łysy. I że ona, Gośka, nie chce już trzecich wakacji z rzędu spędzać w Gorcach, w domku po teściach, podczas gdy wszyscy jeżdżą w ciepłe kraje i poznają świat. Na pytanie, którzy wszyscy, odpowiedziała, wzruszając ramionami, że wszyscy i już. Wszyscy inni. Jak jeden mąż. Andrzej zdumiał się lekko, bo wydawało mu się, że Gośka wprost uwielbia mały górski domek po teściach. Wiele razy mówiła, że tylko tam naprawdę wypoczywa. Ale posłusznie obiecał przejrzeć oferty internetowych biur podróży. I poprosił Goškę, żeby w takim razie kupiła mu szampon, od którego się nie łysieje. Bardzo się ucieszy. Bo nie wiedział, że takie są.

Następnego dnia przyniósł jej po pracy wielką wiązankę kwiatów różnych, bo spojrzał jej rano w oczy i bał się zdecydować na jakieś konkretne. Pojechał do szkółki i przytargał z niej różę pnącą Sympathie o pełnych, czerwonych, aksamitnych kwiatach, które kwitną aż do późnej jesieni. Zasadził ją tuż przy tarasie, żeby było ją widać z salonu, a na róży zamocował karteczkę: „Dla Gosi ukochanej”. Karteczka była dyskretna, lecz zalaminowana, żeby nie zniszczył jej deszcz i wiatr. I żeby jego żona nie miała żadnych wątpliwości, że nie chciał sobie jedynie upiększyć ogródka. Gośce zrobiło się głupio z powodu jej zachowania i z powodu zdradzieckich snów, które zsyłały jej nocą hormony.

36

Pojechali sami, bez dziecka, na wakacje do Grecji, gdzie całymi dniami latali z wywieszonymi jęczorami za przeraźliwie energiczną panią przewodnik, a nocami cichutko i dyskretnie próbowali uprawiać seks w hotelikach o cienkich, kartonowych ścianach. Co ich okropnie śmieszyło.

W ten bezszelestny i podstępny sposób, wśród ukradkowych chichotów, zrobili sobie bliźniaki. Potem zgodnie dobrali sobie po kilka dni urlopu, żeby w końcu wypocząć po tych okropnie wyczerpujących wakacjach. I pojechali do domku po teściach.

Teraz Patryk objawił się po raz trzeci. Skontaktował się z Gosią radośnie, mówiąc, że umrze, jeśli się z nią nie zobaczy, zaprosił ją na kolację do bardzo znanego ekskluzywnego lokalu, zażądał wykonania po starej znajomości kilku tłumaczeń, których pilnie potrzebował i jak zwykle zasiał w jej duszy pewien niepokój. Więc przysłała do mnie się schować. I w końcu komuś o nim opowiedzieć, bo za chwilę ją rozsadzi.

- Ale co cię właściwie ma rozsadzić? - zainteresowała się, gdyż bohater tej nieco przydługiej opowieści nie wydał mi się godny, aby rozsadzać cokolwiek. Tym bardziej Gosieńkę.

- Sama nie wiem - powiedziała Gosia smętnie, gdyż wbrew wybuchowym deklaracjom właśnie uszła z niej para, jak z przekłutego balonika. - Widzisz, najbardziej mnie denerwuje, że on mnie jeszcze denerwuje. To chyba znaczy, że jeszcze mnie trochę obchodzi, no nie? A nie powinien. Snob. Dupek. Ale słuchaj, jakie on ma piękne ręce... W zasadzie to nie słuchałam, co on do mnie gada, co się będę stresować. Tylko patrzyłam na te jego dłonie i wspominałam, wiesz...

- Błąd. Trzeba było słuchać. Niestety, on nie składa się tylko z rąk. Znam ten typ i obecnie również wywołuje u mnie silną reakcję. Wymiotną. U ciebie też powinien.

- No. Szkoda - westchnęła Gośka, pochyliła się nad kuchenką i odkręciła gaz. Bynajmniej nie w celach samobójczych. Po prostu jedynym przyrządem, który służy u mnie w domu do odpalania papierosa, jest piekarnik. Wszystkie inne się gubią. Ten jest przytwierdzony.

- Jakby tak się dało wziąć jego ręce. I oczy, i usta, i parę innych

37

szczegółów, i doczepić do nich inny charakter... - rozmarzyła się i obejrzała swojego papierosa z obrzydzeniem. - Błę. Mentolowe. Ohyda. Powiedz mi, Martusia... ty też znasz swojego męża strasznie długo, więc nie podejrzewam cię... Yyyy... Nigdy nie miałaś nikogo na boku? Kogoś, z kim... kogo byś chciała... eee... Nie, że w ogóle... - zaplątała się lekko - ale czasem. No, wiesz. Powiedz. Może mi się zrobi lepiej. Może nie jestem taka nienormalna?

Ha. Pewnie, że miałam. Nie tylko jednego, ale w większości znikli bez śladu. Jak ich spotykam, czuję wyłącznie zdumienie.

Z jednym wyjątkiem.

Nawet nie był to romans. Obecność. Może przyjaźń. Był mądry i dobry. I dał mi święty spokój, gdy sprawy potoczyły się inaczej.

Do dziś są miejsca w Krakowie, gdzie wchodząc, zamykam oczy.

Ale nie będę siała detalami. Gośka ma język jak ropucha. Długi i przylepny.

- Pewnie, że miałam - odezwałam się w końcu. - Każdy ma swoje sny, zupełnie nieprzystające do rzeczywistości. Ja też. Nasi mężowie też. Magda też.

- Myślisz, że nasi mężowie? - Gośkę jakby zatchnęło na chwilę, ale postanowiła nie rozważać tej odkrywczej myśli teraz. - A Magda to co innego. Ona ma takich trzydziestu. Ale ich tak nie przeżywa.

- A skąd wiesz, że nie przeżywa? Pytałaś? Ja też nie wiedziałam, że ty cokolwiek przeżywasz, dopóki mi nie powiedziałaś.

- Zapytamy? - Gośka się poderwała. - Chodźmy gdzieś dzisiaj. I tak nie nadaję się do współżycia z rodziną. Znowu policzyłabym Andrzejowi każdy włos na głowie. Albo kazała się wystrzelić na księżyc.

Był to pierwszy, historyczny raz, kiedy Gosia zaproponowała wyjście do knajpy.

Po czym zaczęłyśmy dzwonienie, odmeldowywanie się małżonkom i upychanie dzieci po babciach. Zjadłyśmy pożywną kolację, wypindrzyłyśmy się jak laleczki, wdziałyśmy na nogi obuwie szpilkowe, po które Gośka pojechała na chwilę do siebie, a w którym obie poruszamy się z wdziękiem paralityczek i spotkałyśmy się wieczorem z Magdą w najbardziej hałaśliwej dyskotecie w Krakowie.

38

Nie rozmawiałyśmy o byłych facetach. Tańczyłyśmy ochoczo z młodym narybkiem, starając się nie myśleć o naszym wieku. Okazało się, że w tym miejscu stare rury mają wzięcie.

Balowałyśmy do świtu.

Gośka wyszła z imprezy jak nowo narodzona. Koordynację ruchową też miała jak noworodek. Ale humor szampański.

A właściwie to wino musujące osiemdziesiąt zeta za flaszkę. Żyje się raz. Tu i teraz.

Szkoda czasu na towary tandetne. Nawet jeśli mają ładną etykietkę.

Wyjechałyśmy na narty

Mój mąż ucieszony zauważył, że ma tydzień dla siebie i całkowicie wolną chatę. Powiedziałam mu, że mam do niego zaufanie tak ogromne, że jako samiec w zasadzie powinien się czuć urażony.

Prychnął.

Edukacja narciarska Miśki rozpoczęła się w tym roku falstartem, gdyż na pierwszy ogień zamówiłam jej panią instruktorkę -czułam, że nie jest to najlepszy pomysł świata. I nie był. Pani była miła, delikatna i sympatyczna, i Miśka w piętnaście minut jej wytłumaczyła, że bołą ją nóżki, boi się tej góry i tego wyciągu, i w ogóle to ona już chce do mamy. Skończyło się tak, że za trzecim razem pani zwiozła Miśkę z góry na plecach i oddała mi wraz z kasą za pół godziny - bo optymistycznie zapłaciłam za godzinę z góry.

Na następną lekcję poszła więc z panem instruktorem. Samce wzbudzają większy respekt, czego przykładem jest tatuś.

W moim wykonaniu usypianie Miśki trwa od pół godziny wzwyż, wliczając w to takie czynności jak: mycie ząbków, ubieranie piżamki, zdejmowanie piżamki, bo pod nią zaczęła się dzienna koszulka, wywracanie piżamki, bo ubrała się na lewą stronę, sikanie, zmiana piżamki, bo dół się posikał, a góra musi pasować do dołu, schodzenie na dół, przyrządzanie kanapeczki, bo Miśkę chwycił nagły nieopanowany głód, a nie jestem aż tak wyrodną matką, aby moje dziecię usypiało głodne, ponowne mycie ząbków, zmiana góry piżamki, bo się pochlapała przy myciu, wymiana do-

39

łu piżamki, bo musi pasować do góry, ewentualnie dramatyczna dyskusja na temat, że spanie we fragmentach dwóch różnych piza-mek nie szkodzi zdrowiu, schodzenie na dół po herbatkę, picie herbatki, ostrożnie, gdyż w szafie nie ma już więcej piżamek, czytanie ulubionej bajeczki, gaszenie światła, łzy i protesty, zapalanie światła, przytulanie, opowiadanie o braciach, którzy budowali wieże Kościoła Mariackiego, gaszenie światła, przytulanie, buziaczek, wyjście na korytarz, powrót z korytarza, tłumaczenie, dlaczego nie zasypia się przy zapalonym świetle, buziaczek...

Tatusiowi, jeśli akurat został sam z potomstwem, usypianie Miśki zajmuje do trzydziestu sekund.

Tyle, ile potrzeba na wypowiedzenie zdania: „A teraz, kochanie, umyj ząbki, przebierz się w

piżamkę, daj buziaczka i idź spać". A Misia, grzeczna i zadowolona, myje ząbki i przebiera się, bądź na odwrót, przychodzi dać buziaczka, GASI ŚWIATŁO i idzie spać. Fason i sposób zakładania piżamek tracą znaczenie, a co się pochłapie, to wyschnie. Pod kołderką. Nie wierzyłam, dopóki któregoś dnia nie wróciłam przedwcześnie i udało mi się nie ujawnić młodszemu pokoleniu. Teraz wierzę. I zazdroszczę.

Z samcem instruktorem umówiliśmy się na godzinę siódmą wieczorem, gdyż pan wcześniej miał innych kursantów. Stok był, rzecz jasna, oświetlony, niemniej jednak miałam pewne obawy, jak też pan sobie poradzi z moją zmęczoną całym dniem córeczką. Z niecierpliwością czekałam na pierwszy zjazd. Obawy minęły mi jak ręką odjął, gdy usłyszałam jak Miśka, zjeżdżając wiernie śladem swojego instruktora, mówi do niego rozanielonym głosem: „Ta noc z panem jest bardzo fajna”...

Po skończonej lekcji zaraportowała mi, wzdychając z zachwytem: „On jest taki młody!”. Cóż. Postępy w jeździe poczyniła, i to znaczne.

Poza tym zawezwałyśmy na pomoc dziadka, gdyż od razu, pierwszej nocy, napadało pół metra śniegu. Do wyciągu nie było więcej niż trzysta metrów, niemniej jednak Misce ślizgały się kopyta. Więc: Malwinę w wózku w jedną rękę, ślizgającą się Miskę w drugą, a narty w zęby. Rola samotnej matki bez prawa jazdy zaczęła mi lekko ciążyć. Po kilkudziesięciu metrach pchania wózka przodem, tyłem oraz bokiem - kółka nie chciały się kręcić w lepkim puchu - doszłam do wniosku, że nie przyjechałam tu uprawiać

40

sportów ekstremalnych, tylko, podobno, wypocząć. Wyjęłam komórkę z kieszeni, nie pamiętam już czym, może stopą, i zadzwoniłam z dramatycznym apelem o pomoc.

Dziadek, niezawodna pomoc i podpora w potrzebie, przyjechał od razu po wezwaniu, wziął na siebie rolę szofera i niańki w jednym, dzięki czemu udało się nam z Miską kilka godzin przejeździć wspólnie. Podczas gdy Malwinka z dziadkiem korzystali ze świeżego górskiego powietrza, drzemiąc w samochodzie lub okupując pobliską góralską knajpę, serwującą regionalne frytki i hamburgery.

W połowie tygodnia dojechali do nas Andrzej & Andrzej, czyli mąż Gośki wraz z Juniorem, gdyż bliźniaki załapały się w przedszkolu na mononukleozę zakaźną i Gośka została doglądać ich w Krakowie.

Ciekawe, że mąż Gośki bez Gośki od razu staje się innym człowiekiem. Junior również. Wygadani, roześmiani - co nie znaczy, że w obecności mamusi przekształcają się w ponuraki. Są tylko bardziej stonowani. I milczący.

Znałam Andrzeja Starszego dość pobieżnie, gdyż Gosia długo chroniła lubego przed ewentualnymi zakusami koleżanek, niemniej jednak widywałam go już ładnych parę lat i zawsze uważałam za dobrodusznego mruka, pozbawionego tak zwanych jajec.

A teraz spędzam kolejny dzień w towarzystwie zwariowanego, wyluzowanego faceta, podpalającego papierosy i dolewającego sobie ukradkiem rumu do kolejnej herbatki. Faceta, który bez przerwy rzuca w przestrzeń zjadliwe, wściekle błyskotliwe komentarze, rozśmieszając mnie do łez. Obejrzałam go ukradkiem pod światło. Wciąż wygląda jak mąż mojej wieloletniej przyjaciółki. Tyle że zachowuje się zupełnie inaczej. Ki diabeł?

Aktywność wykazywał chwilami wręcz przerażającą, szalał po stoku, ustawiał nasze kijki w skomplikowane slalomy, na których ćwiczył młodzież, czyli Miskę i Juniora. A oni, co ciekawe, poddawali się tresurze ze szczęściem w oczach. Miśka, zakochana przez kilka poprzednich dni w swoim instruktorem, starała się jak szatan, co sprawiło, że technicznie przebijała umiejętnościami o trzy lata starszego Juniora. Dla niego był to dopiero pierwszy sezon na nartach, gdyż wcześniej Junior posiadał trzeci migdał. Oraz nadopiekuńcza matkę, tak na marginesie. W zeszłym roku jednak migdał

41

został usunięty, a uwaga Gośki skupiła się na Anielce, której z kolei wyrósł. Migdał. Trzeci. To znaczy drugi w tej rodzinie. Myślę, że Gośka, posiadając zupełnie zdrowe dzieci, czułaby się niespełnioną matką. Choć oczywiście nie podejrzewam jej o podawanie środków na porost trzecich

migdałów.

Umiejętności narciarskie sprawiły, że moja córka zyskała sobie u Andrzejka Młodsze­go pewien szacunek i mimo że baba, i to młodsza, została w pełni zaaprobowana jako towarzystwo. Co też było dla obojga pewną nowością.

Ciekawe, dlaczego niektórzy ludzie pozbawieni nadzoru swoich bliskich zachowują się nagle zupełnie inaczej. Czy dotyczy to głównie tych, u których ten nadzór jest faktycznie nadzorem, a bliski -nadzorcą, czy może jednak nas wszystkich? Ciekawe, czy mnie to również dotyczy? A mojego męża? Jaki on jest, gdy nie ma mnie w pobliżu? Czy po piętnastu latach znajomości ciągle wiemy o sobie niewiele? I najważniejsze: czy chcielibyśmy się dowiedzieć?

Myślę, że Gośka by chciała. Ale akurat ona ma najmniejsze szanse. Bo ona, jak to określił dawno temu jeden jej dobry znajomy, świetnie umie wymagać. Z tego powodu zresztą przestał być jej dobrym znajomym. Nie sprostał wymaganiom. W życiu Gośki też zaistniał wyjątek, któremu nie stawiała żadnych wymagań. A i tak się go pozbyła. I słusznie.

A Andrzej jakoś daje radę. I wygląda na zadowolonego. Tyle że bez Gośki w pobliżu jakby bardziej. Magda z kolei nie potrzebuje wszystkiego wiedzieć. Wręcz nie chce. W myśl zasady: nie szukaj, bo się doszukasz. Albo zostaniesz obszukana. Sama to wielokrotnie mówiła, więcej: postępuje wedle głoszonych zasad. Bo Magda to druga skrajność. Tolerancja tak ogromna, że aż granicząca z obojętnością. Palisz? Pal, dopóki ci płuca nie uciekną! Pijesz? Pij, dopóki wątroba ci się nie rozpuści. Nie chce ci się sprzątać? To przełaż pomiędzy stertami śmieci, dopóki cię szlag nie trafi, wtedy posprzątasz. Albo zarobisz na sprzątaczkę. Abstrakcyjny Kazimierz znów chce jechać do Stanów na parę miesięcy? A niech jedzie w cholere, będzie sobie spała wzdłuż i w poprzek, i kruszyła okruszki w poduszki! Nie chce nigdzie jechać, tylko ma chandrę i będzie zalegał w domu przez najbliższe trzy tygodnie? Niech zalega, dopóki mu się odleżyny nie porobią. Zarobił kupę forsy? Fajnie, pomoże wydawać. Nic nie zarobi

42

w najbliższej pięciolatce? Trudno, zarobi Magda, poza tym placki ziemniaczane też są dobre. Tak dobre, że można je jeść przez tydzień. Dwa. Trzy. A w czwartym ziemniaki z piekarnika.

A ja? Jakie są granice mojej tolerancji, jak silny wpływ na najbliższych? Nie wiem.

Czasem myślę, że więcej wiem o wszystkich dookoła niż o sobie samej. Magda mówi, że jestem jak woda. Płynę tam, gdzie mnie życie poniesie, omijam grubsze przeszkody bez wysiłku woli.

Odbijam rzeczywistość jak lustro, dopasowując się wszędzie i do każdego warunków. Wieczny obserwator. Nikt nie wie, co myślę i czego tak naprawdę chcę.

Sama tego nie wiem. A może wiem, ale co mi z tego? Warunki są takie, jakie są. I kropka. Po co zmieniać coś, do czego można się dostosować?

Na przykład teraz. Siedzę sobie w knajpie pod wyciągiem, wdycham czarowną woń oleju, na którym usmażyły się już całe pokolenia frytek, popijam strasznie słodką herbatkę z automatu.

Malwi-na stoi mi na kolanach i ciągnie mnie za uszy. Zaraz mi je oderwie. Patrzę, jak za oknem Miśka sunie wzorcowym slalomem między kijkami rozstawionymi przez Andrzeja. Andrzeje biją jej brawo i twarz Miśki jest jak słońeczko. Dobrze mi.

A jednak, gdy obserwuję znad jasnego łebka, jak Andrzej Starszy zajmuje się młodymi, jak Miśka, zachwycona, patrzy za nim wzrokiem wiernego kundelka i spełnia wszystkie polecenia -jakby miała ogon, toby pomachała - gdy uśmiecham się do dziadka, który, zaferowany, naprawia nam popsutą sprzączkę od nosidełka, coś mnie szarpie w środku. Niemiło.

To mój mąż powinien być z nami, naprawiać sprzęty, jeździć z Misia slalomem, zamawiać herbatkę i wozić nas na stok. Wiem, pracuje. Wiem. Nie lubi wyjeżdżać z potomstwem. Urlop ma zazwyczaj żałośnie krótki - ktoś przecież musi nas wszystkich utrzymać. I woli go spędzić ze mną i tylko ze mną. Co mu się chwali. Albo po prostu w domu - jedząc, śpiąc lub zabijając wirtualnych wrogów w komputerze. Wiem. Dlatego po raz kolejny spędzam ferie w charakterze samotnej matki dwóch dziewczynek. Bawię się dobrze. Lubię ferie z dziećmi. Prawie tak samo jak wyjazdy we dwoje. A on nie lubi.

Dlatego nie powiedziałam nic. A może powinnam?

43

Czy można kogoś zmuszać do polubienia czegoś, co nie sprawia mu przyjemności? Przecież na moją komendę nie zachwyci go uganianie się za dziećmi.

I w dodatku niby czemu musi go zachwycać?

Właśnie. Jedno wiem o sobie na pewno. Nienawidzę powinności. Rzygać mi się chce, jak słyszę o poświęcaniu się dla dzieci czy dla kogokolwiek. Mam alergię na hasło: teraz to już masz... (męża, niemowlę itp.), WIĘC... (musisz, nie możesz, nie powinnaś). Wrr! Więc chyba jednak mój mąż też nie musi, jeśli nie chce.

Chociaż mógłby chcieć.

Troszeczkę.

Czasami. Odrobinę.

Gośka nie ma tych dylematów. Mówi po prostu: ja nie mogę, więc ty weźmiesz synka na narty.

Albo mówi: jedziemy razem. Tu i tu. I jazda.

Magda też nie ma dylematów. Jedzie sama, ma ubaw po pachy i uważa, że tak ma być. Przywykła do absolutnej samodzielności. W dodatku uważa Agatkę za swoją całkowicie prywatną własność. Nikomu nic do niej. Agatka jest jej dzieckiem, nie Kazika. Kazik jest jej facetem, nie Agatki, i Magda jest wręcz śmiertelnie zdumiona, gdy oboje chcą coś od siebie. Na ogół zresztą bardzo się lubią. Bez wtykania nosa do cudzego prosa.

A ja, jak zwykle, pośrodku. Zazdroszczę Magdzie samodzielności. Również finansowej. Której w sumie nikt nie broni mi zdobyć. Zazdroszczę Goście zdecydowania, z jakim rozstawia wszystkich po kątach. I wiary w słuszność takiego postępowania. Bo ja tej wiary nie mam.

Mimo wszystko w tej knajpce śmierzdzącej frytkami, z nieśmiałym, dobrym dziadkiem u boku i wśród starych i nowych przyjaciół jest mi naprawdę dobrze. Nie walczę jak lew, żeby było lepiej. Ale też nie zmuszam do niczego ani siebie, ani mojego męża, ani w ogóle nikogo. Dziadek wygląda na zachwyconego niespodziewanym urlopem. Od babci. Jest, jak ma być. Wszystko toczy się swoim trybem i ziemia krąży wokół słońca. Jest zima. Miśka nauczyła się skręcać z kijkami. Malwinie zaczynają się kręcić włosy. Jestem szczęśliwa.

Więc o co mi, do diabła, chodzi? Bardzo to wszystko skomplikowane.

44

Zęby wszędzie

Mojej młodszej córce wczoraj wyrosły uszy. To znaczy zdała sobie sprawę, że je ma. Nie spodobały się jej zbyt, jak sądzę, bo całe popołudnie spędziła na próbach oderwania ich od czaszki.

Poza tym mojej młodszej córce wyrosły również zęby. Dwa. Dwa dalsze są w fazie produkcji.

Mojej starszej córce zęby dla odmiany wypadają. Mojej starszej kotce też. Wypadają jej również spore fragmenty futra - nie bez pomocy młodszej kotki i młodszej córki. Tymi nielicznymi zębami wszystkie się gryzą. Właśnie przed chwilą byłam świadkiem, jak moje młodsze dziecko pogryzło się z moim starszym kotem. Zaczęło dziecko. Teraz ryczy. Za to mojej młodszej kotce nic nie wypada. Zwłaszcza nie wypada jej włączyć na stół przy gościach. Ale i tak włączy. I bezczelnie wylizuje masło.

A tak poza tym - zostałam babcią. Moja starsza córka dostała od aniołka lalkę Chou-Chou (nie wiem, czy mi się wydaje, czy rzeczywiście istnieją takie psy). Ta lalka jest TROCHE sztuczna, ale tylko trochę, bo naprawdę płacze. I trzeba ją klepać po tyłku, żeby się uspokoiła. Doprawdy nie wiem, co producent miał na myśli.

Czasem ta lalka ryczy naprawdę długo, chociaż moja Miśka, córka informatyka, potrzebowała godziny, by odkryć, że zamiast pięć minut klepać lalkę w tyłek, łatwiej i szybciej jest ją zresetować. Czyli wyłączyć i włączyć. Po włączeniu zawsze jest zadowolona i gaworzy radośnie. Lalka śpi z nami w łóżku. Na piątego. Albo na siódmego, jeśli przyjdą koty.

Tak więc młodsza ryczy, że ją ugryzł kot. Starsza ryczy, że ją boli głowa od ryków młodszej.

Mąż mi wysłał SMS-a z pracy, że nie przyjdzie na kolację. Jak dobrze pójdzie, w domu będzie we wtorek. Jak im stanie. Bo na razie nie stanął i muszą się męczyć przez całą noc, żeby postawić i zadowolić klienta. Chodzi podobno o serwer.

Trudno, zrobię kolację we wtorek.

Mój starszy kot ma raka sutków. Trzeba go zanieść do weterynarza.

Moja młodsza córka ma zaległe szczepienie obowiązkowe i sanepid mi przysłała pisma. Moja przyjaciółka Magda ma zaległe badanie wody w Banasiu i sanepid jej też przysłała pisma. Sąsiedzi Banasia uważają, że jest za głośno i wysyłają pisma do sanepidu.

45

Więc Magda poszła tam zanieść papiery poświadczające, że wyciszała lokal na koszt własny. Barman Mietek od tygodnia nie może zrobić trzeciej kupki, więc nie może jej również zanieść. Do sanepidu. Żadne pisma mu nie pomogą. Trzecia kupka musi być. Bo jak przyjdzie pani kontrola, to im wlepią mandat. Od pięciuset złotych do dwóch tysięcy. Zostali poinformowani.

Jak nie pójde zaszczepić Malwinki, to sanepid również mnie wręczy mandat. Od dwustu złotych do pięciu tysięcy. Też zostałam poinformowana. To niesprawiedliwe.

W Banasiu wojna z sąsiadami na całego. Sąsiad elektryk wykręca korki. W związku z czym w ostatni piątek zapalili świece i grali na bębnach, ludność tańczyła i w sobotę przyszedł tłum, domagając się podobnej imprezy raz jeszcze. Nie przeszkadzało im nawet ciepawe piwo, które zaczęło się lać przy wyłączonych chłodziarkach.

Poza tym Magda przybiła na ścianie w kiblu pismo, które dostał sanepid od sąsiada, a Magda od sanepidu, gdyż przez przypadek przysłała w odpowiedniej bluzce i trafiła na samca. Na swoje szczęście, bo na samicę taka bluzka mogłaby podzielać jak płachta na byka; kolor się zresztą zgadzał, bo czerwona. Pan też był czerwony.

W piśmie od sąsiada, które pan z sanepidu ofiarował Magdzie, żeby też miała w życiu trochę rozrywki, stało wyraźnie, że w klubie odbywają się podejrzane imprezy, na które przychodzi młodzież odziana satanistycznie. Obok tego pisma Magda powiesiła więc miłą gazetową recenzję koncertu z cyklu Chrześcijańskich Dni Żaka, które właśnie odbywały się dokładnie w tym dniu, w którym sąsiad wysłał pismo. Faktycznie, było wtedy trochę nietypowo odzianej młodzieży. Głównie młodych kleryków. Niektórzy byli w sutannach.

Poza tym Magdę bolą zęby.

Ciekawe, rosną jej, czy wypadają? Może rozrastają się wszecz. Jednak zrobiłam kolację, bo przysłała Anka. Z Anką widuję się prawie codziennie, gdyż bywa, jak ja, samotną kobietą. Ma przyjaciela w Radomiu. Ja mam męża w pracy. Ona robi specjalizację z anestezjologii. Ja mam dzieci z potrzeby serca. Spędzamy razem długie zimowe wieczory.

46

Miśka z Anką zażądały spaghetti, więc zrobiłam. Anka posprzątała bajzel na blacie i zaparzyła herbatkę. Czasem jednak mogłabym mieć żonę.

Misia, korzystając z naszego zaabsorbowania polską służbą zdrowia, wyciągała makaron spod sosu palcami, owijając go wokół wszystkiego. Zwróciłam jej uwagę, żeby używała widelca, bo plami sobie bluzkę.

- Mam prawo do bycia sobą - powiedziało pogodnie moje dziecko, nawijając makaron na uszy. Kluski zastygły mi w gębie.

- Pani mi mówiła w przedszkolu - dodała Misia, widząc nasze miny.

Wyjaśniłam jej pokrótce, że ja też mam prawo do bycia sobą i jak zaraz zacznę, to nie ręczę za skutki. Obraziła się. Anka dostała ataku śmiechu. Miśka nadeła się jak ropucha i sięgnęła po widelec, którym zaczęła wydłubywać dziurę w stole. Przypomniałam jej o moim prawie do bycia sobą, a także do wyjścia z siebie i stanięcia obok. Użyła widelca do celów bardziej zgodnych z przeznaczeniem, czyli do wydłubywania z sosu cebuli.

Postanowiłam otworzyć wino. Lepszy byłby spirytus - szybciej działa - ale nie mam.

Anka zdecydowała się na lampkę, ryzykując wstrząs, gdyż biedaczka ma alergię na wszystko, co w życiu przyjemne, z wyjątkiem seksu. Na wino czerwone. Na wódki smakowe - na czystą nie, toteż cieszy się szacunkiem wielu facetów. Na oliwki. Na kawę. Na sery pleśniowe. W związku z czym jej życie przypomina balansowanie na ostrzu noża nad przepaścią. Dzięki temu ma swój smak.

Ostatnio odkryła, że jest uczulona na pracę. A dokładnie na leki używane do znieczulania pacjentów. Teraz po pracy wraca na lekkim haju i zrobiła się bardziej ekonomiczna imprezowo. Z konieczności idzie w częstotliwość, zamiast w ilość. Ja wraz z nią.

Jeszcze jest uczulona na niektórych chirurgów. Najbardziej chyba na pana B.

Pana B. miałam przyjemność poznać w czasach, gdy pracował w jednym ze szpitali klinicznych, w których odbywałam ćwiczenia. Pan B. jest znanym oblechem. Owłosiony jest zawsze i wszędzie. W uszach mógłby zaplatać warkocze. Ma zwyczaj siadania okrakiem na stole, przy czym zakłada stopę na kolano i przez nogawkę

47

drapie się po bujnie owłosionych odnóżach. Wyżej i wyżej. Potrafi się nawet podrapać po jajkach. Przez nogawkę. Czasem dla odmiany czochra się po piersiach. Na których też mógłby zaplatać warkocze. Dłubie w uszach długopisem i sprawdza efekty.

Poza tym się zbliża. Jak przemawia do jakiejś dziewczyny, to podchodzi bliżej i bliżej, a dziewczyna się cofa i cofa, aż natrafi na ścianę. Albo szafkę. Albo stół z narzędziami i narzędzia walą się z hukiem na podłogę. Sama tak zrobiłam. Później musiałam zbierać i przepraszać. Bo były sterylne. Przeprasiny ich, jednakże, nie wysterylizowały. I potem musiałam się cofać przed siostrą instrumentariuszką. Tą samą, która zgubiła pacjentowi skórę.

Zaraz będzie o skórze, tylko jeszcze parę wyjaśnień tytułem wstępu: w ramach zajęć każdy z nas miał uczestniczyć w kilku zabiegach jako stojak, czyli wyłącznie obserwując. Przewidywałam w związku z tym żywą uciechę, ponieważ w życiu nie byłam na zabiegu, przy którym się nic nie schrzanilo.

Raz się zepsuł tak zwany ssak i nie mogli jednej pani mechanicznie usunąć tego, co jej nawpuszczali do brzucha, bo to była laparoscopia, czyli operacja bez rozcinania - przez trzy małe dziurki wprowadzili narzędzia, kamerę i dużo płynu, żeby przepłukał tkanki i żeby coś było w tym brzuchu widać. No i na etapie wypuszczania tego płynu zepsuł się sprzęt. Pani doktor odessała w końcu pompką ręczną, ale poznałam przy okazji trochę nowego, w pewnym sensie łacińskiego, słownictwa, z którym się wcześniej nie zetknęłam w żadnym podręczniku. Uzupełniło to moje wykształcenie wyższe. Doświadczenie życiowe też.

Przy drugiej operacji zepsuła się dla odmiany kamera. Też poznałam szereg nowych określeń - na kamerę. Włączyła się zresztą z powrotem po przesunięciu studenta, który stał na wtyczce.

Przy kolejnym zabiegu oglądałam na własne oczy szukanie igły w stogu siana, czyli małego czerwonego wacika w wielkim czerwonym brzuchu. Dopóki pani instrumentariuszka nie przeliczyła wacików jeszcze raz - okazało się, że jednak żadnego nie brakuje. Tylko jej się wydawało. Poznałam oczywiście wiele nowych określeń na panią instrumentariuszkę.

Podobno większość operacji przebiega bez przeszkód. Ja jeszcze takiej nie widziałam. Ale ja umiem unieszkodliwić nawet Adama Małysza. Jak patrzę na jego skoki, to nie ma szans zmieścić się

48

w pierwszej piątce. Narty mu się płaczą. Udało mu się zaistnieć wyłącznie dlatego, że jestem opóźniona w rozwoju i przez dobre półtora sezonu nie wiedziałam, że ktoś taki istnieje. Staram się utrzymać ten stan. Wychodzi to wszystkim na zdrowie.

Tym razem jednak starszyna medyczna uparła się, że wszyscy studenci, w tym ja, muszą obejrzeć przynajmniej dwa zabiegi. Z pewnym rozbawieniem zastanawiałam się, co też ulegnie zrąbaniu.

Nie zawiodłam się. Zabieg wycięcia dużej przepukliny przebiegał zaskakująco planowo do momentu, w którym w celu wzmocnienia powłok brzucha po udanym odprowadzeniu jelit na miejsce przez Bożę im przeznaczone, postanowiono posłużyć się auto-przeszczepem, czyli odpowiednio przygotowaną, wypreparowaną pracowicie przez jednego z doktorów skórą własną pacjenta. W tej właśnie chwili okazało się, że skóry brak. Była, odłożona na stoliku, ale znikła. Wciąło. Zeżarło. Nie ma.

Doktor, który preparował skórę przez godzinę, dostał klasycznego ataku szału.

W pewnym momencie pospiesznego śledztwa w kącie ocknęła się instrumentariuszka i runęła do stołu z okrzykiem: „Panie doktorze! Ja nie wiedziałam! Ja to wylałam! Ja myślałam, że to jakieś odpady!”

Pierwszy operujący rzucił się trzymać kolegę, który wyglądał, jakby natychmiast wymagał podania tlenu. Pani instrumentariuszka rzuciła się w kierunku kosza, co sprawiło na moment wrażenie, jakby chciała skórę wyjąć, otrzepać i wsadzić pacjentowi do brzucha. Ja miałam ubaw po pachy.

Pani anestezjolog podejrzanie błyszcząły oczy nad maseczką. Pacjent spał, nieświadomy scen rozgrywających się nad jego głową.

Pacjent został w końcu zaopatrzony w sposób klasyczny, czyli zaszyty na okrętkę jak baleron. Szczęśliwie były ku temu warunki. Zapytana przez asystenta, czy widziałam nowatorską metodę wszywania autoprzyszczepów, zabelkotałam coś niewyraźnie i pomachałam ręką w kierunku sali operacyjnej, dokąd udał się po wyjaśnienia.

Na drugi zabieg nie poszłam. Wzięłam zwolnienie lekarskie na ostatnie dni zajęć, w imię wartości wyższych. Primum non nocere.

Z żalem stwierdzam, że nie będę chirurgiem. Sumienie mi nie pozwala.

49

Anka z kolei chce być chirurgiem. Dlatego na razie jest anestezjologiem. Nikt, kto nie zna realiów polskiej służby zdrowia, zwłaszcza rozległych możliwości rozwoju kariery dla młodych, w szczególności płci żeńskiej, nie zrozumie tej pokrętnej logiki. Anka i tak ma szczęście, że dostała etat, i to taki, że może sobie postać przy stole operacyjnym, jeśli ją to interesuje. Powinna z radości klaskać uszami.

Na razie z uszu makaron zdjęło moje starsze dziecko, odsunęło na bok cebulę, której nie jada, resztę potrawy rozsmarowało równomiernie po całym talerzu na znak, że ją jada, ale akurat nie dziś. Bo dziś już się najadło.

Mam prawo być sobą. Ale z niego, litościwie, jeszcze nie skorzystam. Na szczęście dla Miśki.

Wykonałam próbę wysłania do spania metodą tatusia. Ale jeszcze muszę poćwiczyć. Obiecałam, że jeśli nie zaśnie, to coś jej przeczytam, ale najpierw muszę pogadać z Anką. Błąd.

Zeszła na dół tylko szesnaście razy; zapytać, kiedy skończymy rozmawiać.

Ance gęba zaczęła puchnąć od wina, więc poszła do domu posmarować się sterydami i zapalić papierosa (na co też jest uczulona), bo i tak już spuchła, więc co jej szkodzi.

Miśka powiedziała, że nie muszę jej już czytać, bo jest śpiąca, ale mogę jej odpowiedzieć na kilka pytań. Pierwsze brzmiało: Czy Pan Bóg robi kupę?

A poza tym dzień jak co dzień.

r

Świat się mnoży

Smutno. Nie ma nikogo. Nie ma Miśki, bo pojechała na tydzień do dziadków, w dodatku nie swoich. To znaczy do rodziców mojej szwagierki, wraz z jej córką, a Miśki ukochaną kuzynką. Lalka Chou-Chou już nawet nie płacze. Leży samotnie w kącie, buzią do ściany. Nie ma Malwinki, bo teściowa ją wzięła do swojej mamy, żeby mogły obejrzeć się nawzajem. Bo dawno się nie widziały. Nie ma mojego męża, bo wyjechał do Gdańska pić wódkę. Z ważnym klientem. Nie ma Magdy, bo jej mężczyzna przyjechał i poszli pić wódkę. We dwoje. Nie ma Anki, bo jest zła, a jak ona jest zła, to le-

50

piej, żeby jej nie było. Nie ma Gośki, bo ma ważne tłumaczenia do wykończenia i wyłączyła telefon. Nie ma Dudka, bo przedwczoraj urodził mu się syn.

Nie ma mnie, bo mi smutno i znikłam. I wyłączyli mi telefon. Bo zapomniałam za niego zapłacić.

Więc nie mogę do nikogo zadzwonić. Do mnie mogą. Ale nie dzwonią.

Mogłabym położyć się twarzą do ściany obok lalki, ale to by już było dno. Więc może lepiej wyjdę. Z wielkiego, pustego i zimnego -nie chciało mi się włączyć ogrzewania - domu w szeroki, piękny świat.

Wyszłam do knajpy. Nienależącej do moich ulubionych. Za to położonej w odległości beretu.

Nawet nie trzeba nim rzucać. Wystrój jak złoty sen menela. Pani w plastikowym fartuszkach. Herbata w szklankach. Program pierwszy polskiego radia. Nie wiedziałam, że jeszcze istnieje. Automaty. Siedzę w kącie. Papieros nie smakuje. Książka nie smakuje. A kawa po turecku podchodzi pod paragraf „Szkalowanie innych narodów”.

Powinnam wywiesić kartkę, jak barman Mietek Magdzie pewnego sobotniego poranka, po burzliwej piątkowej imprezie.

Magdę, śpiącą snem sprawiedliwego w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, bo koncert był

udany, a klientela liczna, obudzili telefonami rozmaici dostawcy, awanturując się, że klub jest zamknięty. Magda, w porannym amoku, pojechała sprawdzić, co jest grane, bo poprzedniego wieczora Miecio specjalnie ubiegał się o pozwolenie przenocowania na zapleczu, żeby nie spóźnić się do pracy. Po wczorajszej imprezie. Na której był zresztą prywatnie, bo służbowo był Paweł. Dojechała i zastała lokal zamknięty, a na drzwiach kartkę. Zgłoszenie absencji pracownika z powodu ważnych okoliczności życiowych. Treść była krótka, a pismo zamaszyste: Wyszedłem. SORRY.

Następnie wszyscy poszukiwali Mięcia. Znalazł się sam, wieczorem, po przespaniu dziewięciu godzin na murawie nad Wisłą. Magda, która spędziła na kacu pół dnia za barem, zamiast wypoczywać i matkować Agatce, doszła do punktu wrzenia i para buchała jej z pyska. Objawionemu nagle Mieciowi wręczyła bez słowa dwie stówki owinięte karteczką z napisem: Wypłata. Sorry.

51

Po dwóch dniach przyjęła go z powrotem, twierdząc, że źle jej się żyje bez widoku jego beczelnej mordy o poranku. Poza tym nie ma jej kto obronić przed kolejną instytucją strzegącą praw artystów przy pomocy zdzierania forsy z restauratorów. A Miecio jej bronił.

A było tak. Niedługo po otwarciu klubu muzycznego Smutny Banaś, do Kazika zaczęli się tłumnie zgłaszać ludzie, którzy uważali, że z racji rozpoczęcia przez niego działalności należą się im pieniądze.

Część płatności „Banasiowie” jakoś przelknęli, gdyż nie było za bardzo pola manewru. Jako pierwsza zgłosiła się instytucja chroniąca prawa autorskie twórców, czyli kompozytorów, za pomocą pobierania comiesięcznego abonamentu w wysokości 134 złote od lokalu. Zapłacili. Przyszła druga instytucja - chroniąca prawa autorskie odtwórców, czyli wykonawców, za pomocą pobierania każdego miesiąca jedynych 94 złotych. Kazik warczał, pluł i charczał. Ale zapłacili. Przyszła trzecia instytucja, też działająca za pomocą odbierania środków finansowych komuś, aby bezpiecznie tworzyć mógł ktoś.

I tu trafiło na Mięcia.

Miecio wychylił się uprzejmie zza baru, pobrał od panów legitymacje i przestudiował je uważnie. Panowie zażądali widzenia się z szefostwem. Mietek spojrzał przelotnie na Magdę, spokojnie siedzącą przy barze; Magda nawet nie drgnęła, więc Miecio z żalem w głosie wyjaśnił panom, że szefowie są nieobecni. Panowie okazali niezadowolone, po czym wręczyli mu pismo z wezwaniem do uiszczania kolejnego comiesięcznego abonamentu. Oraz, wobec braku szefostwa, nakazali Mieciowi przybić pod treścią pisma pieczętkę firmową na znak, że klub został pouczony. Magda uniosła lekko brwi. Miecio, wciąż nienagannie uprzejmy, wciąż z niekłamanym żalem, wytłumaczył panom, że tego zrobić nie może, ponieważ do posługiwania się pieczętką firmową nie został uprawniony. Panowie jednakże zaczęli być z lekka nachalni. Miecio był nieugięty. Jeden z panów w końcu stracił cierpliwość.

- Ale ja, proszę pana, mam prawo tej pieczętki od pana zażądać! - powiedział stanowczo.

W obliczu urzędowego tonu Miecio przyjął postawę wyprostowaną {Homo erectus}.

52

- Proszę żądać - zaproponował życzliwie, ciekaw, co będzie dalej. Przez chwilę trwali naprzeciw siebie, tworząc tak zwane żywe

obrazy, po czym okazało się, że panowie nie mają dalszych pomysłów na zaspokojenie swego požądania. Nadęli się i wyszli. Magda dostała ataku śmiechu, jak tylko zamknęły się za nimi drzwi i wyznała, że kocha Mięcia miłością bezgraniczną.

I jak tu zwalniać z pracy takiego barmana?

Panowie, co ciekawe, nigdy nie wrócili. Może wylecieli z pracy. A może ich ktoś w końcu otrul.

SORRY.

A mnie dalej smutno. Zaraz zacznę wyć, jak Banaś pod płotem. To teraz może trochę o tym, skąd nam się wziął smutny Banaś.

Najpierw była sobie Ewcia. Z mojej grupy, sympatyczne dziewczę i wcale niegłupie, tyle że nerwowe jak koza na wiosnę. Mówiła szybko i dość chaotycznie, machała rękami jak wiatrak i

miała szczególny talent do spalania wszystkich usłyszanych dowcipów i powiedzonek. Co nie przeszkadzało jej wciąż je opowiadać. Słuchaliśmy chętnie, bo niekiedy przeróbki Ewci były lepsze niż pierwowzór i funkcjonowały potem w towarzystwie jako samodzielne anegdoty. Któregoś dnia mieliśmy fazę na „bajki”, w stylu „bajki o apostołach” (jedźcie i pijcie, a po stołach nie rzygajcie). Wśród nich obiegała akademik bajka o smutnym Banasiu (wyje Banaś pod płotem). Dotarła też do Ewci i Ewcia postanowiła zabłysnąć.

- Słuchajcie, opowiem wam bajkę o smutnym Banasiu! Ja jej, co prawda nie rozumiem, ale wszyscy się śmieją! - W tym momencie Ewcia zrobiła wdech i straciła rozpęd; musiała szukać ratunku u narzeczonego: - Adaś, jak to było? Siedzi Banaś pod płotem i wyje?

Ryk śmiechu, wcale nieudawanego, zaskoczył ją przyjemnie. Słyszeliśmy wcześniej od Daniela tę bajkę. Wersja Ewci była lepsza.

Dokuczaliśmy Ewci smutnym Banasiem jeszcze z pół roku, a potem Magda, która w owym burzliwym czasie waletowała u Ewci w akademiku medycznym, choć studiowała zasadniczo chemię, zdecydowała uhonorować swoją wieloletnią dobrodziejkę, nadając knajpie miano „jej” Banasia. Smutnego.

Notabene, od razu po otwarciu lokalu, tym nieoficjalnym, więc mocno zakrapianym, towarzystwo złapało fazę twórczą i wszędzie poumieszczało karteczki z napisami w stylu „Wyje Banaś przy ba-
53

rze: wyjdź, gdy ci barman każe” albo „Wyje Banaś w toalecie: nie umieszczaj, dziecię, podpasek w klozecie” i tym podobne mądrości.

Magda pozostawiła je dla potomności, bardziej jako ostrzeżenie przed skutkami nadużycia, niż dla ich wartości literackiej. Klienci jednak wciągnęli się w zabawę i przestrogi Smutnego Banasia można spotkać w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Czytam je czasami, kiedy mi smutno i nic nie wychodzi. Amen.

Dziś nie, bo do Banasia jest za daleko, a ja mam niechęć do dalekich wędrówek bez wyraźnej przyczyny. Wystarczy mi knajpa za rogiem. Poza tym za Banasiowym barem jest dziś Paulinka, która przeżywa rozterki małżeńskie i opowiada o nich każdemu, kto się nawinie. A ja dzisiaj nie mam nastroju. Paulinka mnie denerwuje. To znaczy denerwują mnie jej problemy, bo tak w ogóle to miła dziewczyna. Tyle że gdyby swojemu mężowi powiedziała choć z trzydzieści procent tego, czym zanudza zaprzyjaźnionych słuchaczy, jej problemy by się skończyły. A już na pewno mogliby wspólnie poszukać jakiegoś rozwiązania. Ale nie. Ona woli wywnętrzać się wszystkim po kolei, a w obecności swego ukochanego uśmiechać się z zaciśniętymi zębami i udawać, że jest świetnie. Za chwilę jej się zrobi szczękościsk. I dobrze. Może wreszcie się zamknie. Albo otworzy.

Jestem zgryźliwa i niesprawiedliwa, ale na problemach Paulinki kończy się moja życzliwość dla świata. Pewnie dlatego, że tak bardzo przypominają moje własne. Te rozwiązane i te nierozwiązane. Też miewam zaciśnięte szczęki. Na szczęście w przeciwieństwie do koleżanki barmanki mam męża, który sam z siebie umie rozmawiać. A ten Paulinki tylko patrzy. Może też bym się tak zachowywała, gdyby mój mąż poprzestawał na komunikacji niewerbalnej. Bo ja jestem prosta, tępa i do mnie trzeba wyraźnie. Zresztą do mojego męża również. Też nie lubi komunikacji niewerbalnej w wypadku nierozwiązanych problemów. Łatwo mi się mądrzyć, bo nieźle mnie już wytresował. Muszę przyznać, że z wytresowaną mną żyje się łatwiej. Mnie samej również. Jak z rottweilerem po szkoleniu.

Dziś zdecydowanie nie będę tresować Paulinki.

Uuups, nie byłabym tego taka pewna. Właśnie na mój jednostronnie działający telefon zadzwonili wszyscy naraz. Teściowa, że

54

zostaje u babci na cały wieczór, bo babcia jest w kiepskim nastroju - zaraza jakaś czy co - i czy może tak długo zostawić sobie dziecko, bo dobrze działa na babcię (powinam zapisywać na recepty, może ktoś mi zrefunduje). I żeby się nie martwiła kwestią wyżywienia Malwinki (nie martwiłam się ani przez chwilę, nie znam takiej babci, przy której dziecko byłoby głodne choć pięć minut), bo zapomniałyśmy wypakować z bagażnika zakupy z Makro i mają przy sobie cały karton słoiczek. Będą późno. Powiedziałam, że to fantastycznie, starając się jednak nie brzmieć

przesadnie entuzjastycznie.

Zadzwoił Duduś - właśnie udało mu się uspić rodzinę i w związku z tym idzie na chwilę do Banasia, gdzie będzie stawiał chętnym wódkę pępkówkę, bo do tej pory nie miał kiedy. Wódka będzie szybka, bo ojcu rodziny nie wypada długo przesiadywać po knajpach. Chciał zapytać, czy jestem chętna. Powiedziałam, że to fantastycznie, starając się, aby tym razem zabrzmiało entuzjastycznie.

Tak myślałam, że się ruszę, jak będzie ku temu poważny powód. Ten jest wystarczający.

Zadzwoiła Magda, że są w Banasiu i że za chwilę wpadnie Duduś z wódką z okazji urodzenia syna. I że Paulinka z tego powodu płacze. Rzewnymi łzami. I żeby przysłała i coś z nią zrobiła, bo ona nie wie, o co chodzi, a ja jestem cierpliwa. Ona nie.

Zadzwoiła Gośka, że wykończyła klienta i jedzie właśnie do Banasia, bo ma dość życia i musi sobie poprawić humor. Poinformowałam ją, że właśnie tam podążam, jest okazja jak ta lala, i uprzedziłam, że tam płaczą.

Zadzwoiła Anka z pytaniem, czy Duduś coś w końcu urodził i kiedy będzie impreza, i czy wiem, że Paulinka jest w ciąży. Ona wie, bo były razem na usg. Przez przypadek. Spotkały się pod gabinetem zaprzyjaźnionej pani doktor, pogadały chwilę o dupie Marynie. Paulinka była bardzo tajemnicza i małomówna do momentu, kiedy z gabinetu wyszła pani doktor i ryknęła do Paulinki:

- Wysikana? Nie? To jak ja ci, dziecko, tego płoda zobaczę? I Paulinka zaczerwieniła się jak burak.

- A ty, Anka? Co robiłaś na usg? - zapytałam prędyutko.

Ale rozczarowałam się. Oglądała sobie swoje zapalone przydatki. Hmm. Trudno.

55

Lubię dzieci i chciałabym, żeby rozmnażał się cały świat.

No i świat się rozmnaża, choć chwilowo bez Anki.

Zanim doczłapałam do Banasia, Dudek polewał już drugą kolejkę, z werwą relacjonując drugą fazę porodu, ze szczególnym uwzględnieniem cycków pani położnej w przodopochyleniu. Gośka już siedziała w swoim ulubionym fotelu, jedynym w klubie, i z przejęciem zadawała mu stosowne pytania, sprowadzając jego umysł na właściwe tory. Magda słuchała zza baru, machinalnie nalewając piwo kolejnym klientom. Kazik kręcił się obok niej, przeszkadzając jak zwykle i poklepując ją tu i ówdzie, od czego pienieł jej się żywiec, od czego z kolei pienieła się Magda. Kazik też słuchał Dudusia, a na twarzy miał wyraz lekkiego obrzydzenia. Dla niego dzieci zaczynają się od Agatki wzwyż, wcześniej to larwy. Paulinka siedziała w kącie pod zlewem i gapiała się na Dudka. W oczach miała szaleństwo i kolor czerwony.

Anka właśnie nadeszła. Powiewając apaszkami, weszła bezceremonialnie za bar na czwartego, depcząc po Magdzie i powodując spienienie kolejnego piwa, po czym przykucnęła obok Paulinki, która pociągnęła nosem i ukryła za nią czerwone oblicze.

- Ile was tu jeszcze wlezie za ten bar! - warknęła Magda, na którą popatrzył krzywo klient, ten od piany. - Jest nas tu już czworo!

- I piąty malutki! - dorzucił swawolnie Kazio, co przypadkowo było prawdą. Paulinka ryknęła mocniej i smarknęła Ance w sweterek. Anka cofnęła się lekko, trącąc tylną częścią ciała puszki z napojem energetyzującym, ustawione w piramidkę. Puszki posypały się i zjechały Ance po plecach, dodając jej skrzydeł. Miotnęła się do przodu i strzeliła baranka cygarom. Kazik rzucił sieje łapać, pośliznął się na puszcze, dostał skrzydeł, nadział się piszczelcem na kekę z piwem mocnym, zawył, i udało mu się w końcu coś złapać, a konkretnie Ankę - za pierś, rysującą się bujnie pod obcisłym sweterkiem.

- Gdzie te łapy! - wrzasnęły chórem Anka z Magdą, zagłuszając Dudusia i psując mu najbardziej ekscytujący fragment opowieści. O cyckach pani ginekolog, długich jak pierwsza faza porodu. Klienci dostali oczopląsu. Paulinka dostała ataku histerycznego śmiechu. Magda dostała szału. Kazio nie dostał po mordzie, bo udało mu się wyplątać z Anki i zwał na zaplecze.

56

- Won mi stąd - warknęła Magda, zbierając puszki. - Wy dwie również. Anka, wyciągnij z niej, o co chodzi, bo smarka tak od rana, tłucze szkło barowe i za chwilę mnie szlag trafi - zadysponowała, wskazując puszką Paulinkę.

- Ona już wie, o co chodzi - powiedziała cichutko Paulinka, wyłażąc spod zlewu. - Możesz im powiedzieć - szepnęła do Anki -bo ja przez ten czas będę sobie płakać.
Duduś, który jeszcze przed kwadransem był bohaterem dnia, poczuł nagle, że coś go w życiu omija.
- No już, gadać zaraz, o co chodzi! Cóż się takiego znowu stało?
- Najpierw wyłażać mi zza baru, ale już! - weszła mu w słowo Magda, nurkując po telefon komórkowy, który spadł jej za bezcki. - Bo zacznę rzucać szklankami. A skończę na kegach.
Anka z Paulinka wyszły nareszcie i dołączyły do naszego stolika.
- No? - pogonił je Duduś, sięgając po kolejną flaszkę. - Co tam nowego zaistniało w przyrodzie, oprócz mojego syna?
- Jej syn - powiedziała Anka, patrząc na Paulinkę. - Albo córka. Paulinka, syn czy córka?
Paulinka wysmarkała nos i wzruszyła ramionami.
- A skąd ja mam wiedzieć? Dopiero dziewiąty tydzień - powiedziała zbolalym tonem.
Cisza zaległa komnaty.
- Zaraz, zaraz. - Kazik nadciągnął z zaplecza, piastując w ramionach czwartą flaszkę. - Jeśli dziewiąty tydzień, to czemu ryczysz dopiero dzisiaj?
- Ryczę od wczoraj - uściśliła z godnością Paulinka, sięgając po papierosa mimo morderczych spojrzeń Gosieñki. - Przepraszam, ale jestem zdenerwowana. Do wczoraj myślałam, że to zaburzenia hormonalne. Miałam kiedyś takie.
Gośka zawarczała całkiem jak Magdusia i wyrwała jej papierosa z ręki.
- Twojemu dziecku przeprosiny nie pomogą - powiedziała surowo. - Zresztą raczej nie słyszy. Słuch się wyrabia koło czwartego miesiąca. A ty masz nie palić. Nie bądź głupia.
- Głupia to ja już byłam - złożyła samokrytykę Paulinka, sięgając po papierosa Dudka. - Lepiej, żebym brała środki uspokajające?
- Lepiej, żebyś brała życie trochę bardziej na serio, Paulinko -

57

powiedziała Gośka, próbując zabrać i zgasić Dudusiową fajkę. Duduś fuknął i zabrał ją sam, zanim obie powypalały sobie dziurki. -Jesteś dużą dziewczynką. Mężatką. I w ciąży. Słuchaj - zreflektowała się nagle, przyglądając się Paulince uważnie. - Okej, jesteś ciężarną mężatką pod trzydziestkę, masz dom, samochód i pracę, z której, jak dotąd, nikt cię nie wyrzuca. Więc dlaczego ryczysz? W twoim wieku i przy twojej pozycji dziecko to chyba nic strasznego, co?
- A właśnie strasznego. - Paulinka smarknęła w chusteczki ozdobne z wyprzedaży i ufarbowała sobie nos na bordowo. - Nie jestem pod trzydziestkę. Mam dwadzieścia cztery lata. I chciałam wreszcie sobie pożyć.
-I myślisz, że dziecko cię uśmierci? - spytała Magda zza baru. -Planujesz zgon przy porodzie?
- Nie, no skąd! - przeraziła się Paulinka. - Tyle że to już nie będzie to samo...
- To samo co? - Gośka twardo żądała uściśleń, bo rozpacz z powodu posiadania potomstwa nie mieściła jej się w głowie. Ha, ha. Zapomniał wół, jak cielęciami był. Pamiętam, jak Gośka dostała w pracy awans, a zaraz potem okazało się, że jest w ciąży. Mnogiej. Też nie widziałam dzikich wybuchów entuzjazmu. Choć również była mężatką, co więcej, miała już jedno dziecko. W dodatku brała pod uwagę możliwość zajścia w ciążę. Tyle że nie bliźniaczą. W żadnym wypadku nie planowała leżenia plackiem przez osiem miesięcy. Ale leżała. Grzecznie. Z laptopem na kolanach. Założyła własną działalność gospodarczą, zyskując opinię szalenie wydajnej tłumaczki i wierne grono klientów. Nie wyłażąc z pościeli, zbijała ciężką forszę. Może dlatego szybko zapomniała, że cokolwiek jej się nie podobało.
Paulinka zastanowiła się przez chwilę. Uczciwie.
- No, nie wiem... Nic nie będzie już takie samo. Życie. Obowiązki. Sposób spędzania wolnego czasu. Ja... Tyle się namęczyłam, żeby zrzucić przed ślubem osiem kilo. A teraz utyję.
- I dlatego ryczysz? Że utyjesz? - zdziwiła się Magda, poklepując swój brzusek, płaski jak deska. - Każe ci ktoś się obżerać?

Paulinka spojrzała na nią załóżnie. Psychika Paulinki nie znosi ograniczeń. Na ostatnie dni diety przedślubnej Magda dała jej urlop. Płatny. Byle sobie już poszła w pierony. Bo obniża standard

58

lokalu i klienci się jej boją. Jak skończyła odchudzanie, to jej przeszło.

- A co na to wszystko twój mąż? - zainteresował się świeżo upieczony ojciec i małżonek już od roku, czyli Duduś. Jak się okazało, trafił w dziesiątkę, czyli odkopał psa.

- No właśnie. - Paulinka pociągnęła nosem potężnie. - Powiedział, że wycięłam mu niezły numer. Ja. Wzięłam i wycięłam. I żebym nie myślała, że on zrezygnuje z wyjazdu do Danii, bo mi się nie chciało brać tabletek regularnie. Dostał stypendium na pół roku. Właśnie mu przyznali. Rodzice się cieszą, że nie zaniedbał kariery mimo ślubu. A ja mu tak zrobiłam.

- O - powiedział Duduś i zamilkł.

- A - powiedziała równocześnie Anka, i to był nasz cały wyczerpujący komentarz.

Pomilczeliśmy chwilę, rozważając sytuację. Paulinka znowu zaczęła popłakiwać, co tym razem spotkało się z pełnym życzliwości zrozumieniem. Magda wywiesiła się zza baru i poklepała ją po głowie paczką chusteczek higienicznych.

- Masz, bo mi nasmarkasz do szklanek - powiedziała miękko.

- Dziękuję. - Paulinka wzięła chusteczki, wysiąkała nos i ciężko westchnęła. - Sami widzicie...

Otworzyły się drzwi i z impetem wparował Andrzej, ośnieżony jak bałwanek. Gośka drgnęła nerwowo i obróciła popielniczkę papierosem do mnie. Duduś zachichotał, ja również. Też widziałam, jak Andrzej popala w tajemnicy przed żoną. Dudek osobiście udawał, że wskutek roztargnienia czasem pali dwa. Są jedyni w swoim rodzaju. Posłusznie wzięłam papierosa Gośki i zaciągnęłam się nim demonstracyjnie, choć zasadniczo z papierosów uznaję tylko cienkie i zielone. O czym, mam wrażenie, poinformowałam Andrzeja na feriach. Ale cóż, pewnie nie zwróci uwagi. Mężczyźni bywają tępi, niekiedy.

- O, palisz zwykle? - zdziwił się Andrzejek, ściągając z głowy paskudną burą czapkę, tak zwaną skarpetę. Po naciągnięciu na oczy byłaby świetna do napadu na bank. - A mówiłaś, że grube w ustach i to publicznie budzi w tobie niesmak?

Duduś zarechotał. Gośka przeszła do ataku.

- A ty tu czego? - przywitała małżonka życzliwie. - Mam wrażenie, że miałeś zostać z dziećmi, żebym mogła mieć chwilę dla siebie?

59

- Ściągnąłem matkę. I tak miała wpaść z kielbasą i jajami wujka Jurka, bo była wczoraj na wsi. Zostawiłem ją z potomstwem i przyjechałem wychylić kielicha za zdrowie nowo przybyłych obywateli. Duduś mnie zaprosił. Prawda, Duduś?

Duduś przytaknął.

- Nie mogłem się dodzwonić do ciebie, więc zadzwoniłem do Andrzeja - wytłumaczył niezbyt dyplomatycznie, ale Andrzej nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. - Dowiedziałem się, że przed chwilą polazłaś w nieznanym kierunku, więc zaprosiłem go, aby uczcił mego syna. A co, nie wolno?

Goście przeleciały przed oczami wszystkie niewypalone papierosy; westchnęła ciężko.

-Można, można. Bardzo się... eee... cieszę. Rzadko wychodzimy gdzieś razem, kochanie. -

Uśmiechnęła się słodko i brutalnie przesunęła nogą Dudusia wraz z krzesłem, robiąc miejsce ślubnemu.

Andrzej usiadł i rozejrzał się po towarzystwie.

- A ona co? - spytał na widok wciąż jeszcze zapłakanej Paulinki.

- No właśnie - powiedział z satysfakcją Duduś. - Pijemy zdrowie nowych obywateli. Licznych obywateli. Paulinka pączkuje. Uznała, że takich jednostek jak ona sama trzeba nam więcej i postanowiła się powielić w nieznanym nam jeszcze liczbie egzemplarzy.

- Ooo! - ucieszył się Andrzej. - Moje gratulacje! To fantastycznie! A co na to twój mąż?

- Nie skacze - wyjaśniła krótko Paulinka. Andrzej też miał niekiedy dar trafiania w środek tarczy. - On tak nie uważa.

- Zacznie niebawem, nie martw się. Mielicie zdaje się trochę inne plany - powiedział Andrzej życzliwie, nie zdając sobie sprawy, że tym samym wyjawia, jak długi jęzor ma jego żona. - Pozwól mu się przystosować. To fajny koleś, na pewno stanie na wysokości zadania - dodał z przekonaniem. - Ja też nie byłem zachwycony, jak się dowiedziałem, że zaistnieje nam Andrzejek.

- O? - zdziwiła się Gośka, na którą po powrocie od lekarza czekał kosz róż i kolacja przy świecach, co zawsze z lubością wspominała.

- Ja mam po prostu szybszy refleks - wyjaśnił Andrzej beztrąsko. - Dziadek był florecistą. Poczekaj chwilę. Wy, kobiety, macie na taką okoliczność masę hormonów, których my nie mamy. Mi-60

łość do dziecka rodzi się stopniowo, najbardziej, gdy już jest na świecie i zaczyna patrzeć na człowieka tymi przymglonymi oczami kosmity. I potem dalej, każdego dnia - mówił powoli, a Duduś energicznie przytakiwał, mało mu głowa nie odpadła. - Wszystko, co facet okazuje wcześniej, jest w pewnym sensie na wyrost. Jest tak naprawdę miłością i zaufaniem do kobiety. Mam rację?

Miał. I był dość poruszony, bo zazwyczaj w towarzystwie nie wyraża się tak obficie. I górnolotnie. Ale na Paulinkę podziałał jak balsam. Przestała się mazać.

- To ja do niego zadzwonię - powiedziała, wstając. - Strasznie go objechałam dziś rano i wyszłam, trzaskając drzwiami. Pewnie mu to nie pomogło w budowaniu zaufania - zaszemrała i znikła na zapleczu.

- Bo ona głupia jest - mruknęła Magda. - Młoda.

- Ty byłaś starsza? - zdziwiła się Gośka uprzejmie. - Bo ja nie.

- Młodsza! - powiedziała Magda tonem odkrycia. - I równie głupia. Jak przestałam się mieścić w lewisy, które dopiero co sobie przywiozłam ze Stanów, ryczałam na cały akademik. I wyrzuciłam przez okno Ewki wagę. I Ewki wódkę, bo miałam ochotę pić z rozpaczy.

- Agatkę też chyba przywiozłaś ze Stanów - przypomniał sobie Duduś.

- No. W charakterze tak zwanego pasażera na gapę. Jeszcze dwa tygodnie myślałam, że mi okres zgłupiał po zmianie stref czasowych. A potem odbyłam rozmowę mojego życia, he, he. Telefon też wyrzuciłam przez okno.

- Ewki? - spytał Kazik, z uciechą poznając pikantne szczegóły z przeszłości ukochanej kobiety.

- Co? A, nie. Kierowniczki akademika. Poszłam dzwonić od niej, bo przewidywałam sceny i nie chciałam robić ich na korytarzu.

- I co, wyrzuciła cię w ślad za telefonem?

- Nie, skąd. Zrobiła mi kakao i głaskała po głowie. Przez pół dnia zastanawialiśmy się razem, jak powiedzieć mojej mamie.

- I co? - spytała Paulinka, która jeszcze nie mówiła swojej mamie. Wręcz przeciwnie; biorąc ślub, oboje zarzekali się, że najpierw Paula skończy studia, a Jasiak zrobi doktorat. Potem ewentualnie będą się rozmnażać. Jasiak krzyczał, że może to dać rodzicom na piśmie. Zupełnie jak mój stary. Moi wytrzymali miesiąc (miodo-

61

wy), Paulinka z małżonkiem aż cztery. Moja babcia do tej pory żałuje, że nie wzięła na piśmie. Tylko co by to dało?

- Nic. Nie wymyśliłyśmy nic wielkiego przez następne dwa miesiące, aż dostałam krwawienia i znajoma lekarka zadzwoniła do mojej matki, żeby ją uspokoić. Że trafiłam do niej na oddział, ale to nic poważnego i jestem pod dobrą opieką. Z dzieckiem też wszystko w porządku. Moja matka uspokoiła się tak, że pół miasta słyszało. Później przywiozła mi kakao. Co one z tym kakao, swoją drogą...

- Zawiera magnez - wyjaśniła Anka. - W małych ilościach wskazane. Paulinka, chcesz kakao?

- A mamy? - zdziwiła się Paulinka. - Mamy tylko czekoladę na gorąco. Zawiera jakieś chore ilości kalorii. Nie chcę rzucać wagą przez okno. Nie mam wagi.

- Ja też nie miałam - przypomniała Magda. - A ty sobie kup. I nie pal! - zawarczała, patrząc groźnie na Paulę, która zamarała z paczką w rękach.

- Nie pal, nie pij, nie denerwuj się, i tak, cholera, już na wieki! - rozkleiła się na nowo Paulinka. - A przed chwilą mi mówiliście, że nic się tak znowu nie zmieni!

- My? - zdziwił się Duduś bezgranicznie.

- A potem na mnie patrzycie jak na kosmitę! - kontynuowała w rozpędzie Paulinka. - Bo nie jestem zachwycona! Ledwo się wyrwałam z rodzinnego domu, ledwo zaczęłam się jako tako w życiu

bawić, a już wszystko się kończy. Wszystkie imprezy, balety i w ogóle! Całe życie! I wszystkie przyjemności! - Oczy jej zwilgotniały, i już, już, miała ryknąć, kiedy Dudek przechylił się przez stół i chwycił ją za ramię.

- Ty się, Paulinka, nie wygłupiaj - powiedział z mocą, a oczy mu się śmiały. - Jaki koniec życia! Ty się, kobieto, rozejrzyj dookoła, i zastanów, z kim się zadajesz. A potem się odzywaj.

I Paulinka się zatkała, z paczką fajek w rękę. Rozglądała się wokół, jakby widziała nas po raz pierwszy w życiu.

Szczęśliwego, roześmianego tatusia - Dudusia, do którego ta rola zupełnie zresztą nie pasowała. Jeszcze.

Szczuplutką, zgryźliwą, powarkującą na wszystkich Magdę, która klęła jak szewc, piła jak hydraulik (tylko w weekendy) i która dziś miała w zielonych oczach ciepłe iskierki. Z wyraźną przy-

62

jemnością kokietowała własnego faceta i pozwalała mu się poklepywać. Bo akurat był. A jakby go nie było, to odruchowo uwodziłaby wszystkich pozostałych. Aż panom języki zwiśłyby na brody. I zostały tak do wiosny, bo Magda na flirtowaniu zazwyczaj poprzestaje. Chyba że ma inny pomysł. Bo taka jest Magda. Wygląda na piętnastkę zrobioną na dwudziestkę. A zbliża się do trzydziestki. Można ją podejrzewać o wszystko, tylko nie o to, że jest szczęśliwą mamą pyskatej pięciolatki. A jest.

Gośćkę, która po dłuższej chwili wiercenia się niespokojnie, szepnęła do Andrzeja: - Chyba sobie z wrażenia zapalę - i spytawszy uprzejmie Dudusia, czy można, sięgnęła po swoje własne papierosy. Duduś łaskawie zezwolił. Siedziała teraz, delektując się zarówno fajeczką, jak i towarzystwem ukochanego mężczyzny, który tym samym przestał jej przeszkadzać. Wreszcie mogła się cieszyć, że przyszedł. Wyglądała na promienną, zadowoloną z życia kobietę sukcesu, która wie, co robi. I była nią. Trójka dzieci, własna firma, masa klientów, nowy samochód i poukładane w głowie. Czasem aż za bardzo. Ale to przecież nic nie szkodzi. Andrzej obejmował ją ramieniem, małowówny jak zwykle przy Goście i uśmiechał się ciepło.

Mnie wreszcie. Ciekawe, co też Paulinka myśli sobie o mnie. Zrobiłam krótki rachunek sumienia. Plus trzydzieści kilo w pierwszej ciąży, zostało piętnaście, plus szesnaście w drugiej (uważałam!), zostało siedem (nie uważam). Wiele lat migania się od pracy zarobkowej, dwunasty rok studiów dziennych (na tym samym kierunku), beczka piwa na miesiąc (przez ostatnie dwa miesiące, przedtem długo nic. Ale nadrabiam). Hmm.

- Gapię się na ciebie, bo może się zagapię i trochę przejdzie na mnie - wyjaśniła mi Paulina. - Jak już mam mieć młode, to niech ono będzie takie fajne jak twoja Malwinka. Chciałabym być taką spokojną, pogodną matką jak ty - powiedziała w końcu. - I mieć takie radosne, zadowolone dzieci. Zawsze, jak słucham twoich opowiadań o Babach, to myślę sobie, że strasznie miło takie mieć. Tylko dziś o tym zapomniałam. Ale już będę pamiętać - obiecała.

Zwariowała, przysięgam. Znalazła sobie ideał!

Kreślę palcem na czole wyraziste kółko, na jej użytek.

Ale już nie jest mi smutno. Nic a nic.

63

A mój mąż wraca z Gdańska już jutro! I weźmie tydzień urlopu!

I pójdziemy razem do kina, do wanny, do łóżka, do szkółki po róże, do restauracji na pierogi smażone, do ZOO z dziewczynami, do Parku Wodnego i do Dudusiów.

I do Banasia, rzecz jasna.

I będziemy balować do świtu!

Stan posiadania

Jedna z moich koleżanek bardzo mi zazdrości.

Wszystkiego, co mam.

Sama mi wyznała, na imieninach innej koleżanki. Po dwóch flaszki wina per capita. Na trzeźwo mnie zwykle omija. Teraz już wiem, czemu.

Bardzo nie lubię budzić w bliźnich niechęci. Ale nie mogę, dla dobra koleżanki, zrezygnować z

mojego stanu posiadania. Nawet nie wiem, co ją denerwuje w szczególności, bo szybko oprzytomniała i zmieniła temat.

Siedzę cichutko w kąciku i zastanawiam się, co też ja takiego mam:

Mam dwie córki. Mam dwa koty. Mam męża. Jednego. Za to sporej wielkości.

Mam dwadzieścia lat. Ukończone dziesięć lat temu. Mam dom, nieukończony. Przy nim ogródek wielkości dwóch perskich dywanów. W ogródku duży bałagan i małego klona palmowego.

Dostałam go na urodziny. To znaczy klona. Bałagan zrobiłam sobie sama. Kiedyś urośnie. Klon.

Bałagan też nie zmaleje, obawiam się.

Mam za sobą burzliwą młodość. Mam przed sobą dwa kubki z kawą. Jeden pusty. Drugi też pusty.

Mam powyżej uszu doktora H.

Nie mam zaliczenia. U doktora H. Nie jestem w jego typie. Albo jestem. W każdym razie byłam u niego już czwarty raz i wróciłam na tarczy. Pójdę piąty. Nie mam pojęcia, czy ubrać się lepiej, czy też może gorzej. I tak pójdę w tym, co mi się uda odkopać z garderoby.

W garderobie też mam bałagan.

64

Nie mam w torebce chusteczek higienicznych. Nie jestem kobietą elegancką. Dokładnie rzecz biorąc, nie mam torebki. Mam plecaczek. Z wielbłądem. W moim wieku. To znaczy, w moim wieku to śmieszne. Jeszcze mam wielką turkusową torbę. Z kotkiem. W torbie noszę fartuch, stetoskop, obuwie zastępcze, zeszyt i długopis, niemowlęcą skarpetkę, smoczek anatomiczny lateksowy, podręcznik do okulistyki, jeden dość idiotyczny kryminał, ale ciekawszy niż okulistyka, „Gazetę Wyborczą” z encyklopedią gratis, trzy różne rękawiczki, w tym jedną gumową, chleb, żarcie dla kotów w kartonie i piwo dla męża w puszkach, sztuk cztery. Stan na dzień dzisiejszy, godzinę osiemnastą.

Mam boczne skrzywienie kręgosłupa. Scoliosis lateralis. Ciekawe dlaczego.

Czekając na radiowóz

Siedzimy w Smutnym Banasiu i czekamy na akustyka. Zawezwała nas Magda na pomoc, bo musi pilnować koncertu, a jest szalenie śpiąca, bo przez ostatnie trzy dni była na konferencji. Nie wiadomo, co gorsze. Na koncertach TEŻ rzygają.

Pomoc ma polegać na towarzyszeniu jej, żeby nie zasnęła. Nie musimy słuchać koncertu. Chcemy wyjść, jak tylko akustyk się zjawi. Przy czym „jak” oznacza „jeśli” w przypadku wszystkich ludzi z tak zwanego świata sztuki, wliczając w to również obsługę sceny i przedstawicieli handlowych (dobra promocja to też sztuka). Nie mówiąc już o wschodzących gwiazdach wielu zespołów. W każdym razie punktualności we krwi to oni nie mają. Może nie rozpuszcza się w alkoholu.

Przebijają ich jedynie chirurdzy. I księgowy Magdy. Ostatnio się spóźnił szesnaście godzin.

Umówiła się z nim na dziewiątą w Banasiu. Przyszedł przed pierwszą w nocy. Był szczerze zdumiony, że Magdy już nie ma.

Wyszła zresztą pół godziny wcześniej, zostawiając na straży Mięcia, bo na drugi dzień jechała do Warszawy. Organizować panom doktorom wspomnianą wyżej konferencję na wysokim poziomie. Trzy godziny wykładów, godzinna debata, jeden konkurs z nagrodami i dwa dni zabawy po pachy. Sauna, kręgielnia, bilard i basen. Czyli niezbędna oprawa do dyskusji na temat mikroura-

65

zów w mózgu. Do wywoływania mikrourazów u uczestników sympozjum zastosowano najwyższej klasy alkohol gratis. Serwowany już w autokarze.

W związku z czym w dojeżdżającym do Warszawy autobusie zaistniał podział na bufet z palarnią z przodu oraz chór z tyłu.

Chór miał szeroki repertuar. Od pierwszej brygady, przez głęboką studzienkę, po kolorowe kredki. I ułanów pod okienkiem. I górala, co mu nie żal. Przeplatane gęsto ulubioną przyśpiewką anestezjologów i chirurgów, czyli „Polej przez Foley, bo dzięki tej rurce ja mogę dziś pić/ Polej przez Foley, alkohol nie robi mi nic!”. Nieuświadomionym medycznie wyjaśniam, że cewnik Foleya to taka rurka, wkładana pacjentom do pęcherza przez cewkę moczową. Błę.

Droga powrotna z konferencji wygląda zgoła inaczej. Bo panowie doktorowie mają żony i dzieci. I odpowiedzialną pracę. W drodze do domu panuje głębokie milczenie, przerywane

pochrapywaniem. Wszyscy próbują odespać wyczerpującą fizycznie i psychicznie konferencję. Nauka to poważna rzecz i wymaga poświęceń. Zarzanych nocy. Rozłąki z rodziną. Itepe. Nadal siedzimy w Banasiu. Magda przysypia, bo właśnie wróciła, a w autokarze nie umie zasnąć. Marzymy o ewakuacji. Metaliczni bekają nam nad głowami tudzież wydają inne fizjologiczne odgłosy. Musimy jednak pozostać w pobliżu, gdyż koncert należy do gatunku tych większych. Występują zespoły o nazwach brzmiących bardziej medycznie niż tematy wykładów na Magdy konferencjach. Niektóre po łacinie. Duodenum jejuni. Czyli dwunastnica. Diarrhoea. Czyli biegunka. Infarctum cerebelli, czyli zawał mózdzku. Wszystkie ryczą ochryple, jakby miały laryngotracheobronchi-tis. Czyli zapalenie gardła i tchawicy. I oskrzeli. Co jest, do licha, z tą młodzieżą?

Przyleciał akustyk, chwala mu za to, z obłędem w oczach i zwojem kabli w ramionach. Podłączył towarzystwu wzmacniacze. Żeby mogli poryczeć sobie jeszcze głośniejsze. Ciekawe, co na to sąsiad na diecie.

Liczba interwencji policyjnych dotyczących głośności w lokalu Smutny Banaś zależy bowiem ściśle od fazy diety, w której znajduje się jeden z sąsiadów.

Ponieważ ten pan od czasu do czasu przechodzi na dietę. Kopenhaską. Dieta trwa trzynaście dni. Pierwszego dnia pan sąsiad

66

jest uśmiechnięty. Radosny, bo zaczyna nowe życie. Pogodnie usposobiony do świata. Mówi „dzień dobry” na ulicy, uśmiecha się pobłaźliwie i nic mu nie przeszkadza. Jak w Banasiu jest impreza, to wkłada sobie do uszu stopery truskawkowe i idzie spać. W czwartym dniu diety sąsiad ma organizm oczyszczony z toksyn i budzi się w nim energia. Oraz chęć naprawy świata. Świat przestaje go zachwycać, ale na razie ufa, że poradzi sobie sam. Zaczyna od skrzynki elektrycznej, w której znajdują się bezpieczniki. Także te od Banasia. Odczuwa nieprzeparty pociąg do manipulacji elektrycznych i jeśli jego zdaniem impreza trwa zbyt długo, po prostu te bezpieczniki wykręca. Barmani, zaopatrzeni z góry w zapasowe, chodzą parami je wkrecać. Pan, osobnik dość nikielnej postury, nie wdaje się w dyskusje z dwoma typkami o posturze byczków, tylko się zaczaja. Jak pójda - wykręca. Zwykle nie wraca od razu do domu, tylko czeka, aż chłopcy przybędą ponownie. Barmani też odczekują jakieś pół godzinki przy wtórze bębnow i śpiewu tłumu, aby pan na klatce uległ wychłodzeniu i jednak poszedł sobie do mieszkania, po czym idą z eskortą wkrecić nowe korki. Pan, o ile chce mu się wyłączyć z łóżka, schodzi do piwnicy i wykręca. I tak do rana. Bezpiecznikami z Banasia mógłby już sobie wytapetować mieszkanie. Może sprzedaje je na placu i zarabia na fajki.

Na szósty dzień w organizmie pana sąsiada zaczyna się faza katabolizmu, czyli trawienia własnych zasobów, i w panu zaczyna narastać agresja.

Przestaje mówić „dzień dobry”. Zmysły ulegają wyostreniu -z wyjątkiem jednak wzroku, bo gubi stopery. Słyszy szuranie krzeseł przy górnym barze. Słyszy nawet szelest faktur i zasilacz kasy fiskalnej. Szuka pomocy w niebie i na ziemi. Wysyła pisma. Dzwoni na policję. Policja przyjeżdża i przysłuchuje się pilnie koncertom w Banasiu. Niekiedy nawet z upodobaniem. Najbardziej lubią muzykę celtycką. Spisują notatkę, dane personelu odtwarzając z pamięci. Bowiem znają je już na pamięć.

Nadchodzi dziesiąta doba, panu ubywa energii i zaczyna się poprawa. Jest pogodniejszy. Bardziej zrezygnowany. Znajduje stopery.

Chyba że, nie daj Boże, naruszył zasady diety. Wtedy koszmar. Głównym winowajcą jest Banaś, bo zdenerwowany człowiek, obudzony w środku nocy, nie myśli o tym, co je. I musi całą dietę zacząć od początku.

67

Wypłoszone przez ryczącą młodzież, upajającą się wizją śmierci i rozkładu w rytm muzyki metalowej, siedzimy w pobliskiej knajpie. Magda podtrzymuje powieki, żeby jej się nie zamknęły, i ubolewa, że nie zasięgnęła wywiadu w sprawie pana sąsiada. Jeśli jest w fazie katabolicznej, to przerabane. Radiowozy sznurem. A ona w cywilu. Bez sweterka.

Albowiem Magda posiada jeden szczególnie sweter. Czerwony z dużym dekoltem. Jest to

podręczny sprzęt do osławiania policjantów. Zwłaszcza tych, którym nie chce się wysiadać z radiowozu. Magda pochyla się wdzięcznie, pchając sweterek wraz z zawartością w okienko, przy czym przedziałek oddzielający jedną zawartość od drugiej widnieje tuż przed nosem stróża porządku publicznego, i pyta mięciutkim głosem, o co chodzi tym razem. Panowie są mili i uprzejmi, choć spisują, bo muszą, ale to akurat Magdzie nie przeszkadza. Tylko nie lubi wysłuchiwać kazań.

Bez sweterka atmosfera jest bardziej oficjalna i można się narazić na uwagi krytyczne. Siedzimy, czekamy na ewentualne wybryki młodzieży metalicznej i sączymy leniwie piwo. Gadamy sobie o tym i o owym.

Zrządę, bo Miśka znów choruje na jakąś ciekawą chorobę - głowią się nad nią zastępy lekarzy państwowych, prywatnych i spokrewnionych. Jutro idziemy robić testy skórne.

I mam w domu kota w żałobie. Jest po zabiegu, cycki mu wycięli, i liże sobie szwy. A nie powinien. Więc mu sporządziłam gustowny kaftanik z nogawki od grubych zimowych rajstop bawełnianych. Czarny. Bez przerwy go ściąga. Zaszylałam ubranko od góry, robiąc szykowny golfik, gdyż przyłapałam go na wyłożeniu z niego górą. Zdjął dołem. Zaszylałam od dołu. Jak zdejmie, to przyszyję ubranko do kota i będzie miał nowe szwy do lizania. Może odczepi się od tych starych. Poza tym dziecko mi się wyraża. I tak zresztą, biorąc pod uwagę słowne wspomaganie kierownicy przez tatusia, oraz wszelkie komendy wojskowe lecące od komputera, Miśka wysławia się nadzwyczaj kulturalnie.

Wczoraj usypiałam obie baby, czytając im książeczkę, podczas gdy tatuś rozgrywał przez Internet sparing klanowy, cokolwiek to znaczy. Jako oficer. Hamował się mocno, bo pora była wczesna,

68
niemniej jednak dobiegały do nas strzępki komend i terkot broni maszynowej. W pewnym momencie rozległ się potężny wybuch. Pewnie granat.

- Kurrrr...! - ulżył sobie mój mąż i ugryzł się w język. Miśka wzruszyła ramionami pod kołdrą.
- Cóż, zajębali nam tatusia... - westchnęła sennie. Stłumiłam drgawki i wystosowałam pouczenie o słownictwie kobiet eleganckich.

Za chwilę do sypialni wparował mój mąż, po drodze do łazienki, ponieważ zgodnie ze słowami córeczki właśnie go za...bili. I miał jakieś pięć minut, zanim zmartwychwstanie. Chciał rzucić okiem na efekty własnej pracy, gdyż po południu talent go męczył i pomalował łazienkę na fioletowo.

- Tu mi trochę nie wyszło... - pozałił się, wskazując na ścianę. Wyplątałam Malwinę z moich włosów (dalej, zasypiając, wisi mi na kłakach) i wylałam z łoża, by ocenić dzieło.

- Nie jest źle - pocieszyłam męża szeptem. - Trochę nierówno na górze, fakt, ale tu sobie pierdolniemy jakiś szlaczek - dodałam, gdyż żargon wojskowy bywa zaraźliwy.

- Mamo, dziewczynki tak nie mówią - dobiegło natychmiast spod kołdry.

Mam dzieci-nietoperze. Jedno wplątuje się we włosy, drugie słyszy ultradźwięki.

Gośka ma dzieci z talentem plastycznym. Andrzejek, wracając ze szkoły, porysował lakier na samochodzie sąsiada.

- Niechęący! Mamo, to było zupełnie niechęący... - tłumaczył się. - Niosłem w ręce kamień i tak mi się zarysowało...

- W kształcie choinki? - zdziwiła się Gosia, bo sąsiad zdążył jej zaprezentować dzieło. - Z gwiazdą na czubku?

Wzruszył ramionami. A czemu nie? Dzieci są zdolne. W związku z tym młody geniusz nie zobaczy grosza z nagrody w konkursie plastycznym, który ostatnio wygrał. Fakt, szczeniak ma talent. Zyski z talentu pójdą na malowanie sąsiadowi karoserii.

Bliźniaki też ostatnio popisały się uzdolnieniami. Podwójnie.

Po pierwsze, do Gośki przysłała dawno niewidziana kuzynka. Chciały sobie pogadać, więc odesłały bliźnięta do pokoju obok

69

z poleceniem, by bawiły się cichutko. Bawiły się. Tak cichutko, że w końcu Gosia zaczęła

odczuwać metafizyczny niepokój. Weszła do pokoju i ujrzała imponujących rozmiarów rakiety kosmiczną, wymalowaną czarną plakatówką na nowej zielonej wykładzinie.

Zdolne bestie. Na pierwszy rzut oka było widać, że to rakieta. Miała w środku fotele i dodatkowe zbiorniki z paliwem, smoliście czarnym, bo to była rakieta na ropę.

Dwa dni później, pouczone przez Goškę, że farbami maluje się wyłącznie na papierze, uznały, że takie malowanie jest nudne i przerzuciły się na plastelinę. Wylepiły z niej wzorek pełen kwiatów i serduszek, wprost na desce do prasowania. Dla mamusi. Trafiło na tatusia. Ponieważ pokrowiec na ich desce jest z natury pstrokaty, zaspany Andrzej nie zauważył dzieła i ozdobił sobie spodnie od garnituru fachową prasowanką. Nawet nieźle wyszła, szczególnie serduszka. Nie przypadły mu jednak do gustu i poszedł na ważną konferencję w spodniach od garnituru ślubnego sprzed lat dziewięciu. Ponieważ Gosia nieźle karmi rodzinę, spodnie były przyciasne. I całą konferencję Andrzej spędził na wdechu, starając się unikać zbytecznych ruchów. Zrobił wrażenie osoby stanowczej, świadomej swej wartości i doskonale opanowanej.

Agatka, córka Magdy, ostatnio jest grzeczna. Ale dotarło do niej nagle, że zjada zwierzęta. Miłe.

Niewinne. Z oczkami. I teraz Magda ma w domu wegetariankę ideologiczną. Młoda drukuje Magdzie z Internetu zdjęcia zarzynanych zwierząt. I wiesz na lodówce. Drukować potrafi. Też jest zdolna. Magda mniej. Umie zablokować strony z pornografią, nie umie ze zdjęciami z rzeźni.

Smarkata świetnie posługuje się wyszukiwarką. Magda narzeka, że ostatnio schabowy jej w gardle staje. Goška jej poradziła, żeby zepsuła drukarkę. Potem uznałyśmy, że lepiej wynieść. Nie mamy pewności, że młodzież nie umie naprawiać drukarek.

Anka rechocze, bo sama jest wegetarianką. I na razie nie ma dzieci. Ma za to dyżury.

Zaczęła w poniedziałek. Przeżywała ten fakt, jak mrówka okres. Dzwoniłyśmy do niej koło południa, spytać, jak leci. Okazało się, że nie może rozmawiać, bo przywieźli jej karambol. Na krakowskiej obwodnicy jakiś idiota przyhamował na widok mgły i wjechały mu w dupę pięćdziesiąt cztery samochody. To znaczy wjechały w siebie wzajemnie. Na sąsiednim pasie kolejny błyskotliwy tak się

70

zagapił na zjawisko, że wjechały mu kolejne osiem. W tych samochodach byli poszkodowani na ciele w różnym stopniu i to wszystko przyjechało do Anki szpitala, sprawiając, że zaczęła pracę mocnym uderzeniem. Około dwudziestej trzeciej przysłała mi wiadomość: „Ha. Usiadłam na chwilę”. Po czym wstała i ruszyła do kolejnych zabiegów. Wczoraj z kolei była faza na meneli. Jeden przyjechał przypięty pasami, obliczem do dołu. Okazało się, że karetką pojechała na Wielicką, typowe wezwanie do nieprzytomnego. Zgarnęli gościa zalegającego na przystanku. Po czym w karetce nieprzytomny oprzytomniał i skopał personel. Obsługa karetki poczuła lekką irytację i zamieniła gościa w baleron pasami od noszy. Na oddziale kończyny pana nadal wykazywały niepokojącą ruchliwość, więc Anka się zdenerwowała. Nie wiedziała, że zawód anestezjologa jest aż tak ryzykowny. Teraz już wie.

Tego samego dnia doświadczył tego również doktor C. Bynajmniej nie w ramach ostrego dyżuru. Skąd. Przy absolutnie przewidywalnym, planowym zabiegu. Rutynowo uśpiony i pokrojony pacjent po skończonej operacji był budzony przez doktora C. Delikatnie, gdyż doktor C. jest mężczyzną nieśmiałym i wrażliwym. Jak każdy gej. Doktor poklepywał więc swojego pacjenta w policzek, starając się go obudzić. Pacjent spał. Doktor C. klepnął więc odrobinę mocniej. Pacjent zareagował na bodziec i sprzedał doktorowi potężną tubę prosto w lewe oko. Po czym dopiero odzyskał świadomość. Kajał się potem strasznie, tłumacząc, że uruchomiły się w nim odruchy zawodowe, z zawodu jest bowiem ochroniarzem. Doktor C. przebaczył.

I założył czarne okulary.

Poza tym przyjechał jeden minimalista. Wszedł do dyżurki krokiem marynarskim, na szerokiej podstawie, i zażądał widzenia się z doktorem. Podeszła Anka, bo doktor C. udał się właśnie do drugiej dyżurki położyć sobie kompres na lewe oko. Pan wyraził niezadowolenie i uściślił swe żądania. Potrzebuje się widzieć z lekarzem mężczyzną. Anka wzruszyła ramionami i poszła przerwać doktorowi C. kontemplację lewego oka. Doktor C. westchnął, zastanowił się głośno, czy gej panu wystarczy, i oderwał się od lustra. Założył czarne okulary i zamknęli się z wymagającym

pacjentem w gipsowni. Na klucz, zgodnie z życzeniem pacjenta. Po pewnym czasie podsłuchujące z sąsiedniej dyżurki Anka i dwie pielęgniarki

71

usłyszały stłumione okrzyki i coś jakby sapanie. Siostra oddziałowa uniosła brwi. Nagle tuż przy drzwiach rozległ się głos wyraźnie uradowanego pacjenta:

- Świetnie pan sobie poradził, panie doktorze. Jestem bardzo wdzięczny, naprawdę. A już myślałem, że mi fiut odpadnie! Ogromnie dziękuję! Głupio mi, że w takiej nietypowej sprawie, ale w końcu lekarzowi nic co ludzkie... Liczę na dyskrecję, panie doktorze.

Doktor C. chyba zaniemówił, bo jego głosu nie słyszały.

Anka i pielęgniarki popatrzyły na siebie. Drzwi od gipsowni otworzyły się z impetem i wypadł z nich pacjent, przeleciał do wyjścia jak pocisk i znikł bez pożegnania. Po chwili z gipsowni wyszedł doktor C, czerwony jak burak i osunął się na krzesło.

- Ja nie mogę... Słuchajcie! - zaczął, po czym parsknął śmiechem, ukrył głowę w dłoniach i piał przez dłuższą chwilę, spazmatycznie łapiąc oddech.

Anka i pielęgniarki posłusznie słuchały, patrząc na niego bez słowa.

- Miał kółko - wyjaśnił krótko doktor C, ocierając oczy. - Od kluczy.

- Gdzie? - spytała Anka odruchowo.

- W nosie! - Doktor przewrócił oczami - A jak myślisz? Gdzie mógł mieć kółko, skoro nie chciał tego pokazać kobiecie?

- I co? - spytała jedna z pielęgniarek, zawierając w tym pytaniu bezmiar swego zdumienia.

- Nic. Zwykle, cienkie kółko od kluczy. Ugrzęzło mu w połowie blokując odpływ krwi. Koniec penisa spuchnięty i fioletowy, wypisz wymaluj jak moje oko, przy podstawie zaś dętka. Razem było to coś na kształt sporej gruszki, przez którą to kółko zejść już nie mogło. A metal bardzo porządny, nie jakaś tandeta. Przeciąć nie mogłem, męczyłem się z pięć minut.

- Słyszałyśmy - powiedziała Anka słabiutko i wszyscy dostali drgawek.

Po namyśle uznali, że pan ich rozczulił. Niewiele chciał od życia. Inni się męczą, zdobywają kobiety. Albo mężczyzn. A temu wystarczyło cienkie stalowe kółeczko. Aby dostarczyć naprawdę mocnych wrażeń - zakończyła Anka swój występ. Przebił nawet rakietę.

Siedzimy. Zrzedzimy. Dołączył Duduś; uśpiwszy rodzinę, przyszedł na jedno piwo. Potem jeszcze jedno. I kolejne. W sumie każ-

72

dorazowo pił tylko jedno. Czyli dotrzymał postanowienia. On przynajmniej miał same dobre wiadomości. Wczoraj był na rozmowie kwalifikacyjnej w sprawie pracy. Przed tą rozmową nosił przez chwilę synka po karmieniu, aby się młodemu dobrze odbeknęło. I odbeknęło się - na tyle dobrze, że Duduś odbył rozmowę w marynarce ozdobionej z tyłu kaskadami serka. O czym nie wiedział, dopóki pani sekretarka, przechodząca obok, nie szepnęła mu do uszka, że chyba dostał się w zasięg wyjątkowo dorodnego ptaka. Ten komentarz w zasadzie mogła sobie darować, więc albo jest głupia, albo złośliwa. Duduś jęknął i rzucił się natychmiast do zdzierania z siebie i oglądania marynarki, co nieco zdziwiło panią od zarządzania zasobami ludzkimi, z którą akurat rozmawiał o oczekiwaniach finansowych. Pani się wzruszyła, pogadali chwilę o zupkach i kupkach, po czym Duduś, jako troskliwy ojciec rodziny, został przyjęty. Zadzwonili do niego, ledwie wyszedł z budynku. Pani okiem nie mrugnęła na zaśpiewaną przez Dudusia sumę, którą troszeczkę zawyżył, żeby mieć pole do negocjacji.

- A tak właściwie to powinienem być gejem, nie sądzicie? - oświadczył nagle, wprawiając nas w osłupienie.

- A to niby czemu? - zainteresowała się Magda. - Żona ci dokucza?

- Może pozazdrościł doktorowi C. mocnych wrażeń. Do tego trzeba być medykiem, nie gejem.

Orientacja seksualna nie ma tu nic do rzeczy - powiedziała Anka.

Duduś pokręcił głową.

- Nie o to chodzi. Chodzi mi o grono, w którym się ostatnio najczęściej spotykamy. Same baby i ja. W każdym filmie tak jest. Grono lasek i ich przyjaciel gej. A ja nie jestem gejem. Więc nie jesteście trendy, bo nie spełniam warunków.

- Trudno. Nikt nie jest doskonały - Magda poklepała go po ramieniu. - Kochamy cię takim, jaki jesteś, nawet hetero. To się nazywa akceptacja, Dudusiu nasz miły. Pełna akceptacja. Z kopytami. Dudek, wzruszony, pomyślał chwilę.

- A właściwie czemu tak jest? Czemu ja ciągle piję z kobietami?

- Z mężczyznami też pijesz - przypomniałam mu. - Na przykład wczoraj z moim mężem.

Gośka zachichotała.

- Widzisz, Duduś, to proste. Wczoraj pili nasi panowie. My sie-

73

działaliśmy z potomstwem. Dzisiaj pijemy my. Nasi panowie zostali z potomstwem. A twoja żona nie lubi chodzić po knajpach i dlatego ty jeden jesteś uniwersalny. Człowiek renesansu.

- Nie będę gejem - zdecydował Duduś. - Kocham moją żonę.

Siedzieliśmy do rana, pijąc z przyzwyczajenia. To się nazywa alkoholizm. Napadowy.

A koncert odbył się bez zakłóceń. Pan sąsiad był w trzynastej dobie i nie miał siły się ruszać.

Dyżur

I znów, w ramach tak zwanego świadomego zarządzania czasem własnym - widziałam ostatnio poradnik do czegoś takiego, ponoć megabestseller; może powinnam kupić? - zamiast na zajęcia z psychiatrii, udałam się do pewnej zaprzyjaźnionej kawiarni; na swoje usprawiedliwienie dodam, że w celach naukowych. W tym tygodniu bowiem mija mi ostateczny termin zaliczenia z interny, którą z kolei opuściłam, aby spokojnie przygotować się do zaliczenia zajęć z pediatrii, tych opuszczonych z innych ważnych przyczyn, a jakich, to już nie pamiętam. Gdyż, jak wiadomo, jestem osobą notorycznie żyjącą do tyłu. To znaczy, że 70 procent mojego życia poświęcam na załatwienie spraw, które powinnam była załatwić w dalszej lub bliższej przeszłości. Wskutek tego w oku mam zawsze mniejszy lub większy obłęd. Pozostałe 30 procent życia to czas najedzenie i spanie - informuję, żeby nikt nie miał złudzeń. Choć ja je jeszcze czasem mam. Ale akurat nie dziś. Dziś, w związku z przesiedzeniem zajęć w knajpie, udaję się za karę na ostry dyżur. Zamiast do knajpy, czyli do Banasia, gdzie Duduś wyprawia urodziny. Nie informuje które, ha, ha. Czasem dorównuje kokieteryi doktorowi C, choć inaczej. Po prostu urodziny. Ale ja i tak wiem - nie jeden raz prosił mnie o załatwienie zwolnienia lekarskiego z licznych obowiązków służbowych i prywatnych, przekraczających jego wątłe siły. O czym najwyraźniej zapomniał, informując mnie, że nie powie, które urodziny. Wdzięczność ludzka nie ma granic.

Kurcze, zrządzą jak własna babcia.

Podążam więc na ten nieszczęsny dyżur, czyniąc po drodze liczne mocne postanowienia poprawy i życia od tej pory wyłącznie do

74

przodu, czyli załatwiając wszystko błyskawicznie i na zaś, tak, aby mieć z głowy i spędzać masę czasu na radowaniu się ze swojej zapobiegliwości i zaradności. Na przykład pijąc z czystym sumieniem i w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku. Bo obecnie piję z poczuciem winy i marnowania cennego czasu. Ciekawe, czy taki komfort psychiczny imprezowicza jest możliwy? A na kacu? Czy możliwe jest poczucie dobrze spełnionego obowiązku na kacu? Czy też jest to absolutnie wykluczone, że tak powiem, biochemicznie? Podejrzewam, że jednak wykluczone. Po prostu aldehyd działa na komórki mózgu w ten sposób, że wydobywa z nich poczucie winy...

W Banasiu będzie dziś niezła impreza. Ostatnio w ogóle mają ciąg ciekawych imprez, mniej lub bardziej nadwerężających zdrowie psychiczne i fizyczne całej ekipy. O moralnym wspominać nawet nie warto... Skutki bywają różne. Ostatnio impreza była taka, że barman Pawełek, przyłapany na braku biletu w autobusie nocnym, dał wypisać sobie mandat, który następnie podpisał wyraźnym drukiem, w miejsce imienia i nazwiska pisząc „mam to w dupie”, co zresztą odkrył następnego dnia, przeszukując kieszenie w poszukiwaniu drobnych na taryfę do pracy. Kanary bowiem nie zareagowały na ten oryginalny podpis. Pewnie też miały tam, gdzie Pawełek. W końcu spisały jego personalia, więc i tak będzie komu wysłać mandat. Choćby podpis miał nie wiadomo jaki.

Ponadto parę popisów dał ostatnio Gibelec, jeden śmieszny ra-stafarianin, przygarnięty przez Magdę po rozpadzie dobrze rokującego, ale fatalnie się prowadzącego zespołu muzycznego.

Pracuje w Banasiu jako chłopiec od szklanek, czyli skrzyżowanie kelnera, zmywarki i stróża

moralności (z różnym skutkiem). Przyjęła go z uwagi na umiejętność gry na bębnach afrykańskich, przydatnej w razie wyłączenia korków przez sąsiada, oraz szczególnego talentu do wplątywania się w najdziwniejsze sytuacje, które dostarczają rozrywki i wzmagają ceniony w towarzystwie klimat absurdu. Pracowitość nie należy do jego dodatkowych atutów.

Ostatnio Pawełek widział na własne oczy, jak Gibelec sprzątał kufle w końcowej fazie imprezy. Sam Gibelec też był w końcowej fazie. Warto wiedzieć, że z sal na dole do sali barowej prowadzi długi, wąski korytarzyk. Tymże korytarzykiem podążał Gibelec, berecik na oczach, pięć kufli w jednej ręce, cztery w drugiej, gdyż

75

przezornie nie wziął tacy. Miotnęło go porządnie raz na lewo, raz na prawo, wszedł w kontakt ze ścianą, potem z przeciwległą, otrzepał się i dzielnie dobrnął do baru.

Przy barze dopiero zorientował się, że kufłom w jego dłoni ubyły dna. Pawełek mało się nie posikał z radości. Magda mniej się cieszyła.

Tymon z Mietkiem tańczyli na barze. Tymek zdjął koszulę i rzucił w wiwatujący tłum, po czym zdjął również pasek od spodni i rzucił Magdzie prosto w oko. Zapiszczała cienko, a wraz z nią inne laski, myśląc, że tak trzeba. Rozebrali się do bokserek, przy czym okazało się, że Mietek ma gacie w różowe słoniki.

- Na pewno ma babę - westchnęła z zalem jedna ze stałych klientek, wielbicielka Mięcia.

- Czemu tak sądzisz? - spytała ją koleżanka, obserwując, jak Mićcio wije się konwulsyjnie wokół żelaznego świecznika.

- A co ty myślisz, że sam sobie takie kupił? - spytała z goryczą wielbicielka, wskazując na gacie.

Pytaliśmy Mięcia. Dostał od byłej. Ale aktualną też ma. Od niej ma w biedronki.

Przyznałam się ostatnio Banasiom, że prowadzę zapiski. Tymon złapał się za głowę.

- Rany kota, zmień chociaż inicjały! - wyjęczał cichutko. Zmieniłam.

Dziś mogą spać spokojnie. Idę na dyżur, no nie?

Doszłam. Specyfika mojej obecnej sytuacji polega na tym, że część personelu i pacjentów jest mi dość dobrze znana. Personelu, bo stanowią go ludzie z mojego roku, którzy skończyli studia w przepisowym terminie i teraz są już doświadczonymi lekarzami w trakcie specjalizacji. Albo nawet tuż po. Mówiłam, że jestem opóźniona w rozwoju. Pacjentów, bo miewam różnych dziwnych znajomych, także takich, którzy spędzają tu, w pewnym sensie, urlopy. A ja ich odwiedzam i donoszę papierosy - uniwersalną walutę wymienialną oraz źródło radości i wytchnienia. Ale nie będę psychiatrą. Nie będę. Nie będę.

Tak sobie tłumaczę.

Weszłam na oddział, zameldowałam się lekarzowi dyżurnemu, szczęśliwie tym razem z pokolenia wyżej. Mniejsza żenada. I dostałam pacjenta do zbadania, czyli zebrania wywiadu.

76

Siedzę w kącie, rozmawiam z miłą dziewczyną w moim wieku, której bardzo skomplikował się życiorys, i myślę o cienkiej granicy, jaka oddziela świat chorych i zdrowych, przynajmniej w tym miejscu. Przecież ja też byłam kiedyś w podobnej sytuacji jak ta dziewczyna. Przynajmniej na początku jej historii. Tyle że u mnie wszystko skończyło się dobrze. U niej źle. Ja spędzam życie w domu z ogródkiem. Ona tu. Można powiedzieć, że ona jest po prostu chora. Jej mózg robi z rzeczywistością coś, czego mój nie robi. Ale czy na pewno? W jej historii można znaleźć motywy, które są mi bliskie. Rozumiem je. Widzę, w którym momencie nauczyła się radzić sobie z życiem poprzez chorobę. Ja nie musiałam. Trafiłam na dobrych, mądrych ludzi, którzy postawili mnie do pionu i towarzyszą mi. Nie jestem pacjentem. Ale nie jestem też lekarzem, choć powinnam już nim być. Jak zwykle pośrodku.

A przecież ja to wszystko, do cholery, pamiętam. Poranną niemożność wyjścia z domu. Nawet nie strach. Opór. Nie już. Żeby wyjść do szkoły, musiałam przebijać się przez niewidzialny mur. Robiłam to, strach przed rodzicami działał w drugą stronę - i zwyciężał. Dopóki mieszkałam z rodzicami. Niemożność włączenia telewizora. Albo radia. Chyba bałam się złych wiadomości. Albo samego sprzętu. Jeszcze wybuchnie. Duszno na samą myśl. Do dziś, będąc sama w domu, nie włączam radia. Bardzo lubię, jak coś gra, jeśli włączy kto inny, i nie odczuwam już wyraźnego

lęku. Ale sama nie włączę. Nie wolno. Pamiętam zaklinalnie rzeczywistości. Małą, fosforyzującą figurkę, tandetę z Częstochowy, która miała mnie ostrzec przed niebezpieczeństwem. Zgasnąć, jeśli zbliża się coś strasznego. Pamiętam, jak budziłam się w nocy po kilkadziesiąt razy, żeby sprawdzić, czy jeszcze świeci. Jak odmawiałam długą, skomplikowaną modlitwę, wymieniając wszystkie możliwe zagrożenia, przed którymi zebrałam ocalenia. Starannie, w odpowiedniej kolejności. Jeden błąd i od początku. Podczas modlitwy nie wolno było pomyśleć o niczym złym ani brzydkim, bo się wtedy nie liczyła, więcej, mogła mieć efekt zgoła odwrotny. Więc za karę trzy razy. A potem trzy razy po trzy razy, dla pewności. I bez błędu, bez jednej niewłaściwej myśli. Spróbujcie policzyć do dziesięciu NIE MYŚLAĆ o małpie. Udało się? Gratulacje. Ode mnie i od konia z rzędem. Czasem klęczałam długo w noc, wpadając w coraz większe przerażenie. Pamiętam przechodzenie przez drzwi. Trzeba było

77

trącić obiema rękami o framugę, jednocześnie i z tą samą siłą. Pamiętam, jak boleśnie swędzi całe ciało, jeśli stuknie się jedną ręką zbyt mocno. Trzeba wtedy przejść przez drzwi jeszcze raz. Tym razem stukając mocniej drugą ręką. A potem jeszcze raz, tym razem równo. Pamiętam złe, wykrzywione twarze ludzi w tramwajach. Ludzi, którzy tylko czekają na potknięcie, na chwilę słabości. Nie po to, by pomóc. Po to, by wyśmiać. Pamiętam, jak bałam się, że nie wytrzymam i zacznę wrzeszczeć na współpasażerów. Pryśnie otoczka normalności i wszystko się wyda. Nie jeździłam tramwajami sama. Chodziłam na piechotę lub wydawałam kieszonkowe na taksówki. Albo te kąpiele. Bałam się szumu leżącej się wody. Sprawiał mi wręcz fizyczny ból. Napuszczalam sobie pełną wannę, wyłączałam wodę, sprawdzałam kurki, czy na pewno są zamknięte, również te od umywalki, i dopiero wchodziłam do wody. Dostawałam amoku na wyjazdach, gdzie był tylko prysznic i dokonywałam ekwilibrystyki, próbując umyć się w umywalce, napuściwszy do niej wody.

A równocześnie byłam bardzo aktywna po przebiciu się przez poranny mur. Uczylałam się świetnie, organizowałam imprezy, odwiedzałam po lekcjach samotnych staruszków i znajdowałam czas na randki. Nikt nie wiedział, nawet najbliżsi, o demonach w mojej głowie. Podstępnych, niestrudzonych, złośliwych demonach, które zmuszały mnie do absurdalnych czynności i straszły, że zbliża się dzień, w którym zupełnie stracę kontrolę nad sobą. I rozwalę cały świat. Jednak, nawet nie wiedząc, co czynią, znaleźli się ludzie, którzy dali mi szansę. Mój mąż. Moi przyjaciele. Podali mi rękę. Nauczyli żyć. Wypędzili dobrocią i miłością nocne zmory z mojej głowy.

Ta dziewczyna nie miała tyle szczęścia. Dlatego jest chora, choć też jakby nie do końca. Są tu chorzy inaczej. Odmienni od ludzi, którzy siedzą bezpiecznie w domu, chronieni przez własne neurony przed dotknięciem innego, straszliwego świata. Chyba wołałabym mieć z nimi do czynienia.

Wstrząsnęła mną rozmowa z tą dziewczyną. Taka inna. Tak bardzo podobna. Jest tu już trzeci miesiąc. Czwarty raz w ciągu trzech ostatnich lat. Ma za sobą dwie próby samobójcze - jedną dość głupią, jak sama przyznaje, drugą zupełnie poważną. Przeżyła cudem. Ma córeczkę w wieku Miśki. Dawno jej nie widziała,

78

mała mieszka z dziadkami. A dziadkowie chronią ją przed matką. Żeby wyrosła na normalnego człowieka. Mówią, że mama jest w sanatorium i leczy się na gruźlicę. Nie wolno jej odwiedzać. Czasem mała przesyła jej laurki, pełne kwiatów i dziwnych, niepokojących stworzeń.

Nie idę dziś do Banasia. Chociaż wiem, że Mietek będzie tańczył w stringach. Bo przegrał zakład. O to, że zdąży donieść trzecią kupkę. Nie zdążył. Przyszła pani sanepid i wlepiła mu mandat. Zapłacił. Mimo to Magda nie darowała mu i będzie tańczył. Ale nie pójdę. Nawet na chwilę, choć wyszłam wcześniej i teoretycznie mogłabym.

Idę do domu, do mojego pięknego, ciepłego domu, na który niczym nie zasłużyłam. Wziąć dzieci na kolana i trzymać się ich mocno, jak małego, kruchego drewnianka, które utrzymuje mnie na cienkiej warstewce rzeczywistości. Wypuszczę je z ręki, tupnę nogą i będę spadać w dół i w dół, bez końca.

Tymczasem mogę jeszcze opowiedzieć Misce o wieżach Kościoła Mariackiego. Posprzątać w

szafach i w papierach. Zrobić mężowi, kiedy wróci, herbatę z cytryną.
Obudzić się w środku ciemnej nocy, przytulić policzek do jego ramienia i patrzeć, jak śpi.
Odmówić modlitwę, gorącą i bezładną, w podzięcie za darowane życie.

Mam egzamin

Za tydzień zdaję kolejny egzamin. W związku z tym przez sterty domowych śmieci przełazimy górą. Mój mąż przyjmuje to z filozoficznym spokojem, wiedząc z doświadczenia, że trzy dni przed egzaminem zacznę sprzątać, porządkować papiery, wychodzić z dziećmi na spacer i załatwiać wszystkie sprawy niecierpiące zwłoki. Jedyne, czego nie będę, to uczyć się pilnie. Nie to, żebym nie chciała, tylko nie mam czasu. Na trzy dni przed egzaminem zachowuję się jak pan sąsiad w szóstej dobie diety. Widzę wyraźnie, jak beznadziejne i nieuporządkowane jest moje życie. I znikąd pomocy. Mąż się nie wywiązuje. Nie przybił haczyków w łazience. Prosiłam go o to już pół roku temu, jak miałam poprzedni egzamin.

79

Przez następne pół roku mi nie przeszkadzało. A teraz przeszkadza. Jest mi smutno. Czuję się lekceważona. Tak mi źle, a on nic. Nieważne, że jeszcze nie wrócił z pracy i nie wie, że doskwiera mi brak haczyka. Mógł wyczuć.

Malwina chce pić. Koty chcą jeść. Teściowa chce wiedzieć, kiedy będzie chrzest i jakie planuje przystawki. Nie wiem, nie planuję. Zrobię nieplanowane.

Moja matka też chce wiedzieć, kiedy chrzest i czy mam wszystko, co potrzebne. Mam dziecko, wystarczy? A ubranie, a buty? Mam gdzieś w piwnicy. Na szczęście to drugie dziecko i żyło w pogaństwie podobnie długo. Ubranko powinno pasować.

Okazało się, że mamie tym razem chodziło o ubranko dla mnie. Czy mam odpowiednie. Jakies mam, goła przecież nie pójdę. Ale czy mam kurtkę. Nową. Bo ostatnią mam sprzed dwóch lat. No to co, że sprzed dwóch lat? Nieświeża? Utlenia się z czasem? Nie zauważyłam.

Mam jeszcze inne kurtki. Sprzed pięciu lat. I sprzed siedmiu. I z czasów przedmaturalnych. Koniecznie muszę mieć nową? Powinam. Bo w tamtej rodzina już mnie widziała. Nie widzę w tym nic przerażającego. Widziała mnie też w poprzednich pięciu. A także bez kurtki. Niektórzy widzieli mnie nawet w stroju kąpielowym i jakoś nie padli trupem.

Ale może bym jednak pochodziła po mieście i coś sobie znalazła? Ależ ja nic nie zgubiłam.

No dobra. Mogę pochodzić, mogę nawet pobiegać, byle nie teraz!

Moja matka chce wiedzieć, kiedy. Nie wiem.

Oszaleli z tym chrztem. Wkurza mnie to, trochę dlatego, że przed egzaminem wkurza mnie wszechświat.

Chrzest to sakrament. Znak przymierza. Oznacza początek przyjaźni między człowiekiem i Bogiem. Relacji zapoczątkowanej zawsze przez człowieka, z wolnej i nieprzymuszonej woli, gdyż Bóg szanuje wolność człowieka i czeka na jego gest. W naszej kulturze - na gest jego rodziców, którzy zwracają się do Boga w dziecka imieniu i za dziecko ręką.

Jest sprawą personalną. Dotyczy tego, kto ma być ochrzczony, wspomnianych wyżej rodziców, rodziców chrzestnych i kapłana. I Ojca na Niebiesiech. I nikogo więcej. Jest sprawą poważną dlate-

80

go, że określa człowieka na całe życie. I jeszcze dlatego, że dotyczy więzi z Bogiem.

Zbyt brzemienna w skutkach decyzja, żeby podejmować ją odruchowo.

To nie znaczy, że mam wątpliwości, czy ochrzcić młodą, czy nie.

Nie mam, jestem chrześcijanką. Może niezbyt ortodoksyjną i pewnie nieszczególnie to po mnie widać, ale jestem.

Tylko chciałabym mieć w tej sprawie trochę luzu. Swobodę wyboru czasu, miejsca i formy uczczenia tego wydarzenia. A tu nagonka. Nacisk, pod którym ugiąłby się Pałac Kultury. Kiedy i kiedy. Jakie przystawki. Czy wypada kupić gotowe ciasto. Czy zmieści mi się osiemnaście krzeseł. Czy ja mówiłam, że chcę zaprosić osiemnaście krzeseł? To jest, chciałam powiedzieć, gości? Nie mam zbyt wiele do gadania, oprócz tego, że gotowe ciasto mi wypada.

Umiem gotować, nie umiem piec, a pluć zakalcem gościom nie wypada.

Przed egzaminem jestem absolutnie niezbędna wszystkim naraz, i to do zadań specjalnych. Miśka

chce na spacer. Ponadto chce mieć swoją własną imprezę na urodziny. W Anikinie albo w Płazie. Ostatecznie w domu, ale z konkursami.

Cholera. Kto wymyślił urodziny?

A tak w ogóle, dlaczego bohaterem tego dnia jest dziecko, a nie matka? Przecież to matka rodziła, męczyła się, nawet jeśli miała znieczulenie zewnątrzoponowe i cierpiała mniej, niż przyzwoitość nakazuje? Dlaczego w dzień urodzin dziecka nie daje się prezentów matce, choćby zwiędłego kwiatka?

Wiem, co bym chciała dostać na urodziny Miśki: cztery tony świętego spokoju i paczkę tabletek uspokajających.

A tymczasem moje lekarstwo wychłapała Anka. Przed Egzaminem Lekarskim Państwowym. Całą flaszkę. Poszła nadziabana jak szpak i spokojna jak przydrożny głąz. Nic jej nie denerwowało. Wszystko było tylko nieopisanie smutne. Ludzie w tramwaju, koledzy z roku, komisja egzaminacyjna, pytania testowe... Zwłaszcza te ostatnie. Dwieście przypadków ludzkich chorób i nieszczęść. Starcy z miażdżycą. Dzieci z cukrzycą. Zawały. Udary. Porażenie mózgowie. Cztery arkusze bezdennej rozpacz, z którą trzeba coś zrobić. Było to nowe, ożywcze spojrzenie na wiedzę medyczną. Anka

81

walczyła z testem jak lew, starając się przynajmniej teoretycznie zaradzić nieszczęściu dwustu osób naraz. Zlecała badania, stawiała diagnozy, ordynowała odpowiednie leki i oceniała zaburzenia w EKG.

Wygrała. Poradziła sobie z imponującą liczbą stu sześćdziesięciu czterech pytań, co dało jej w sumie niezłą lokatę. Nie wie, czy uzyskałaby taki wynik, gdyby nie to nagłe zaangażowanie emocjonalne.

Nie jestem chwilowo zdolna do podobnych porywów. Przeszkadza mi trywialna domowa rzeczywistość.

Miśka znowu czegoś chce. Tym razem naleśniczki z jabłuskami. I inne rajstopki, bo te ją gryzą. Zaczęły na mój widok, w przedszkolu były w porządku. Robią się nerwowe w domu, zupełnie jak ja.

I gryzą. Ja też zaraz zacznę.

Wpadam na świetny pomysł. Babcia robi znakomite naleśniczki z jabłuskami i na pewno ma zapasowe rajstopki. Bo ja chwilowo nie mam, sprawdziłam. Wszystkie wyszły do pralni i tam oczekują na zmiłowanie.

Teraz należy pomysł wprowadzić w czyn: Miśka do babci, Mal-wina w skafander i idziemy do Anki. Zasiądę u niej pod zlewem i przeczytam jej moje wykłady.

Bo Anka ma mieszkanie wielkości pudełka od zapalek. Najwygodniej się siedzi pod zlewem, bo można rozprostować nogi.

U Anki może nie zasnę. W domu, jeśli mi akurat nie przeszkadzają, zasypiam. Ktoś mi złośliwie nasączył wykłady wziewnym środkiem usypiającym. Skuteczność stuprocentowa. Poza domem wietrzeje. Ile razy otworzę notatki u siebie na kanapie, tyle razy po pięciu minutach śpię, próbowałam sto razy. Jak sięgnę po jakieś rozrywkowe czytało albo gazetę, spokojnie mogę czytać godzinę. Jeśli w poczuciu, że jestem wypoczęta i rześka jak skowronek, sięgam po wykłady - po pięciu minutach znów śpię. Anka jest anestezjologiem. Ma wprawę w wybudzaniu. W usypianiu też ma, ale akurat nie o to mi chodzi.

Samopoczucie mi się poprawiło. Siedzę pod zlewem. Malwina na honorowym miejscu: na mikroskopijnych rozmiarów kanapie. Złożonej, gdyż rozłożona zajmuje cały pokój i przeszkadza mi rozprostować nogi.

82

Anki mieszkanie projektował wariat.

Zlew jest w pokoju, kuchenka w kiblu, kibel - na szczęście - też w kiblu. Ale już na przykład lodówka w przedpokoju. Nigdzie poza nim stać nie może, gdyż liczba gniazdek jest limitowana - jedno na pomieszczenie, a prądu w nich tyle, co kot napłakał.

Jak Anka chce wysuszyć głowę, to wyłącza lodówkę, bo inaczej korki wysiadają. Wieży należy

słuchać po ciemku, bo do gniazdka w pokoju prąd prawie nie dochodzi. Dlatego u Anki jest fajnie. Nastrojowo. Świece, czajnik z gwizdkiem, bo jakby chciała włączyć elektryczny, to powinna iść wyłączyć lodówkę sąsiadom. Malwinka do niego tańczy. Teraz siedzi na kanapie i obgryza Ance kolorowe kredki. Pół godziny z głowy. Ciekawe, że w domu to nie działa; Anki są widać smaczniejsze.

Ja zresztą też wolę kawę u niej niż we własnej kuchni.

Właśnie piję, przepyszna. Czytam na głos „Leki współczesnej psychiatrii”. Anka słucha uważnie, choć jest anestezjologiem. Powtarzamy na zmianę.

Jest lepiej.

Haczyk w łazience już mi nie przeszkadza. Kupię jakiś po drodze i przykręcę go sama.

Kiedyś przed egzaminem to było fajnie. W naszym cudownym studenckim mieszkaniu.

Cztery baby. Jeden dochodzący kot włóczęga, który sypiał z nami, jeśli akurat miał na to ochotę.

Trzech dochodzących facetów, którzy to samo, co kot, tyle że każdy pozostawał przy swojej partnerce, a kot rzadko spał z jedną przez dwie noce z rzędu.

Pani sąsiadka z góry codziennie o szóstej rano włączała na cały regulator Radio Maryja i słuchała godzinami.

Pan sąsiad z boku i jego dwoje dzieci grali na pianinie. Pianino przylegało plecami do naszego pokoju - tak nabawiłyśmy się wstępu do kultury wysokiej. Bach przyprawiał nas o drgawki. Na Mozarta miałyśmy odruch wymiotny. A Chopin - dno. Trzeba przyznać, że na pięćdziesiąt wykonań dziennie jakieś dwa były poprawne, i to raczej te, które w celach instruktażowych grał potomstwu sąsiad. A dzieci i tak godzinami myliły się zawsze w tym samym miejscu. Mówi się, że młodzież jest leniwa, że brak jej wytrwałości. Bzdura. My miałyśmy za ścianą wyjątkowo wytrwałe egzemplarze.

83

Nie puszczę dzieci do szkoły muzycznej z przyczyn humanitarnych. Mam dom w zabudowie szeregowej i słyszę, jak sąsiad śpiewa w wannie. Też fałszuje.

Mimo tych drobnych mankamentów było to cudowne mieszkanie. Tak cudowne, jak może być tylko pierwsze samodzielne lokum w złotych latach wczesnej studenckiej młodości.

Siwy dym i skrzypce.

Skrzypce były zepsute. Joaśka wyszperała na targu staroci i przyniosła do domu w charakterze ozdoby oraz ewentualnej zemsty na sąsiadach. Okazały się zbyt zdezelowane, żeby można było cokolwiek na nich zagrać, ale miały piękny kolor i szlachetny kształt. W pokoju dziewczyn na ścianie wyglądały niezwykle. Bywała u nas koleżanka z puzonem, Kaśka grała na gitarze żeglarskie przyśpiewki, a ja przyniosłam z domu flet piccolo, znakomity do grania na nerwach.

Siwy dym też nie jest przenośnią. Towarzyszył nam stale, choć dwa, może trzy razy zdarzyło się nam przesadzić z imprezowaniem do tego stopnia, że w dniu następnym nie pozostawało nam nic innego jak mocne postanowienie poprawy. Nowe życie rozpoczynałyśmy od otworzenia wszystkich okien na oścież. Wpuszczałyśmy do mieszkania świeże powietrze, Joaśka szła do sklepu po trzy kilo jabłek i skrzynkę jogurtów, Kasia chowała na dno szafy wszystkie popielniczki i wiodłyśmy nowy, zdrowy tryb życia przez jakieś pół doby. Potem opadał poziom aldehydu i przechodziły nam głupie pomysły.

W czasie sesji dni były podobne do siebie jak krople. Wypracowałyśmy z czasem określony rytm, dla innych dziwny, a dla nas w sam raz. Siadałyśmy do nauki około siódmej wieczorem i wkuwałyśmy do rana, każda nad swoją książką albo czytałyśmy coś wspólnie, na głos. Następnie, z głowami ciężkimi od wiedzy i wypalonych fajek, udawałyśmy się na orzeźwiający poranny spacer po świeże bułeczki i pewną ilość piwa. Siadałyśmy później na kamiennym murku nad Wisłą, nie mówiąc ani słowa i pociągając piwo wprost z butelek. Słońce wschodziło nam prosto w twarze. Niezależnie od pory roku pachniało świeżo skoszoną trawą i ozonem, trochę jak po burzy. Z istot żywych byliśmy tylko my oraz najwy-trwalsi menele, którzy po drodze do sklepu przystawali, mówili nam grzecznie „dzień dobry” i pytali o postępy w nauce. Czasem

84

przychodziły też dwa bepańskie psy, wskakiwały na murek i oglądały wschód słońca w absolutnej

ciszy. Po pewnym czasie - może dziesięciu minutach, może dłużej - zeskakiwały i biegły gdzieś dalej. Trzymały się dość blisko, rzuconą kielbasę przyjmowały z wdzięcznością, ale nigdy nie pozwoliły się pogłaskać. Zawsze pojawiały się oba naraz. Towarzyszył nam też nasz Włóczykij - kot, który zamienił ucho na doświadczenie życiowe. Psy nie zwracały na niego uwagi.

Potem grzecznie wracałyśmy do domu. Bułeczki trzeszczały, krojone ostrym nożem, pachniał ogórek i pierwsza poranna kawa, a tak naprawdę to ostatnia kawa, ostatnia absurdalna kawa tuż przed snem. Zaciągałyśmy dokładnie ciężkie zasłony i spałyśmy smacznie do godziny drugiej. Potem wspólnie gotowałyśmy obiadek i raczyły się opowieściami przy akompaniamencie etud i sona-tin dobiegających zza ściany. W końcu nadchodził zmierzch i należało rzucić się na wiedzę. Ciekawe, że w tamtych latach byłam naprawdę dobrą studentką. Miałam nawet stypendium naukowe. Regularność to podstawa.

Magdy studentki, te z mieszkania po przodkach, też mają egzamin. Drugi termin, bo na pierwszy zasnęły, padły ofiarą zabobonów. Mianowicie w pobliżu ich uczelni jest wiadukt. Zwykły wiadukt, kolejowy. Po wiadukcie, jak wiadomo, jeżdżą pociągi. Zapewniają one młodzieży akademickiej szczęście i powodzenie przy egzaminach. Wystarczy przebiec pod nim dokładnie w momencie, gdy górą przejeżdża pociąg. I sukces naukowy pewny jak w banku. Pod wiaduktem chodnik na chwilę zanika. Niedoświadczeni kierowcy wpadają czasem w panikę, gdy ni stąd, ni zowąd rzuca im się pod koła jakiś student i pędzi po jezdni tuż przed maską, jakby od tego zależał los świata. Jedna z Magdy studentek chodziła ostatnio z ręką na temblaku, bo zobaczyła w oddali pociąg, ale rowerzystki w pobliżu już nie. Staranowała ją z impetem, zostawiając na ramie roweru skórę z połowy przedramienia, przeleciała pod wiaduktem jak ścigany zając i dopiero wtedy obejrzała się za siebie. Ujrzała przewrócony rower i nieco ogłupiała kobietę rozciągniętą na asfalcie. W wyniku kolizji rowerzystka zaliczyła twarde lądowanie. Studentka nie, adrenalina ją niosła. Niepewna, czy natychmiastowy powrót nie przekreśli powodzenia, przez chwilę rozważała ucieczkę z miejsca wypadku, ale zauważyła pewną

85

ilość krwi. Była to krew jej własna, z ran odniesionych w kontakcie z rowerem. Pozbierała rowerzystkę jedną ręką, rozsmieszyła ją do łez, tłumacząc motywy tego nagłego ataku, i z miejsca udała się do pobliskiej przychodni, bo poczuła silny ból w miejscu po skórze. Rowerzystce nic się nie stało, jedynie stłukła sobie siedzenie.

A studentka dostała czwórkę z plusem.

Przed najważniejszym w tym półroczu egzaminem, gdy już skończyły się wszystkie zajęcia, studentki Magdy skonstatowały z przerażeniem, że cały wysiłek włożony w naukę i świeżo zdobyte zaliczenie może się okazać daremny - zapomniały przelecieć pod mostem.

W noc przed egzaminem uznały ostatecznie, że przekreśla to ich szanse na sukces. Nie wytrzymały. Zaopatrzyły się w notatki przeznaczone do przeglądnięcia pod latarnią, słone paluszki, kostkę masła i pewną ilość piwa, aby umilić sobie oczekiwanie, i poszły pod wiadukt polować na pociąg. Nie wzięły pod uwagę, że tą trasą przelatują głównie pociągi pasażerskie, nader rzadko jeżdżące w nocy. Uświadomiły to sobie dopiero na miejscu, ale postanowiły się nie poddawać. Czekwały. Doczekały się koło czwartej na jakąś zbłąkaną lokomotywę. Zgodnie doszły do wniosku, że lokomotywa luzem, jako towar rzadki, zapewnia szczęście szczególnej jakości, uznały zatem obowiązek za spełniony i ziewając nieludzko udały się na zasłużony odpoczynek. Po czym obudziły się w południe, bo zapomniały nastawić budzik. A egzamin był o ósmej. Jaki z tego morał?

Lokomotywa nie wystarczy. Musi być pociąg. Z wagonami.

Teraz ucą się znowu, pod pociągiem już przebiegły, dwa razy, bo ten pierwszy był jakiś krótki. Magda je odwiedza, odbywając wizyty na stojąco i stanowczo odmawia poczęstunku. Do wszystkich płaszczyzn poziomych można się bowiem przykleić, a w naczyniach bytują grzyby pleśniowe. Magda przyjmuje to z takim samym spokojem jak mój mąż, gdyż wie, że jej studentki również mają fazę wprowadzania ładu we własne życie. One dla odmiany zaczynają trzy dni po egzaminie, jak wytrzeźwiają.

Egzaminy trzeba spłukiwać. Najlepiej piwem w dużych ilościach, gdyż niespłukane wracają. W wypadku Magdy studentek nie jest to takie proste.

Naręczony jednej z nich limituje jej alkohol - telefonicznie zza oceanu, gdzie przebywa na półrocznym stypendium. Wyznacza jej limit - szczęśliwie na sztuki, nie w litrach - i żąda przysięgi. Standardowe pozwolenie obejmuje dwa lub trzy piwa. Dziewczyna przysięga bez większych oporów, po czym udają się wraz z współlokatorką do pobliskiej speluny, obrzydliwej, ale jedynej, w której piwo podają w kufelkach litrowych. Trzy w zupełności wystarczą, aczkolwiek trzecie bywa trudne do udźwignięcia. Potem wracają do domu, śpiewając pełną piersią pieśni mórz i oceanów, zadowolone ze swojej uczciwości i przemyślności zarazem.

Ostatnio postanowiły zakosztować innych rozrywek właściwych dla zdegenerowanej młodzieży, mianowicie nabyć i komisyjnie wypalić trawę. Czas studiów upływa bowiem szybko, zmierzając ku nieuchronnemu zakończeniu, a one w tym względzie niedoświadczone niczym dziewice orleańskie. Nie będą miały czym imponować wnukom na starość.

Zebrały się więc któregoś wieczora i poszły w miasto szukać zakazanego ziele. Obie miały raczej mętne pojęcie o tym, gdzie można je zdobyć, gdyż są to mimo wszystko bardzo porządne dziewczyny. Z dobrego domu. Upragniona rozrywka jednakże nie została im przez nikogo zabroniona, nawet przez surowego naręczonego zza oceanu. Głównie dlatego, że podobny wyczyn nikomu nie przyszedł do głowy.

Ruszyły w miasto, kierując się węchem, gdyż zapach ziele był im znany, jako że kilku kolegów z roku stale chodziło otoczonych wonną chmurą. Nie chciały jednak wtajemniczać nikogo w swój plan. Postanowiły poradzić sobie same.

Na pierwszy ogień wybrały knajpę, o której słyszały kiedyś jakieś mętne plotki. Aromat pasował. Za barem młody człowiek w czarnych okularach.

Poszeptały chwilę przy drzwiach nerwowo, po czym jedna odważnie podeszła do baru.

- Czy mogę kupić od pana trochę trawy? - zapytała grzecznie. - Słyszałam, że tu można...

Barman zmierzył ją spojrzeniem zza czarnych okularów i przechylił się przez bar.

- Skończyłem już z panią rozmawiać - oświadczył dobitnie i ponuro.

87

Studentka stropiła się.

- Ale... - spróbowała raz jeszcze.

Barman wykonał ruch, jakby chciał zetrzeć ją szmatą z powierzchni świata.

Studentka stchórzyła i po chwili obie opuściły w sporym tempie niegościnnie klub.

- Na pewno przy barze siedział jakiś tajniak... albo coś - domyśliły się. - Dlatego ten barman był taki niemiły. Wiedział, że jest pod obserwacją.

Poszły do następnego lokalu. Po drodze zmieniły strategię. Najpierw postanowiły się czegoś napić i zaprzyjaźnić z załogą.

- Teraz nie - powiedziała jedna studentka do drugiej, sącząc drugie piwo. - Teraz przy barze siedzi jakaś podejrzana cizia.

Zamówiły następne piwo. Cizia również.

- Tu będzie ciężko - zdecydowały, opuszczając knajpę. Obeszły tak jeszcze z pięć. We wszystkich bar oblegały podejrzane osoby. Próbowaly przeczekać, sącząc kolejne drinki, lecz osobnicy oblegający bufety też byli wytrwali. W końcu studentki zauważyły, że kończą się im pieniądze.

Także te przeznaczone na ziele. Narkomania to jednak cholernie kosztowna sprawa. Nic dziwnego, że większość narkomanów to żebracy.

Wracały do domu na piechotę, licząc, że może jeszcze po drodze zauważą coś, co im umożliwi kupno wymarzonego towaru. Może diler w bramie? Albo niesprawdzony jeszcze lokal? Szumiało im w głowach.

- To jest, kurczę, skandal - wybełkotała jedna, próbując wyrównać butem kostki brukowe, które wyraźnie były krzywo ułożone. Im dalej, tym bardziej. - Żeby porządny człowiek nie mógł sobie od czasu do czasu kupić małego ziele, podczas gdy różni degeneraci sobie palą i palą. Tylko nie wiadomo gdzie.

- Powinno być jakoś oznakowane - przyznała druga. - Na przykład... Na przykład... - rozejrzała się wokół - o, popatrz! - Stanęły przed ciemną bramą, nad którą wisiał krzywy neon. - Traw... ler. Pub

„Trawler”. Dobra nazwa. Próbujemy.

Weszły do środka. Za barem tkwił człowiek w czarnych okularach.

- Tu nie - zdecydowała jedna, energicznie ciągnąc za sobą koleżankę. - Tu jakby... hep... byliśmy.

88

- Widzisz, a jednak są oznakowani - westchnęła druga. - Tylko co nam z tego.

Przetoczyły się kawałek w dół Karmelickiej.

- Ty, popatrz! Tu jest kartka. „Pół... trawy... na... wynos”. Ch... chcemy trawy na wynos! Tylko coś ciemno w oknach.

Wzrok drugiej studentki funkcjonował sprawniej.

- Potrawy na wynos, sieroto! To bar mleczny.

- Eeee - zniechęciła się koleżanka. Po dwóch metrach znów złapała przyjaciółkę za ramię. - Popatrz! Travel office!

Druga usiadła na ziemi ze śmiechu. W końcu wstała, otrzepała się i przerwała towarzysze kontemplację dalszych napisów.

- Chodź, chodź już. Są tu jeszcze potrawka z kurczaka i sprzęt dla wytrawnych narciarzy, na wystawie obok. Ale nam się nie przydadzą.

Wróciły do domu i w akcie czystej desperacji próbowały palić zieloną herbatę, ubiwszy ją pracowicie wewnątrz papierosów, opróżnionych z tytoniu. Smród był taki, że kot wyskoczył przez okno. Szukały go przerażone po całym osiedlu, buszując po trawach i krzakach, przysypanych cienką warstwą śniegu. Do szarego świtu. Kot tymczasem czekał pod drzwiami mieszkania, wpuszczony przez litościwą sąsiadkę, która o piątej wychodziła do pracy. Stał na wycieraczce i darł się na cały blok. Ze strat na zdrowiu doznał tylko chrypki.

Po dwóch godzinach snu studentki zwlokły się na zajęcia, bladezielone, z przeświadczeniem, że narkomania rzeczywiście potwornie wyniszcza organizm.

Tristan i Izolda

Spadł śnieg. Nareszcie. Miasto, spowite warstwą białego puchu, stało się przytulne i świetliste zarazem, nierealne.

Poranne przebudzenia przestały być takie bolesne, bo w końcu budzimy się w bajkowym świecie, czyli nie tak do końca na serio. Można zaryzykować wypełnienie z łóżka.

Na fali świeżo odzyskanej energii postanowiłyśmy pobawić się w dobre, opiekuńcze mamusie i zabrać potomstwo na przyjemny zimowy spacer.

89

Jak zwykle mam gorzej. Jako jedyna muszę pchać wózek. Reszta naszej dzieciarni porusza się samodzielnie.

Miśka zachwycona, bo zobaczy się z Andrzejkiem, którego bałwochwalczo uwielbia od czasu ferii zimowych. W związku z tym ma problem: czy to nie jest zdrada? Bo obiecała Jaśkowi ze swojej grupy, że się z nim ożeni. Chce się nawet zaręczyć, jutro.

Przyszłam po nią do przedszkola i wysłuchałam końcowych ustaleń, ukryta za szafką. Jasiak miał wątpliwości, czy dzieci tak mogą. Miśka, entuzjastka historii naszego kraju, ze szczególnym uwzględnieniem księżniczek, zapewniła go, że owszem.

- Jadwiga tak miała - pocieszyła go. Nie majak wnioski z nocnych opowieści. - Potem co prawda wyszła za innego, takiego starucha, bo różni bogaci panowie jej kazali i ksiądz biskup też. Ale ona była królową i królowe tak muszą dla dobra królestwa, chociaż czasem nie chcą, jak w „Mulan Dwa” - Miśka trzepała prędiutko. - A ja nie jestem królową i mogę sobie sama wybrać męża, nikt mi nie zabroni, co najwyżej mama, ale ona się zgodzi, mówię ci. A Jadwiga to się modliła przed tym wielkim czarnym krzyżem, co jest na zamku, żeby był chociaż fajny. Ten starzec. I był, bo cały czas wyruszał na wojny i w ogóle go w domu nie było, to znaczy w pałacu. Jadwiga sobie chodziła po Krakowie i rozdawała złoto. I za to ją kochali młodzi robotnicy i nawet raz jej się but odcisnął na kościele, i jest do tej pory, bo ona była święta. No i właśnie ona się zaręczała, jak miała pięć lat, a ty masz sześć - zakończyła, patrząc na swego mężczyznę z naciskiem.

- No dobra - zgodził się Jasiak. - Tylko nie wiem, jak to się robi.

- Zapytam się mamy - oświadczyła pogodnie Misia. - Ona mi opowie, a ja ci powiem jutro. Możesz

mnie pocałować. Tylko nie wsadzaj mi języka, bo nie lubię. Kuba tak robi.

Uznałam za stosowne wyleźć zza szafki. Przyszli narzeczeni stropili się nieco. Miśka mniej.

Pożegnali się serdecznie, lecz już bez ekscesów - przez podanie ręki - i powędrowaliśmy do parku. Po drodze musiałam ją rozczarować. Obecnie dzieci raczej się nie zaręczają. Dawniej owszem, ale dawniej to rodzice wybierali im małżonka, dzieci nie miały nic do gadania. W każdym razie zawsze było tak, że o doborze ludności w pary decydowali dorośli.

Mało się nie rozryczała.

90

- Aleja mu, mam, obiecałam! I obiecałam jeszcze, że nie będę lubiła żadnego innego, a Andrzeja lubię. I nie wiem, co mam zrobić.

- A Kuba? - spytałam podstępnie, bo nie wiedziałam, co odrzec na taki dylemat. - Ten, z którym się całowałaś?

- To on się ze mną całował - uściśliła Miśka. - Już go nie lubię. On jest psotnik.

- A czemu jest psotnik? - zapytałam rozbawiona.

- Pokazywał mi gołą pupę na leżakach i kazał ją wachać. Aha. Więc taki z niego psotnik. Ciekawe, co na to tatuś. Chyba zejdzie na zawał.

- A Amadeusz? Przecież go lubisz i on ciebie też. Odwiedzamy się nawet po domach. Co na to Jasiak?

- Bili się - powiedziała Miśka z satysfakcją. - Bo Amadeusz też chciał być moim chłopakiem. Ale ja im zaraz wytłumaczyłam. Amadeusz nie może być moim chłopakiem, bo on będzie moim przyjacielem z dzieciństwa. Tak postanowiłam. Bo dobrze jest mieć przyjaciela z dzieciństwa. A Jasiak jest moim chłopakiem. Tylko nie lubi tańczyć - zmartwiła się. - Dużo chłopaków nie lubi. I dziewczyny muszą tańczyć same. A oni siedzą i się śmieją. Albo tylko siedzą. Dobrnęliśmy do parku. Jest Gosieńka ze swoją gromadką. Bliźniaki na sankach, Andrzej na rowerze.

- Na rowerze po śniegu? - zdziwiłam się nieco, jakby wózek po śniegu był mniej ekstremalny. Gośka wzruszyła ramionami.

- Uparł się. A co mi tam, nie mój tyłek ulegnie stłuczeniu. Kazałam tylko założyć kask i uprzedziłam, że pod żadnym pozorem nie będę holować roweru. O dziwo, jedzie sam i nie narzeka.

- Znowu nie mam sanek - ponuro oświadczyła Miśka. - Nigdy mi nie bierzesz!

- A jak ci miałam wziąć? - spytałam, blokując wózek, żeby się nie zsuwał. - W zęby? Już widzę, jak byś ciągnęła je sama! Pogadaj z Amelią, może ci pożyczę.

Poleciała. Zawartość wózka spała w najlepsze, posapując przez nos. Szkoda, że w domu nie mam wertepów.

- A jak ty się zabrałaś? - zapytałam Gosi. - Dwie pary sanek?

- Sami ciągnęli, więc szliśmy tu przez godzinę. A ten na rowerze

91

jeździł w spiralkę i powodował zatory na chodniku. Mieliśmy również małe zderzenie. Andrzej wszedł w kolizję z panią z jamnikiem i wytrącił jej z ręki smycz bezwładnościową. Jamnik, korzystając z okazji, zwał i zgubił czapkę uszanke. Pani próbowała mnie zabić wzrokiem, mruczając coś o dzieciorobach, którzy potem puszcniają te dzieci samopas. „Nie sztuka zrobić, trzeba upilnować” - wysyczała do mnie, a następnie rzuciła się w pogoń za pupilem, który przecinał Błonia z prędkością światła, rażno przebierając łapkami pod pikowanym kaftanikiem. - Gośka parsknęła i przewróciła oczami. - Adaś chciał pomóc pani i rzucił się w pogoń za jamnikiem, pbrzękując sankami, co wydatnie pomogło psu zwiększyć prędkość. Amelia się zdenerwowała i zaczęła ryczeć. A ja cały czas przypominałam sobie jak bardzo, ale to bardzo chciałam mieć dzieci. No to mam. Jamnik, zapasiony jak baleron, dostał w końcu zadyszki i zaniechał wyczynów sportowych. Zgarnęłam rozproszone po Błoniach towarzystwo i przyszłam.

- Cześć! - zameldowała się Magda, szczelnie otulona nowym czerwonym płaszczykiem, twardo trzymając za rękę obrażoną Agatkę. - Wiecie, co ona zrobiła?

Nie wiedziałyśmy. Agatka była dzieckiem spokojnym, choć pyskatym. Nauczyła się czytać mając

trzy i pół roku i czytuje gazety. Ogląda też dzienniki telewizyjne.

W okolicach czwartych urodzin oświadczyła Magdzie: „Jesteś moją matką, a nie moją królową, i musisz się mną opiekować, a nie wydawać rozkazy”. A kilka dni później dołożyła: „Jak cię nie będę słuchać, to mi nic nie zrobisz, bo dzieci do więzienia się nie daje, a dorosłych, którzy molestują dzieci się daje”. Mając dwa latka z małym hakiem, na polecenie pobierania zabawek z podłogi stawała na środku pokoju, rozkładała ręce i odpowiadała, wznosząc ku Magdzie wielkie zielone oczyska: „Nie mogę. Jestem za malutka”.

Magda wie, na czym stoi. Nie może Agatki molestować, bo pójdzie do więzienia. Nie powinna jej rozkazywać ani obarczać zadaniami ponad siły. Na szczęście młoda ma niezłe poczucie humoru, przejęte od złośliwej rodzicielki, i na tej bazie można się z nią dogadać. Tak naprawdę to Magda ma z nią świetny kontakt.

Poza tym Agatka jest damą. Spodnie zakłada tylko na narty Magda, obserwując swoją córkę, układającą sobie, obficie pokryte

92

pianką, włosy przed lustrem, nie może się nadziwić, że to jej dziecko. Sama swoją niewymuszoną elegancją nabyła dopiero drogą tresury w Firmie Farmaceutycznej. Wcześniej nie wylaziła z dzinsów i polarów, choć teraz trudno to sobie wyobrazić. Obecnie nosi nawet apaszki, jak Anka.

Tyle że u Anki to cecha wrodzona.

Nie miałyśmy pojęcia, co wymyśliła młoda dama i na jakim tle.

- Ugryzła koleżankę w przedszkolu. W twarz. Do krwi - pochwaliła się Magda, nie zważając na to, że jej córka krzywi się straszliwie i depcze jej po stopach. - Pytana o motywy takiego postępowania, powiedziała, że nie lubi tej Agnieszki, bo ona jest brzydka i ma brzydki nos. Pani jednakże była dociekliwa i wypytała również koleżankę. Koleżanka wychlipała, że trzeba przenieść Tomka do innej grupy, wtedy nie będą musiały się o niego bić, a teraz muszą. Już lepiej, żeby żadna go nie miała. Jak ja cię nadepnę, będziesz miała kopyto jak rakietka tenisowa! - fuknęła w końcu na Agatkę. Młoda nie spieszyła się ani trochę.

- Plotkujesz o mnie - burknęła. - A ona ode mnie odgapiła. Zrobiła sobie nawet wachlarz, żeby mu się spodobać, i to z moich klocków! Puść mnie! - Wyrwała się Magdzie i pobiegła do Miśki, która podziwiała rower Andrzeja. Mam nadzieję, że nic sobie nie odgryzą. Agatka też lubi Andrzeja. Może zwycięży wierność narzeczeńska. Chyba że odezwą się geny. Obie mają niezłe. Po mamusiach.

- No i wylądowałam na dywaniku u przedszkolank - podsumowała Magda. - Pierwszy raz. Phi, wielkie rzeczy. Miskę pani przedszkolanka przyłapała kiedyś na okładaniu z trzema chłopakami koleżanki łopatkami do piasku. Z impetem. Koleżanka ryczała i próbowała się wyrwać, a oni zdziwieni. Wręcz urażeni. Przecież bawili się w rozbitków i Aśka była rybą, zgodziła się sama! I oni tę rybę złowili, rzuciła się, no to ja ogłuszali. Wiosłem. Ryby się zwykle ogłusza wiosłem.

Innym razem też bawili się w rozbitków. Wylądowali na wyspie, czyli na klombie z kwiatkami, i żywili się tylko tym, co na wyspie wyrosło. Do dziś nie wiem, co to było, ale Miśka chodziła z językiem wywieszonym na brodzie do wieczora. Od czasu do czasu trzymała go pod kranem z zimną wodą, tak ją piekło. Amadeusz miał sraczkę. Z roślinnością tropikalną należy uważać. Pomijając fakt, że pani nie była zachwycona skonsumowaniem połowy klombu. Dobrze jej tak. Mogła lepiej pilnować, gdzie bawią się dzieci.

93

Ja mam lepiej niż Magda. Odbieram Miskę z przedszkola, jak już jest tylko pani ze świetlicy, a zaprowadza tatuś. W związku z tym na dywaniku ładuje mój mąż, o poranku. Jak go dopadnie pani wychowawczyni.

Na razie spokój. Działka podzieliła się sankami, na jednych Bliźniaki, na drugich Miśka z Agatą. Bo Magda również jest leniwą matką i nie chciało jej się targać sanek. Tylko ofiarną Gosię stać na takie wyczyny. Albo ma lepiej wytresowaną gromadkę. Co najwyżej płoszą cudze jamniki.

A Magda ma poważny dylemat. Dylemat ma na imię Zygmunt i mieszka w Warszawie. Jest lekarzem. Poznała go na jednej z poprzednich konferencji i cóż, na ostatniej poznała go nieco lepiej.

Jest cudowny. Przystojny jak sam diabeł. Obłądnie tańczy. Ma ogromną wiedzę, nie tylko medyczną. Świetny organizator. Zna cały świat. Pije jak stodoła, ale nazajutrz nie zalega, tylko pije trzy kawki i pracuje z werwą. Wszechstronny jak encyklopedia. I zwraca na Magdusię należyłą uwagę.

- Uuuu - oceniła Gosia. - Nieźle. A on pasuje. Też król.

Bo Magda miała już Leszka i Stefana. W młodości znalazła nawet Bolesława. Teraz wciąż ma Kazika. Miała też Marka i Ryszarda, bo co się będzie ograniczać do historii Polski. Chociaż ci z Polski są najlepsi. Teraz jest Zygmunt.

Zygmuntów było sporo w historii naszego kraju, a to na pewno coś oznacza.

Magda też tak uważa. Chociaż jeszcze nie wie co.

- A jak blisko go... hmm... poznałaś? - zainteresowała się Gośka, wcielenie dyskrecji. - Może głupio pytam?

- Ha! - powiedziała Magda z pewnym odcieniem dumy. - Otóż, moja droga, wcale nie głupio.

Wyobraź sobie, spędziliśmy razem wspaniałą wieczór, po którym on zaprosił mnie do siebie.

Mieszka sam. Jest po rozwodzie. Na szczęście. To znaczy, że normalny...

- Bo ja wiem? - skrzywiła się Gosia. - A wiesz przynajmniej, czemu się rozwiódł? To chyba nie najlepiej o nim świadczy? Może to jakiś psychopata?

- Zaraz psychopata! - zirytowała się Magda. - Ochrciłabym go psychopata, gdyby w tym wieku jeszcze nigdy nie był z nikim poważnie związany. Normalny facet, po zwykłych życiowych przej-

94
ściach. Ożenił się na studiach, z wielkiej wzajemnej miłości, a potem razem wyjechali do Austrii. W ramach stypendium. I on chciał wracać, a ona nie, uparła się. A on miał matkę wymagającą opieki. Ta jego wielka miłość mu powiedziała, że wyszła za męża za niego, nie za jego matkę, i nie będzie rezygnować z kariery. W Austrii naprawdę ciężko zaistnieć, bo oni nie lubią cudzoziemców. A jej się właśnie udało, jeszcze na starych przepisach, i dostała fajną posadę. Więc się rozstali, koniec i kropka. On wrócił, a ona siedzi na posadzie. Dzieci nie mieli. Proste.

- To on tak twierdzi. - Gośka jest sceptyczna. Nie lubi rozwodników i już. Stara się nie dopuścić do świadomości faktu, że związki międzyludzkie mogą być nietrwałe.

- A ja mu wierzę - oświadczyła Magda. - Przegadałam z nim wiele godzin. Właśnie w tym jego mieszkaniu.

- Zdążyłaś? - zdziwiła się Gosia. - Myślałam, że nie traciliście czasu na gadanie?

- I tu się grubo mylisz, moja droga - powiedziała Magda, nerwowo wyskubując z rękawiczek niewidzialne niteczki, co nie było dla niej zbyt typowe. - Wyobraź sobie, że ta noc upłynęła nam wyłącznie na rozmowie. Sama z miejsca wypaliłam, że pójdę do niego pójdę, z przyjemnością, ale jak się spodziewa nie wiadomo czego, to może się rozczarować. Swoją drogą sama nie wiem, skąd u mnie te nagłe opory. Nie chodziło o prosty brak chęci, bo para buchała mi z uszu i czułam to wyraźnie. Ale coś mi się stało. Zygmunt przytulił mnie i powiedział, że nic ode mnie nie chce, dopóki nie będę pewna, czego ja chcę. Da mi dowolną ilość czasu. Bo on chce wszystko. Albo nic. Wyobraź sobie, że spaliśmy razem w jego łóżku, bo nie chciałam już wracać do hotelu. Wtuliłam się w niego. I nic więcej. Coś takiego nie zdarzyło mi się od czasów liceum.

- Ojej - wzruszyła się Gosia. - Jak Tristan i Izolda!

- Zwariowałaś?! - Magda aż podskoczyła. - Wręcz przeciwnie! Tristan i Izolda, o ile dobrze pamiętam, przespali się ze sobą od pierwszego strzała, a potem wyprawiali różne siupy, żeby nikt się nie zorientował. Łącznie z tym, że Izolda w noc poślubną podstawiła do łóżka swojemu mężowi własną służącą, której udało się dowieźć cnotę aż do zamku. W przeciwieństwie do Izoldy. Za to ich pokarało, za te siupy! Przespanie się z kimś, samo w sobie, nie jest niczym strasznym! - zdenerwowała się. - Straszne jest, jeśli pociąga za sobą kłam-

95

stwa i kręactwa! To dopiero jest obrzydliwe. To jest zdrada. Wiele razy zdarzyło mi się wygłupić, bo pasował mi poziom hormonów i alkoholu we krwi. I nie było to żadne „halo”. Większą zdradą była ta noc, przegadana przy dobrym winie. A wiesz, dlaczego? - spytała z furją, bo Gośka słuchała jej wywodów z wyraźną dezaprobatą. - Dlatego, że na drugi dzień obudziłam się z uczuciem, że

właśnie zaczynam naprawę życia. Że wszystkie poprzednie lata były namiastką. Kazik był namiastką. Godzeniem się na substytut. Półśrodek. Sześćdziesiąt procent, które jest, bo jest. A powinno być sto. Wszystko poniżej jest rozmienianiem się na drobne... Walę sloganami - zreflektowała się. - Banałami, jak smarkuła. Przepraszam.

- Spokojnie - wtrąciłam się, bo Magda za chwilę zjadłaby własną rękawiczkę i to bez popitki. - Język uczuć jest siłą rzeczy językiem banałów. Ponieważ jest tylko próbą sygnalizacji tego, co niewyraźne. Mówisz ważne rzeczy. Musisz je jeszcze dokładnie przemyśleć, ale już widzę, że Gośka ma rację. Wzięło cię. Zostaw tę rękawiczkę w spokoju!

Goście poglądy Magdy wydały się zbyt liberalne. Jak zwykle zresztą.

- Pięknie, pięknie. Robi się romantycznie. Ale ty, Magdusia, zawsze dorabiasz filozofię tam, gdzie jej nie ma. Zdrada to zdrada. Wsadzisz - zdradzisz, nie wsadzasz - nie zdradzasz. Proste jak konstrukcja cepa.

- Sama jesteś prosta jak konstrukcja - warknęła Magda. - Bo wcale nie. Niby czemu to, twoim zdaniem, takie proste?

- Bo od wsadzania dzieci się robią, a od najbardziej romantycznej rozmowy nie bardzo. I tyle. Można sobie i wszystkim skomplikować życie. Zostaw rękawiczkę!

Magda obejrzała swoje rękawiczki, jakby widziała je pierwszy raz w życiu.

- Widzisz, ja wróciłam z Warszawy z uczuciem, że właśnie sobie potwornie skomplikowałam życie. Bez wsadzania - wyznała i westchnęła. - Dalej się nie zgadzam. Naprawdę wolałabyś, żeby twój Andrzej odbywał z kimś miesiącami romantyczne rozmowy, niż żeby się jednorazowo upił i wygłupił? Z jakąś laską, której imienia nawet nie zapamięta?

Gośka zastanowiła się przez chwilę z poglądem na tę sprawę wypisanym na obliczu.

96

- Jedno i drugie jest niedopuszczalne. Zresztą nie wyobrażam sobie, żeby spotykał się z kimkolwiek bez mojej wiedzy. Miesiącami. A przypadkowa cizia też odpada. Nie życzę sobie cudzych drobnoustrojów. Czułabym się, jakby ktoś obcy umył sobie zęby moją szczoteczką. Fuj. No tak. To dopiero romantyczna wizja wspólnoty małżeńskiej.

- A ty, Marta, co myślisz? - zaatakowała mnie nagle Gosia. - Wypowiedz się!

- Hmm... - wypowiedziałam się i umilkłam.

- Co ją pytasz? - prychnęła Magda. - Wiadomo, że się zgadza. Z obiema. Ona się ze wszystkimi zgadza. Jeśli tylko coś rozumie, to się z tym zgadza. A sama postępuje w sposób niezrozumiały dla nikogo. W pierwszym rzędzie dla siebie samej.

Coś w tym jest. Naprawdę rozumiem obydwie. Ale wyjątkowo dziś moje poglądy są bliższe poglądom Magdy. Nie można stawiać znaku równości między długim romansiem na boku a przypadkowym wygłupem na imprezie. I chyba faktycznie chodzi tu o uczciwość. I o konsekwencje. Również te psychiczne. Z drugiej strony, fizyczne też nie są bez znaczenia.

- To chyba zależy od układu, jaki masz z partnerem - wybrnęłam z sytuacji, jak zwykle, gdy ktoś żąda ode mnie konkretów. Wtedy mi zwykle „chyba” i „zależy”. - Od jego tolerancji na twoje wygłupy i od twojej własnej tolerancji na siebie. Ważne jest to, żeby nie stawiać sobie w tej kwestii wymagań nie do spełnienia. Znam wiele fajnych związków, które się rozpadły, bo tworzące je osoby wyobrażały sobie, że sam ślub zamyka ci oczy na innych facetów. Albo kobiety. W momencie wypowiedzania sakramentalnego „tak” wyrastają ci klapki. Na oczach, uszach i w sercu. Na mózgu - nawet w pierwszej kolejności. A potem tragedia. Zatrudniają w twojej firmie faceta, na którego widok miękną ci kolana. I zaczynasz rozważać. To musi coś oznaczać. Pewnie niezauważalnie dla samej siebie przestałaś kochać własnego męża. Jesteś zła, grzeszna, brudna, bo śni ci się w nocy niewłaściwy koleś. Więc jak już jesteś taka paskudna, to równie dobrze możesz się z tym kolegą przespać na jawie. Błąd. Jesteśmy ludźmi i mamy ludzkie uczucia. Zakochujemy się. Ktoś nam wpada w oko. Ważne jest, żeby mieć świadomość, że to normalne. Może się zdarzyć raz na jakiś czas. Emocje same w sobie nie są takie straszne. Liczy się to, co z nimi zrobimy.

97

Możemy na przykład nie zrobić nic. Przeczekać. Nie zmuszać się do niczego, zwłaszcza nie obserwować nerwowo swoich reakcji na dotychczasowego partnera. Na luzie. Można też wziąć

własnego męża, tego dziwnego, nagle obcego typu, który snuje ci się po domu, zamiast zniknąć gdzieś w otchłani albo wybyć na księżyc - więc najlepiej wziąć go pod pachę i pójść z nim na kawę, do kina, na najbardziej zwariowaną imprezę. Nawet jeśli go chwilowo nie kochasz, to z reguły dalej go lubisz. Lubisz z nim być. Dlatego weźmiesz na wstrzymanie i przeczekaasz. A zauroczenie kimś tam, cóż, jest fajną i ożywczą rzeczą, która czasem spada nie wiadomo skąd. Trzeba się nią cieszyć. Chyba że z jakichś powodów jesteś zdecydowana wszystko zmienić.

Ale się wypowiedziałam. Przeżywają, jak krowy na wiosnę.

- No właśnie - powiedziała w końcu Magda. - Chyba że chcesz zmienić... Ja nawet nie wiem, czy chcę, nie zdążyłam o tym pomyśleć. Po prostu ktoś mnie wyrwał z poprzedniej czasoprzestrzeni i przeniósł w inny świat. Nawet śnieg ma inny kolor. Powietrze pachnie inaczej. Czuję się... przezroczysta. Składam się z atomów, między nimi pustka. I cisza. Wszystko zastygło. Co ja mam zrobić?

- Ty, Madzia, marnujesz się za barem - powiedziała Gosia w osłupieniu. - Powinnaś zostać poetką. Ja nie mogę, ale cię wzięło - zachwyciła się nagle. - Widziałam cię z tysiącem facetów i nigdy tak nie gadałaś.

- Ty od razu z tysiącem - wkurzyła się Magda i ugryzła rękawiczkę ponownie.

- Ja nie - zaprzeczyła Gosia stanowczo. - Ja tylko z dwoma, i to nie od razu. No dobra, przesadziłam. Chciałam powiedzieć, że zwykle bywasz zupełnie inna, jeśli chodzi o mężczyzn. Zwykle to masz kilometrowy dystans. I dużo dobrej zabawy. Czasem nie wiadomo, czy ci zazdrościć, czy skopać po tyłku.

- I właśnie o to chodzi - Magda westchnęła. - Tego się najbardziej boję. Nie tego, że oznacza to ogromne zmiany techniczne, choć jeśli wszystko pójdzie tym najbardziej zwariowanym trybem, to czeka mnie prawdziwa rewolucja. Wyprowadzka Kazika. Utrata Banasia, bo to przecież jego knajpa. Skok głową w dół w nieznaną. Ale najbardziej boję się siebie. Tego, że tęsknię jak wariatka. Ja przecież nigdy nie tęsknię, szkoda mi czasu. A teraz mi jakoś nie szkoda. Tego, że nagle chcę wiedzieć o nim wszystko: gdzie teraz

98

jest, jak się czuje, jak mu idzie w pracy, o czym myśli jak zasypia. Chcę go nosić przy sobie, jak breloczek. I dotykać cały czas... Przecież to głupie! Zawsze uważałam to za patologię... Ja taka, do cholery ciężkiej, przecież nie jestem!

- Jesteś, jesteś - powiedziała Gosia już zupełnie miękko. - Każdy jest. Widocznie nigdy się jeszcze porządnie nie zakochałaś. Kiedyś trzeba. No nie, Marta?

Hmm. Pewnie tak. Wstrząsnęła mną wizja utraty Banasia. Ale przecież nie powiem tego Madzi. I jeszcze coś. Wręcz przeciwnego. Okruch przeczucia, że to się nie uda. Ale tego nie powiem tym bardziej.

- Co mam zrobić z Kazikiem? - spytała Magda. - Nie mogę na niego patrzeć. Na razie nie muszę, ale jak wróci z Norwegii? Wyłączył mi się nagle, ze środy na czwartek, jak przepalona żarówka. Ugryzę go, jak podejdzie.

- Zabić - odezwała się dowcipnie Gosia. Zmierzyłyśmy ją identycznym spojrzeniem.

- Przepraszam - mruknęła i poderwała się nagle. - Kurczę. Muszę pędzić ratować Andrzeja.

Przejechał kolejnego jamnika.

Walczę z nałogiem. Oczywiście cudzym

Paulinka znów ryczy. Zmieniła sobie godziny pracy naienne, z uwagi na swój stan. W dzień jest w Banasiu mniejsze zadymienie. Co nie oznacza, że sama nie popala czasem po kryjomu. Musi się z tym ukrywać, bo warczy na nią cała załoga. Z wyjątkiem Magdy, która dalej składa się z atomów i chodzi po ścianach nie gorzej niż Gibelec, nie widząc nic i nikogo.

Goście natomiast nałóg Paulinki spędza sen z powiek. Wygłasza kazania. Przynosi ulotki. Grzebie w jej torebce. Dziwię się, że jeszcze nie dostała w łeb kuflem.

Zwołała naradę. Jest bezlitosna. Siedzimy w kręgu, niczym grupa terapeutyczna albo oazowa młodzież, i zastanawiamy się, jak tu Paulinkę odzwyczaić od palenia.

Problem jest poważny.

Paulinka w młodości chorowała na bulimię. Tutaj mam przewagę nad resztą, pozał się Boże,

doradców, bo właśnie skończyłam

99

blok z psychiatrii. Oraz przede wszystkim - sama miałam młodość, i to urozmaiconą. Sedno sprawy tkwi w tym, że bulimiczki mają potworny problem z samokontrolą. Uruchamia im się opcja „reset”, jak w komputerze. Tyle że w życiu ta opcja nie działa - mało jest rzeczy, które tak naprawdę można wykasować bez śladu i rozpocząć jeszcze raz z czystą kartą. Osoby chore zdają się o tym nie pamiętać, może nawet - nie wiedzieć. Wszystko im wolno, ponieważ za chwilę zaczną od początku. Lepiej. Zdrowiej. Bardziej świadomie. Tylko ten jeden, ostatni raz. Ostatni raz najem się wszystkiego, co wpadnie mi w pole widzenia, wypalę ostatnią paczkę papierosów, wypiję kieliszek czegoś mocniejszego. Może więcej niż kieliszek. Zresztą to bez znaczenia, bo od jutra zaczynam nowe, lepsze życie.

Trzy dni z życia bulimiczki?

Proszę bardzo.

Jutro. Magiczne słowo, pojęcie-wytrych, podstawa myślenia. Jutro będzie przepięknie. Surówki z lodówki, joga i soczek mar-chwiiowy. Piese wycieczki i kontemplacja obłoków. Kupię sobie czerwoną herbatę, tabletki z żeń-szeniem i karnet na basen. Oczyszczę się z toksyn, bezsensownych nawyków, negatywnych emocji i zrobię sobie peeling. Już jutro. Dzisiaj odprawię wieczór pożegnalny. Pożegnam wszystkie szkodliwe nałogi - z pełną świadomością i raz na zawsze. Upiję się radośnie, napalę na maksa, wyczyszczę lodówkę z piwa, serków i deserków. Jazda na całego, bo potem, do końca życia, rozsądek i umiar. Dzisiejszy wieczór nie ma znaczenia. Ostatni, w którym daję się ponieść zgubnym namiętnościom. Więc konsumujemy...

A potem - rryp! I wyrzuty sumienia. Jak mogłam tyle zeżreć, tak się zaprawić, wyhodować sobie w gębie takiego kaptura nikotynowego? Przesadziłam, niezależnie od stanu wyższej świadomości i pięknych postanowień. Nagle chęć zmiany narasta we mnie i domaga się ujścia, już i natychmiast. Wszystko rośnie w ustach, tłuszcze i wredne, dławiące kalorie. Niedobrze mi na samą myśl, ile smalcu odłoży mi się wprost na biodrach... Muszę coś zrobić, i to zaraz. Prowokowane wymioty? Jakie prowokowane, wystarczy trochę wyobraźni i haftujemy, jakbyśmy chciały wyrzygać wątrobę. Obrzydliwość.

Czuję się wstrętnie, lepko i ciężko, nie pierwszy zresztą raz.

100

Ale za to ostatni, naprawdę ostatni, nigdy więcej nie doprowadzę się do takiego stanu, przecież już jutro... Jutro na pewno nie będę taka głupia. Dziś i tak przepadło. Więc natychmiast muszę gdzieś wyjść, bo w przyszłości będę chodzić najwyżej na rolki... Frytki poproszę, wino podwójne, żeby nie latać co chwilę do baru, paczkę papierosów, bo wieczór pożegnań się jeszcze nie skończył i może jeszcze chipsy paprykowe. Trzeba poczuć, co się traci. Dobrze poczuć, że nic dobrego... „Jutro” to największe, najbardziej perfidne kłamstwo w życiu bulimiczki.

Jutro wygląda mniej więcej tak:

Do południa jeszcze się jakoś trzymam, większa zasługa w tym kaca niż siły charakteru, ale przecież nawet sobie tego głośno nie powiem. Jestem twarda i tyle. Wczesnym popołudniem dochodzę do wniosku, że nie mogę być względem siebie aż tak restrykcyjna, bo to odbiera życiu smak. Mogę sobie pofolgować - troszkę. Z umiarem. Jeden papieros, małe piwko, niewielka przekąska. Tysiące ludzi jedzą, piją i palą, nie czując z tego powodu wyrzutów sumienia. Będę jak te tysiące. Spokojnie. Jeszcze jedno piwko i mała kanapka. Może z McDonald'sa? Lubię McDonald'sa. Trzeba cieszyć się drobiazgami. Może jednak zestaw, zaspokoję głód i nie będę musiała później dojadać byle czego, jest dopiero piętnasta, a grunt to nie pożywiać się po osiemnastej, tak piszą w większości kolorowych gazet, wtedy dopiero odkłada się tłuszcz. O Boże, tłuszcz! Niedobrze mi. Ten zestaw to była jakaś góra kalorii, plus dwa małe piwa, same piwa to pięćset, plus kanapka i frytki, o coli nie wspomnę... co ja zrobiłam? Mdli mnie, reset, reset natychmiast!

Mała wycieczka do kibelka. Może jeszcze nie będzie to stracony dzień...

Guzik z pętelką, miałam żyć jak inni, a inni nie wywracają sobie żołądka na lewą stronę... Cholera! Jestem do dupy. Ten dzień jest do dupy. Muszę zacząć jeszcze raz, od jutra. Dziś się nie liczy.

Beznadzieja, dno. To może pójdę do Baśki na wino? Później nie będę mogła do niej chodzić - u Basi zawsze pije się wino i to przepyszne, domowej roboty, mama Baśki ma talent i owoce z ogrodu. Pewnie, jak mogłam zapomnieć, pożegnałam już wszystko, ale jakoś nie Baškę, jej miłą werandę i słodziutki trunek, którego wyrzeknę się już niedługo...

101

Prędko telefon, taryfa - nie będę tracić ostatniego wieczora na wycieczki komunikacją miejską, jeszcze tylko po drodze do delikatesów, kupię jakiś serek. Choć może do domowego wina lepiej pączki, dobrze, kupię i pączki. I dwie paczki fajek, jak się napalę do obrzydzenia, będzie mi łatwiej rzucić, oczywista sprawa... Cholera, miałam iść na pocztę, zapomniałam, a to ważna sprawa. I na ćwiczenia, te popołudniowe, ale już trudno, pójdę z drugą grupą, oni chyba mają dopiero we wtorek, a we wtorek ja będę żyła innym życiem, pełnym energii i samokontroli, dodatkowe ćwiczenia mi nie zaszkodzą, a teraz jedziemy bawić się ostatni raz.

Nad ranem kac, gęsty i bolesny, jak zwykle po słodkim winie. Obrzydzenie i wyrzuty sumienia, nie będę nawet liczyła kalorii, wlanych w siebie wraz z winem. Wystarczyłoby dla drwała. A do tego zero energii, kto powiedział, że kalorie to jednostka energii? Bzdura na kiju. Nie mam siły przemieścić poślodka w poziomie. Odruch wymiotny na myśl o soczku marchwiowym. Nie dam rady zawlec się na pocztę. Znowu pozawalałam ważne płaćności, będę musiała napisać pismo w tej sprawie. Napiszę, napiszę, byle nie dziś! Zawsze jest jakieś wyjście, jutro. Teraz reset. Jeden papieros, bo boli mnie głowa, potwornie. Pewnie mi spadło do zera ciśnienie. Przecież nie będę się faszerować lekami, to nie o to chodzi, zresztą nie mam leków. Tylko papieros i kawa, dla zdrowia. Wyjątkowo.

Kolejny dzionek zaczął się fatalnie, więc w sumie wszystko jedno, jak się skończy.

I tak w kółko, dzień po dniu, bez końca.

Organiczna niezdolność do przewidywania najprostszyc konsekwencji, niemożność wyjścia z wiecznych zakrętów w jedną stronę, koszmar, z którego ciężko się wydostać.

Bez pomocy niemal niemożliwe.

Paulinka otrzymała pomoc, w tym fachową, już dawno temu, i zwalczyła potwora. Ale pewien rys charakteru pozostał jej do dziś.

Wyczytała w amerykańskich poradnikach, że wbrew pozorom najważniejsze jest rzucenie palenia w okolicach czwartego miesiąca, bo wtedy rozwija się w pełni łożysko i substancje z krwi lepiej wnikają do płodu. Wcześniej zawartość krwi matki ma mniejsze znaczenie. W związku z nabytą wiedzą Paulinka pali na zapas. Bo jeszcze jest wcześnie. Poza tym ma koleżankę, która od czasu do

102

czasu raczyła się dymkiem i urodziła trójkę zdrowych dzieci. Jedno jest nawet laureatem olimpiady. Z matematyki. Więc to chyba znowu tak bardzo nie szkodzi.

Uparta jak osioł.

Paulinka. Mistrzyni świata w znajdowaniu usprawiedliwień.

Wymyślamy swoje sposoby, żeby nie była taka mądra. Plan naprawczy dla naszej głupiotkiej barmanki. Gośka ma ulotki. Duduś ma Internet i żonę, która spędza czas na forum i uzyskała dla nas wiedzę na ten temat, choć sama nigdy nie paliła. Magda ma wszystko w dupie, ale udaje nam się ją ściągnąć na chwilę na ziemię i wtedy mówi rozsądnie. Bo też pamięta własną młodość. Ja mam doświadczenie - swoje oraz cudze. Świeżutkie jak ranne pieczywo.

Wnioski z dyskusji przedstawiamy kolejno i zapisujemy. Plan w punktach, specjalnie dla naszej Paulinki. Nietypowy, bo na nią typowe nie działa. Typowym Paulinka obetrze sobie usta.

A oto nasz plan:

Po pierwsze: to nie jest żaden Ostatni - Papieros - Po - Którym - Zacznę - Nowe - Życie. To jest po prostu papieros, kolejny, który szkodzi twojemu dziecku.

Po drugie: wszystko ma znaczenie. Przede wszystkim to, co robisz teraz. Właśnie to może zepchnąć cię w dół albo popchnąć wreszcie twe sprawy do przodu. Nic innego. Tylko to.

Po trzecie: jak musisz palić, rób to przed lustrem. Zobacz siebie dokładnie. Tak, to ty. Ty jesteś w ciąży i palisz papierosa. Właśnie teraz. Nie ukrywaj się. Zapal i zobacz, co na to znajomi. Spójrz sobie w oczy. Zobaczysz, jak długo wytrzymasz spojrzenie.

Po czwarte: rusz tyłek i wypierz wszystkie swoje rzeczy. Kup sobie w sklepie ulubiony proszek. Albo płyn do płukania, którego używała twoja babcia. Zapach dzieciństwa. Dawnych, czystych lat. Wypierz. Wyprasuj. Powąchaj. Powąchaj też bluzkę, którą właśnie zdjęłaś, po powrocie z knajpy. I nie łudź się, że przesiąkłaś zapachem obcych papierosów. Obce tak nie śmierdzą, nie aż tak. Sama sobie nadajesz ten cudowny aromat. A może wolisz pachnieć inaczej? Wybieraj.

Po piąte: nie mów wszystkim wokół, że dawno rzuciłaś. Jesteś wszak w ciąży i to oczywiste. Samo ci się rzuciło, łatwo i przyjemnie, bo jesteś dobrą, świadomą i rozsądną matką. Pozbawiasz się

103

w ten sposób prawa do ochrony, gdy naprawdę będziesz gotowa to zrobić. Prawa do wściekłości, do złego humoru, nawet do łez oraz wrzasków bez sensu. Prawa do pochwały, do podania ręki, gdy trudno wytrzymać, gdy próbujesz zapanować nad sobą resztką sił. I jesteś dzielna, choć upierdliwa. Masz prawo. Jeśli faktycznie walczysz. Rezygnacja z tego prawa to najgorszy błąd.

Po szóste: znajdź w szufladzie swoje zdjęcie z czasów, gdy jeszcze nie paliłaś. Fajne zdjęcie. Z obozu, z zimowego wyjazdu, kiedy niczego ci nie brakowało i byłaś szczęśliwa. Przyjrzyj się sobie. Przecież tak się da. Mogłaś. Dalej możesz.

Po siódme: noś przy sobie zdjęcie z USG. Chcesz sobie zapalić? Wyjmij zdjęcie i popatrz. Widzisz zarys łapki? Małych paluszków? Śmieszny, szary kontur łebka? To nie sen. To prawda. Mieszka w tobie człowiek. Dmuchnij mu w twarz, jeśli masz odwagę.

Punkt siódmy okazał się strzałem w dziesiątkę. Punkt piąty wyszedł Paulince też nieźle. Przeszła samą siebie. Warczała na ludność. Ryczała na Mietka. Pisała do męża krwawe SMS-y. Z rąk roztrzęsionych leciało jej wszystko. Magda zaciskała zęby w imię wartości najwyższych. Trzymała ją w pracy, bo w domu Paulinka siedziałaby sama i nie wiadomo, co by jej strzeliło do rudego łba. Tu jest pod kontrolą.

Zdjęcie wnętrza brzucha barmanki wisi na honorowym miejscu za barem. Na złotym tle. Duduś powiększył i wykontrastował. Piętnasty tydzień, widać czachę i oczy kosmity. Dwie łapki, złożone jak do modlitwy. Klienci się dziwią.

Paulinka nie pali.

Już dwanaście dni.

Teraz zaczęła ryczeć, bo boi się porodu. Za poradą Dudusia odkryła forum w Internecie i czyta tam historie mrożące krew w żyłach. Nie mamy, na razie, na to planu w punktach. Gośka rozważa kubek zimnej wody. Pradawne lekarstwo na wszelkie histerie.

Na razie to w kubie zakotwiczył Miecio. Pułapkę zastawiła, a jakże, Paulinka.

Niepaląca barmanka musi czymś zająć swe dłonie. Od rana wpadła w szal sprzątanania i myła wszystko, co jej wlaźło w ręce. Również podłogę za barem - mopem z długą rączką, żeby się nie schylać. W trakcie tej czynności oblaźła ją szkolna wycieczka

104

z Izraela, żądając napojów bezalkoholowych, i Paulinka odłożyła w kąt szczotkę, ale wiadra już nie. Przytoczył się Miecio, o dziwo przed czasem, i rzucił się do pomocy. Pierwsze, co zrobił, to wlaź w wiadro. Następnie obsługiwał klientów z uśmiechem, prowadząc konwersację w dwóch językach obcych. Z nogą w kubelku. Pełnym zimnej szarawej cieczy, w której pływało wszystko, co tylko mogło się znaleźć na podłodze za barem. Paulinka unikała kontaktów wzrokowych, lecz ofiarnie donosiła wszystko, do czego Mietek nie sięgał. Bo z Mięcia się zrobił model stacjonarny.

Przeżył. Spodnie się suszą na kaloryferze. A Miecio chodzi w kuchennym fartuszk, spod którego widać kosmate odnóża, i stara się za żadne skarby nie odwracać tyłem. Do klientów ani w ogóle do nikogo.

Ponieważ pod spodem ma znowu bokserki w słoniki.

A na Gośkę obraził się mąż, bo pobiła mu rekord w węża. Na jego komórce. Twierdzi, że przez pomyłkę, złapała pierwszą lepszą po drodze do kibla i natrzaskała tysiąc punktów. A teraz Andrzej musi się męczyć, żeby ją przegonić. Gośka się obawia, że jej mąż nabawi się hemoroidów, a dzieci nerwicy, czekając, aż tatuś zwolni wychodek.

Nałogi są różne. Niektórym, na przykład, do zrobienia kupki niezbędny jest telefon komórkowy.

Baby na babiej i skutki tegoż

Sypie i sypie. A naukowcy zza Buga, świstak Phil z Pensylwanii oraz najstarsi górale z Zakopca zgodnie zapowiadali, że nie będzie zimy tej zimy. Co jest grane?

Anka choruje, bo przemoczyła obuwie. To znaczy, przemoczyła je po raz pierwszy dwa lata temu, podczas pamiętnej wyprawy do Zawoi. Wtedy jej sztywny buciki straciły sporo na fasonie i szczelności, a że Anka jest młodą lekarką i dochody ma jakie ma, postanowiła nie przyjmować tego faktu do wiadomości, gdyż jest to najtańsze wyjście z sytuacji.

Wtedy wiosna spadła na miasto bez uprzedzenia i spowodowała u nas zespół niespokojnych nóg, miastowstręt i przyływ dzikiej

105

energii. Postanowiłyśmy stłumić w zarodku różne głupie pomysły, pączkujące nam w głowach jak listki na Plantach i czym prędzej wyjechać na porządną górską wycieczkę. Czyli zareagować na wiosnę normalnie. Zapomniałam, że w moim słowniku nie istnieje słowo „normalnie”. Zaczęłyśmy realizować plany natychmiast po ich sprecyzowaniu - była godzina siedemnasta, piątek.

Spakowałyśmy się w pół godziny. Anka dostała plecak z niezbędnym wyposażeniem, a ja nosidło z Miską (lat trzy, kilogramów piętnaście) i pede-rastkę z dokumentami. Zdecydowałyśmy się na Zawoję, bo tam jeździły autobusy do późna w nocy. Pojechałyśmy ostatnim. W ciemno, dosłownie - jak dotarliśmy na miejsce, zapadła już głucha noc. Pan kierowca ulitował się nad nami i zamiast zostawić nas na bezludnym przystanku Zawoja-Markowe, do którego ambitnie dojechałyśmy, poświęcił odrobinę czasu oraz benzyny i zawiózł nas prosto do miłego drewnianego pensjonatu. Pani właścicielka ujrzała w progu dwie nocne zjawy z trzylatkiem w ramionach, nieco uniosła krzaczaste brwi i zaprowadziła nas do przytulnego pokoiku. Stałyśmy w oknie, była noc, głęboka cisza i las dookoła. Nareszcie.

Zjadłyśmy pospieszną kolację i położyłyśmy się spać. Miśka nie zarejestrowała nawet, że gdzieś ją dowieźli.

O poranku natomiast obudziła się pierwsza, rześka jak skowronek, zachwycona, i od razu pobiegła polować na kota, którego wypatrzyła przez okno. Ku zdumieniu nas wszystkich - wybiegłam za nią w piżamie, mogłam sobie pozwolić, bo innych gości w pensjonacie nie było, zresztą moją piżamę od biedy można uznać za awangardowy dres - kot dał się upolować bez trudu. Wyłożył się na ścieżce w pozycji „adoruj mnie” i mrucał radośnie.

Wyglądał osobiście - do połowy miał grube, gęste futro, a w dolnej części prześwitywała goła skóra. Zaczęłam się obawiać, że to jakaś choroba, być może zakaźna, i dziecko mi w placki porośnie. Ale na szczęście napatoczyła się pani gospodyni i pogodnie wyjaśniła, że kociak - na imię miał Felek - jest owocem mezaliansu, jaki popełnił kocur przywieziony na wakacje przez stałych bywalców, pers rodowodowy, z miejscową ko teczka. Zwierzak odziedziczył bujny włos po tatusiu, a temperament po mamusi i nie zważając na gęstą fryzurę, prowadził awanturniczy tryb życia wiejskiego kocura. Z każdej romansowej wyprawy wracał dumny jak

106

paw, zadowolony z życia, z nowymi bliznami na uszach - lewe praktycznie już nie istniało - oraz z futrem w stanie godnym pożałowania. Ostatnio nie było go ponad tydzień i po powrocie rodzona właścicielka go nie poznała. Kot się sfilcował. Gospodyni, nie mogąc rozczesać imponujących kołtunów i wygonić z nich różnych niemiłych żyjatek, wzięła nożyczki i pozbyła się problemu radykalnie, strzygąc kota na lwa. Efekt zapierał dech w piersi.

Po śniadaniu oderwałyśmy Miskę od kota, upchałyśmy w nosi-dle i wyruszyłyśmy w kierunku Babiej Góry. Według przewodnika Pascala i naszych wspomnień z młodości do schroniska na Markowych Szczawinach było jakieś dwie i pół godziny marszu, co nie wydało nam się przesadnie męczące. Damy radę.

Po piętnastu minutach od wejścia na szlak tknęło nas przeczucie, że żaden przewodnik na świecie nie przewidywał pokonywania tej trasy wczesną wiosną w obuwiu typu kozak na obcasach, które miała na nogach Anka, oraz z ruchliwym trzylatkiem w nosidle, które miałam na plecach ja.

Na szlaku był lód. Cała ścieżka, pnąca się w górę, niekiedy nawet dość stromo, czego akurat zupełnie nie pamiętałam z młodości, była wylana świeżutkim, twardym lodem, błyskającym wesoło na kamyczkach. Temperatura w okolicy musiała podnieść się w okolice zera całkiem niedawno, po

lodzie spływała woda, a w nocy zapewne wszystko zamarzało z powrotem, tworząc ślizgawkę, której nie powstydzilyby się krakowskie Błonia. Mimo tych niesprzyjających warunków postanowiliśmy nie poddać się tak łatwo i zdobyć upragniony fragment Babiej Góry, wszystko jedno czym. Czepialiśmy się podłóża rękami, łokciami, brzuchem i nie będę się wyrażać czym jeszcze. Miśka pokrzykiwała, czasem gniewnie, a czasem z rozbawieniem, gdy wykonywałam jakąś szczególnie akrobatyczną figurę, walcząc o utrzymanie nas w pionie. Ogólnie była raczej zadowolona - my mniej - i na szczęście dość szybko zasnęła. Utrzęsło ją do snu.

W końcu wylazliśmy. Po czterech godzinach. Mokre wszędzie -nie jest to figura literacka, tylko naga rzeczywistość, i zdyszane jak dorożkarskie szkapy. Przywitało nas puste o tej porze schronisko, zapach lasu, drewna i nieśmiertelnej fasolki po bretońsku. Barek na szczęście działał, choć, oprócz obsługi, nikogo nie było. Cisza, spokój, gorąca herbata i kiełbaski na gorąco. Miśka obudziła się,

107

usadowiła wygodnie na ławie i rzuciła się na kiełbasę. Żarła jak szatan, jako jedyna była względnie sucha i niebotycznie szczęśliwa. Prawdziwe schronisko! Góry, sosny i przygoda!

Powoli odtajały nam ciała i dusze, oczy rozbłysły nie gorzej niż Misce i ogarnął nas całkowity spokój. Wszystkie - niemałe - problemy zostały daleko, w hałaśliwym, zakurczonym mieście. Tu była tylko radość. I wspomnienia.

Markowe, ech, Markowe! Tu przybyliśmy kiedyś, w samym środku zimy, roześmianą kolorową bandą, z gitarą, plecakami, śpiworami i spędziliśmy cudownie jasne cztery dni. Mieliśmy może po szesnaście lat i była to pierwsza wyprawa, na którą zezwolili mi rodzice, tylko w towarzystwie moich przyjaciół z liceum, bez starszych opiekunów czy nauczycieli. Tu, w tej sali, śpiewaliśmy do późna ballady Cohena, tu graliśmy w mafię, kłócąc się zażarcie, nie pamiętam o co. Tu ulepiliśmy ze śniegu wielkiego bałwana o charakterystycznych rysach naszego polonisty i wbiliśmy uroczyście w niego wszystkie noże z kuchni, dopełniając całości czerwonym szalikiem kolegi Paszteta, spływającym z pleców bałwanka jak krew. Tu Łosoś ćwiczył skręty na pożyczonej desce snowboardowej i wjechał w drewno opałowe, i trzeba było czterech chłopca, żeby go uwolnić spod kopca, jaki na sobie usypał. Tu chłopcy zmarnowali pięć butelek piwa, wystawiając je na noc za okno, bo ktoś im powiedział, że piwo nie zamarza. Faktem jest, że doświadczenie względem piwa mieliśmy w owych czasach żałośnie niewielkie. Tu w środku nocy pół klasy schowało dyskretnie czerwone oblicza pod kołdry i śpiwory, gdyż z łóżka, które zajmowałam wraz z moim chłopakiem, dobiegały komendy „tu, tu, niżej, nie, wyżej, teraz dobrze, o tak, rób tak jeszcze...” i tak dalej, po czym Rafałek nie wytrzymał i zapalił światło i wyszło na jaw, że zwyczajnie robię chłopu masaż kręgosłupa, bo potwornie bolała go głowa. Tu Przemek na mojej pokrywce smażył jajecznicę, tu uczyłam się podstaw licytacji brydzowej i notorycznie wychodziłam spod króla, tu Kaśka spadła z kibla i skreśliła nogę, tu postanowiliśmy nie spać przez noc całą i powitać śpiewem cudowny wschód słońca, co niespecjalnie zachwyciło obsługę, stąd wreszcie o mały włos nie wyruszył GOPR na poszukiwania naszej mądrej grupy, która przed wyjściem na szczyt Babiej Góry wpisała się grzecznie do księgi wyjść w góry, ale do głowy nam nie przyszło odmeldować się po powrocie; dobrze, że ktoś zapytał nas w końcu

108

o zaginioną grupę z Krakowa - okazało się, że ta grupa to my i siedzimy w jadalni już od czterech godzin... Żeby było śmieszniej, tego dnia na szczycie Babiej była gęsta mgła i faktycznie zgubiliśmy się na chwilę, bo przy widoczności około pół metra zeszliśmy ze szlaku, żadnych tyczek nie było widać i zdarzył nam się numer, o którym myślałam, że zdarza się tylko w filmach klasy B, mianowicie po półgodzinie błąkania się w okolicach szczytu natrafiliśmy na nasze własne ślady, w dodatku biegnące w całkiem inną stronę, niż mogliśmy przypuszczać. Ale użyliśmy dedukcji i całego zbiorowego zdrowego rozsądku, jakim jeszcze dysponowaliśmy, i rezygnując z zaliczenia szczytu, zeszliśmy po własnych śladach w dół i tak ocaliliśmy wszyscy razem i każdy z osobna. Tu słuchałam, jak mój chłopak śpiewa przy wszystkich piosenki, których ukryty sens znałam tylko ja i ręce mi drżały przy przewracaniu kartek od śpiewnika, bo była w tym radość i przebaczenie - wycięłam mu wcześniej jakiś podły numer - i miłość w tym była, odważna i na całe życie, i czułam

to wtedy, nie bez powodu.

Bo tamten chłopak w zielonej koszuli siedzi obecnie w moim domu w Krakowie, w zupełnie innej, rzecz jasna, koszuli, i mimo że wycięłam w życiu jeszcze niejedną numer z gatunku paskudnych, wciąż ze mną jest. Nie było kłamstwa w tamtej pieśni.

Jestem tu znowu. Moje życie zatoczyło krąg.

Czuję to nagle, tamte wszystkie lata, pełne zawirowań i problemów, które w końcu wcale się nie liczą, takie śmiesznie małe, takie głupie.

Jestem tu znowu. Jest ze mną nasze dziecko. Mamy dziecko, ja i tamten chłopak z gitarą, do którego wzdychałam na przerwach i pisałam wiersze, przez którego patrzyłam wilkiem na dwie koleżanki, bo one też miały na niego ochotę, przez którego ryczałam rzewnie na schodach na zapleczu szkoły i w kilku innych romantycznych miejscach, do którego śmiały mi się oczy i myśli na niejednej lekcji, przez którego zawałam niejedną klasówkę, który śnił mi się po nocach, pisał dla mnie bajki, komponował muzykę do moich, pożał się Boże, pierwszych tekstów, któremu dawałam moje drugie śniadania i z którym chodziłam na pierwsze wagary, i który był moim najlepszym przyjacielem, moim magicznym, metafizycznym bra-tem-bliźniakiem, bo zdarzały nam się takie same sny, moim ciągłym stresem, moim utrapieniem, moją pierwszą miłością.

109

I udało się, Boże, udało nam się tę miłość ocalić, i mamy dom, mamy dziecko, koty, wspólne książki i płyty, mamy dwanaście wspólnie przeżytych lat.

Czym ja się martwię, czego tak bardzo boję, jeśli udała nam się taka rzecz?

Mój chłopak. Mój mąż.

Moje życie.

Do rzeczywistości przywróciła mnie Anka, z niepokojem wyglądając przez okno. Zapadał zmierzch, powoli i nieubłagane, i trzeba było coś zdecydować. Przeżyliśmy krótki moment konsternacji - nie zdawałyśmy sobie sprawy, że jest aż tak późno, a my z małą Miską jesteśmy tak daleko od domu. Zostać czy wracać?

Kasę miałyśmy przy sobie, telefon do pani od kotka też przytomnie wzięłam, ale na dole zostało kilka przydatnych drobiazgów - piżamki, szczoteczki i pudełka na szkła kontaktowe. Zwłaszcza te ostatnie. Ponieważ i ja, i Anka miałyśmy w przeszłości złe doświadczenia z pozostawianiem soczewek na noc na oczach lub w innych nieprzystosowanych do tego celu miejscach, zdecydowałyśmy się na powrót. Z duszą na ramieniu i pełne nadziei, że droga w dół potrwa krócej niż pod górę. Zadzwoiłam do pani od kotka i poprosiłam, żeby jeszcze nie wzywała służb ratunkowych na poszukiwanie dwóch rozsądnych medyczek z trzylatką w plecaku. Uratujemy się same i postaramy się dotrzeć na dół jak najszybciej. Słyszałam nieomal, jak pani rusza brwiami. Nadzieja nie zawiodła. Dotarliśmy na dół w tempie, którego nie powstydziliby się najtwardsi górscy wędrowcy, aczkolwiek metodą, która zapewne nie przyszlaby im do głowy.

Po zaliczeniu kilku twardych lądowań na świeżo stwardniałym lodowisku klapnęłyśmy na siedzenia planowo, w sposób kontrolowany, i dalszą część trasy pokonałyśmy, zjeżdżając na zadkach. Spokojnie zmieściłyśmy się w czasie przewidzianym przez przewodnik Pascala, łącznie z przystankami na ataki śmiechu. Przewodnik nie wspominał jedynie o konieczności przyłożenia tyłka do kaloryfera na koniec wyprawy.

Przeżyłyśmy. Miśka uważa, że było cudownie i domaga się powtórzenia wycieczki, koniecznie do pani od kotka. Przypuszczam, że bardziej do kotka niż do jego pani.

110

Jedynie buty Anki padły ofiarą wspaniałej eskapady. I teraz Anka chodzi po mieście w eleganckich z pozoru kozaczkach - fason im wrócił, szczelność nie - w których wnętrzu szeleszczą woreczki śniadaniowe. Czasem zapomni włożyć worki, jak na przykład wczoraj, i ponosi konsekwencje. Teraz obawia się grypy z powikłaniami, z których najbardziej przykre byłoby rozłożenie się akurat na egzamin specjalizacyjny. W ramach prewencji popełnia nasz ulubiony grzech narodowy, jak grzmiała na wykładach pani z socjologii medycyny, czyli wierzy w leczniczą moc alkoholu. Kuracja wygląda tak: herbatka z miodem, cytrynką i z prądem, do tego paracetamol, żeby wątroba już całkiem oszalała z zachwyty i życzliwa dusza - czyli ja - która czuwa przy łożu boleści i czyta

na głos gospodarkę wodno-elektrolitową i wykłady z zaburzeń rytmu serca. Mózg Anki, nastawiony na wyższe obroty przez gorączkę i prąd w herbacie, przetwarza informacje całkiem przyzwoicie, więc może jednak nie będzie tak źle.

Każdy ma jakiegoś kota

Śnieg się wreszcie klei jak trzeba. Ulepiłyśmy z Miską kota w ogródku, widocznie mało nam tych w domu. Ten w ogródku przynajmniej nie sika. Nasze domowe leją wszędzie, jeśli akurat włączy im się opcja wychowawcy.

Bo koty nas wychowują. Jeśli nie dość często zmieniamy im żwirek w toalecie, załatwiają się w różnych miejscach. Podłoga w ki-belku to żółta kartka. Można nawet powiedzieć, że dosłownie żółta. Kot to zwierzę kulturalne i nie będzie przecież korzystał z brudnej toalety. Sami zobaczcie, jak to jest mieć zasikany kibel, proszę bardzo. Następnym etapem kociej pedagogiki jest oddanie moczu w okolice obuwia. Czasem nawet do. Najsurowszą formą kary jest nalanie na poduszkę.

Trzeba przyznać, że w tym szaleństwie jest metoda - efekt kocich starań jest natychmiastowy.

Bestie dostają po uszach, ale kuwetę mają wymienioną w piorunującym tempie. Nauczeni doświadczeniem, zazwyczaj respektujemy list intencyjny z podłogi w wychodku.

Ostatnio wzięliśmy się na sposób i opiekunka Malwinki dostaje od nas kocią premię. Poleciliśmy jej nadzór nad kuwetą tych

111

podstępnych stworzeń. Jak zaniedba, to zaniosę jej kota w reklamówce i wsadzę pod poduszkę. Na razie sprząta wzorcowo, sama z siebie, bo to fajna dziewczyna. I my, i koty oddychamy z ulgą. Starszy kot żółtym pismem wyraża jeszcze swoje kocie antypatie. Najbardziej nie lubił takiego jednego, Łososia, który wynajmował mieszkanie z moim jeszcze wtedy narzeczonym w dawnych, złotych, studenckich czasach. Na samym początku Łosoś chciał tresować kota, choć kot zasadniczo należał do mojego narzeczonego. Kotu tresura nie przypadła do gustu, Łosoś w konsekwencji również, więc zaczął mu sikać na poduszkę. Kot Łososiowi.

- Słuchaj, stary! - powiedział Łosoś do tego mojego któregoś wieczora, gdy poduszka znów okazała się wilgotna, a metody wychowawcze typu: kręcenie kotem młynka, wsadzanie kota do kibla i spuszczenie wody oraz rzucanie kotem o ścianę okazały się nieskuteczne. - Weź tego swojego kota i mu wytłumacz, bo jak ja mu spuszczę łomot, to on znowu pomyśli, że to czysta złośliwość i będzie się mścił. A wtedy nie rękę za siebie i nie biorę odpowiedzialności za rozwój wydarzeń.

Mój narzeczony zastosował się i spuścił łomot kotu osobiście. Kot miauknął, otrząsnął się i z prędkością błyskawicy poleciał oddać mocz na Łososiową poduszkę. Kot to naprawdę niegłupie zwierzę.

Kotka stać było na jeszcze większą perfidię. Przyszedł raz Łosoś do domu po zdanym egzaminie, pełen energii i miłości do całego świata z kotem włącznie. Kupił nawet puszkę na pojednanie i zabrał się do sprzątania, co było, w wypadku Łososia, sporym ewenementem. Kot docenił wyjątkowość sytuacji i dostosował się błyskawicznie. Przemieszczał się wraz z Łososiem do każdego porządkowanego pomieszczenia, łącznie z łazienką, ocierał mu się o nogi i mruczał przyjaźnie. W końcu Łosoś dla wzmocnienia efektu swej świeżo rozbudzonej gospodarności postanowił jeszcze wyskoczyć do sklepu i uzupełnić zapasy w lodowce. Nie było go jakies piętnaście minut. Jak wrócił, to zdębiał.

Worek ze śmieciami, przygotowany do wyniesienia, był rozdarty, a jego zawartość rozwleczona po całym mieszkaniu. Skórki z parówek zawleczone do łóżka, paperek od masła umieszczony

112

precyzyjnie w centrum lśniącego czystością brodzika, a cała reszta równomiernie rozsmarowana po kuchni oraz przedpokoju. W ciągu kwadransa drobna kocinka wykonała zaiste katorżniczą pracę. Bestia śledziła uprzednio, gdzie Łosoś sprząta najbardziej i tam poumieszczała specjalne prezenty. Sama siebie ulokowała na wysokiej szafie i pogodnie obserwowała, jak Łososiowi opadają ręce. Nie zeszła do wieczora, choć Łosoś tym razem, pod wrażeniem pomysłu i wykonania, nie miał zamiaru jej karać. Poszedł do kuchni i napił się piwa ze świeżo uzupełnionych zapasów, kocie dzieło pozostawiając mojemu narzeczonemu do obejrzenia i usunięcia, w nadziei, że kot nie będzie się czepiał porządku wykonanego ręką właściciela. W sumie kot wyświadczył Łososiowi niemałą

przysługę. Dał mu piękny pretekst do zaniechania wszelakich zrywów gospodarności w przyszłości. Z czego też Łosoś skwapliwie skorzystał.

Kot nie jeden jeszcze raz stał się przyczyną Łososiowej frustracji. Do dziś stoi mi przed oczami scena, która miała miejsce na wiosnę, kiedy kotek dojrzał płciowo i zaczął mieć tak zwane ruje. Dla ścisłości muszę dodać, że kot był płci żeńskiej, z prawidłowo ukształtowaną orientacją seksualną. Na głos męski reagował bezbłędnie, miaucząc zachęcająco i przybierając pozę zdeformowanego jamnika na krótkich łapkach i z zadkiem do góry. Eksponował przy tym istotę rzeczy i kusząco przebierał łapkami. Weszłam do mieszkania akurat, gdy kot uwodził Łososa, pokazując mu swe tylne rejony i mruczając jak mały silniczek. Łosoś kucał nad kotem z miną pełną determinacji. - Kicia, ja bym naprawdę chcia! - zwierzył się kotu boleśnie. - Ty nawet nie wiesz, jak ja bym chcia! Ale ja, cholera jasna, jestem nie tego gatunku!

Wkrótce potem zamieszkaliśmy z tym moim w mieszkaniu po teściach, już bez Łososa, i wzięliśmy sobie jeszcze jednego kota. Również płci żeńskiej, gdyż nie planowaliśmy zakładania kocięj fermy. Młodszy kot rozpoczął karierę od wejścia do pralki od tyłu, pod bęben. Na szczęście już wtedy byliśmy leniwi i pranie nastawialiśmy z rzadka, bo inaczej mogłoby kotu uszy zeszlifować. Za to rozebraliśmy pralkę na części, próbując ewakuować kota, i nigdy już nie udało nam się złożyć jej z powrotem. W końcu kupiliśmy nową pralkę.

113

Młodszy kot jest dowodem na to, że pochodzenie ma jednak znaczenie. Wzięliśmy go z ogłoszenia, od pani, która miała w mieszkaniu jeszcze ze czterdzieści innych kotów. Smród nas mało nie zabił, więc pani wyniosła nam kota na klatkę schodową i wręczyła wraz z pouczeniem, żebyśmy koniecznie słuchali Radia Maryja, bo wyglądamy na sympatycznych młodych ludzi i musimy dbać o to, żeby świat nam nie spaczył światopoglądu. Zabraliśmy kota i zwialiśmy stamtąd w popłochu, bo pani zaczęła dochodzić do wniosku, że jesteśmy tacy mili, że chętnie nam powierzy jeszcze kilka innych kociaków. Stanowczo chcieliśmy tylko jednego zwierzaka.

Potem się okazało, że z kotkiem dostaliśmy jeszcze florę i faunę gratis, czyli grzybki i pchły. Zanim się zorientowaliśmy, cały pakiet zdążył przeleźć na drugiego kota. Wzięliśmy towarzystwo do weterynarza, żeby jakoś pozbyć się organizmów dodatkowych. Dostaliśmy maści, fiolet i zasypkę na pchły.

Zasypkę stosuje się następująco: należy obsypać nią kota, starając się nie nasypać mu do oczu i pyszczka, następnie ciasno zawinąć kota w ręcznik i, uwaga, odłożyć w spokoju na jakieś pół godziny. Producent zasyпки nigdy chyba nie widział kota na oczu. Żywego. Któremu żywotność wzrasta po zasypce o jakieś pięćset procent. Ale znaleźliśmy sposób na bestie: trzeba przerobić kota na raketę. W tym celu należy wziąć bluzy z rękawami stosownymi do wielkości kota, wsadzić zwierzę w rękaw pyskiem do przodu i mocno strzepnąć. W ten sposób otrzymujemy rękaw ściśle wypełniony kotem, któremu z przodu wystaje tylko kawałek pyszczka. Kot się nie udusi, a tak przygotowaną raketę można z tyłu spiąć lub zawiązać i odłożyć nawet na godzinę. Niezbyt wysoko, bo może się turlać. Należy też liczyć się z koniecznością uprania bluzy po zabiegu, nie tylko po zasypce.

Tak więc przerabiając koty w rakiety poradziliśmy sobie z pchłami. Zdążyły jeszcze pogryźć nam szwagra. Nas na szczęście nie lubiły. No, a przez te grzybki... Widok kotów ozdobionych plamami z fioletu jest jedyny w swoim rodzaju. A i tak grzybki przestały porastać nam ulubieńców dopiero po terapii preparatem doustnym. W dawce jak dla noworodka. To był genialny pomysł szwagierki, która jest farmaceutą, a która obawiała się, że na jej męża przeleżą i grzybki skoro jest taki podatny na kocie choroby.

114

To pewnie dlatego, że szwagier ogólnie przypomina kota. Spi w nocy z otwartymi oczami i ma ruchome małżowiny uszne. Potrafi się nimi wachlować, jak słoń. Powinien unikać chodzenia do ZOO. Jeszcze przelezie na niego coś tropikalnego.

A tak w ogóle to powtarzam: należy uważać, skąd się bierze koty. Ten od pani z Radyjem jest głupszy niż kaloryfer. I, w przeciwieństwie do naszego starszego kota, miał zaburzoną orientację, dopóki w ogóle posiadał jakąś orientację. Seksualną, mam na myśli. Ogólnie zresztą też jest

zaburzony. Potrafi spaść z kanapy jak worek kartofli, zaprzeczając tezie, że kot zawsze spada na cztery łapy. Nie zawsze. Czasem spada na cokolwiek. Warczy i gryzie, zupełnie jak pies. Pozazdrościł obserwowanym ptaszkom i próbował latać z czwartego piętra, po czym musiałam w środku nocy przełazić na taras przez mieszkanie sąsiadki, bo spadł na taki specjalny taras przed blokiem, na który jest tylko równie specjalny wjazd. Klucze od wjazdu ma administracja, ale niekoniecznie w środku nocy. Zeskoczyłam w końcu po niego na ten taras, nawet dał się złapać, ale z wdzięczności użarł mnie w biust i nie zachowałam ciszy nocnej na tarasie. Potem się okazało, że spadając, przestawił sąsiadom antenę satelitarną i, przestawiając, złamał sobie nogę. Przez parę tygodni chodził po domu, stukając gipsem. Przemieszczał się tylko do miski i z powrotem, za to często, więc utuczył się w kuleczkę. A niedawno, w nowym domu, pierwsze co zrobił, to znikł. Szukaliśmy drania przez dwa dni, zaintrygowani, gdzie mogła się schować utuczona w baleron kocica w domu, w którym istnieje jedynie materac, biurko, jeden kibel i wanna wmurowana w podłogę. W końcu zaczął się pojawiać, a za uszami miał tynk. Całe masy. Po czym znów zniknął. Wyśledziła go Miśka. Właził, idiota, do przewodów wentylacyjnych. Dobrze, że nie spadł na dół, bo trzeba by było rozkuwać ściany.

Ale miało być o orientacji. Otóż tej wiosny, kiedy Babel skończył rok (imię ma niezbyt żeńskie, stąd nawyk mówienia „on”), zaczęły się ruje. I tu wyszło szydło z worka. Podczas gdy starsza kotka zdecydowanie kokietowała facetów (a jeśli koleżanki, to te z niskim głosem i przypadkowo też preferujące panie), młodsza zaczęła śpiewać co noc serenady. Specjalnie dla mnie. Zaczynała o jedenastej i jechała do rana, mimo narastającej chrypki. Wyniesiona do łazienki, huśtała się na ręczniku, waląc całym ciałem w drzwi. Przy czym nie przerywała występu.

115

Wytrzymałam trzy dni, po czym wyniosłam koty do weterynarza. Na wszelki wypadek oba. Preferencje się czasem zmieniają. Dwóch miłosnych pieśni naraz bym nie zniosła. Pani weterynarz sprawnie pozbawiła kotki zbędnych im w dalszej egzystencji jajników i pieśni się skończyły. Za to miałam w domu dwa stwory w zgrabnych kubraczkach z moich fioletowych legginsów, żeby sobie przedwcześnie nie usunęły szwów. Moje koty mają pecha do fioletu. A szwy wyciągałam im sama, co okazało się być krwawą operacją. To znaczy, straciłam przy tym sporo krwi. I przeraziłam mocno moją koleżankę Iżę, która w owym czasie kończyła blok z psychiatrii, krwawymi szramami na przegubach. Musiałam ją szybko wyprowadzić z błędnych obaw o moje życie, bo jeszcze chwila i byłaby skłonna do zastosowania przymusu bezpośredniego, z artykułu 18 Ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. Wyjaśniłam jej, że krwawe sznyty, owszem, są konsekwencją zastosowania przymusu bezpośredniego, ale wobec kotów. Na wszelki wypadek zostawiła mi jednak namiary na znakomitą panią psycholog. Co mi się zresztą bardzo w życiu przydało, ale ze względu na zupełnie inny rodzaj kota. Z gatunku tych, że tak powiem, wewnętrznych. I parę lat później.

Zasady rozpuszczalne

Dudka syn ma kolki. Ryczy. Duduś go suszy suszarką. Jego żona wyczytała w Internecie. Działa. Na szczęście młody jest wyregulowany jak szwajcarski zegarek. Ryczy od osiemnastej do dwudziestej drugiej. Po dwudziestej drugiej, z brzuszkiem wymasowanym przez mamusię zgodnie ze schematem ściągniętym z poradnika, wykąpany w świeżym naparze lipowym za poradą cudownej położnej z rejonu, wyłącza się, jakby mu ktoś wyłączył wtyczkę. Pani z rejonu jest naprawdę super. Sama jej zawdzięczam bezproblemowe macierzyństwo, a że mamy z Dudusiem tę samą przychodnię, wysłałam im panią Ulę natychmiast po porodzie, wiedząc, że ta pani jest w stanie zneutralizować, oprócz hysterii hormonalnej, także tę nabytą skutek zbyt długiego śledzenia Internetu. Jak już będę lekarzem, będę zapisywać panią Ulę na recepty wszystkim młodym matkom jak leci i domagać się od NFZ refundacji za taksówki. Choćby do Warszawy.

116

Tak więc synek Dudusia punktualnie o dwudziestej drugiej tankuje kolejną porcję paliwa, suszą go suszarką i usypia. Duduś ma fajrant. Wsiada w taryfę, zgarnia po drodze swojego przyjaciela Barona, policjanta, który wrócił z rocznego szkolenia i na nowo odkrywa uroki Królewskiego Miasta, i lądują koło jedenastej w Banasiu, dostarczając mocnych wrażeń całej obsłudze. Bo kolega Baron jest specyficznym człowiekiem. Na temat jego relacji z kobietami krążą legendy. Jak sama

nazwa wskazuje, Baron jest człowiekiem o manierach nienaganych. Przepuszcza w drzwiach. Podsuwa krzesła. Kłania się w pas i w pół. Oprócz tego tankuje jak myśliwiec. Po zatankowaniu jego maniery ulegają jakby rozrzedzeniu. Wstaje, podając swojej kobiecie zapalniczkę, a następnie w ferworze dyskusji zwraca się do niej: „Nie znasz się na tym, ty głupia babo!”. Ostatnio poprawił humor mojemu mężowi na jakieś dwa dni. Mianowicie urządzili sobie bibkę. Mój mąż, Duduś, Baron i jego nowy nabytek, dziewczę młode, ale z jajem. Pili, pili, aż skończyli. Dziewczę, nikłej postury, miało ze sobą potężnych rozmiarów plecak sportowy, gdyż dziewczę jest elementem napływowym i do Krakowa przyjeżdża na weekendy, taszcząc dobytek na plecach. Baron oddalił się na koniec w miejsce ustronne, a całe towarzystwo wraz z dziewczęciem zbierało się do odejścia. Mój mąż, aczkolwiek wzrok miał już nieco przymglony, dostrzegł dysproporcję między rozmiarem plecaka a jego drobnej właścicielki i skonfiskował dziewczęciu bagaż. Baron wylazł ze świątyni dumania i podążyli rażno w stronę Bronowie, gdzie przypadkowo wszyscy mieli metę. Wracali do domostw na piechotę, z uwagi na koniec miesiąca. Po jakichś dwustu metrach Baronowi wyostrzył się wzrok, zmałowany uprzednio piątym wściekłym psem. Dostrzegł plecak swej lubej na grzbiecie mojego męża i poczuł, że ktoś tu wkroczył na jego terytorium. Przystanął.

- Ej, ty, oddaj no ten plecak! - zażądał kategorycznie.

Mój mąż oddał bez protestów.

Baron przejął bagaż, po czym z ukłonem wręczył go właścicielce.

Mój mąż z Dudusiem zawiśli ze śmiechu na przydrożnym płocie, gdyż objawił im się tym samym charakter Barona niejako w pigułce. Baron patrzył na nich wzrokiem baranim, nie rozumiejąc przyczyn tego nagłego wybuchu wesołości. Porzucony plecak (bo

117

dziewczę, niegłupie, też zgięło się ze śmiechu) przejął na powrót mój mąż.

W ogóle to grono jest siebie warte. Nasz Duduś też jest niezły. Też ma zasady rozpuszczalne w alkoholu. Jego zasady dotyczą jego samego i kobiet jako takich. Duduś mianowicie jest człowiekiem moralnym do bólu. Jako samiec zakontraktowany nie wchodzi w żadne uboczne interakcje, nie flirtuje towarzysko, nie tańczy i w ogóle jest nieczuły na wdzięki obcych dam. Patrzy z naganą na mojego męża, który dla odmiany tańczy, robi słodkie oczy do wybranych samic oraz zdarza mu się w przyływie ułańskiej fantazji wizytować lokale z rurkami, w celu pooglądania sobie wijących się wokół rurek pań. Tej rozrywki nauczył go Łosoś w czasie wspólnej wyprawy do Stanów, gdzie wieczorami umierali z nudów, jako że stałe partnerki powróciły już wtedy na łono ojczyzny. Duduś się odcina. Czasem nawet chodzi do wyżej wymienionych przybytków, wyłącznie do towarzystwa mojemu mężowi, ale się odcina. Przynajmniej werbalnie. Marudzi, wyśmiewa i krytykuje, co nie znaczy, że siedzi z zamkniętymi oczami. Stan sztywności moralnej trwa u Dudusia mniej więcej do czwartego piwa. Później już Dudek jest pod wpływem, a jako człowiek pod wpływem, nie odpowiada do końca za swoje zachowanie. No i się zaczyna. Lepiej nie znajdować się na podorzędziu. Albowiem po czwartym bądź piątym piwie Duduś maca. Maca wszystko, co wpadnie mu w ręce, jest płci żeńskiej i posiada odpowiednie do macania gabaryty. Czas znajomości oraz stopień zażyłości dowolny. Nie może usiedzieć na miejscu, odzywają się w nim umiejętności taneczne, więc jednak tańczy, i w tańcu rączki mu żyją własnym życiem, niezależnym od przekonań właściciela. Cóż on, biedny, może na to poradzić. Duduś, gawędziarz i intelektualista, nawet w tańcu stara się prowadzić konwersację na wysokim poziomie, a jego rączki niestrudzenie eksplorują powierzchnię ciała partnerki, bez związku z tematem konwersacji. Każda z nas przynajmniej raz się nadziała na Dudusia po piątym piwie.

Kiedyś byliśmy na wspólnej imprezie, ja, Duduś i mój mąż, i choć znałam już dobrze Dudka i jego zwyczaje, udało mu się zadziwić mnie śmiertelnie. Zasadnicza część imprezy nie dotknęła mnie osobiście, unikałam bowiem jak mogłam tańców z Dudusiem, gdyż wolałam jednak, by macał mnie mój własny mąż. Duduś poleciał zatem na poszukiwanie własnego materiału do maca-

118

nia, a wybór miał szeroki, bo była to impreza taneczna rozreklamowana w prasie i na płotach i przyszedł na nią tabun dzikich bab. Dudek zmacał, co tam chciał. Po czym, po skończonej imprezie, zamówiliśmy wspólną taryfę, gdyż mieszkamy w odległości rzutu średnio obciążonym beretem.

Zapakowaliśmy się wszyscy do tyłu -ja, Duduś i mój mąż, w takiej właśnie kolejności, gdyż nasz kolega zatankował tego dnia więcej niż pięć piw i bezpieczniej mu było na środku. Po czym Dudek z moim mężem wdali się w żywiołową i dowcipną konwersację z panem taksówkarzem, a rączka Dudusia nieomylnie powędrowała pod moja bluzkę. Zdumiałam się nieco taką ostentacją, ale nie powiedziałam słówka, tylko wzięłam Du-dusiowe łapsko i odwiesiłam, jak ścierkę, na kolanka właściciela. Nie minęły trzy sekundy, jak Duduś rzucił w powietrze następną błyskotliwą anegdotę, a jego łapa wylądowała w okolicy mojego biustonosza, tym razem z tyłu, i majstrowała w okolicy domniemanego zapięcia. Ubawiłam się w duchu serdecznie, gdyż akurat ten model miał zapięcie z przodu, i oparłam się mocniej. Duduś syknął, rzucił następnym dowcipem i dyskretnie przełożył łapsko do przodu. Westchnęłam i z rezygnacją poddałam się manipulacjom Dudusia, choć dla mnie Duduś to jak kazirodztwo, ale nie chciało mi się wszczynać burd. Tym bardziej, że już dojeżdżaliśmy pod jego domostwo. Duduś wyplątał się sprawnie z mojej garderoby, pożegnał wylewnie mojego małżonka, mnie i pana taksówkarza i znikł w bramie. Ja dostałam ataku wesołości, której przyczyny zresztą wyjawiałam mojemu małżonkowi bez oporu, aczkolwiek już w domu, żeby nie demoralizować Bogu ducha winnego pana taksówkarza, któremu Duduś gawędziarz bardzo przypadł do gustu. Mój mąż wytrzeszczył oczy i z żalem stwierdził, że nie może dokonać prostego odwetu, gdyż małżonka Dudusia nie pociąga go seksualnie. Nawet po siedmiu piwach. Mnie Duduś również nie pociąga. Ale macanego podobno nie musi.

Utrwalamy wiedzę

Uczymy się. Ja mam egzamin i Anka ma egzamin. Ona z całej medycyny, bo musi zalegalizować swoją anestezjologię, na której i tak już pracuje, czyli otworzyć specjalizację. Ja mam tylko z fragmen-

119

tów, ale jest ich sporo, gdyż nabierały mi się pewne zaległości. Ale też z medycyny.

Postanowiłyśmy zacząć wczoraj. Tak na poważnie, bo wcześniej to uczyłyśmy się tak dla jaj.

Umawiałyśmy się za pomocą SMS-ów. Przytaczam w całości.

Anka: „No i co z tą nauką? Masz czas? Może odmelduj się u męża”.

Odmeldowałam się u męża. Polecił mi tylko zabrać ze sobą młodsze potomstwo, bo on musi odbyć mecz klanowy. Trudno wymagać od oficera ścigającego terrorystów przez Internet, że równocześnie będzie zajmował się niemowlęciem. Wojna to poważna sprawa. Mój mąż nawet ostatnio zrezygnował, wzorem młodszego brata, z rytualnego piwka wieczornego, aby nie obniżać sobie celności.

Mogę wziąć młodą. W końcu u Anki są kolorowe kredki.

Odpisałam Ance: „Jak chcesz, to mogę przyjechać dziś do ciebie, tyle że z młodą. Wziąć jakieś materiały, czy masz?”. Miałam na myśli notatki medyczne.

Odzew Anki: „Przyjedź, przyjedź. Weź żołądkową gorzką. Mam sok z czarnej porzeczki”.

Aha. Będziemy się uczyć. Jak wynika z doświadczeń lat ubiegłych, wiedza nie utrwalona chemicznie nie trzyma się neuronów należycie.

Wyszłam. Dostałam na drogę błogosławieństwo małżonka. I żołądkową gorzką, ze ślubu kolegi.

Nikt się jej u nas w domu nie czepiał, z wyjątkiem Anki, która z radością odkryła, że na ten rodzaj wódki nie jest uczulona. Dołożyłam jeszcze pół flaszeczki czystej, bo nie wiem, czy żołądkowa lubi sok porzeczkowy, i notatki z kardiologii, dla spokoju sumienia. Plus pampersy i kaszkę z jabłkami dla młodej. Czyli razem pokaźne torbiszczce. Nic nowego.

Dojechałam do Anki taryfą, z uwagi na cenną zawartość torby oraz naręczą. W drzwiach natknęłam się na Anki sąsiada, emerytowanego profesora nieznanego nam bliżej dziedziny. Ale profesora.

Profesor, jak przystało na dżentelmena w obliczu kobiety z niemowlęciem na ręku, wykonał ukłon nienaganny i otworzył mi szeroko drzwi. Weszłam do środka, rażno pobrzękując, po czym profesor zmarszczył brwi, popatrzył na mnie surowo i wykonał ruch, jakby mi chciał strzelić dubla tymi drzwiami. Spojrzałam w ślad za

120

jego wzrokiem. No tak. Dziecina na ręku, a jakże, a z torby wystają szyjki od butelek. Oklejone akcyzą. Nie wyglądały na butelki z mleczkiem.

Troskliwa mamuśka idzie z wizytą. Naukową.

Ha, a jednak uczyłyśmy się. Dogłębnie i wnikliwie. Pod koniec wieczoraomalże nie obaliłyśmy kilku ogólnie przyjętych hipotez. Lotność naszych umysłów, wspomaganych żołądkową gorzką, przerastała świat. Po co nam studia, po co specjalizacje! Możemy się od razu habilitować.

Na razie jednak należy się zrehabilitować. Więc dziś uczymy się już bardziej konwencjonalnie.

Przy herbatce. Idzie nam gorzej. Nasze umysły straciły sporo z wczorajszej lotności. Za to może będą bardziej skłonne do zapamiętania przeczytanych treści, bo wczorajsze rewelacje, jak przystało na substancje lotne, ulotniły się bez śladu. Młoda czołga się tyłem, okrążając Anki mieszkanie.

Wreszcie jest to mieszkanie na miarę jej możliwości. Może zwiedzić je samodzielnie, przy okazji uświadamiając Ance, ile kurzu zebrało się jej po kątach. Anka się wstydzi i obiecuje poprawę.

Hamuję ją, bo chciałaby zacząć odkurzanie natychmiast. No tak. W końcu to tylko trzy dni do egzaminu. Normalka.

Przysięga chrzcielna i Pascal w wersji light

No i chrzest się odbył, wraz z imprezą, którą w przyływie natchnienia w całości zwałam na głowę teściowej. Niech sama sobie planuje przystawki i rozmieszcza osiemnaście krzeseł. Pomysł był genialny, obiad przepyszny i złego słowa nie powiem, bo nie mam o czym. Było pięknie, jak zwykle bywa na tych właśnie imprezach, na które wybieramy się z największą niechęcią. Duża zasługa Ojca L., zaprzyjaźnionego zakonnika, który każdą kościelną uroczystość potrafi poprowadzić bez nadmiernej celebracji. Jest jednym z nielicznych kapłanów, którzy potrafią wydobyć z kościelnych rytuałów ich pierwotną prostotę. I w tej prostocie głęboki sens.

Bo ja, jako jedna z grona tych oazowych dzieci, które przeżyły fazę intensywnej, nastrojowej religijności, a później głębokie rozczarowanie, jestem uczulona na kościółkowatość. Na całą religijną egzaltację. Przeszkadza mi. Jak słyszę kazanie, wypowiedane gło-

121

sem uroczystym, z papieską intonacją i zawieszaniem głosu, jakby należało przeczekać echo ze stu megafonów na Błoniach, choć kościół parafialny jest wielkości boiska do siatkówki i na dobrą sprawę mikrofon to zbyteczny gadżet, to dostaję drgawek. Znaczna część metafor używanych przez przeciętnych kaznodziejów godzi w moją wrażliwość literacką. Mózg mi się wyłącza po piętnastu sekundach. Dlatego moja religijność bywa wybiórcza. Uzależniłam się od Dominikanów, bo oni potrafią zwyczajnym językiem wypowiadać treści niezwykle i ważne. Forma ich nie zarasta jak chwast. I od Ojca L., który mówiąc, nawet odprawiając mszę, nie czuje potrzeby udawania megafonu. Da się. Jak mówi „zebraliśmy się tu wszyscy”, to tak, że oznacza to właśnie to, co ma oznaczać. Że zebraliśmy się tu wszyscy. Ja. Babcie. Wujek Mietek. To wystarczy. Wytrąceni z kościelnej deklamacji zaczynamy słuchać uważniej, bo nic się nam nie wyłącza. To tak, jak nagłe wysłuchanie znanej od dziecka modlitwy w obcym języku. Sprawia, że słowa tak oklepane, że niemal bez treści, zaczynają nabierać sensu. Dziwne uczucie.

Chrzest się odbył, Malwinka była prawie grzeczna, pomijając fakt, że połowę czasu poświęciła na próbę wyrwania Ojcu L. książki, z której czytał. Nie dał się. W odwecie polał ją wodą solidnie i obficie, co nie spodobało jej się zbyt. Z białej szaty udało jej się wymontować niepostrzeżenie po pięciu minutach. Miała też zamiar wyrwać ojcu chrzestnemu płonąca świeczkę i zapewne skosztować, bo już otwierała dziób. Poza tym w porządku.

A więc trafiła na wieki do kartoteki. Stało się. Niby najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Wszyscy tak robią. To oczywiste, że dziecko się chrzci. Tylko ja mam jakąś schizofreniczną tendencję do analizowania sensu wszystkiego. Zatem analizuję. Moje dziecko trafiło do Kościoła, tej dziwnej, kontrowersyjnej instytucji, którą przyjmujemy za oczywistą odruchowo i bezmyślnie albo zaczynamy ją zwalczać, gdy tylko na twarzy wyskoczą nam pierwsze pryszcze. Objaw dojrzwania tak samo pewny, jak pierwsza miesiączka u samic i wyrzuty na mordzie u płci obojga. Prawie każdy to przechodził. Ja też.

Wszystko przed moją Malwiną. Faza oczywistości, w której istnienie Boga przyjmuje się z taką samą pewnością, jak istnienie Świętego Mikołaja. Pod tym względem jestem sceptykiem i nie przemawia do mnie teza ponadnaturalnej skłonności dziecka do

122

życia wiara. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, wiara dziecka opiera się na zaufaniu do rodziców. Skoro mówią, że tak jest, to jest. Istnieje Bóg i przychodzi Święty Mikołaj, zostawiając prezenty pod choinką. Potem rosną nam kończyny, trądzik i zainteresowanie płcią przeciwną, i zaczyna się jazda. Bo rzeczy oczywiste przestają być oczywiste. Święty Mikołaj zamienia się w zwyczajnych rodziców. Chociaż prezenty, jak dawniej, pojawiają się pod choinką. Lecz w co zamienić Boga? Odruchowo bronimy się przed pustką, chcemy zostawić sobie prawo do prezentów. Do przebaczenia w sytuacji, kiedy sami nie umiemy sobie wybaczyć. Do pomocy w sprawach, gdzie żadna ludzka siła nie może nam pomóc.

Często właśnie w takich sytuacjach na powrót, najbardziej zagorzali buntownicy, sięgamy po wiara. Odrzucamy radośnie całą metafizykę świata, gdy jesteśmy młodzi, jeszcze chronieni przez najbliższych, pełni poczucia kontroli nad światem i nad własnym życiem, które poddaje się naszym wysiłkom jak wosk. Będę się uczył, to zdam maturę. Przyłożę się bardziej - wskoczę na studia. Będę siedział po nocach, wyuczę się zawodu i języków obcych i znajdę pracę swoich marzeń. Wszystko w moich rękach.

A potem przychodzi COŚ. Jakaś porażka, niezależna od nas. Śmierć bliskiej osoby. Ciężka choroba. Poronienie, jedno za drugim, podczas gdy przyjaciółki już dawno noszą na rękach różowe bobasy. Przestajemy się czuć panami własnego losu i z desperacji, z poczucia bezsily wyłania się nadzieja, że może jednak Ktoś nim jest. Panem losu. Skoro nie my. Dość częsty schemat i smutny zarazem. Egoistyczny. Wierzę, bo muszę, bo inaczej nic nie ma sensu. Wierzę, żeby sobie poprawić samopoczucie, nadwerężone walką z rzeczywistością.

A jednak zdarzają się ludzie, którzy własną wiarą przemieniają w coś więcej niż tylko strategię przetrwania. Dla mnie pół godziny spędzone z Ojcem L., nawet gdy opowiadamy sobie ostatnio usłyszane kawały, jest jak rzut okiem w okienko, za którym rozpościera się zupełnie inny krajobraz niż ten, który mnie otacza. Świat, który rządzi się innymi prawami. Tymi, które znam, ale czysto teoretycznie. Dlatego zwykle jestem dość wstrząśnięta. A przy tym on jest zupełnie normalny. Olewa zachwyty babć i ciotek, które czają się na niego jak sępy, gdyż Ojciec L. jest postacią medialną i jako

123

taka budzi uwielbienie. Zasiada z moim mężem na kanapie, aby obejrzeć skoki Małysza, i po chwili kłóć się zawzięcie, próbując obstawiać długość skoku, zanim podadzą wynik. Opowiada dowcipy, niekoniecznie grzeczne. Cieszy się szacunkiem Miśki z powodu prześmiesznych rymowanek z zaskakującą pointą, którymi ją raczy w dużych ilościach. Potem Miśka, dziecko obdarzone pamięcią absolutną, może imponować w przedszkolu wierszykami, jakich nie zna nikt inny. A równocześnie żyje zanurzony w innej rzeczywistości, która dla niego jest jak najbardziej realna. Nazywa rzeczy po imieniu. Grzech jest grzechem - dobrowolnym zerwaniem więzi - i jako taki jest tragedią. Przebaczenie można uzyskać łatwo, ale nie jest to pełny reset. Nie jest wszystko jedno. Rozmawialiśmy o tym wczoraj. O tym, że czasem jest to zbyt łatwe, ujmując rzecz mechanicznie. Grzeszę, idę do spowiedzi, jak przykładna katoliczka. Reset. Jest fajnie. Potem znowu się wyłamuję, bo tak mi po drodze. Nic nie szkodzi. Pędzę do spowiedzi. Reset. To ja. A Ojciec L. mi przypomniał, spokojnie, że to nie jest do końca tak i że do wiary należy podchodzić emocjonalnie, jak do relacji z ukochaną osobą. Żona mężowi przebaczy wybryki, czemu nie, ale to nie znaczy, że w sytuacji pełnej napięcia nie dzieli go za to wałkiem w łeb. Wybaczyć nie znaczy zapomnieć. Dla niego to oczywiste. I rzeczywiste. Realne, jak noga od stołu i schabowy na talerzu. I to jest ta ostatnia granica między osobą wierzącą naprawdę a osobą bywającą w wierze w zależności od potrzeby. Uznanie pewnych rzeczy za rzeczywistość, twardą i niosącą pewne konsekwencje albo nie.

A jeśli to ma być rzeczywistość, to pewne słowa stają w gardle. Weźmy wczorajszy chrzest. Tak zwane przyrzeczenia chrzcielne. „Czy wyrzekacie się szatana...” Pewnie! Wyrzekamy się! Radośnie i z pewnością, bo kto by się nie wyrzekał. Zwłaszcza jeśli nie bardzo wierzy w jego istnienie. Szatana? Ależ oczywiście, won stąd szatanie, istniejesz czy nie. Proste. Ale następne: „Czy wyrzekacie się wszystkiego, co prowadzi do grzechu, aby was grzech nie opanował?”. No i zasadzka. W tym miejscu zawsze mnie zatyka, od kiedy uruchomił mi się mózg. No bo jak to?

Wszystkiego? Miłych imprez, suto zakrapianych alkoholem, po którym zdarzało mi się nieco narozrabiać? Sympatycznych wagarów od życia, które potem

124

wymagały tylko trochę kłamstwa i kombinacji, aby nie ponieść konsekwencji? Prawa do dzikiej furii i wrzeszczenia, co ślina na język przyniesie, bo przecież nie wolno tłumić stresów, od tego robią się wrzody? Do poddania się błogiemu lenistwu? Moich papierosków, które sprawiają, że spędzam czas po knajpach, zamiast z rodziną, i wpędzają mnie w coraz większe zapalenie oskrzeli? Ale to przecież nieważne, bo jestem jeszcze młoda i do rozedmy płuc mam ładnych parę lat? Drobnych kłamstewek, dzięki którym żyje się wygodniej, tylko czasem grożą uwikłaniem w naprawdę spore kłamstwa? Tak się wyrzec, od razu i hurtem?

A jednak. Uznaję to za rzeczywistość albo nie. Wprowadzę moje dziecko w tę rzeczywistość. Albo nie.

Zazdroszczę Ojcu L. pewności, z jaką się porusza po tym absolutnie niesprawdzalnym świecie. Zazdroszczę też tym, którzy nie myślą. Moje dziewczyny, obawiam się, będą myślały zbyt wiele, tak jak ja. Miśka po pogrzebie babci od razu mnie spytała podejrzliwie, dlaczego babcia Ala nie potrzebuje już ciała, skoro wcześniej potrzebowała.

Wróżę moim młodym chrześcijankom naprawdę ciężkie życie. Jestem ostatnią osobą na świecie, która mogłaby uczciwie rozwiać wiele wątpliwości. Pierwszą, która potrafi wyprodukować ich jeszcze z tysiąc. A najlepsze jest to, że mimo wszystko sama wybieram moją kruchą, pełną wątpliwości nadzieję, nie pustkę. Należę do ścisłego grona tych egoistów, którzy religię traktują jak psychoterapię, używając jej wybiórczo w celu podniesienia sobie samopoczucia.

I tylko czasem po plecach przeleci dreszcz. A co, jeśli to jednak jest rzeczywistość? Twarda i realna jak noga od stołu? Jak schabowy na talerzu?

Jeśli nie jest wszystko jedno? Jeśli jeszcze komuś, oprócz mnie samej i moich widzialnych, do bólu realnych najbliższych, nie zwisa totalnie, co robię ze swoim życiem? Jeśli przyjdzie czas zdania relacji? Rozliczenia się ze wszystkich prezentów zostawianych pod poduszką? Pogubionych klocków, podartych książeczek i lalek, którym połamałam nóżki? Spokojnych poranków, przyływów natchnienia i możliwości podanych na tacy? Ciosów tłuczkiem w łeb dla opamiętania? Cudem rozwiązanych problemów? Przyjaciół, którzy czasem murem za mną lub przeciw mnie, ale słusznie?

125

Hmm? No, właśnie. Czas rozliczenia. Drugie, zębate ostrze całej sprawy. Lepiej może w to nie wnikać. Ale co, jeśli?

Jeśli przejdę kiedyś na tę drugą stronę i zamiast pustki zobaczę babcie Alę i mojego starego, jak palą sobie kiepy na jakimś niebieskim balkonie? Faję za fają, bo już im przecież nie zaszkodzą? Pokiwają mi pogodnie i pokażą drogę na sąd? Prosto i w lewo za tym wielkim obłokiem, i do samego końca, tam siedzi Bóg w trzech osobach i jemu mam iść zdać relację?

Trzcina myślącą jestem i czasami myślę. I dochodzę do wniosku, że, proszę państwa, bez jaj, chyba to jednak niemożliwe. Chyba jednak w to nie wierzę.

Chociaż, z drugiej strony, można by uczynić takie założenie, absurdalne, ale na swój sposób piękne. Może okazać się przydatne.

Bo - zamykając oczy na ewentualne przykre konsekwencje -w sumie, co mi szkodzi?

Na ten temat istnieją dwie teorie, obie równie mocno udokumentowane: pierwsza, że tylko wiara jest potrzebna do zbawienia. Brzmi nieźle. Druga, że wiara bez uczynków jest martwa. Hmm...

Jeśli chodzi o uczynki i styl życia, to Jezus wciąż obracał się w nieodpowiednim towarzystwie. Jadł i pił, aż nazwali go pijakiem i żarłokiem. Jak przyszli do niego matka oraz bracia, nie chciał z nimi gadać, za to cały swój czas oddał do dyspozycji tych, którzy tego czasu potrzebowali. Nie było w nim lęku. Nie podlizywał się. Przywracał godność i poczucie wartości tym, którzy czuli się mniejsi od wróbli - czy to wskutek urodzenia, czy trybu życia, na jaki sami się zdecydowali. Chodził po Galilei i ścierał to błoto, które osadza się w duszy każdej dorosłej osoby z biegiem lat jak szlam. Wybaczał ludziom w imieniu Boga. Uzdrawiał, także w szabat. Ludzie poważni, dla których miarą religijności było jak najściślejsze przestrzeganie reguł, nie mogli znieść swobody, z jaką mówił o

Królestwie Bożym. Próbowali nawrócić go na drogę tradycyjnego pojmowania Boga i obowiązków względem niego. Rzucił im w gniewie: „Groby pobielane!”. Uciszał wiatr. Chodził po wodzie. Ale nie wyzwolił Izraela.

Do Boga mówił: „Tato”.

I może to, jeśli nie co innego, wystarczy.

126

r

0 Święty Walenty!

Denerwuję się. Zakończyłam karmienie już jakiś czas temu i na powrót stałam się istotą cykliczną. To znaczy, że raz w miesiącu moje życie jest beznadziejne, nudne i pełne trudności, mimo spełnionego macierzyństwa i pozdawanych egzaminów. Dlaczego złośliwa natura zsynchronizowała mój cykl z końcem miesiąca, kiedy w dodatku brakuje pieniędzy, tego już doprawdy nie rozumiem. Koty omijają mnie szerokim łukiem. Domownicy też próbują, ale nie mają aż takich możliwości, bo mimo wszystko od czasu do czasu musimy wchodzić we wzajemne interakcje.

A mnie wkurza świat jako taki. Miśka ostatnio nie myje zębów, tylko płucze i zjada pastę, żeby pachniało. Malwinie wychodzą zęby. Dwójki. Mnie wyszły dziesiątki. Z portfela, te ostatnie, zachomikowane na sweterek. Będę chodzić w workach parczanych przewiązanych sznurkiem, na znak protestu. Nie mieszczę się w spodniach sprzed ciąży, bo utylam, a te po ciąży zwisają mi w kroku, bo schudłam. W spódnicach mi zimno i mam grube nogi. W kożuchu mi gorąco i wyglądam jak babon. Mój mąż spędza walentynki na spotkaniu firmowym, trzecim w tym tygodniu. W związku z czym zaprosiłam się do Anki, która ma już egzamin za sobą i czeka na wyniki, więc możemy podenerwować się wspólnie. Jeszcze dołączy Gośka, którą też opuścił mąż, również niezbędny swej firmie po nocy, a jej cykl od lat jest synchroniczny z moim, więc wspólnie tryskamy miłością do świata. Mamy w zbiorowej dupie ohydne, komercyjne, importowane święto. Kupimy sobie białe wino, jedno, bo Wielki Post. I będziemy sobie grały w scrabble, bo lubimy. Na planszy skrzyżują nam się słowa „wredny” „krwawy” i „debile”, jak miesiąc temu. Albo jeszcze lepsze.

Gośka znów nam opowie o spotkaniu z uroczym rekinem rodzimego biznesu spod Kłaja, który zabierają w charakterze tłumacza na reprezentacyjne obiadki, podczas których dłubie w uchu wykałaczką, wyciąga z zębów sałatę i odkłada na talerz, a do swojej asystentki mówi: „Jadźka, pilnuj tę kieckę, bo ci kuciapa wystaje”, czego Gośka, rzecz jasna, nie tłumaczy. Zagraniczni kontrahenci i tak mają oczy jak spodki. Pan spod Kłaja to osobnik modelowy. Ma złoty łańcuch i takżeż ząb, jak relikwii systemu. Nosi koszule w ha-

127

wajskie wzory bądź kolorowy krawat z zapinką, na znak, że taki z niego luzak. Mówi do Gośki: „Ej, pani, powiedz tym wymoczkom, że im to klepnem, ale jak mi spuszcza trochę na fakturach, bo mnie to po stracie na wacie normalnie chuj boli”. I Gośka, wybitny specjalista, odstępuje od zasady maksymalnej wierności przekładu. Oraz wychodzi z obiadków z poczuciem, że nie ma pracy bardziej wyczerpującej intelektualnie niż zawód tłumacza, specjalność ekonomia. Mózg ma po takiej imprezie jak arbuż. Zawartość wody też się zgadza. Tak więc perspektywa wysłuchania nowego odcinka przygód kapitalisty spod Kłaj a poprawia nam nieco humory, tym bardziej, że paradoksalnie Gośce pod koniec cyklu dowcip się wyostrza i przestaje z niej być taka Matka Polka, mięciutka w kształcie i w obejściu. Tym bardziej, że ostatnio jest co obchodzić. Gosia od listopada gromadzi sadło jak niedźwiedź, z tym, że niedźwiedź w środku zimy już raczej zużywa, a ta wciąż gromadzi. Mówi, że zapatrzyła się na Paulinkę i postanowiła zająć w ciążę urojoną, bo na zwyczajną jej nie stać. To znaczy nie stać jej na większy samochód, bo do opla vectry mieszczą się na styk, choć wydawałoby się, że to duże auto. Wszystko przez ten idiotyczny nakaz pakowania każdego dzieciaka w osobny fotelik. Cały tył obłożony w foteliki rzędem. Moi teściowie to pakowali trzech chłopca do malucha na tył i dociskali kolanem. Mandaty za piątą osobę w czteroosobowym wozie mieli wliczone w koszty, opłacały się bardziej niż wymiana samochodu na większy, a przy okazji synowie wyrastali na jednostki szlachetne, o dużych możliwościach przystosowawczych i małych wymaganiach.

Ponieważ umawialiśmy się na jedno białe wino, przyniosłam z domu wino, gdyż zazwyczaj to ja zapewniam trunki, jeśli nie ma Magdy, a nie ma. Ponieważ nie padło wyraźnie, kto ma nabyć wino, Anka przed moim przyjściem obróciła po wino, gdyż zwykle to ja zapewniam itd., a ona nagle uznała, że to niesprawiedliwe. Zaraz po mnie wpadła Gośka, wołając od progu, że jak chcemy się kłócić, która ma ruszyć tyłek po wino, to już nie musimy, bo ona była genialna i kupiła po drodze, żeby oszczędzić latania tam i z powrotem. Tak więc z okazji postu mamy jedno wino. Na głowę. Spoko.

Dostałam SMS-a od koleżanki, że jej mężczyzna ma kłopoty z tożsamością, facet sąsiadki ma problemy emocjonalne, a chłop jej

128

kuzynki ma rozterki duchowe, więc spędzają właśnie walentynki we trzy. To tak jak my, bo Malwinka się nie liczy. Nie wie jeszcze, co to facet i nie partycypuje w spożyciu wina. W sumie to my mamy lepiej niż koleżanki od SMS-a. Nasi faceci mają tylko pracę. Chyba. Tylko czemu, cholera, w walentynki? .

Czyste sumienie

Przypomniało mi się a propos biznesu. Chociaż nie tylko.

Moja definicja czystego sumienia: To stan, w którym człowiek nie skacze nerwowo na dźwięk własnej komórki.

Oraz nie dławi go w gardle, gdy ściąga codzienną porcję e-maili z serwera.

Studia - reaktywacja

Oglądamy mieszkania. Po latach wynajmowania pudełka od zapalek Anka ujrzała przed sobą światelko w tunelu. Dostała się na specjalizację i związała tym samym swój los z Królewskim Miastem na długie lata. Zachwycona posiadaniem własnego, coraz lepiej wykształconego lekarza domowego, rodzina przeliczyła fundusze i postanowiła wspomóc ją życiowo. Czyli kupić mieszkanie.

I dobrze, bo po odebraniu swej pierwszej wypłaty Anka wpadła w depresję nieomal kliniczną. Po odliczeniu wydatków stałych -czynsz, chesne, prąd, gaz, telefon komórkowy, karta na tramwaj (na jedną linię), obowiązkowa składka na Izbę Lekarską i równie obowiązkowe ubezpieczenie grupowe - na jej koncie widnieje wyłącznie czarna dziura. Będąc młodą lekarką - cóż - żyje się łatwo, miło i radośnie.

Pod warunkiem, że dorwie się sponsora.

Albo - najpopularniejsze wyjście z sytuacji, choć bolesne - zaceruje się przerwana pępowinę. Czyli zrobi wdech, wydech, przełknie dumę i zwróci się o pomoc do rodziców. Pomoc regularną i długoterminową, bo naprawdę ciężko jest dorobić coś na boku zaraz po stażu. Większość specjalizacji trwa pięć lat, niejednokrotnie dłużej, z różnych przyczyn. U dziewczyn wchodzi w grę prze-

129

rwy na ciężę i odchowanie potomstwa. W końcu praca pracą, ale właśnie teraz mamy te dwadzieścia parę - lub trzydzieści lat i zegar biologiczny tyka bezlitośnie. Najlepszy czas na rozmnażanie i drugi taki nie będzie nam dany. U chłopaków, którzy z natury w ciężę nie zachodzą, wystarczy czasem szef, który życzy sobie stałej obecności na oddziale; miesiące mijają i ciągle nie ma czasu posłać kolesia, zwłaszcza takiego, co dobrze pracuje i ma głowę na karku, na jakieś tam staże.

Zresztą, praca na niejednym oddziale bywa tak intensywna i absorbująca, że po zakończeniu dniówki myśli się tylko o chwili, gdy wreszcie będzie można wyciągnąć własny organizm wzdłuż i odpocząć, nie myśląc o niczym. Do tego dochodzą dyżury, te „płatne” -cudzysłowu użyłam najzupełniej świadomie, lekarz na dyżurze dostaje za godzinę pracy mniej niż barman w każdej ze znanych mi knajp - oraz te odwalane bezinteresownie, dla społeczeństwa. Naprawdę trudno znaleźć czas na dodatkowe, intratne zajęcia.

Wszystko to razem sprawia, że Anka tłucze łbem o ścianę, a rodzice postanowili kupić jej mieszkanie, żeby mogła tłuc w swoją własną...

Biegamy po mieście, oglądając kolejne lokale. Widziałyśmy już jedno pudełko od zapalek, w którym antybiotyki porastały ściany, jedną miłą kawalerkę w oficynie, w której warczeli na nas zde gustowani wizytą studenci, bo właścicielka miała rozdwojenie jaźni i chciała lokal równocześnie sprzedać i wynająć, jedno prześliczne mieszkanie na poddaszu, którego jedyną wadą była cena i jedną była melinę, w której ściany były w kilku miejscach przewiercone na wylot, bo właściciel po tym, jak elektrownia mu odcięła zasilanie, wykazał się przedsiębiorczością i pobierał prąd od sąsiadów.

Ta ostatnia wizyta była pouczająca. Mieszkanie prezentowała nam miła młoda pani o nazwisku identycznym z panią mojej babci i o zadartym nosie podobnym do tego, który mam przyjemność widzieć w każdym lustrze. Może kuzynka? Nie odważyłam się zapytać.

Zapytałam natomiast, co się stało z pomyslowym właścicielem lokalu. Pani pogodnie wyjaśniła, że pan, wiedząc taki a nie inny tryb życia, doprowadził się w końcu do stanu znacznie gorszego niż oferowane nam mieszkanie i dogorywa obecnie w jednym z krakowskich szpitali, a mieszkanie formalnie przeszło w ręce jego cór-

130

ki. Córka nie życzy sobie pamiątek po tatusiu i woli żywą gotówkę. Ankę coś tknęło i spytała, w jakim szpitalu przebywa ten pan. Pani odpowiedziała i Anka parsknęła śmiechem, bo wyszło na jaw, że to jej szpital.

Świat jest mały i opłatany siecią różnorodnych powiązań. Na przykład pan od pięknego mieszkania na poddaszu wyznał nam radośnie, że właśnie ożenił się z młodą medyczką. Podskoczyłam, bo w zeszłym tygodniu moja koleżanka z grupy brała ślub i jej mąż pracuje bodajże w nieruchomościach. Zbieg okoliczności? Znowu nie ośmieliłam się zapytać.

- Wiesz - zagaiła Anka, brnąc przez śniegi na trasie z kolejnego przybytku nędzy i rozpaczy do generalnego remontu - może się nawet okazać, że pan od poddasza jest mężem twojej koleżanki, pani z pośrednictwa twoją kuzynką, a pan meliniarz kończy żywot na moim oddziale. Tylko co nam z tego?

Właśnie. Anka nie chce hodować grzybów pleśniowych, wyrzucać na bruk sfrustrowanych studentów ani tłumaczyć rozczarowanym stałym bywalcom, że meliny już nie ma. Ani podglądać sąsiadów przez dziury w ścianie.

Nie stać jej również na piękne poddasze, sponsor, czyli tatuś, nie zatwierdził kwoty i nakazał szukać dalej. Trudno, ruszamy znów na łowy.

Ech, mamy tyle lat, ile mamy, i wciąż jeszcze - choć z różnych przyczyn - jesteśmy zależne od własnych rodziców.

Ja również. Mama pomagała mi wiele razy, babcia i teściowa od czasu do czasu pilnują mi dzieci, żebyśmy nie zbankrutowali, płacąc opiekunce, a dzieci nie czuły się odtrącone przez rodzinę, teść też się przyczynił do tego, byśmy żyli sobie wygodnie... I nie jesteśmy pod tym względem wyjątkowe. Jedni moi znajomi postanowili się pobrać tuż po studiach, lekarz z lekarką, genialny pomysł, jeśli chodzi o stworzenie samowystarczalnej komórki społecznej. Miłość nie zna granic ni kordonów, rozsądku też nie używa... Po studiach był staż, z pensją gwarantowaną ministerialnie, całkiem przyzwoitą, i znajomi postanowili bezzwłocznie się rozmnożyć. Jakoś wiazali koniec z końcem, wychowując samodzielnie córeczkę i prychnając na babcie, które, jak to babcie, próbowały dołożyć swoje trzy grosze i doradzać. Moi przyjaciele postawili się ostro: ich dziecko, ich życie, ich sprawa, czy

131

wydają pensje na książki, obuwie czy na pampersy, w których córeczce tyłek oddycha, bądź nie oddycha. Mogą również swoje własne pieniądze przepijać, a dziecko owijać w bawełnę. Wszyscy won.

Po czym staż się skończył i przyszło bezrobocie. Trwało krótko, gdyż oboje zdolni i pracowici, znaleźli sobie miejsca w szpitalnych strukturach. Z możliwością specjalizacji i nawet, być może, doktoratu w bliżej nieokreślonej przyszłości. Ona na wolontariacie. Dochód zerowy. On na ćwierć etatu. Nie wystarczy na pampersy, nawet te bez dostępu świeżego powietrza.

Znajomy mówi, że chwila, w której udał się do odstawionego wcześniej od piersi tatusia z petycją

„Tato, ratuj”, była jedną z najgorszych chwil w jego życiu. Nie to, żeby musiał walczyć o dotację. Rodzice, też lekarze, nie zdziwili się wcale i uprzejmie nie skomentowali ani słowem, wyznaczając comiesięczną zapomogę. A jednak bolało.

I znowu mam lepiej.

Z pozoru. Z jednej strony, mam sponsora w postaci dozgonnego współlokatora, dzięki któremu mogę zająć się medycyną bez przeliczania nerwowo drobnych na płyn do naczyń. Z drugiej, perspektywa zarabiania niewiele znaczącej końcówki do pensji mojego męża nie jest dla mnie zbyt silną motywacją do ukończenia wreszcie tych studiów. Czyli - niby mogę, tylko po co?

Właśnie, po co? Po co moi znajomi zaciskają zęby i od sierpnia chodzą do pracy piechotą, w nadziei, że do lutego uda się zaoszczędzić na wyjazd do Zakopanego? Po co z uporem maniaka sama wracam co kilka lat i próbuję skończyć ten piąty rok, zamiast machnąć ręką i zacząć inne studia? Poszłyby mi szybciej. Liczę na... właśnie, co? Karierę? Kasę? Umówmy się. Tak mnie zachwyciły zajęcia? Brr, sposób prowadzenia zajęć na naszej Alma Mater jest niezły jako test na siłę powołania do zawodu, innych zalet nie widać. Zwłaszcza na dwóch pierwszych latach. Arogancja prowadzących, atmosfera terroru na niektórych katedrach, ćwiczenia polegające na przepytывaniu z treści podręcznika w dusznych, nie-wietrzonych salach, bez kontaktu z pacjentami, sesja - czekanie godzinami na egzaminatora, który ma nędzne sto sześćdziesiąt złotych dodatku dydaktycznego, więc nie musi oddawać swego cennego czasu do dyspozycji studentów. Kary za spóźnienia. Za odmienny tok myślenia.

132

Ale nie tylko to, na szczęście.

Zdarzają się autentyczni mistrzowie, z którymi wystarczy chwila - wykład, seminarium, pół godziny popołudniowego dyżuru - i na krótką chwilę dociera do nas, o co w tym wszystkim chodzi. Jaka może być medycyna - trudna, pełna fascynujących zagadek i wyzwań, i przede wszystkim głęboko ludzka. Ci, którzy nie muszą wygłaszać wielogodzinnych wykładów, ale swoją postawą uczą nas najwięcej. W jaki sposób rozmawiać z pacjentami, z młodszymi i starszymi kolegami, jak korzystać z własnych szarych komórek, żeby przyniosło to efekt.

Są ludzie w tym zawodzie, którzy mimo nawału pracy i mizernego uposażenia świecą własnym światłem. Nie jest ich wielu. Ale są.

Może dlatego z godzin podpierania ścian na szpitalnych korytarzach, z kilku chwil prawdziwego zainteresowania pacjentami, z tych ulotnych momentów, gdy na serio zainteresuje nas jakiś problem rodzi się coś więcej. Poczucie, że tu jest nasze miejsce, na tych biednych oddziałach, których ściany ominął czas i przemiany ustrojowe, ze szczególnym lekceważeniem poprawy jakości pomieszczeń higienicznych. Są wciąż jeszcze takie kibelki w klinikach, które można zwiedzać jako socjalistyczny skansen, jak Nową Hutę. Nietknięte ręką kapitalizmu. Z wieszaczkami, które ostatni papier toaletowy widziały za Gierka.

I dzieje się jakoś tak, że po kilku latach zwiedzania podobnych przybytków nikt z nas, naiwniaków bez wyobraźni, nie chce pracować w nudnym, czystym biurze, z laptopem na kolanach i szparką--sekretarką.

Ciągniemy te studia, staże, wliczamy w życiorys perspektywę półrocznego bezrobocia, zanim nas ktoś zechce po stażu, zastanawiamy się, jak przetrwać kolejnych pięć lat na pensyjce specjalizacyjnej...

I powiększamy szeregi sfrustrowanych asystentów. To jest tak, jakby człowiek, który dotknął na dłużej tego szpitalnego świata, przyklejał się do niego i tracił możliwość wyboru.

Ja się przecież broniłam. Długo i skutecznie, próbując uciec i ułożyć sobie życie inaczej. Dorobiłam się dwójki dzieci, firmy, która upadła, tysiąca profesji dodatkowych - od tłumacza po konstruktora szopek krakowskich w technologii tradycyjnej - domu z ogródkiem, męża, kotów i ciężkiej nerwicy.

133

Aż w końcu wróciłam podpierać szpitalne korytarze i pakować w starzejący się mózg skutki uboczne niezliczonych leków. Znowu chodzę obładowana podręcznikami jak wielbłąd i przed egzaminami cierpię na zespół szybkiego jelita. Ale przestałam się budzić o czwartej nad ranem, tej dziwnej godzinie wszelkich pokrzywień-ców, w której spada się z powrotem do własnej sypialni z

ogromnej wysokości i z sercem walącym jak młot. Przystałam nadużywać alkoholu i obgryzać paznokcie do krwi.

Znikł gdzieś towarzyszący mi stale lęk przed jakimś strasznym, bliżej nieokreślonym kataklizmem, lęk, który towarzyszył mi od tak dawna, że nauczyłam się z nim żyć i traktować go jak integralną cechę własnej osobowości.

Pierwszy raz od lat wyszłam z domu w słoneczny mroźny poranek i poczułam zapach śniegu, lekki i świeży jak zapach młodych ogórków, i zobaczyłam iskierki słońca na zamrzniętych gałęziach.

Wyprostowałam zgięte w kabłąk plecy i uniosłam głowę.

I wtedy do mnie dotarło, jak smutne, zgaszone i bez blasku było moje życie przez kilka ostatnich lat.

Mimo że otaczało mnie przecież morze miłości. Opuściłam stanowisko pilnej studentki z własnej, wolnej i nieprzymuszonej woli. A jednak wskoczyłam w nie z powrotem jak w ukochane, rozciągnięte, domowe gacie i dopiero wtedy odzyskałam spokój i swobodę ruchów. Dostałam piątkę z psychiatrii. Miśka się cieszy, że mi świetnie idzie i chwali się moimi postępami, czy ktoś chce słuchać, czy nie. W jej życiu też coś wskoczyło na właściwe miejsce. Do tej pory tatuś pracował, ciocie i wujkowie pracowali, a mamusia tylko załatwiała jakieś sprawy i była zgaszona i zdenerwowana. Zbyt często. Teraz wszystko jest piękne i jasne, mamusia się dużo uczy i będzie panią doktor.

Pięciolatka mnie pilnuje. Przegląda moje podręczniki i każe sobie czytać o budowie oka. Studiuje atlas anatomiczny ze szczególnym uwzględnieniem kości. Wie, co to jest wenflon i do czego służy. Cieszy się, że zaczęłam blok z chirurgii i żąda, żeby jej pokazać, jak się robi operację brzucha. Natychmiast, bo ją to ciekawi - mogę na przykład zoperować kota, najwyżej znów się go pozszywa. Nie mogę jej zawieść i postaram się tego nie zrobić.

134

Mam dla niej mniej czasu. Ale ten, który mam, jest zdecydowanie lepszej jakości. Życie przestało mi się rozłazić w palcach jak ze-tłąta tkanina.

Czasem przedpołudnia spędzam na podpieraniu ścian na szpitalnych korytarzach w oczekiwaniu na asystenta, który traktuje nas jak uprzykrzone komary, brzęczące nad uchem. Ale wreszcie idę do przodu. Ściany podpieram w doborowym towarzystwie. I z szerokimi perspektywami.

Już za kilka lat to ja będę jednocześnie pilnować oddziału, przyjmować pacjentów, robić wypisy, odbierać telefony, kombinować, jak wytłumaczyć szefowi, że znów zwiększyłam zadłużenie placówki, gdyż miałam fanaberię zaordynować chorym ludziom preparaty lecznicze ze szpitalnej apteki. I równocześnie oganiać się od wążających się za mną studentów, wszystko za jedyne siedemset pięćdziesiąt brutto miesięcznie.

Już się cieszę. Może nareszcie, mimo wszystko, będę naprawdę szczęśliwa.

Zupełnie nowa struktura wszechświata

Magda postanowiła odpocząć. Rzucić wszystko w diabły - Zygmunta, Kazimierza i paru innych władców - i wyjechać, póki może i mózg jeszcze jej się nie zlasował. Zdecydowała, że zostawi Banasia na pastwę Mięcia i drapieźnych sąsiadów, spakuje Agatkę i siebie w dwa identyczne plecaki i pojedą sobie w Alpy na narty. Na dziesięć dni. Zarezerwowała apartament, bilety lotnicze, żeby się nie zmęczyć, skoro ma wypocząć, narty w wypożyczalni, obiady i karnety narciarskie. Po czym sięgnęła do szuflady po paszporty. I tu objawiła się zasadzka.

Sprawczynią była Agatka, dziecię genialne, które mimo niedawno ukończonych lat pięciu doskonale umie czytać. Oraz pisać.

No i napisała.

Magda otworzyła paszport swojej córeczki, wyrobiony w zeszłym roku przy okazji podróży do ciepłych krajów (czyli do Egiptu). Spojrzała i zamarła - tuż nad zdjęciem, a nawet częściowo wprost na nim widniał wielki napis fioletowym flamastrem o treści: KRÓLEWNA. Po prostu.

135

Dobitne kulfony nie pozostawiały wątpliwości, że dane osobowe zostały uzupełnione przez właścicielkę dokumentu. Zapewne po to, aby nikt nie miał wątpliwości, z kim ma do czynienia. Magdę zatchnęło z lekka, po czym sprawdziła swoje dawno nieużywane dokumenty i znalazła

następny wpis. W dowodzie osobistym tym samym flamastrem w rubryce „znaki szczególne” zamiast zwyczajowego „brak”, beztrzesko przekreślonego, widniało: „Królowna”. Mamusi też się należy. Mimo powagi sytuacji Magda parsknęła z lekka, bo spodobał jej się wybór rubryczki. Trudno, po prostu zaraz po powrocie wreszcie wymieni dowód na nowy, zgodny z wymogami Unii Europejskiej. Pojedzie z paszportem, którego na szczęście młoda nie dopadła. Gorzej z paszportem samej Agaty - planowały wylecieć z Krakowa już w środę i Magda nie jest pewna, co na tytuł królewski powiedzą służby graniczne.

Zacząła więc przygotowania do wielkiego wycieczki od nerwowego poszukiwania znajomości w biurze paszportowym, by zasięgnąć informacji oraz ewentualnie szybko wymienić dokument na pozbawiony tytułów. Pomógł Kazik, zaocznie, uruchamiając z Norwegii niejaką panią Halinę, z którą swego czasu łączyły go stosunki przyjacielskie. Przyjacielskie, nie przyjacielskie - niemniej jednak stosunki, i to wystarczyło, aby królowna otrzymała nowy paszport w dwadzieścia cztery godziny. Teraz Magda ma wyrzuty sumienia, że posłużyła się człowiekiem, którego ma zamiar źle potraktować w najbliższej przyszłości. Notabene, szybka interwencja Kazika też była spowodowana wyrzutami sumienia. Przypomniał sobie bowiem, że to chyba on swego czasu udostępnił Agacie dokumenty do pooglądania. A teraz musiał szybko zrobić przegląd własnych, ale wyszło mu, że nie zasłużył jeszcze na tytuł królewski. Nie miał dodatkowych adnotacji.

Tak więc królowny pojechały i oczywiście myszy harują.

Magda zobowiązała nas do częstego wizytowania Banasia, gdyż ufa Mięciowi oczywiście jak sobie samej - to znaczy nie za bardzo. Nie podejrzewa go o machlojki, nic z tych rzeczy, Miecio był i pozostaje człowiekiem honoru, ale też do wyższych rzeczy został stworzony niż pilnowanie faktur i towarów. Z kolei inni barmani mają na sumieniu różne mniejsze lub większe niesubordynacje i Magda niechętnie powierza im nadzór nad kasą.

136

Już lepszy roztrzepaniec Mietek. W zasadzie on nie gubi, tylko zapodziewa.

Jak zapodzieje na dłużej niż zwykle i narobi problemów, to zawsze się kaja, nie kłamie i stara się jakoś zrehabilitować.

Musi się tylko pilnować ze spożyciem, bo pomysły wlewają się w niego straszliwe.

Ostatnio, nie szukając daleko, podczas szczególnie hucznej imprezy wspomagał wydolność pracowniczą wódką marki Finlandia. Nieco przesadził - co może przeszłoby niezauważone, gdyby nie to, że pod wpływem wspomagacza uruchomiła mu się podejrzliwość. Uznał, że zwykle odniesienie pieniędzy do sejfów nie wystarczy, gdyż to miejsce znają wszyscy pracownicy, utarg jest spory, a on jest za niego odpowiedzialny osobiście. Ktoś może zabrać kasę, czyli podłożyć świnię. Skąd te czarne podejrzenia, Miecio nie wiedział, niemniej jednak postanowił kasę ukryć. I ukrył.

Następnie w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku postanowił się jeszcze ociupinkę zrelaksować, do lustra, bo nikogo już w lokalu nie było, za pomocą resztek pozostałych w butelce.

Uczynił to tak sumiennie, że film mu się urwał i wystąpiła niepamięć wsteczna całkowita. Efekt końcowy był taki, że następnego dnia cały personel z rozwianym włosiem i Mięciem na czele poszukiwał zmyślnie ukrytych pieniędzy z dnia poprzedniego. W końcu utarg znalazł Pawełek, który na wszelką kasę ma wewnętrzny radar. Okazało się, że Mietek owinał forszę we własną skarpetę i umieścił pod kegą z piwem mocnym. Nie mamy pojęcia, jak to Pawłowi przyszło do głowy, bo Mięciowi nic nie świtało, choć zarejestrował fakt powrotu do domu w jednej dziurawej skarpecie. Przypuszczał, że drugą, bardziej dziurawą, po prostu wyrzucił. Dlaczego nagle i tylko jedną, tego nie wiedział. Mało to głupich pomysłów przychodzi do głowy z przepracowania?

Mając świeżo w pamięci podobne wyczyny, Magda poprosiła nas, żeby wizytować Mięcia wieczorami i kontrolować mu poziom spożycia. W najgorszym wypadku dawać do telefonu, będzie wygłaszać mowy umoralniające wprost z alpejskich łąk i lodowców.

Na razie Miecio grzecznie tkwi za barem i wysłuchuje Rowerzysty. Co jest formą ciężkiej pokuty za grzechy, gdyż Rowerzysta nadaje jak tranzystor, z tą tylko różnicą, że tranzystor nie domaga się uważnego słuchania. Miecio nazywa takich klientów kilerami. Przychodzą i zabijają człowieka na raty, wycinając mu z życiorysu

137

cztery bite godziny jednorazowo. Uciec się nie da, bo dalej jest tylko zaplecze ze schowkiem na szczotki. Barman nie może przesiedzieć wieczora w schowku na szczotki. W łeb dać się też nie da, bo mimo wszystko to klient i to z tych stałych. Zostawia w barze sporo kasy. Knebla nie założysz, bo otwór, z którego leci nieprzerwany potok wymowy, służy jednocześnie do konsumpcji, za którą płaci niemałą kasę. Znikąd ratunku. Uprzejma mina na wierzchu i zaciśnięte zęby pod spodem. A Rowerzysta nadaje, dopóki mu się język nie zapłacze w supełek. Potem przybija gwoźdźnia na barze - wtedy trzeba go przetransportować do stolika na uboczu, żeby nie obniżał standardu lokalu, albo wstaje z hukiem, przewracając krzesło i w następnej sekundzie lecąc w ślad za nim. Na końcu otrzepuje się jak pies wyjęty z wody, opuszcza lokal wężykiem i wsiada na rower. Po czym odjeżdża. Niedaleko. Najczęściej na spotkanie przeciwległej ściany. Po spotkaniu z frontem sąsiedniej kamienicy zbiera się i ponownie otrzepuje. W końcu odjeżdża na dobre. W oddali tylko cichnie metaliczny brzęk kolejno spotykanych przez Rowerzystę latarni i słupów przydrożnych. Miecio oddycha głęboko, porusza kilkakrotnie żuchwą, żeby mu zelżał szczękościsk i wraca do pracy.

Wczoraj miał pecha. Po trzech godzinach naszego stałego Rowerzysty trafił mu się przygodny. Też wszedł slalomem, już na wstępie, po czym zażądał piwa. Miecio był osłabiony i nie chciało mu się dyskutować, więc nalał, tym bardziej, że nowy nie przysiadł się do baru, tylko osunął na krzesło przy najbliższym stoliku. Wychylił piwo duszkiem, a następnie dość bełkotliwie zapytał o drogę do toalety.

- Zejdzie pan na dół, potem w lewo, kawałek prosto i w prawo, koło sali tanecznej - poinformował go Mietek, w którym odezwała się praworządność i postanowił nie dopuszczać pana do kibla na górze, który był zasadniczo toaletą dla personelu.

Gość pomyślał chwilę, kiwając się na boki.

- A, to za daleko - zdecydował w końcu i narzygał do najbliższego kosza na śmieci.

Miecio się schował do schowka na szczotki i nie wychodził, dopóki nie przyszedł Kudłaty, ochroniarz zamówiony na wieczorną imprezę, silny jak tur i pełen energii. Zaczął od wyniesienia kosza wraz z zawartością i pana wraz z rowerem. Po drodze zainkasował

138

należność za piwo i premię za straty moralne, litościwie limitując jej wysokość, gdyż pan, przerażony posturą Kudłatego, chciał mu zostawić cały portfel i na dodatek rower oraz psa, który, jak się okazało, czekał grzecznie przed lokalem na zawianego właściciela. Kudłaty, poczyniwszy wstępne rozeznanie w możliwościach finansowych klienta, zamówił taryfę i pozostawił pana wraz z całym urozmaiconym dobytkiem panu taksówkarzowi, starannie zamykając za sobą drzwi.

Magda na nartach. Mietek na górnym barze, Pawełek na dolnym, nieobecny duchem, bo ma problemy międzyludzkie. Mianowicie nie pamięta zainicjowania znajomości z taką jedną, która dla odmiany pamięta dobrze i uważa Pawełka nieomal za narzeczonego od zeszłego piątku. Teraz przychodzi codziennie i domaga się czułości, a Pawełek poniewczasie rozważa, czy ona mu pasuje, i wzdycha, bo coś jednak nie gra. Znam Pawełka długo i chyba wiem, co go dręczy. A raczej co pasuje. Najbardziej to Pawełkowi pasuje nasza Anka. Ale z kolei Pawełek niezbyt pasuje Ance, a dokładnie nie ten Pawełek jej pasuje, tylko ten z Radomia. Dla odmiany Anka nie jest pewna, czy pasuje temu z Radomia, bo związek, choć gorący, jest wciąż niezobowiązujący i nie ma na razie większych widoków na zobowiązanie, chociażby ze względu na odległość i chroniczny brak czasu. Dlatego Anka zauważa też naszego Pawełka. Krążą wszyscy wokół siebie jak umiarkowanie swobodne elektrony. Uff. Jak to dobrze, że jestem mężatką i przynajmniej mam blade pojęcie w temacie kto i dlaczego mi pasuje. A teraz Pawełek się obawia, że zapoznana w piątek wielbicielka spłoszy mu Ankę, choć nie jest pewien, czy w ogóle jest co płoszyć. Chodzi zamyślony i rozdeptuje sprzęt barowy Paulinka ma urlop, bo jej brzuch twardnieje, więc trzyma go w poziomie, to znaczy zalega w łóżku. Wtedy jej twardnieje rzadziej. Anka ją odwiedza i obwąchuje, czy przypadkiem jej nałóg nie wrócił. Ale nie. Paulinka jest blada i wystraszona, wreszcie ma porządny powód do płaczu, więc korzysta z niego chętnie, bo teraz to już nie wyobraża sobie życia bez potomstwa. Pocieszamy ją zdalnie bądź bezpośrednio i polecamy kolejnych ginekologów, bo żaden, zdaniem Paulinki, nie przejmuje się nią dostatecznie.

Gibelec był na warsztatach u zaprzyjaźnionych rastafarian, grał na bębnach, pracował z oddechem, dał się poczęstować jakimś spe-

139

cyfikiem wziewnym i zobaczył strukturę wszechświata. W kształcie stożka. Z chaosem na dole i absolutem na górze, skondensowanym do świetlistego punktu w czasoprzestrzeni. I zwiewne pasmo rzeczywistości, z dziurami, przez które wkrada się ciemność i zakłóca prawa fizyki.

Elektromagnetycznie. I transcendentalnie. I teraz Gi-belec chodzi po kruchym lodzie realności ostrożnie jak kot, unika używek i rozpaczliwie próbuje przywrócić światu poprzednią strukturę. Mruga szerokimi jak spodki oczami i potrząsa głową w berecie. Uciekł mu gdzieś sens wszystkiego. Bardzo nam go żal. Ale z drugiej strony ma za swoje. Ciekawe, jak długo mu się to utrzyma.

Na razie pracuje, jak nigdy dotąd. Czuje potrzebę przywracania porządku we wszechświecie, żeby przesunąć się na wyższy poziom stożka. Posprzątał zaplecze i wszystkie schowki, nawet ten na szczotki. Wymienił wszystkie przepalone żarówki. Ale się Magda zdziwi, kiedy wróci. Tymek mu zazdrości i też by chciał takie coś, bo mu rodzina wygraża od flejtuchów po tym, jak ukradł ojcu ostatnie skarpetki, zamiast wyprać sobie własne. Gibelec naciąga beret na przestraszone oczka i mówi, że nikomu nie życzy. Umył drzwi od lodówek i kostkarkę od środka. Umył nawet głowę - mało go Kudłaty nie skasował, bo Gibelec wpadł na zaplecze bez beretu, powiewając włosom puszystym i lśniącym i nikt go nie poznał. Metamorfoza trwa.

Mietek znów ma ataki wstecznej niepamięci. Chodzi po ścianach, choć nie przyznałby się do tego, nawet gdyby ktoś go wziął na tortury. Na przykład związał, zatkał otwór gębowy, a przed nosem posadził dwunastu barmanów rytmicznie walących wódkę marki Finlandia. Ale tak coś nam się wydaje. Dopóki Magda pozostawała w bliżej nieokreślonym związku z wiecznie abstrakcyjnym Kazimierzem, Mietek traktował to jak zło konieczne i naturalne, jak wiosenne roztopy i wrony za oknem. Ale odkąd Magda fruwa nad światem zakochana, Mietek pełza po kątach jak szczur i wzdycha. Następną ofiarą atomistycznej koncepcji wszechświata. Z tym że atomy Mięcia nie unoszą się w próżni, lecz w finlandii. Odleciał dalej niż Gibelec. Coś się musi wydarzyć, bo nam się chłopina rozpuści albo odparuje od wzdychania.

Przychodzą do niego jego wielbiciele, a jakże, ale Mietek traktuje je jak zagęszczone powietrze, któremu można ewentualnie na-

140

łać piwa. Przychodzi też jego aktualna, Kingusia, ta od gaci w biedronki, ale nie wydaje się bardziej materialna niż pozostałe. Mie-cio bardzo się stara, ale i tak patrzy przez nią na wylot. Nie wiemy, czyją pocieszać, czy raczej zniechęcać. Żal patrzeć.

Nie wstrząsnęła nim nawet kolejna wizyta pani sanepid, tym bardziej, że objawił się tym samym pożytek z Gibelca i biedna pani długo krążyła po lśniących czystością pomieszczeniach, nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia. W końcu znalazła. Brak instrukcji obsługi zmywarki oraz napisu „toaleta dla personelu” na toalecie dla personelu. Powątpiewała też, czy aby na pewno personel w pracy używa odzieży ochronnej, czyli odmiernej od tej, w której przybywa do pracy, przemierzając rojące się od mikrobów ulice naszego miasta. Zaprezentowano jej zatem kłęb odzieży znajdującej się na zapleczu jako dowód na to, że personel, czyli Mietek, Paweł i Gibelec, przemierzał ulice w ubraniu odmiennym od tego, w którym pomyka po sterylnych zapleczach. W kłębie odzieży znajdowały się, między innymi: spódnica flanelowa kraciasta z oderwanym obrąbkiem, czarne koronkowe body, olbrzymie spodnie męskie z krokiem przewidującym posiadanie pampersa giganta, obcisła tunika z golfem w kolorze różowym, w rozmiarze XS, pończochy jasne samonośne, bluza męska z napisem „od wódki jest za krótki, a po trawie stoi (prawie)”, wykonanym ręką Mięcia, bardzo brudne ogrodniczki, oryginalna kamizelka Straży Miejskiej, dwie pary stringów, w tym jedne męskie, suknia wizytowa z dekoltem na plecach (własność Magdy), dwie fioletowe peruki i kompletny kostium średniowiecznego rycerza pozostały z warsztatów. Oraz pewna liczba butów, głównie damskich. Pani osłabła i nie odważyła się zapytać, kto i w czym z tego, co właśnie widziała, przybył dzisiaj do pracy. Poprzestała na zaginionych instrukcjach do zmywarki. I wszystko mogło potoczyć się trybem właściwym, na który litościwie zarzucimy zasłonę milczenia.

Ledwie Magda znikła za horyzontem, uaktywnili się też sąsiedzi. Dla odmiany przeszkadza im wentylacja. A konkretnie przewody wyprowadzające od tejże, które faktycznie widnieją tuż przy klatce schodowej, na wysokości mniej więcej półtora metra, zabezpieczone kratkami. Sąsiedzi mianowicie nagle zaczęli obawiać się o dzieci. Że mogą powpadać do tej wentylacji. Nie przekonuje ich fakt, że aby wpaść do wentylacji, dzieci musiałyby sobie przysta-

141

wić drabinkę, zdjąć masywną metalową obudowę, podskoczyć, wycelować i ewentualnie dopiero wpaść. Sąsiedzi protestują i grożą nadzorem budowlanym, czym Magda się jakoś zbytnio do tej pory nie stresowała, bo gdyby przerażał ją sam fakt spotkania z kimś z nadzoru, umarłaby ze strachu na widok własnej matki. Tymon podsunął sąsiadom, żeby przy okazji oprotestowali pręty ogrodzeniowe od pobliskich zabytków Miasta Krakowa, bo jeśli dzieci przystawią drabinkę, podskoczą i wycelują, to mogą się na owe pręty nabić, co może być jeszcze bardziej szkodliwe niż zwiedzanie od środka naszej wentylacji. Ale sąsiedzi nie chcą skorzystać z pomysłu. Szkoda. Poza tym pobiły się dwa zespoły. Sama śmietanka polskiej muzyki rozrywkowej w niedalekiej przyszłości, bo na razie to jeden dawał swój trzeci występ, a drugi - czwarty. Miały grać tego samego wieczora, gdyż rodzaj muzyki pokrewny, a i szacowni twórcy się znają, ponieważ w większości chodzą do tego samego ogólniaka. Poszło o kolejność występowania. Magda kazała im ustalić kolejność między sobą jeszcze przed wyjazdem, bo jej to rybka, nie zna jednego ani drugiego, a poza tym i tak jej nie będzie. No i tuż przed koncertem okazało się, że żaden nie chce wystąpić jako pierwszy. Bo przecież pierwszy to występuje support, a na końcu gwiazda. Tak jest na wszystkich koncertach świata. A każdy z nich zasługuje na miano gwiazdy. W końcu jeden z zespołów ustąpił, acz tylko pozornie, gdyż wokalista, dorwawszy się w końcu do mikrofonu, od razu zapowiedział publiczności, że z przyczyn od nich niezależnych ich support wystąpi na końcu, a teraz... Nie dokończył, co teraz, gdyż z kąta sali wystartował wokalista drugiego zespołu, wyrwał mu mikrofon i wyjaśnił, że kolejność jest jak najbardziej prawidłowa, a koledze coś się popier...

Perkusieści obu zespołów popatrzyli na siebie wilkiem i identycznym ruchem zdjęli przez głowę odzienie wierzchnie, żeby nie przeszkadzało w szarpaninie. Pawełek nie czekał na dalszy rozwój wydarzeń, choć zachwycona publiczność wyła entuzjastycznie, zagrzewając do boju obie gwiazdy. Zawezwany na pomoc Kudłaty wziął obu perkusistów pod pachę i wyniósł na świeże powietrze, gdzie udzielił krótkiego, treściwego pouczenia.

Zespoły wystąpiły w kolejności alfabetycznej.

Wszyscy czekają na Magdę jak na zmiłowanie.

142

Obcy atakuje

Ciąża urojona naszej Gosieńki postępuje. Głowa ją boli, lata do kibla co piętnaście minut i rośnie jej biust. Magda wróciła, obrzuciła Gośkę jednym szybkim spojrzeniem i poszła do apteki.

- Masz. •- Rzuciła na stół test ciężowy błyskawiczny. Gośka popukała się w czoło.

- Mam okres. Od tygodnia zresztą i nie chce mi się skończyć. Sama sobie zrób test ciężowy.

Magda prychnęła, rozzłoszczona.

- Myślisz, że zachodzi się w ciążę od kolacji przy świecach? - spytała zjadliwie. - Bo innych zachowań na tle damsko - męskim ostatnio nie pamiętam. A Kazik w Norwegii. Technika poszła do przodu, ale nie aż tak, żebym mogła zająć w ciążę przez Internet. A ty lepiej sprawdź. Twój mąż jest na miejscu.

- No i co z tego, że na miejscu? Spiralkę też mam na miejscu od trzech lat z kawalkiem.

- Sprawdź, sprawdź - poparłam Magdę nieoczekiwanie, bo przypomniał mi się nagle ostry dyżur na chirurgii, w trakcie którego przyjechała babka z podejrzeniem wyrostka. Po czym okazało się, że wyrostek ma dość nietypową lokalizację, mniej więcej czwarty miesiąc i wyrosły mu już wszystkie łapki, którymi pomachał do mamusi na ekranie USG Babka też miała okres i spiralkę. Właśnie zaczynała jej się odklejać łożysko, stąd bóle. Dostała środki uspokajające, ogromne ilości magnezu dożylnie oraz inne specyfiki wszelkimi dostępnymi drogami. Z tego co wiem, ciążę po wielu przebojach udało się utrzymać. Teraz ma synka. Szczęśliwie bez sprężynki na plecach. Mąż pacjentki przyjechał i też go musieli poczęstować relanium, bo właśnie przymusowo zmieniał pracę

i perspektywa powiększenia rodziny za pięć miesięcy z kawałkiem zszokowała go z lekka. Streściłam Goście rzecz w trzech zdaniach - popędziła do kibla jak strzała. Czekamy. Minutę. Dwie. Trzy. Pięć. Cholera, ten wynik powinien być po trzech minutach! Wyszyła. Oczy czerwone, choć nie jest to test wysiłkowy. Wypisz wymaluj Paulinka niedawno. Rzuciła testem o blat i usiadła, nastroszona jak sowa. Dwie kreski zaświeciły jak latarnia morska. 143

- No i co mi tu siejesz moczem po barze? - zapytała cierpko Magda. Gośka popatrzyła na nią spod oka i dalej siedziała bez ruchu.

- No co? Pierwszy raz w ciąży? Co tak siedzisz, powiedz coś! - zdenerwowała się Magda.

- Mam spiralę - odezwała się Gosia ponuro. - Mam krwawienie. Jak zarzynana świnia. Jestem w ciąży, jak widać na załączonym obrazku. Nic z tego nie rozumiem i trochę zaczynam się bać. Nie mówiłam wam chyba... Miałam jakiegoś tam guza na jajniku. To znaczy chyba dalej mam. Miałam się zgłosić do szpitala, na badania, już dwa miesiące temu. Jedyne, czego nie miałam, to czasu na takie wycieczki. No co? - spytała obronnie, bo Magda poderwała się z krzesła raptownie.

- Won do lekarza, ale już! - wrzasnęła straszonym głosem, aż jedyny o tej porze klient skulił się w kącie i nakrył gazetą. - Głupia krowa!

- Naprawdę nie miałam czasu - broniła się Gosia słabiutko. - Oni mnie chcieli położyć na trzy dni i zrobić biopsję czy jakieś tam, a ja absolutnie nie mogłam sobie na to pozwolić. Bliźniaki miały mononukleozę i musiałam ich pilnować, żeby sobie śledziony nie rozwały, a potem miałam te dokumenty z Unii do tłumaczenia, potem Andrzej miał grypę...

- Grypę! Grypę! - wściekała się Magda, której kuzynka zmarła sześć lat temu na raka jajnika, o czym całkiem zapomnieliśmy, ale nagle nam się przypomniało. - Skończysz jak Dorota! Ja twojej rodzinie matkować nie będę, wybij to sobie z głowy! Dzieci jak dzieci, ale nie podoba mi się twój mąż!

Gośka wielokrotnie krytykowała metody wychowawcze Magdy i taka perspektywa nią wstrząsnęła.

- No coś ty! Ładnie mnie pocieszasz! Od razu matkować! Nic mi się znowu takiego nie dzieje, jak to miałby być rak, to już bym schudła albo coś, a ja tyję. Nic mi się nie dzieje.

- Kiepski argument - rozczarowałam ją. - Owszem, z reguły w chorobach nowotworowych się chudnie, ale niekoniecznie na początku. Kiedy ci wykryli tego guza?

- No wtedy, na jesieni, co mnie tak bolało z boku - przypomniała Gośka. - Na początku to wyglądało jak cysta, nie przejęłam się zupełnie, bo już kiedyś taką miałam, ale potem coś im tam 144

urościło i wyglądało nieregularnie czy coś, no i chcieli mnie wziąć na te badania, na które nie miałam czasu...

- Rany boskie... - skomentowała krótko. - Magda ma rację. Stara głupia krowa. Won do lekarza. Dzisiaj.

- Dziś nie przyjmuje prywatnie. Mogę pojutrze.

- A państwowo przyjmuje? - zainteresowała się Magda, zwolenniczka działań radykalnych i natychmiastowych. Zwłaszcza w odniesieniu do innych.

- Gdzieś tam przyjmuje. - Gośka wzruszyła ramionami. - To znaczy pracuje w klinice. W poniedziałki ma dyżur. Nie lubię kliniki.

- Dzwon - powiedziała krótko Magda. - Możesz z mojego.

- Nie mam numeru - wykręcała się Gośka. - Przecież nie wybuchnę do środy.

Magda była nieubłagana i wytargała spod baru Panoramę Firm.

- Dzwon.

Zastawiłyśmy Gosię krzesłem. Zadzwoiła. Dodzwoniła się zresztą bez trudu i zastała swojego doktora.

- A, to pani, która mi uciekła i więcej się nie pojawiła - rozpoznał ją doktor. - Co tam się dzieje? Gośka wyjaśniła krótko, co się dzieje.

- Rany boskie - doktor postawił wstępne rozpoznanie identyczne jak moje i kazał jej już dzisiaj przyjechać, po trzeciej. Fajny koleś.

- Mam dzisiaj odebrać bliźniaki z przedszkola - oprzytomniała nagle Gosia. - Andrzej nie może.

- Ja je odbiorę - zaofiarowałam się. - Mam przecież upoważnienie. Dałaś mi przed feriami, jak robiłam kinderbal. Ten, po którym mi koty wpadły w ciężką nerwicę. Możemy potem pójść po Andrzejka do szkoły. Miśka się ucieszy.

- Faktycznie - Gosia najwyraźniej pogodziła się z losem. - No to chyba pójdę do tej kliniki.

- Chyba! - parsknęła Magda. - Coś jej gdzieś tam CHYBA urosło i chyba pójdzie to zbadać! Chyba! Osobiście cię odwiozę, jak tylko przydzwonię Mietka do pracy. Miał być po piątej, to będzie po drugiej. Na pewno się zgodzi.

Zgodził się. Zgodziłby się nawet, jakby Magda kazała mu przyjść o szóstej nad ranem i zatańczyć kankana na wawelskim

145

dziedzińcu albo przerzucać ciężkie głazy w podkrakowskich kamieniołomach, ale tego Magda usilnie stara się nie przyjmować do wiadomości.

- Nie mówcie nic Andrzejowi - poprosiła Gośka. - Zaraz do niego zadzwonię i powiem, że mi wypadło ważne spotkanie, dlatego po pracy ma przyjechać do ciebie po dzieci. Nie chcę, żeby się denerwował.

- Z byka spadłaś? - zdziwiła się Magda. - A co mu powiesz, jak zatrzymają cię w klinice? Że ważne spotkanie potrwa tym razem do środy? A jak ci coś będzie potrzebne? Dokumenty, pizama, szlafrok? Też masz zwyczaj zabierać na ważne spotkania?

- Weźmiemy po drodze, cichaczem, na wszelki wypadek - nie dała się Gosia. - Ojej, nie krzyw się, jakbyś nigdy w życiu nie ukrywała nic przed facetem. Na przykład drugiego faceta - przyłożyła niechęcący. Magda mruknęła pod nosem coś, co kończyło się „... rwa”. - Coś mu tam powiem, nie bój się. On teraz ma ważne zadania w firmie i nie będę go stresować moim jajnikiem. Poza tym to nie jest rozmowa na telefon.

- A on coś w ogóle wie? O twoich problemach? - dopytywała się Magda nieustępliwie.

- A po co miałby wiedzieć? Co on jest, energoterapeuta? Ręce, które leczą? Coś mi to da, że on się zdenerwuje? Został dyrektorem dużego pionu dopiero co. Ma mnóstwo obowiązków i potrzebuje spokoju. Sama sobie poradzę. On jest od zarabiania, nie od medycyny - uściśliła swoje stanowisko.

- Nie będę mu truć tyłka jakimiś problemami.

- Nie wydaje ci się, że w tym wszystkim wy się zaskakująco mało przyjaźnicie? - zapytała nagle Magda, precyzując to właśnie, co mi dość mętnie chodziło po głowie.

- Przyjaźnicie! - prychnęła Gosia. Sięgnęła po papierosa i odłożyła go natychmiast, gdyż Gosia jest jednak jednostką odpowiedzialną. - Mąż nie jest od przyjaźnienia, tylko od zapewnienia stabilności rodzinie. A jak ma ją zapewnić, jeśli będę mu zawracała głowę swoimi rozterkami duchowymi?

- Słuchaj, stara, guz na jajniku to nie są rozterki duchowe. To zupełnie inna kategoria - włączyłam się, gdyż byłam zwolenniczką zupełnie innego modelu małżeństwa i mojemu mężowi zawracałam głowę wszystkim jak leci, włącznie z odciskiem na pięcie. - Bliscy

146

i przyjaciele mają prawo do towarzyszenia nam w najtrudniejszych momentach, nie pozbawiaj ich tego.

- Przyjaciele to przyjaciele, a mąż to mąż - odcięła się Gośka. - Przyjaciołom się truje dupę, a męża się wspiera. Oczywiście, że mu powiem, ale w swoim czasie i na swój sposób. Odczepcie się.

- A dzieciakom co powiedzieć? - spytałam na wszelki wypadek. Gośka wzruszyła ramionami.

- Cokolwiek. Coś tam wymyśl. Przecież nie będziesz stresować mi dzieci. Od tego jestem ja.

- Dobra, coś tam wymyślę. Nie lubię tak - mruknęłam. - Ale chyba faktycznie trzeba.

Poczekaliśmy na Mięcia i rozjechaaliśmy się w cztery strony świata. Dotarłam do domu w licznej, potwornie ruchliwej asyście, myśląc, że Gosia to jednak bohaterka. A mówią, że bliźnięta, nawet rozdzielone przez los, zwykle robią równocześnie to samo. Gośki bliźnięta robią równocześnie co innego. Tylko dwa razy musiałam je wyciągać spod trzech różnych samochodów. Dochodzimy do domu. Moje koty znów będą wymagać relanium.

Doszliśmy. Dzieciarnia na górze porozumiewa się wrzaskiem, aż szyby się trzęsą, choć mam wrażenie, że zaprowadziłam wszystkich do jednego pokoju, a ja wiszę na dwóch telefonach, komórkowym i stacjonarnym, i dodatkowo na Sieci. Gośka nie odbiera. Magda ma zajęte, rany

kota, od pół godziny? Anka nie odbiera. Kaśka, moja koleżanka, która ma etat w klinice, poza zasięgiem. Lochy mają w tej klinice czy co?

W Internecie same makabryczne informacje i wiem już, co może oznaczać, że obrys guza jest nieregularny. Strach skręca mi kiszki, co najmniej jakby to były moje własne jajniki i po raz tysięczny pluje sobie w brodę, że nie zainteresowałam się bliżej Gośki brzuchem jesienią. Cholera. Medyk ze mnie, jak z koziej dupy trąba, jeszcze z tą chromoloną piątką z psychiatrii, po której mi duma spuchła i urosła. Powinnam wiedzieć, że jak Gośka przestała o czymś mówić, to nie znaczy, że jej przeszło, tylko, że to olała. Si-kiem prostym, bo Gośka jest ostatnią osobą na ziemi, która będzie rozczulać się nad sobą i wsłuchiwać w swój organizm. To nieprawda, że nic nie mówiła. Bąkała coś o jajniku i o tym, że chcą ją zapakować do szpitala, ale nieśmiało i na marginesie, więc nie poświęciłam temu pięciu minut uwagi. Potem na tapecie była Paulinka,

147

potem Magda i jej rozterki miłosne i kwestia Gosieńki przeszła bez echa. Cholera. Cholera! Niech już któraś zadzwoni, bo osiwieję. Czy oni wszyscy na górze są głusi? Z Miską na czele? Tynk mi się sypie od tego wrzasku, brzmi to, jak gdyby dzieciarnia wyrzynała się wzajemnie, ale ponieważ w tym ryku pobrzmiwają chichoty, to chyba jednak po prostu się bawią.

Telefon. Kurczę, komórka wypadła mi z rąk i rozsypała się po podłodze. To chyba była Magda. Składałam aparat pospiesznie, łapy mi się trzęsą, pin mi się myli tylko dwa razy, karta sim niegotowa... Jest.

- I co? - pytam strasznym głosem Magdusię, jak udało mi się w końcu do niej dodzwonić, czyli za czwartym razem. Najpierw odruchowo wykreśliłam numer radio-taxi, z którego korzystam najczęściej, potem zadzwoniłam do mojej matki, która jest w spisie tuż przed Magdą, a potem do ekipy murarzy, którzy są tuż za. Nieźle się nakreśliłam.

- Została - poinformowała mnie Magda. - Nie jest najlepiej, ciąża zaimplantowana prawie pod spiralką, praktycznie bez szans, a ta idiotka szaleje i nie zgadza się na zabieg, wrzeszcząc, że woli się przekreślić, niż stracić dziecko przez głupią spiralkę. Powiedziałam nieopatrznie, że chyba do tego służą spiralki, i mówię ci, wierzęgęła, aż ją pielęgniara musiała przytrzymać i mnie wyprosili, bo denerwuję pacjentkę. Mało mi łba nie rozwalila stojakiem. A później zaczęła wrzeszczeć, że ona sobie życzy, żebym przy niej siedziała, i że sama tu nie zostanie, boją wyskrobiać na siłę. Uciekłam na chwilę, ale obiecałam, że wrócę. Chcą rozmawiać z rodziną, czyli z Andrzejem, a Gośka na nich się wydziera i krzyczy, że jej rodziną jestem ja i mam im wystarczyć. Ma prawo żyć z babą, a nie z własnym mężem, jest dwudziesty pierwszy wiek, żyjemy w wolnym kraju i gównu ich to obchodzi, kogo ona upoważnia do zasięgania o niej informacji, a kogo nie. Mówię ci, jaja jak berety. Na razie coś w nią leją, bo ma cholerną anemię, i próbują przemówić do rozumu. W życiu bym się nie spodziewała po naszej rozsądnej kobiecie sukcesu podobnych występów. Nie wiem, co robić. Możesz mnie zmienić? Ja jej za chwilę zrobię coś złego.

- A co z guzem? Zaglądali jej w jajniki czy skupili się na ciąży? Czy ona, cholera, musi mieć wszystko naraz? Co to w ogóle jest?

- Zaglądali, zaglądali. Z miejsca ją wzięli na USG Patrzyłam

148

im na ręce jako służba zdrowia. Guz ma się świetnie i ponoć urósł. Ten gostek, co mu Gośka uciekła i więcej nie przyszła, chodzi teraz zielony i wszystkim się tłumaczy, że przecież jej mówił o zagrożeniu. Warczą na chłopaka. Nie wiedzą co to, skąd mają wiedzieć. Będą ją badać, ale to już jutro, bo przecież po trzeciej laboratorium nie działa, nawet markerów jej nie zrobią. Po trzeciej mogą ci najwyżej zrobić morfologię z automatu, bez rozmazu, szpitala z bliska nie widziałas? Przyjedź tu za mnie, mówię ci.

- Mam dzieci - przypomniałam jej. - Na chwilę obecną pięcioro. Nie słyszysz?

- Słyszę. Szczerze mówiąc, myślałam, że odstąpiłaś je komuś i siedzisz w jakimś potwornie hałaśliwym lokalu.

- Siedzę we własnym domu, potwornie hałaśliwym. Mój mąż wraca dopiero po szóstej i już widzę, jak chętnie przystąpi do pilnowania gromadki. Dwie sztuki przekraczają jego możliwości, co dopiero pięć. Pięć przekracza nawet moje. Słuchaj, chyba musimy zawiadomić Andrzeja, przecież

coś trzeba z tym zrobić - zawahałam się. - Pogadaj z nią jeszcze.

- Uparła się, mówię ci. Wie, że Andrzej w sekundzie nakicha na ciążę i będzie chciał, żeby zrobili jej jednak ten zabieg. I wszystkie badania. Przecież to nie ma sensu. To jest niemalże poronienie w toku, tak powiedziała pani doktor, która robiła Gosieńce USG. Szanse niewielkie, a ryzyko krwotoku ogromne. Słuchaj, ja cię zastąpię, przywiozę Agatę i przyjadę do ciebie, a ty tam jedź. Ty się prędzej dogadasz, ja nie jestem lekarzem.

- Ja też nie - przypomniałam jej gorzko. - Czego pierwszy raz w życiu naprawdę żałuję. Ty pracujesz w służbie zdrowia dłużej niż ja.

- Też mi praca. Jako chromolony akwizytor. Czekaj, a propos pracy, mam przecież kumpele, która obsługuje klinikę, ona ich wszystkich zna. Okej, poczekajmy jeszcze chwilę, spróbuję ściągnąć Joaśkę albo przynajmniej dowiedzieć się, z kim tu gadać. Zanim Gosieńka wpadnie w ostry szał i rozwali im mury. Cześć - powiedziała Magda i rąbnęła słuchawką, zanim zdążyłam zapytać, co w końcu z Andrzejem.

Telefon. Cholera. Andrzej. Tym razem udało mi się nie wypuścić z ręki aparatu, choć przydałoby się, bo nie wiem, co powiedzieć.

149

- Słuchaj, nie wiesz przypadkiem, co z moją żoną? - zapytał Andrzej, a ja westchnęłam ciężko. - Coś mi mówiła o pilnym spotkaniu, a tu pani sąsiadka na mnie czekała z donosem, że moja żona wybrała się do szpitala z Magdą. Słyszała na tarasie, cholerne szeregowki, to znaczy sąsiadka, i mówiła, że poleciały jak do pożaru, z torbami. Żeby zobaczyć, że z torbami, babsko musiało przegalopować na drugą stronę domu, inaczej się nie da. Chciało jej się, choć ma nogę w gipsie, co za typ. Mniejsza z tym. Co się stało i komu, tej mojej, czy Magdzie? - spytał, a ja pobłogosławiłam w duchu wredną wścibską sąsiadkę, która zdjęła nam z głowy okropny dylemat.

-Niestety, tej twojej. Dostała krwawienia - powiedziałam ostrożnie. -I jest na ginekologii, myślę, że powinieneś tam jechać, jeśli już możesz. Dzieci są u mnie.

- Wiem, wiem, mówiła. Kurczę, no niby właśnie nie mogę, mam spotkanie... A, cholera, srał pies spotkanie, pojadę. Myślisz, że to coś poważnego?

- Nie wiem, Andrzejku, i na razie nie myślę. Magda z nią siedzi, ale może lepiej nie dzwoń. Tylko pojedź. I daj mi znać, jakbyście cokolwiek potrzebowali, bardzo cię proszę. Młodzieżą się zajmę, najwyżej do spania położę ich rzędem, nie przejmuj się.

- Myślisz, że aż tak? - przeraził się Andrzej. - Mam nadzieję, że wpadnę tam tylko na chwilę...

- Mówiłam ci, nic nie myślę. No, jedź już i sam się zorientuj. I błagam, powiedz o pani sąsiadce, bo Gośka mi łeb urwie, że ci wygadałam. Nie chciała cię denerwować.

- Nie, skąd, nie zdenerwowała mnie ani trochę - wkurzył się Andrzej. - Ona jest jednak czasem beznadziejna. Traktuje mnie jak złote gówienie w pierzynie. Ostrożnie, żebym się przypadkiem nie rozsypał. A potem znajduję przypadkiem w łazience kolejne opakowania po lekach uspokajających. Ale tak w ogóle to wszystko w porządku, tym najlepszym, szafa gra. Dopóki się nie rozsypie. W drobny mak. Ochrzanię jak burą sukę! Dobra, jadę. I dzięki.

Rozłączył się, zanim zdążyłam powiedzieć, żeby może nie przesadzał z tym ochrzanianiem.

Siedzę bezradnie przy stole, dzieciarnia na górze drze się wytrwale, będę im chyba musiała rozdać na dobranoc tabletki na zdarte gardziele, chyba że oni tak zawsze i organizmy mają przy-

150

stosowane. To znaczy ci od Gośki, bo moje chyba nie. Kurczę, właśnie po schodach zbiegł w dzikim popłochu kotek w szarfie na szyi i kokardach na uszach, przypiętych spinkami do włosów. Chyba muszę troszeczkę opanować towarzystwo. Biedny kotek, ma raka, a oni mu urozmaicają okres rekonwalescencji po operacji. Miśka samodzielnie nie miewa takich pomysłów, ale w towarzystwie wstępuje w nią bahorror. Malwina się obudziła, ciekawe, że dopiero teraz, młode organizmy są jednak odporne nad podziw.

Poszłam, wytłumaczyłam, wytarłam nosy, wręczyłam po sznyc-lu w bułeczce i zasadziłam ferajnę przed komputerem tatusia, a Andrzejkowi odstąpiłam swój własny, bo nie był zainteresowany przygodami prosiaczka. Nakarmiłam Malwinę i nastąpiła chwilowa cisza. Mogę się znów spokojnie podenerwować.

Ech, ta Gosieńka. Wcale nie jestem zaskoczona jej zachowaniem. Nagle uświadomiłam sobie, w jakim ona musi żyć stałym i potwornym napięciu. Ze swoim perfekcjonizmem i przy absolutnym braku taryfy ulgowej dla siebie samej. Uśmiech na twarzy i zasuwały jak mały samochodzik. Wszystko sama. Dom lśni czystością, i nie jest to bynajmniej, jak u mnie ostatnio, zasługa genialnej opiekunki. Gosia w ogóle nie ma opiekunki, pomaga jej mama, przed którą Gosia nie może wyjść z roli perfekcyjnej pani domu ani na sekundę. Nie położy się spać, dopóki w domu nie nastanie idealny ład. W każdą sobotę zakłada swój dresik z czasów licealnych i odprawia święto sprzątanania. Odkurzanie, pucowanie łazienek, prasowanie, cerowanie. Wszystko sama, choć Andrzej w tym czasie też ma swoje. Zabiera dzieci na spacer, żeby nie dostały uczulenia na środki czystości i pył z odkurzacza, potem wykonuje grubsze czynności gospodarskie, jeśli trzeba, czyli naprawy sprzętu i trzepanie dywanów. Wszystko zgrane jak w szwajcarskim zegarku. W niedzielę obiad u dziadków i wspólny spacer po muzeach, bo dzieci muszą mieć kontakt z kulturą. Nie wyjdzie do knajpy, jeśli zostało jej choćby jedno zdanie do przetłumaczenia. Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Limitowana i w granicach rozsądku. Przy tym makijaż nienaganny, fryzurka zawsze w porządku, wyprasowana bluzeczka i wypilowane paznokcie, bo przecież nie może się zapuszczać. Musi być zawsze miła i atrakcyjna, żadna tam rozmamłana żona w papilotach. W tygodniu pracuje w domu, w przerwach między odprowadzaniem potomstwa do przedszkola

151

i szkoły, na basen, angielski i warsztaty taneczne, bo przecież dzieci muszą się rozwijać i nie może opóźnić im startu w wyścigach szczurów. Wieczorem chwila zabawy, układanki i gry edukacyjne, potem przypilnowanie, czy towarzystwo jest na bieżąco z lekcjami i zajęciami, kolacja, koniecznie ciepła, gotowana porządnie ze świeżych produktów, żadne tam gotowce z mikrofal. Potem czytanko w dziecinnym pokoju, pół godzinki przed snem, ząbki, paciorek i spać, a mamusia z powrotem do pracy. Przed snem obowiązkowa herbatka z małżonkiem, przecież musi się chłop wygadać, zrzucić z siebie wszystkie firmowe frustracje, więc Gosia słucha, doradza i wypytuje, pomaga zebrać myśli i rozwiązać problemy. Sama nie ma żadnych. Ideały nie mają. W towarzystwie Gosia też funkcjonuje podobnie, cholera. Radzi, pomaga, informuje. Podrzuci mi indeks tam, gdzie boję się iść sama, weźmie moje dziewczyny na chwilę, uspokajając, że dwoje więcej, dwoje mniej, to dla niej żadna różnica. Aha. Właśnie widzę, a raczej słyszę, bo młodzież na górze znów się uaktywniła. Podrzuci mi znienacka porcję gołąbków, bo przecież mam egzamin i nie będę gotować. Weźmie mój płaszcz do pralni, bo akurat zanosí swoje, a widzi, że już mam brudny. Ja nie zwróciłam uwagi. Przetłumaczy Magdzie prezentację do pracy, bo przecież przy okazji się uczy, i poleci na chwilę pilnować barmanów, bo przyjechał Zygmunt z Warszawy i Magda musi mieć czas na prywatne spotkanie. Przyniesie Misce fantastyczny syropek ze Stanów, bo Miśka mi kaszle, a jej akurat troszeczkę zostało. Przywlecze torbę karmy dla chorych przewlekle kotów, z witaminkami, bo akurat trafiła na promocję i jej się przypomniało, że mój kot miał zabieg. Przynosi obiadki wrednej sąsiadce, bo ta złamała nogę, a Goście po drodze. Wszystko jej po drodze. I przy okazji. I w ogóle żaden kłopot, ani troszkę. Opiekunka całego świata.

Cholerna Matka Teresa. Z Azorów.

A teraz wyłazi z niej cały stres i cała ogromna, w tym wszystkim, samotność. I wszyscy zdziwieni. Na czele z dumną adeptką psychiatrii, kurna mać.

Siedzę w ciemnej kuchni, bo za oknem już zapadł zmierzch i myślę sobie że, Boże, w którego prawie nie wierzę, bądź Bogiem Wszechmocnym, ten jeden jedyny raz, i ocal nam Gosię. I już nigdy Cię o nic nie będę prosiła. Wszystko zrobię sama, najlepiej jak

152

umiem, tylko bądź. I ocal. Proszę. Proszę. Proszę. Nadrobię zaległości. Rzucę palenie, jeśli to coś da. Znajdę wszystkie zaległe rachunki i przyznam się mężowi do zdefraudowania trzech stówek. Będę odpowiedzialna jak nie wiem co i zabiorę w końcu Miszkę do alergologa. Zabiorę też babcię do neurologa, co obiecałam zrobić już rok temu. Zamiast do knajpy, będę chodziła do hospicjum. Na wolontariat. Jak obiecałam cztery lata temu. Przez miesiąc nawet nie spojrzę na piwo, bo za miesiąc będą męża urodziny i spojrzę, żeby mu nie robić przykrości. Kupię dzieciakom krople na zęby. Co powinnam robić regularnie też od lat. Będę mówiła prawdę i tylko prawdę, wszystkim jak

leci, aż się porzygają. Tylko niech się stanie cud, ten jeden jedyny raz.

Imię bestii

Nie ma cudu. Choć dalej na niego czekamy. Jest szaro i smutno, rozpuścił się śnieg i Gośka ciągle leży w szpitalu. Straciła dziecko, którego wcale nie planowała, ale bardzo chciała ocalić, i zastygła w rozpacz. Mało mówi, dużo śpi i wszystko jej wisi. Cały świat z kolei zastygł w oczekiwaniu na wyniki jej biopsji. Odbieram bliźniaki z przedszkola co drugi dzień, na zmianę z Gośki mamą, i koty się nawet do nich przyzwyczyły. Mama Gośki lamentuje i narzeka, że Gośka taka głupia i nieodpowiedzialna, jak mogła nie badać się regularnie, tyle razy jej mówiła, że w życiu to trzeba pilnować dosłownie wszystkiego, jak sama nie zadbasz, to nikt tego za ciebie nie zrobi, z małych zaniedbań robią się wielkie tragedie, zawsze trzeba cerować dziurki póki małe, jak w wierszyku o Zosi, mówiła jej tyle razy, ale Gośka jak zwykle sobie bimba. Egoistka. Nie dbać o własne zdrowie, to jak splunąć matce w twarz. Nie po to ją urodziła, pielęgnowała, uczyła życia, żeby ona tak po prostu je sobie zmarnowała. Ale na tym świecie trudno oczekiwać jakiegokolwiek wdzięczności. Słucham nieprzerwanego potoku wymowy eleganckiej starszej pani w kapeluszu i nie chce mi się dyskutować. Dzieci Gośki już wiedzą, że mama jest w szpitalu i prędko nie wyjdzie, Andrzej im powiedział; wcale nie ukrywa przed dziećmi swojego zmartwienia, bo uważa, że dzieci i tak to wyczują, a jak nie będą wiedziały, o co

153

chodzi, to dopiero zaczną się bać. Więc rozmawia z nimi mądrze, ciepło, otwarcie, choć oczywiście na miarę ich możliwości. Nie mówił im tylko o dziecku, które było i znikło, gdyż nie było kompletnie innego wyjścia. Ten fakt przeżywa sam, albo wspólnie z nami, kiedy przychodzi po dzieci, jak już go wyproszą od Gośki z kliniki, i zostaje na całe wieczory. Zna siebie i wie, że potrzebuje rozmowy. Rozlicza sam siebie z minionych lat i zastanawia się nad przyszłością. Mądry, dobry, kochany człowiek. W ciszy i półmroku mojej kuchni, która nagle stała się najbezpieczniejszym miejscem na świecie, z nim i moim mężem poruszamy tematy, o których zazwyczaj się milczy, gdy tylko zejda z twarzy wyrzuty na mordzie. Tematy, które w świecie dorosłych nie są tematami. O których zwykle nawet się nie myśli, choć przecież każdy nosi swój pogląd na sprawę schowany głęboko w sercu i w szarych komórkach. Mówimy o rzeczach wstydlivych, jak wrzód na dupie. Czyli o śmierci, miłości i codziennej wierności sobie i najbliższemu. Poczucie pustki i wiecznej szarpaniny, niezadowolenia i bezsensu minęło mi, jak ręką odjął. Ja to jednak jestem idiotka. Doceniam, co mam, najczęściej dopiero wtedy, gdy zobaczę, jak ktoś obok ma kompletnie przerąbane. Nie mam już poczucia, że inni bawią się w życiu lepiej, mają ciekawsze doświadczenia, nie potrzebują mocnych wrażeń. Wyparował mi wątek dramatyczny. Kocham mojego męża. Moje dzieci też kocham. Niemalże kocham też dalszą rodzinę, choć znów nie przesadzajmy. Wracam wieczorami do domu i widzę, jaki to ciepły, cudowny dom, najpiękniejszy na świecie. I cały czas myślę o Gosi, spędzającej wieczory samotnie, w szpitalnym pokoju. Mogliby w zasadzie już ją wypisać, jest po wstępnym zabiegu, doto-czyli jej masę krwi, opanowali zakażenie wykryte przy okazji i niby wszystko powinno być w porządku, ale nie jest. Organizm Gośki nie zbiera się, jak należy. Myślę, że to raczej jej psychika się nie zbiera. Pierwszy raz w życiu odpuściła sobie hurtem wszystkie role i zapadła w letarg. Nawet się nie denerwuje i na nic nie czeka. Tylko śpi. Więc trochę się boją puścić ją do domu. Andrzej przesaduje u niej godzinami i próbuje ją rozruszać, ale to nie działa. Gosia uśmiecha się uprzejmie, ale jej oczy błędzą gdzieś w dalekich krainach. Potem zasypia. Brak nam pomysłów, kompletnie. Magda, nasz psycholog z wyróżnieniem, próbowała ją zwyczajnie opieprzyć, ale Gośka naciągnęła kołdrę na głowę i kazała jej wyjść, tak

154

po prostu. Więc Magda wyszła i zrobiła w Banasiu taką rozróbę, że do dziś wszyscy chodzą na palcach i noszą fartuszki firmowe. Faktury leżą w teczkach w porządku chronologicznym. Magda miałaby też inny powód do zdenerwowania, bo Kazik przyjeżdża w tym tygodniu, ale już nie ma siły. Wszystko przybladło, jak na starej pocztówce. Kwestie miłosne, spędzające jej sen z powiek, jakoś ostatnio przestały jej spędzać. Będzie, jak będzie. Zobaczymy. Magda czeka na Kazika całkiem spokojnie, jak na starego przyjaciela. Przyjaciela, który zna Gosię i jak zwykle stara się

uruchomić wszelkie znajomości. Swego czasu miał tendencje do zaliczania panienek na poziomie, z których obecnie wyrosły kobiety na stanowiskach. Raczej miło go wspominają. Kazik miał urozmaiconą młodość, a teraz ma kontakty. Niektóre z nich już przyniosły wymierne efekty i teraz w klinice kłaniają się w pas. Co nie wpływa zresztą na stan pacjentki ani na milimetr. Zygmunt co prawda również chciał pomóc, bo jako uznany doktor ze stolicy też zna tego i owego, ale Magda go olała. Nie jego babci buraczki. Co nie znaczy, że w potrzebie nie sięgniemy i po niego, po wszystko, co się tylko da. Na razie nie ma takiej potrzeby, jest tylko wstrętne, oślizgłe czekanie.

Dni się ciągną, jak guma do żucia. Jeszcze trzy. Dwa. Jeszcze jeden, strasznie długi dzień.

Idę na zajęcia z sercem w gardle, i nie wyłączam telefonu. Kicham na to, co pomyślą asystenci. W razie czego rzucam wszystko i pędzę na ginekologię, w końcu to na tej samej ulicy. Mija kolejna godzina udawania, że notuję, co pani smęci o przepuklinie, w dupie mam przepuklinę, to znaczy na szczęście nie mam, ale lekceważę ten temat. Telefon trochę ściszyłam i trzymam na stoliku, jak wieśniak. Jest! Magda! Wrzeszczę „przepraszam” i wypadam z sali, za mną leci fuknięcie asystentki, głupia stara baba, pewnie nigdy nie miała własnych jajników.

- No?! Są wyniki?! - ryczę do telefonu, aż echo niesie po szpitalnych korytarzach.

- Są - mówi Magda i głos ma schrypnięty, więc serce zamiera mi w gardle. - Nie jest źle. Teratoma, czyli ten, no... potworniak. Będą operować. Dobrze zróżnicowany, raczej niegroźny, ale będą jeszcze sprawdzać w trakcie zabiegu. Rysiek robi intrę, już wiem, obiecał mi, a ja mu obiecałam, że jak przegapi choć jedną komórkę rakową, to mu osobiście jądra ukręcę. Ale wygląda na to, że nie

155

jest to rak. Ani złośliwa postać teratomy. Choć oczywiście nie mów hop.

- Bogu niech będą dzięki! - W gardle rośnie mi wielka kula, jak głupiej dzimdzi, i osuwam się po najbliższej ścianie, a profesor, który wyrzwał z dyżurki, gdyż wydieram się akurat pod jego gabinetem, patrzy na mnie długo i z sympatią. - Pójdę do szpitala zaraz po ćwiczeniach, to się spotkamy. Dzięki, pa.

Zbieram się z podłogi, gdzie przykucnęłam jak nastroszony szympanś z telefonem w rękach, i przyjmuję na powrót postawę wyprostowaną, jak przystało w obliczu kadry naukowej.

- Coś z twoim dzieckiem? Choruje? - pyta profesor, jedyny, który lekcewał wszystkie formy grzecznościowe i zarazem jeden z nielicznych ludzi naprawdę wielkiego formatu, których przyszło mi spotkać na swej studenckiej drodze. Pytanie budzi mój nieklamany podziw. Jakim cudem on pamiętał, że ja mam dzieci, skoro usprawiedliwiałam się przed nim ze studenckiego lenistwa potomstwem, owszem, ale jakieś cztery lata temu?

- Nie, przyjaciółka. Teratoma maturum, wyglądało gorzej. Jeszcze przed zabiegiem, więc nie chcę zapeszać.

- U nas? - zainteresował się profesor. - Jakoś nie pamiętam?

- Na ginekologii, panie profesorze. Okolice jajnika. Odsiedzę seminarium i zaraz tam lecę. Zobaczę, co i jak.

- Jakby co, to przyjdź do mnie - zaskoczył mnie profesor po raz kolejny. - To młoda dziewczyna? Od nas z uczelni?

- Młoda raczej duchem, panie profesorze, choć tak w ogóle to średnio. Nie z medycyny, ale bardzo mi bliska. Świetny człowiek. Tłumaczka. Matka trójki dzieci - relacjonuję pospiesznie.

- O cholera - przejął się profesor. - To tym bardziej przyjdź, jakby było trzeba jakoś pomóc. Trochę mnie znają tu i ówdzie. Nawet się mnie boją, choć nie wiem, dlaczego. Przecież nie jestem taki straszny?

Nie jesteś, Profesorze. Ani trochę, i już się ciebie nie boję. Ani w ogóle nikogo. Niniejszym odwołuję wszystkie kalumnie rzucane na profesorów i przełożonych. Uroczyście. Mogę nawet odszczekać pod Adasiem, publicznie. Wraz ze wszystkimi kalumniami, które rzucałam na życie jako takie. I chyba będę rzucać palenie?

156

Nie oddam psa

Zdałam okulistykę! Na czwórkę. Może jeszcze będą ze mnie ludzie. Równocześnie przyszły wyniki z Miśki testów. Alergologicznych. Też pozytywne. Ale to mnie, dziwnym trafem, jakoś mniej

cieszy.

Miśka też okazała się uczulona na życie, zupełnie jak Anka. Niestety, na koty również, choć w niewielkim stopniu. Babcia z miejsca zaproponowała, żeby te koty wyrzucić. Mój mąż natychmiast zaproponował, żeby wyrzucić babcię. Ma rację. To nie jest metoda. Niestety, takie podejście do problemów w mojej rodzinie jest raczej typowe.

Najpierw był piesek. Miły czarny pudelek. Pudelek był zasadniczo mojej mamy, ale ciężko go było hodować w akademiku, więc scedowała go na babcię. Babcia przez dwa lata rozpieszczała kochaną psinkę, serwując na obiadek mięso bez żyłek. I jajko. Jajko pudelek znał w postaci przerobionej, białko w kosteczkę, a żółtko utarte ze śmietanką. Jak ktoś mu próbował zaserwować zwykłe jajo na twardo, głupiał. Turlał je po podłodze bezradnie, w ogóle nie traktując jak produkt jadalny. Potem urodziło się dziecko, czyli ja. Mama, korzystając z zaistniałego precedensu, zrobiła ze mną to samo co z psem. Czyli scedowała na babcię. Dziecko też trudno hodować w akademiku. Babcia dziecko wzięła, co jej się chwali, natomiast z miejsca skończyła się dobra passa psa. Bo przecież pies i dziecko w jednym (fakt, że małym) mieszkaniu to niehigieniczne. A w owych latach, wczesnych siedemdziesiątych, higiena to podstawa. Niemowlętom, za poradą specjalistów karmionym z dokładnością szwajcarskiego zegarka co trzy godziny i zawijanym w sztywne, wykrochmalone beciki, higiena musiała wystarczyć za wszystko. Nosić nie wolno, spać z dzieckiem nie wolno, wychłodzić nie wolno, przegrzać też nie bardzo, choć prędzej. I żadnych zarazków. Godziny spędzone na ustawicznym szorowaniu, wyparzaniu, krochmaleniu i gotowaniu miały dać mamom i babciom poczucie ciągłego zajmowania się małym, które tymczasem miało leżeć spokojnie w łóżeczku, zawinięte w becik. I włączać się raz na trzy godziny na karmienie. Straszne, nieludzkie, bezsensowne czasy. W moim pokoleniu jest wielu znanych degeneratów, rozpaczają media. Ja się dziwię, że tak mało. Powinno być osiemdziesiąt procent. Te dwadzieścia to ci, których matki nie stosowały się do zaleceń.

A najlepsze jest to, że rozpowszechnienie tych zasad spowodowało ogromny spadek śmiertelności niemowląt na wsiach i w środowiskach bardziej zaniedbanych. Jakie były zasady obowiązujące wcześniej i w jakich warunkach żyły niektóre dzieci, wołę nie wnikać.

Tak więc babcia, w obawie, że nie zapewni mi należytej sterylności, na którą dziś tylko macha ręką i cieszy się, że mamy lepiej, wyekspediowała psa z domu. Na szczęście znalazła się rodzina, nawet nie taka daleka, bo brat dziadka z małżonką, którzy pieska przygarnęli wraz z jego arystokratycznymi nawykami. Do czasu. U nich w domu również urodziło się dziecko i piesek po trzech latach wrócił do nas.

Widocznie trzylatki nie muszą już być trzymane w sterylizatorze, bo udało mu się przemieszkać z nami następne trzy lata i nikt niczego nie dostał z tej okazji. A ja zdążyłam uznać psa za stały element szalonego wszechświata. Fajny był ten pies. Potrafił wyleźć po kredensie na pianino bądź odwrotnie, jeśli tylko wiedział, że gdzieś wyżej babcia położyła czekoladki. Dawał się ujeżdżać jak koń - gdy znudziła mu się zabawa, raptownie siadał, a ja lądowałam z hukiem w okolicy psiego ogona, tłukąc sobie ogon własny. Stawałam w drzwiach z ciupagą w poprzek i wytrwale uczyłam psa skoków wzwyż, choć on preferował prześlizg dołem. Rozpoznawał trabanty po dźwięku silnika, co może nie było aż taką sztuką. Ale rozpoznawał też autobusy marki Tam (dziadek był kierowcą PKS). Zawiaływałam mu oczy szmatą, dwa razy z rzędu ją ściągał, podskakując komicznie, a trzeci raz się obrażał i siedł do swego legowiska po omacku, objając się o sprzęty. Ciągnął mnie za sweter w kierunku drzwi, jak chciał wyjść na spacer, i kładł mi ciężki od trosk łeb na kolana, jak na świecie było szaro i smutno, a dorośli szeptali po kątach ze zmartwieniem. Po czym nadszedł stan wojenny i piesek, przyzwyczajony do cielećinki i drobiu, okazał się oczywiście najbardziej wymagającym spożywczo członkiem rodziny. Nie chciał kopytek. Kichał na knedelki. Trzeba było czym prędzej znów pozbyć się zwierza. I oddali go, mimo moich nieśmiałyh protestów, jakiejś niemal zupełnie obcej rodzinie, która mimo stanu wojennego przedła jakoś lepiej. Pies pojechał do innego miasta. Widziałam go raz - pojechaliśmy z wizytą po paru miesiącach. Nie chciał się ze mną bawić i nie dopuścił nikogo do swojego ulubionego fotela. W nowym domu. Miał już swój nowy ulubiony fotel.

Nie mam żalu do nikogo o moje pokręcone dzieciństwo. Do rodziców, że przez ładnych parę lat wychowywali mnie dziadkowie. Mamę i tatę pamiętam z tamtych czasów jako sympatycznych znajomych, którzy wpadali co parę tygodni na weekend, brali mnie na spacer i przywozili prezenty. U dziadków spędziłam kilka cudownie bezproblemowych lat, choć teraz zdaję sobie sprawę z tego, że warunki zewnętrzne bywały ciężkie. Świat wokół stał na głowie, a w domu zawsze było ciepło i cicho, czysty obrus i chleb na stole, puchowa kołdra i paciorek przed snem. Trudniejszy był powrót do rodziców, wtedy pierwszy raz, choć nie ostatni, moje życie pękło na pół i musiałam się przyzwyczaić, że człowiek może mieć wiele swoich miejsc na ziemi, to znaczy nie mieć żadnego. Do dziadków też nic nie mam. Przeżyłam.

Mam żal - głęboki, ciężki i na zawsze - do wszystkich dorosłych o to, że oddali obcym ludziom mojego psa. Mam niezły kontakt z rówieśnikami. Lubią mnie dzieci, zwierzęta i świry różnej maści. Umieję przystanąć, zrozumieć i służyć pomocą tym, do których schylić się trzeba. Ale do wszystkich dorosłych, ciotek, wujków, szefów, dziekanów i przełożonych odnoszę się do dziś z pełną niechęcią rezerwą. Dorośli są wstrętni. Nie ufam dorosłym. Zabrali mi psa.

Wtedy to chyba postanowiłam być najbardziej elastyczną osobą na świecie. Dopasować siebie i tych, których uznaję za swych bliskich, do najbardziej dziwacznych warunków. Ale się nie pozbywać. Nigdy nikogo.

Z pomocy korzystam chętnie. Moje dzieci umieją zasypiać zawsze i wszędzie. Miśka przespała kiedyś w foteliku samochodowym wepchniętym pod stół huczne wesele mojej koleżanki. Inne wesele spędziła w tym samym foteliku, śpiąc błogo pod czujnym okiem pani portierki, podczas gdy my balowaliśmy w czeluściach hotelu. Pani czuwała, otulała kocym i wzywała mnie na karmienie. Miśka spała równie spokojnie na stercie płaszczy, na kartonach z panelami i na flizach w pudełkach. Nad Malwiną, którą wożę jak plecak podręczny o najdziwniejszych porach w najdziwniejsze rejony miasta, litują się wszyscy taksówkarze Krakowa. Koty pod koniec miesiąca jedzą chleb namoczony w mleku. Albo surowe jajo niespełniające unijnych standardów ważności. Swoje plany życiowe zmodyfikowałam już parę razy i pewnie jeszcze zmo-

159

dyfikuję. Ale żywego stworzenia, które weszło w obszar mojej odpowiedzialności, nie oddam nikomu. Ciekawe, czy jest to również jedna z przyczyn tego, że po licznych życiowych zakrętach wyszłam za męża za mojego pierwszego chłopaka?

Co nie znaczy, że jestem osobą odpowiedzialną. Nie jestem. Od poczucia wszechogarniającej odpowiedzialności to jest Gosia. Ona ma na głowie wszechświat. Magda z kolei ma go w innym miejscu. Nieco niżej usytuowanym. Ja mieszkam rozmaicie. Raz tu, raz tu. Nie płacę na czas rachunków. Nie prasuję odzieży swojej ani żadnego z domowników. Po moim domu stadami lata ludzkie pojęcie. Wchodzę do kuchni - przechodzi ludzkie pojęcie, w przedpokoju - też zwykle przechodzi. W garderobie ludzkie pojęcie przechodzi trzy razy. W piwnicy i w lodowce wzrasta mi entropia. Po drodze do wanny należy wykonać skok wzwyż. Przez wszystko, co już dawno wylazło z kosza. W szufladach błękitnej komody bardzo ważne rachunki walają się luzem wśród licznych materiałów archiwalnych sprzed ośmiu lat. Pliki w moim komputerze nigdy nie widziały na oczy katalogu. Kapcie żyją własnym życiem i czają się po kątach w ilościach hurtowych, acz nieparzystych. Pojedynczymi skarpetkami mogłabym wypchać materac.

Ale nie oddam nikomu mojego psa. Czyli kota, bo nie mam psa obecnie. Ani tych chwil, kiedy pakuję się z Babami do łóżka i czytamy przed zaśnięciem. Andersena. Braci Lwie Serce. Legendy i opowieści o Krakowie. Małomównego i rodzinę. Nic to, że Miśka ma dopiero pięć lat i co drugie zdanie rodzi w niej pytanie. Lektura, która nie wzbudza pytań i wątpliwości, to kiepska lektura. Szkoda czasu. Pod tym jedynym względem jestem wymagającą matką. Głupie opowieści o króliczkach, będące kiepskim tłumaczeniem streszczenia pierwszej lepszej telewizyjnej bajki, zostawię Babom do samodzielnego przerebu, gdy nauczą się czytać. Albo nawet nie.

Więc czytam, rozmawiam, tłumaczę. Czasem godzinę. Czasem dwie. Albo dłużej. Patrzymy w tym samym kierunku. Miśka próbuje zrozumieć świat. Ja próbuję zrozumieć, co się dzieje w jej rozczochranej łepetynie. Na razie nie jeździmy do Japonii i nie mamy klocków Lego. Lalkę Chou-Chou przyniósł Mikołaj. Który na drugie imię ma Babcia. Nawet majtki mamy po starszych

kuzynkach. Stanowimy ewenement kulturowy, w dwudziestym pierw-

160

szym wieku nie mając telewizora, co akurat nie wynika z ekonomii, tylko z psychologii. Nie chcemy.

Mamy za to regały z przeceny, na których książki z przeceny leżą wzdłuż i w poprzek, bo inaczej się nie mieszczą. Mamy pokój, w którym spędzamy uroczę małżeńskie wieczory z winkiem, każde przy swoim komputerze. Wannę, do której wchodzi cała rodzina z wyjątkiem kotów, które też w zasadzie mogłyby, ale nie chcą. Sobotnie śniadanka z chrupiącymi bułeczkami i poranną gazetą, świeżą jak te bułeczki, rozłożoną na pożyczonym od teściów stole. Wokół stołu krzesła różnej maści, w spadku po byłych firmach i aktualnych przyjaciółach. Błękitną lodówkę, która pamięta jeszcze czasy, kiedy nasz związek był nieformalny i burzliwy, i ma zamrażalnik umowny: jej tylna ściana pokryta jest wiecznym lodem. A że z przodu panuje klimat umiarkowany, należy myśleć, co i jak głęboko się wsadza. Całkiem jak w życiu. Pasowała jak ulał do poprzedniej kuchni. W tej pasuje tak, że zęby boją, więc siadamy przy stole tyłem do lodówki. Za to przodem do ogródka, tego z klonem. Z radia sączy się jazz, bo to Radio Jazz. Starsza wygryza kromkę w kształt serduszka, produkując sobie na twarzy smugi w kształcie wąsów. Młodsza wciera sobie pracowicie ser biały we włosy blond. Koty czatują pod krzeselkiem Młodszej z pyszczkami do góry, czekając na zrzuty. Mąż wywija gazetą i komentuje. I to jest chyba to, o co mi w życiu chodzi.

Nie oddam mojego psa. Będzie żarł słoninę. I skórki z parówek. Chleb z mlekiem. Albo i bez. Ale nie oddam. Nawet księciu z bajki, który ma wielką srebrną lodówkę, a w niej stosy gęsich wątróbek i najświeższej cieleciny. Nie oddam i już. Taka ze mnie wredna krowa.

Tam, gdzie żyją Łososie

Przyjeżdżają Łososie ze Stanów i będą mieszkać u nas na drugim piętrze, na którym obecnie mieszkają głównie koty. Bo Łososie są od tak dawna wkomponowane w nasz świat, że sami nieraz zapominamy, że to nie rodzina. Z Łososiem chodziłam do podstawówki, potem do liceum, pomagał mi na powrót upolować męża, gdy już wydawało się, że trwale go zniechęciłam, potem przez parę lat

161

pracowali razem z upolowanym w kolejnych firmach, razem wynajmowali mieszkanie - to z kotem - czasem się lubili, czasem żarli tak, że pierze leciało. Wzajemną rywalizację mają we krwi, jak rodzeni bracia. Aż wreszcie pojechali razem do Stanów, w których Łosoś odnalazł swe miejsce na ziemi, a my dla odmiany zdecydowanie nie. Mnie wystarczyły nędzne trzy tygodnie, aby się przekonać, że nie chcę żyć w kraju, w którym nie ma chodników ani przejść dla pieszych, ćwikły i ogórków kiszonych, a na szybach w poważnych firmach widnieją naklejki z napisem: Uwaga, ta szyba zrobiona jest ze szkła i nie zaleca się uderzania w nią ciężkim lub ostrym przedmiotem, gdyż może ulec rozbiciu na fragmenty niebezpieczne dla zdrowia. Lubię spacerować i ogórki kiszone, uporzędkowanie odmawiam prowadzenia samochodu i od dziecka wiem, że fragmenty szyby mogą być szkodliwe dla zdrowia. Taką mam rozległą wiedzę.

Poza tym wszyscy tam mają jednakowe tapety w łazienkach, wzorki na sufitach i beżowe wykładziny. O, przepraszam, byliśmy kiedyś u znajomych, którzy zamontowali sobie w domu wykładziny szare, choć identyczne, jeśli chodzi o grubość i fakturę. Za inny wariant musieli zresztą dopłacić, bo firma budująca im domek musiała go sprowadzać specjalnie. Dopłacili również sporo za gładkie sufity, bo standardowo wszyscy mają w takie gluty, jakby jakiś wariat rzucał im w sufit wiadrem z serkiem homo. Ten efekt artystyczny jest po to, aby ekipa remontowo-budowlana nie musiała się męczyć z wyrównywaniem sufitu na gładko. Znajomi się uparli i musieli dopłacić ekipie za kosmiczny wysiłek. Stany to dziwny kraj. To, co się nie udało naszym komunistom, czyli zamienić wszystkim wszystko w identyczne kopie, w Stanach sprawiła prosta ekonomia. Schematy powiela się tanio i przyjemnie, a za wszelkie odstępstwa trzeba słono płacić. Stąd identyczne białe kuchnie i jednolite tapety w łazienkach. Różnią się nieco kolorem i grubością pasków, i w tym zakresie można sobie poszaleć. Poza tym kibel w Stanach nie są dostosowane do kupek rodzimego pochodzenia. Każdy Polak pierwsze co robi po przyjeździe, to zatyka kibel. Raz bądź kilka razy, zanim zacznie nań działać miejscowe żywienie, dostosowując szerokość gówienka do rozmiarów

odpływu.

Jak chłopcy przyjechali tam po raz pierwszy, to na początku oszaleli z zachwytu. Mój, wtedy jeszcze narzeczony, został ulokowany w apartamencie z własnym starszym bratem. Brat od razu za-

162
strzegł w firmie, że ściągnie za chwilę do siebie rodzinę, ten mój zastrzegł, że ściągnie mnie, więc firma przydzieliła im skromne mieszkanie, czyli jakieś sto trzydzieści metrów kwadratowych na dwóch. Olbrzymi salon, kuchnia biała jak jajko, z obowiązkową zmywarką, młynkiem przy zlewie i wszelkimi gadżetami ułatwiającymi życie, dwie osobne sypialnie, każda z garderobą i łazienką, i miłutki tarasik. Chłopcy, wychowani w pięćdziesięciometrowym mieszkaniu o pokojach przechodnich, w którym siedziało sobie na głowach pięć istot ludzkich i świnka morska, wpadli w szal i przysłali nam entuzjastyczne e-maile, zachęcając do odwiedzin w tej krainie luksusu. Łosoś dostał mieszkanie mniejsze, lecz oddzielne, i też zapragnął ściągnąć narzeczoną.

Zanim zresztą dokładnie się rozpakował, przylazł, spryrciula, do chłopców w odwiedzinie, zdeponował szwagrowi w kiblu polską kupę i zatkał urządzenie. Szwagier chciał się zemścić i o mały włos nie dostał zatwardzenia, czekając z potrzebą na wizytę u Łososa. Daremnie - pierwszą kupę Łosoś zdeponował w domu. W krótkim czasie mieli zatkałe trzy kible, bo mój narzeczony zatkał sobie własną muszlę osobiście i szwagier znalazł się w sytuacji szkodliwej dla zdrowia.

Zadzwonili więc hurtem do cecia, bo osiedle było porządne i dysponowało ekipą naprawczą. Przyszedł Afroameryka-nin o wyglądzie przerośniętego buldoga, zabełkotał coś z rozbawieniem, wsadził sprzęty najnowszej generacji w stosowne urządzenia i awaria została usunięta.

Na osiedlu była jeszcze siłownia i basen oraz pralnia, do której wszyscy sąsiedzi wozili pranie samochodem, bo żaden szanujący się Amerykanin, nawet Afro-, nie będzie przecież dygował szmat tych trzydziestu metrów na piechotę.

A najlepsze przygody z cieciem miewał niejaki Bolek. Polak od dawna zadomowiony na obczyźnie, który pracował w tej samej firmie, co chłopcy. Tyle że już od lat paru. Bolek mówił po angielsku raczej fatalnie, z polskim akcentem tak wyraźnym, że aż karykaturalnym, ale wszystkich miał w zadku i nie zamierzał zmieniać przyzwyczajzeń. Niech tubylcy wysilą trochę mózgowicę zalane cholesterolem z hamburgerów. Bolek radośnie wydawał z siebie komunikaty w swoim własnym narzeczu, pewien, że i tak się jakoś dogada. No i dogadywał się. Jakoś. Na przykład tak: wkrótce po kolejnym pobycie na ojczyźnie łonie dopadła go trauma narodowa,

163

to znaczy również zatkał sobie kibel, tym razem swój własny. Nie-zrażony, zadzwonił do cecia, udzielił mu długich, dokładnych wyjaśnień i dogadał się tak, że przyszło dwóch Afro- i wymieniło mu bojler. Innym razem spalił sobie młynek przy zlewie - zreferował problem ceciovii i z rozbawieniem obserwował, jak tych samych dwóch z zapamiętaniem przetyka mu kibel, tym razem sprawny, ale co mu szkodziło. Dopiero jak panowie pogrzebali we wszystkich otworach, wziął ich za rączkę i zaprowadził do kuchni. Nie zrobili mu nic złego. Mogliby zostać posądzeni o nienawiść na tle rasowym, co w Stanach w obie strony grozi sprawą w sądzie, zakończoną większą grzywną niż proste uszkodzenie człowieka tej samej rasy. Gdyż Amerykanie straty moralne wyceniają wysoko. Biały białemu może stanąć na nodze w czasie jazdy metrem, rozpląszyć mu stopę i co najwyżej usłyszy frywolną propozycję „Fuck yourself”, nieco trudną do wykonania w metrze mimo najlepszych chęci. Biały czarnemu nie może. To może być przejaw nienawiści rasowej i jako taki grozi pozwaniem do sądu przez człowieka uszkodzonego w odnóża. Należy uważać, na kim się staje.

Bolek generalnie miał kasy jak lodu, czego zresztą nie było po nim widać, bo ubierał się z równą starannością, jak wymawiał angielskie słowa. Pewnego dnia rozkraczył się mu samochód. Bolek posłużył się słownictwem międzynarodowym, ale samochodu to nie naprawiło, więc machnął ręką na gruchota i postanowił kupić sobie nowy. Wziął chłopaków na stronę i zażądał asysty. Pojechali. Do największego w okolicy salonu samochodowego. Bolek pokreślił się trochę po placu, na którym stały rzędem hondy różnej maści i po chwili upatrzył sobie jednego ze sprzedawców.

- Ej, boy! - kiwnął na niego po Bolkowsku, czyli jak na kelnera w restauracji Dniepr. - Aj - łonttu - baj - sam - karr.

Sprzedawca zmierzył Bolka długim spojrzeniem i ruszył w stronę tanich, standardowych modeli.
- No, no, no - zaprotestował Bolek. - No dis łan. Zet łan. I pokazał na najdroższy model w salonie.
Sprzedawca przyjrzał mu się ponownie i zapytał podstępnie, w jaki sposób Bolek zechce zapłacić.
Bolek wzruszył ramionami.

- Aj hew sam karrds - powiedział. Pogrzebał chwilę po kieszeniach wyświechtanej kurteczki i wyjął obrzęchany portfelik,

164

a z niego plik kart, w większości platynowych. Gościowi szczęka obsunęła się w sposób widoczny.

- Wybierz sobie, kolego, i sprawdź, czy moje, jak musisz - powiedział mu Bolek po polsku, podsuwając karty oraz prawo jazdy.

Sprzedawca wybrał dwie i oddał się w kierunku biura. Powrócił po pewnym czasie, patrząc na Bolka z respektem. Widocznie zasięgnął informacji. Bolek był niezadowolony.

- Długo cię nie było - skrytykował pana, tym razem mniej więcej po angielsku. - Coś jesteś spowolniony dzisiaj, co? - zaprezentował znajomość trudniejszego słownictwa. - Co, pewnie poszalało się wczoraj? Alkohol, kobiety...

- Nie, nie - wystraszył się sprzedawca. - Kobiety nie.

- Nie? - zdziwił się Bolek i indagował dalej: - A czemu nie? A może ty chłopców lubisz, co?

-Nie! - Sprzedawca przeraził się jeszcze bardziej. - Nie, no skąd, nie lubię chłopców!

- Nie lubisz chłopców? - Bolek się skrzywił. - Patrzcie, on nie lubi chłopców! To jak ty z nami chcesz biznesy robić, jak ty nas nie lubisz? - zapytał surowo, a sprzedawca zgłupiał zupełnie i zaczął się tłumaczyć, że skąd, bardzo lubi...

- Sam nie wiesz, czego chcesz, koleś - uświadomił go Bolek. -To niedobre w biznesie.

I opuścił salon wraz ze swą asystą. Samochód kupił w salonie przyjaciela.

Tak więc kiedy któregoś dnia i ja przyjechałam do rajy na ziemi z basenem i zmywarką, chłopcy już bytowali w nim od trzech miesięcy i zaczęły im się objawiać absurdy systemu - ich entuzjazm nieco osłabł. Niemniej jednak żyło się nam wygodnie. Któregoś dnia szwagrostwo, też już w komplecie, bo dołączyła szwa-gierka z córeczką, postanowili wybrać się do kina. Potomstwo uśpili i polecili nam pilnować, więc zaplanowaliśmy sobie miły na-rzeczński wieczór na balkonie, choć może raczej to był taras, duży i przyjemny, z leżaczkami i roślinnością w doniczkach. Wieczór postanowiliśmy wykorzystać na degustację miejscowych piw, ponoć dość podłych, ale tym bardziej byliśmy ciekawi. Myknęliśmy jeszcze szybko do marketu, po owe piwa, poganiani telefonicznie przez szwagrostwo, chwyciliśmy pierwszy z brzegu sześciopak, ten

165

mój podał pani prawo jazdy, żeby pani mogła sobie spisać jego wiek, co jest niezbędną procedurą przy zakupie jakiegokolwiek alkoholu w tym kraju, nawet jeśli klient wygląda na lat dziewięćdziesiąt - to w końcu jego osobista sprawa, jak wygląda - pani i tak musi sprawdzić, czy jest letni czy nieletni, pani przyjęła, spisała co trzeba i wróciliśmy do domku, prosto na tarasik.

Siedzimy na tym tarasie, gwarzymy, opowiadamy sobie całe trzy miesiące przymusowej rozłąki, zapijamy opowieści tym piwem obficie, bo przed nami wciąż jeszcze tematy, których się nie da poruszyć na trzeźwo - oj, były takowe - więc pijemy to piwo, a tu nic. Trzeźwi-śmy oboje jak te noworodki. Narzekamy więc chórem, Polonia miała rację, miejscowe piwo nie umywa się do naszego; w końcu postanowiliśmy sprawdzić, ileż to ma procent. Mój narzeczony wziął butelkę w dłonie i kontempluje. Amerykanie umieszczają na etykietkach wszelkie możliwe informacje, więc zaraz się dowiemy. No i dowiedzieliśmy się. Mój narzeczony ze śmiechu padł twarzą w roślinność, bowiem na etykietce tuż pod nazwą trunku widniała jak byk adnotacja „NA". Non alcoholic.

Kupiliśmy sobie piwo bezalkoholowe. Dlaczego zatem pani przyczepiła się do wieku, tego do dziś nie rozumiemy. Może nie chciała wyrabiać w młodzieży niebezpiecznych nawyków. Srał ją pies, tyle że w stanie Georgia sklepy z alkoholem są czynne do dwudziestej drugiej, a ta właśnie minęła. Pewne tematy pozostały więc nieporuszone. Zrobiliśmy sobie herbatkę.

Po dwudziestej drugiej czynne są tylko knajpy, które w tym mieście zostały zgrupowane w stadzie. Dość daleko od naszego apartamentu, więc zawsze był dylemat, kto ma zostać trzeźwy, bo jednak trzeba było użyć samochodu. Taryfa na taką odległość to niezły majątek, metro do naszej

ekskluzywnej dzielnicy nie dojeżdżało, autobusy do centrum jeździły dwa dziennie i to w biały dzień. Ponoć tak było na wyraźne życzenie okolicznych mieszkańców, którzy nie życzyli sobie, aby docierał tu podgatunek człowieka, którego nie stać na własny samochód.

Raz poświęcił się Łosoś, zapakowaliśmy się zatem do jednego auta, jak rodzina z Meksyku, i pojechaliśmy zażywać zagranicznych rozrywek. Zaraz przy wejściu do upatrzonego lokalu zatrzymał nas ochroniarz, ogromny jak góra.

- Prawo jazdy - zażądał, zwracając się do mnie.

166

Stropiłam się, gdyż jak wspominałam, nie posiadałam takiego, poza tym nie przyjechałam tu jeździć, wręcz przeciwnie.

- Nie mam - odrzekłam zgodnie z prawdą. - Nie umiem prowadzić samochodu.

Ochroniarz obejrzał mnie dokładnie, jak cud natury, na przykład cielę o dwóch głowach.

- Prawo jazdy - powtórzył, jakby zdecydował jednak, że jaja sobie robię. - Nie mogę cię wpuścić, muszę znać twój wiek.

- A, wiek! - ucieszyłam się, bo już miałam wizję czekania pod knajpą na całą resztę, która miała przy sobie stosowny dokument. Na początku nie skojarzyłam, że wiek mogą sprawdzać już na wejściu. - A może być paszport? Nie jestem tutejsza.

- Aaaa... - zmiękł ochroniarz, po czym obejrzał sobie mój paszport wraz z datą urodzenia, którą wskazałam mu palcem. - Bardzo dziwny dokument. Skąd jesteście?

Wydawało mi się, że przed chwilą miał to w ręku, na piśmie, również po angielsku. Ale może dzisiaj też wolniej kojarzył.

~ Z Polski - odpowiedziałam szybko, bo bardzo chciałam wejść w końcu do knajpy.

- Z Polski. Polski - powtórzył ochroniarz i zmarszczył brwi. - Nie kojarzę. To gdzieś w Kentucky?

Wznieśliśmy zbiorowo oczy do nieba.

- Nie, to taki kraj. W Europie - wyjaśnił mu Łosoś, podtykając do obejrzenia prawa jazdy pozostałych osób.

Ochroniarz nadal uruchamiał oporne procesy myślowe.

- A, wiem! - ucieszył się. - Pamiętam! To w Rosji! Chociaż myślałem, że Rosja nie jest w Europie...

Nie chciało nam się bronić prawa naszego kraju do niepodległości ani wygłaszać panu wykładu z geografii. Perły przed wieprze. Weszliśmy bez słowa do środka, upychając dokumenty po kieszeniach. Zamówiliśmy po piwku, droższym niż sześciopak w pobliskim markecie. Łosoś, jako nasz szofer, dostał sok od firmy, co akurat jest miłym lokalnym zwyczajem. Kierowcy dostają napoje bezalkoholowe na koszt baru. Zwłaszcza jeśli przywożą wycieczki tak liczne, jak nasza.

Po czym zaczął się Wielki Tydzień, bo to była wiosna. Zaczął się z przytupem, bo to był rok El Nino, anomalii klimatycznych na oceanie i w jego bezpośrednich okolicach. W córeczce szwagrów,

167

lat dwa i pół, objawił się zniecka talent proroczy. Jechaliśmy sobie spokojnie do domu z kolejnego marketu, kiedy dziecko zniecka zaczęło nadawać prognozę pogody.

- Idzie buza - oświadczyło. - Boje buzy, idzie Pok.

Dziecko miało nieznaczny defekt wymowy i zamiast „sm” mówiło „p”, co szczególnie zabawnie wypadało, kiedy chciało zakomunikować otoczeniu, że ktoś lub coś śmierdzi.

- Jaki smok, kochanie? - zainteresowała się jej mama

- Nołmalny Pok, duży. Boimy Poka - oświadczyło dziecko z uporem. - Idzie buza, idzie Pok - powiedziało i zajęło się zabawką. Zlekceważyliśmy zbiorowo ostrzeżenie i dojechaliśmy do domu.

Wieczorem grałam z narzeczonym w karty, w coś w rodzaju brydża z dwoma dziadkami, nasz własny wynalazek, tym razem wzmacniając się odpowiednim piwem, niemieckim, bo do miejscowych zraziliśmy się nieco. W tle mruczało radio, które ignorowałam, bo język angielski wciąż miał przede mną swoje tajemnice. Mój narzeczony słuchał uważniej, bo przyzwyczyił się bardziej i wszystko rozumiał. Pogoda się psuła.

- He - odezwał się w którymś momencie emocjonującej rozgrywki. - Ale jaja. W sąsiednim county jest tornado warning.

- A co to? - spytałam nieuważnie, ponieważ szły mi trefle.

- Ostrzeżenie przed tornadem. Sęk w tym, że niedaleko, jakieś cztery kilometry od nas.
- O - powiedziałam i odłożyłam karty, gdyż w owym czasie uwielbiałam wydarzenia dramatyczne. Ale ostrzeżenie chyba znaczy, że może być, a nie musi, tak?

Narzeczony podkreślił radio i zaczęliśmy słuchać uważniej. Nie byłam pewna, czy dobrze rozumiem.

- No właśnie nie jestem pewien. Chyba jak może, a nie musi, to jest tornado watch, a jak jest warning to znaczy, że już leci ci na łeb - powiedział po chwili. - Oni tu mówią, żeby opuszczać samochody i kłaść się w rowie z rękami na głowie. Absurdalna porada. Nie wysiadałbym z samochodu za nic.

W tym momencie zgasło światło. Narzeczony przepelzł po omacku do skrzynki z korkami, ale te były w zupełnym porządku. Wychynęliśmy zatem na nasze salony, gdzie spotkaliśmy szwagierkę, lekko przestraszoną.

168

- Gdzie mój brat? - spytał krótko narzeczony, odsłaniając okno.

- Wyszedł na zewnątrz, filmować błyskawice - powiedziała szwagierka niepewnie. - Patrzcie jak świeci.

Zagapiliśmy się na błyski za oknem. Zupełnie jakby ktoś włączył zepsutą świetlówkę. Co pół sekundy. Nie było słycać grzmotów, tylko ten niesamowity blask. Dochodziła pierwsza w nocy.

- Ty, niech on lepiej wraca - powiedział mój narzeczony. -W sąsiedniej dzielnicy jest tornado warning. Pójdę po niego.

Wyszedł z mieszkania, a my ze szwagierką popatrzyłyśmy na siebie. Ale heca. Nigdy nie widziałam takiej dziwnej burzy.

Po chwili drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadli chłopcy, mokrzy jak szczury.

- Filmowałem - warczał szwagier, tuląc do piersi kamerę - a ten idiota mnie ciągnął za bluzę. Włókł mnie do domu i przez to będę miał krzywe zdjęcie.

W tej sekundzie uderzył wiatr. Staliśmy przy oknie, bardzo rozsądnie, chociaż na zewnątrz przestało być widać cokolwiek. Przesunęła się nad nami ściana wody, gęsta, jak gdyby ktoś polewał świat gigantycznym wiadrem. Nawet błyskawice przygasły na chwilę, a dom trzeszczał w szwach. Dziecko spało.

To trwało może dwie minuty. Nagle ściana wody znikła jak ucięta nożem, a za oknami znów zaczął siać normalny deszcz. I dalej błyskawice jak zepsuta świetlówka. Tylko krajobraz osiedla uległ pewnej zmianie.

- Co to jest? - zapytała szwagierka, wskazując na zalegające ulice ciemne kształty, których nie było tam pięć minut temu.

Wyjrzelśmy zbiorowo na świat, odważnie otwierając okno.

- Gałęzie - stwierdził szwagier po chwili. - Z drzew iglastych. Okiennice. I, cholera, chyba rynny. Jedna leży koło naszego auta!

Ubraliśmy się szybko i wyszliśmy z mieszkania. Faktycznie, wokół leżało mnóstwo gałęzi z, jak to precyzyjnie określił szwagier, drzew iglastych. Problem w tym, że nasze osiedle miało nie więcej niż dwa lata i nikt tu nie widział drzew iglastych. Ani w ogóle żadnych. Były tylko malutkie sadzonki, przy czym „były” okazało się właściwym określeniem, bo już ich nie było. A dokładnie: były, tylko już nie rosły. Dołączyły do ziela zalegającego ulice, połamane jak zapalki. Obejrzelśmy samochód, na szczęście nie ucierpiał,

169

choć potężna rynna leżała tuż obok. Rozglądaliśmy się wokół, odkrywając kolejne zmiany. Dookoła basenu leżały masywne metalowe leżaki, rozrzucone jak klocki. Jeden z nich wisiał na płocie, inny zalegał we wnętrzu basenu. Kilka wywiało za płot, na trawniki. W basenie moczyły się też okiennice. Jeden z domów koło nas postradał część dachu. Jeden po drugim pojawiali się na dworze okoliczni mieszkańcy i przecierali ślepią ze zdumieniem. Niechcący strzeliłam dowcip, pytając sąsiadów, czy tu często bywa podobna pogoda.

- Nie wiem - powiedziała niepewnie sąsiadka. - Mieszkam tu dopiero od sześciu lat i nigdy czegoś takiego nie było.

Później dowiedziałam się, że ostatnie tornado o podobnej sile przeszło przez Atlantę czterdzieści lat temu. To się nazywa mieć szczęście.

Zadzwoił telefon. Łososie.

- Słuchajcie, ale jaja, nie możemy wyjść z domu - zaraportował Łosoś. - Na naszym tarasie zasadziła się sosna.

Cholera. Ich dom stał na samym brzegu osiedla, w pobliżu starszego, obsadzonego sosnami jak nadmorski kurort. Fajnie to wyglądało - do wczoraj. Dziś wyglądało jak wiatrołom w Tatrach. Większość olbrzymich drzew ukrecona na wysokości metra jak patyczki, rozwalone domy, wiaty garażowe leżące na samochodach, które przekształciły się w model płaski.

Telefon. Kolejni znajomi.

- Co z wami? - pytamy, bo już do nas dotarło, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia co my. Nasze mieszkanie znajdowało się w samym środku osiedla, od strony osłoniętej przed wiatrem. Ich było na samym skraju, obok Łososiowego.

- Żyjemy, tyle że najedliśmy się strachu. Daga przesiedziała imprezę w łazience pod blatem, wedle zaleceń. Ale słyszeliśmy trzask walących się drzew, a teraz koło nas wciąż się ktoś wydziera - doniósł nam kumpel pospiesznie. - Nie wiemy, czy lecieć na pomoc, czy nie. Może przyjdźcie do nas wszyscy, wy jesteście po części służba zdrowia.

Owszem, byłam po części służba zdrowia, i szwagierka też, ale żadna nie miała szkolenia odnośnie tornado. Zasugerowaliśmy im wstępnie, żeby pomogli nam wypłatać Łososiów z choinek, bo tamci też chcieliby wyjść, a nie mogą. Zgodzili się. Podeszliśmy pod

170

dom Łososiów i szczęki nam opadły. Ich dom był przecięty równo w połowie, tam gdzie kiedyś była klatka schodowa. Teraz leżało tam drzewo z sąsiedniego osiedla. Na szczęście Łososie mieszkali na parterze i dało się do nich dostać przez okno.

- No i co teraz? - spyaliśmy, ładując się do środka po gałęziach, które uprzejmię utworzyły coś w rodzaju drabiny. Szwagierka popędziła do domu, gdyż zostało tam samo nieletnie potomstwo, co w Stanach jest karalne z urzędu. Łosoś wzruszył ramionami.

- Chyba nam przyjdzie poczekać na ciecia - powiedział, zapalając świece zapachowe, które kupił niedawno na cześć narzeczonej. - Siadajcie, bierzcie piwo, bo nie ma herbaty. Prąd nie działa. Pewnie, że nie działał. Pozrywało trakcje elektryczne w promieniu pięciu kilometrów. Za chwilę przez okno wlała Daga z małżonkiem, świecąc sobie laptopem.

- Przestało drzeć. Zasięgnęliśmy języka. Ponoć jakaś baba zastosowała się do zaleceń i wysiadła z samochodu. A potem wróciła i zobaczyła, co z samochodu zostało, o! - Marek, który niedawno zakupił sobie aparat cyfrowy, wtedy nowość na rynku (wartą połowę pensji), podetknął nam pod nos dokumentację fotograficzną.

Zrobiliśmy wdech oraz wydech, zbiorowo. Na zdjęciu widniał sporej wielkości samochód terenowy przecięty niemal zupełnie na pół sporą sosną.

- Aha - powiedział Łosoś i dolał sobie piwa. - Coś jak nasz domek. Ciekawe, czy będę musiał wychodzić przez okno do pracy.

Nie musiał. Po pierwsze dlatego, że firma, w której pracowali, również znalazła się na trasie tornado i ogłosiła nazajutrz dzień wolny, bo cóż mieliby robić informatycy bez prądu, a po drugie trzeba przyznać, w Stanach służby porządkowe działają zaskakująco sprawnie. Już na drugi dzień po drzewie nie było śladu, a ubytki w dachu zostały zasłonięte niebieskawą folią. Pół naszej dzielnicy zostało nią zasłonięte. Gorzej było z odblokowaniem okolicznych autostrad, na których tkwiły wymieszane ze sobą drzewa, pojazdy i słupy elektryczne. Ale i z tym poradzili sobie w niespełna dwie doby i nie musieliśmy już zapychać na kawę do McDonald'sa. Dzień po tornado był dniem historycznym: Amerykanie zostali zmuszeni do poruszania się na piechotę i wreszcie na zwyczajowe „co u ciebie” odpowiadali coś więcej niż „fajnie”. Wszyscy byli w szoku

171

i zachowywali się jak zwyczajni sąsiedzi, a nie klony z fabryki, z przyklepionym uśmiechem na pysku. Na przyległych osiedlach było sporo zniszczeń, zginęły też cztery osoby, było sporo rannych. Niewesoło. Z miejsca mi przeszło zapotrzebowanie na kataklizmy i dramaty.

Tornado było we wtorek, w środę biegaliśmy po okolicy, polując na ciepłe napoje, szwagierka klęła na brak gazu, bo dziecko domagało się parówek i kaszki, produktów podgrzewalnych, a tu prądu niet, ciepłej wody też niet, jako że woda ogrzewana była prądem. Umyłam bohaterko głowę w zimnej wodzie, bo tuż przed wyjazdem ostrzygłam się na bardzo wynędzniałego jeża, więc mi odpadał problem z suszeniem, wystarczyło przejechać ręcznikiem. Nie znalazłam chętnych do naśladowania, bo mój narzeczony oraz szwagierka mieli fryzury do ramion, a szwagier zaliczył kąpiel w deszczówce, filmując błyskawice, po czym dostałam kataru do pasa, bo pogoda była wciąż pod psem. Łosoś z Markiem oglądali zrujnowaną okolicę i mądrzyli się, że to są skutki miejscowego budownictwa - wszystko z kartonu i plastikowych sidingów, nic dziwnego, że rozleciało się jak domki z kart. Po czym tornado o podobnej sile przeszło przez Nasłmle, miejscowość oddaloną o pięćdziesiąt kilometrów, znacznie starszą i z porządnym budownictwem z cegieł. Budownictwo zamieniło się w stosy gruzu rzędem; do tego okazało się, że u nas śmiertelnych ofiar było cztery, a tam blisko czterdzieści, bo dostać w głowę kartonem a cegłą to jednak różnica. Nasi eksperci od architektury wreszcie zamknęli dzioby.

Nadchodziła Wielkanoc. Nie zamierzaliśmy robić zbyt wielkiej afery, bo po pierwsze, wszelką myśl o świętach wywiało z nas tornado, a po drugie, pierwszy raz w życiu mieliśmy okazję spędzić je spokojnie, bez starszyny i całej tej bieganiny piorąco-sprzątająco--gotującej, która obowiązywała nas w domach rodzinnych. Teraz będzie inaczej. Na luzie. Młodzieżowo. Poza tym kolega z firmy, tubylec, zaprosił nas na grilla w Wielką Sobotę. Jacy tradycyjni chrześcijanie w Wielką Sobotę robią grilla? Postanowiliśmy być nietradycyjni, jedynie pomalować kilka jajek w paski i kropki i rano poświęcić je w polskim kościele - głównie po to, żeby dziecko szwagrów miało uciechę. I na tym zakończyć celebrę religijną, bo

172

przecież kościół w sobotę to tak jak w niedzielę, a resztę niech gryzą robaki.

Po święceniu jajek - w szklanej misce, bo nie mieliśmy koszyczka - pojechaliśmy na grilla u tubylców.

I tu zaskoczenie. Tubylcy okazali się spokojni, rodzinni, na swój sposób religijni. Były, a jakże, hamburgery, ale też cisza, leniwe po-gaduchy, wspominki z zasmarkanego dzieciństwa.

I nagle, w drodze do domu, wzięło nas. My chcemy święta! Już, natychmiast, porządne tradycyjne święta, niedzielne śniadanie z dzieleniem się jajkiem, barszczem na stole i przyjaciółmi wokół tego stołu. Którzy przyjdą i oznajmią, stając na progu: „Chrystus z martwych powstał”, a my im powiemy: „Prawdziwie powstał”. Tak, jak drzewiej gadali gruba, siwa prababcia i wuj ze złotym zębem. Chcemy święta z półmiskami pełnymi żarcia, z chrzanem w kawałku i świąteczną wędliną. Z gromadną wyprawą na mszę do kościoła i powrotem na suty obiad.

Zawróciliśmy, późnym wieczorem, do najbliższego marketu. Pędząc po autostradzie na granicy dozwolonej prędkości, pojechaliśmy do specjalnego żydowskiego sklepu, w którym, jak donieśli nam znajomi, czasem bywał chrzan. Droższy niż krótkie spodenki, ale zawsze.

Do drugiej w nocy pilnowaliśmy ze szwagierka barszczu i układałyśmy roladki z wędliny, a chłopcy gotowali jajka w amerykańskiej cebuli. Jajka wypadły trochę blado, ale prawie, prawie.

Znajomi obiecali przybyć tłumnie i skonstruować świąteczne sałatki, bo im też się tradycja włączyła z nienacka. Jedyne odstępstwem na rzecz kraju, do którego przybyliśmy, było to, że na obiad upiekliśmy indyka, uporzecznie nazywanego przez Łososa tuńczykiem, bo mu się nazewnictwo z wrażenia mieszało.

I było tak, jak być miało. I fantastycznie nam było. Po czym nie zmieściłam się w spodnie kupione zaraz po przyjeździe, czyli raptem dwa tygodnie wcześniej. Ale kto by się tym przejmował.

Wracałam do domu z uczuciem, że nie był to zły wyjazd, więcej: że coś mi się tam odkręciło w pożądanym kierunku, ale nie chciałabym w Stanach pozostać na stałe. Mój narzeczony myślał podobnie i wrócił do kraju po kilku miesiącach, choć miał możliwość przedłużenia kontraktu. Z tej możliwości skorzystały Łososie i na-

173

wet chwałą sobie emigrację, choć zgodnie twierdzą, że to głupi kraj. Za to dużo jeżdżą po świecie, bo ich na to stać i mają tam różne promocje na cztery dni w Chinach i trzy w Honolulu. My za to

mamy kiszzone ogórki, chodniki, tramwaje i możemy chodzić do knajp na piechotę. Nawet codziennie. Co też czynimy. Moja starsza córka ma kontakt z babcią, ma też w przedszkolu mądre wychowawczynie, co w Stanach podobno się prawie nie zdarza i nikt mnie nie poda do sądu za zostawienie sześciolatki samej w domu, gdy potrzebuję wyskoczyć do sklepu po koperek do zupy.

Chłopcy w dniu swojego wyjazdu sprząтали apartament. Nazbierało im się sporo śmieci, tych jadalnych i niejadalnych, i te jadalne postanowili zmielić młynkiem do odpadów, tym w zlewie, żeby było ekologicznej. Na sam koniec zostało im tak ze dwa kilo mąki, kupionej niegdyś do panierowania kotletów. Szwagier niewiele myśląc wsywał mąkę do zlewu i odkręcił wodę; oczywiście zrobił ciasto i spalił młynek. Szkoda, że nie dodał jajek i drożdży, mogliby upiec drożdżówki na drogę, oczywiście po wydłubaniu ciasta ze zlewu. Nie odważyli się zawołać ciecica, nie chcieli słuchać wykładu na temat inteligencji różnych ras.

Tak więc przyjadą nasze zamerykanizowane Łososie. Z przyjemnością obejrzymy sobie wzajemnie stare, znajome mordy. I zobaczymy, jakich usterek narobią nam w domu wskutek różnic kulturowych. Już za jakieś dwa tygodnie.

Seniorita to ja

Blok z psychiatrii już minął, a ja dalej w książkach. Wciągnęło mnie, jak Miskę makaron. Bo moje dziecko przeszło na dietę makaronową, samo z siebie i nie wiedzieć czemu. Rano kluseczki z cynamonem. Po przedszkolu spaghetti i zupka pomidorowa z gwiazdkami. Na kolację wstążeczki z jabłkami, cukrem i śmietanką. I również z cynamonem. Albo kolanka z jogurcikiem.

Przetestowałyśmy już chyba wszystkie gatunki z pobliskiego placu, a bzik dalej trwa. Babcie się włączyły w zabawę i donoszą nam nowe rurki, domki i literki, a Misce po raz pierwszy w życiu rośnie brzuch. Za to nie trzeba jej wcale zmuszać do jedzenia, co też jest pewną

174

nowością. Bo do tej pory jedzenie zdecydowanie nie należało do ulubionych czynności mojej Starszej. Szkoda jej było czasu. Za to Młodsza to odkurzacz. Posadzona przy stole patrzy ludziom w zęby tak, że w gardle staje, nawet jeśli dostanie do łapki biszkopik, a do drugiej herbatniczek. Zajada, trzęsąc uszami i dalej się wga-pia. Czasem obok siadają koty i patrzą tak wszystkie trzy. Mają identyczny wyraz oczu.

A ja zaczytuję się psychiatrią i diagnozuję wszystkich jak leci, ze sobą na czele. Znalazłam sobie kilka zespołów, tych psychiatrycznych, a nie grających. Problem z tym, że częściowo wykluczają się wzajemnie i nie mogę się zdecydować, bo zdaje mi się, że mam wszystkie. Mojej matce też kilka znalazłam, dalszej rodzinie również - co mają być gorsi. Tylko mój mąż jest wciąż uporczywie normalny i nie ma go w literaturze. Dzieci też się nie czepiam, choć zastanawia mnie ten makaron. Ciekawe, kiedy mi przejdzie.

Gośka przygotowuje się do zabiegu. To znaczy inni ją przygotowują, bo ona nadal w zwisie prostym.

Magda przygotowuje się do przyjazdu Kazika i w ramach tych przygotowań wyskoczyła na noc do Warszawy, do Zygmunta. Sama sobie ubliża od głupich asekurantów. Bo oczywiście jak tylko Gośka zeszała jej z mózgowia, powrócił jej z nową siłą dylemat królewski. Więc pojechała go rozstrzygać.

Moja grupa wymyśliła mi ksywę. Nazywają mnie Seniorita - od seniora, ale nawet ładnie. Jednego gościa, który zaczynał z nami studia, choć miał pod czterdziestkę, nazywaliśmy po prostu Dziadkiem. W owym czasie wydawało mi się to szalenie dowcipne. Dziś, jakby któreś powiedziało mi „babciu”, powiesiłabym gówniarza na jego własnym stetoskopie. Albo bym zadzgała kradzionym skalpelem. Seniorita jest jeszcze do zniesienia. Kojarzy się z Meksykiem. A moje życie to meksyk, niekiedy.

Dziadek był w ogóle postacią kultową. Dzięki niemu moja grupa przeszła bezboleśnie dwa pierwsze lata, gdyż Dziadek miał dar ustawiania asystentów do pionu i przywracania rzeczom właściwych proporcji. Ułatwiał mu to fakt, że jako jedyny z nas płacił za studia i to sporo - było to jeszcze w czasach, gdy nie istniały osobne wieczorowe grupy i ci nieliczni, którzy przekroczyli już limit wiekowy, pozostały w spadku po komunizmie, mogli studiować z nami, lecz odpłatnie. Za

ciężką forszę. Więc Dziadek płacił, ale i wymagał.

175

Nie przyszedł na zajęcia? Nie przyszedł, bo nie mógł, nie będzie się tłumaczył, teraz chętnie nadrobi i koniec problemu. Asystent złości się i wydziera, bo nic nie rozumiemy? O, co to, to nie, asystent jest od wyjaśniania jak dupa od srania (cytuje dosłownie), od sprawdzania wiadomości i stawiania dwójek to będzie egzaminator. Co tu jest do darcia, anatomia nie pierze, proszę wrzucić na luz i wytłumaczyć grupie od początku. Nas też wychowywał, a jakże. Po raz setny nie przygotowałeś się zupełnie, nie wiesz nawet, jaki jest temat ćwiczeń? To idiota jesteś i czas marnujesz, idź lepiej do knajpy albo do domu, bawić się klockami Lego, tu są studia. Szanujmy swój czas i siebie wzajemnie. Jako jedyna grupa na roku nie mieliśmy komisyjnych kolokwium z anatomii, bo wszyscy zdawali za pierwszym bądź drugim razem i było w atmosferze coś takiego, że przychodziło nam to bez specjalnego trudu. Dziadek nie pozwalał nas zastraszyć. Z wieloma asystentami, ludźmi w jego wieku, przechodził na „ty”, oczywiście poza godzinami ćwiczeń, i chodził z nimi na wódkę, bo w przeciwieństwie do nas wiedział, że to zwykli ludzie, a nie kosmici z pejczykiem w dłoniach. Na trzecim roku odszedł z naszej grupy, bo utworzyli osobny kurs dla cudzoziemców, a Dziadek poza wszystkim był od wczesnej młodości obywatelem Zachodu. Zrobiło się nam smutniej, bo Dziadek dostarczał nam niejako przy okazji stałej bezinteresownej rozrywki. Uczył się po okolicznych knajpach i nosił wszędzie ze sobą plastikowy szkielet naturalnej wielkości, spakowany w neseser. Któregoś dnia zasiedliśmy większą grupką w restauracji, żeby powtórzyć sobie materiał tuż przed zaliczeniem. Dziadek wyjął z neseserka rozmaite piszczele i rozsiał po obrusie. Okolicznym klientom oczy stanęły w ślup, bo kości były wiernie odlane i z daleka wcale nie wyglądały na plastik. Nie minęło pięć minut, a przyszedł do nas kelner i zażądał, żebyśmy jednak wzięli szkielety ze stołu, bo tu ludzie jedzą. Dziadek się obruszył.

- To nie są szkielety, to zwyczajny plastik! - podetknął kelnerowi pod nos kość udową. Kelnera cofnęło. Dziadek wstał i pomachał rażno kręgosłupem.

- Przepraszam bardzo, czy komuś to przeszkadza? - zapytał uprzejmie donośnym głosem i pomachał dodatkowo kośćmi przedramienia, na których końcu klekotały dłonie. - Nie? No to w czym problem? - zwrócił się do kelnera, gdyż wszystkim odjęło mowę

176

i nikt nie zdążył zgłosić protestu. - Niech pan nam nie przeszkadza, bo potem wyrosną z nas niedouczeni lekarze. Jakby ktoś protestował, proszę mu dać wódki. Na mój koszt. To pomaga. Z góry dziękuję - tu skłonił się pięknie dodatkowym kręgosłupem i wrócił do notatek. Kelner pomruczał pod nosem i odszedł, oglądając się przez ramię na Dziadka, który właśnie wyjmował zuchwę z zawiasów, gdyż chciał akurat teraz pokazać nam otwory, przez które przechodzą nerwy i naczynia krwionośne.

A kelner więcej do nas nie podszedł. Towarzystwo przy sąsiednich stolikach skonsumowało swój obiad spokojnie, acz nieco pospiesznie, i wyszło, a my uczyniliśmy w wiedzy następny krok. Dziadek, obywatel Zachodu, czynił wiele dla dobra integracji europejskiej w skali mikro, czyli zwykle miewał dziewczyny ze Wschodu, których świeży transport właśnie zasilił szeregi naszej uczelni. Z jedną z nich zapoznawał kiedyś naszego kolegę, co też wymaga osobnej dygresji. To znaczy dygresji wymaga kolega, który był postacią specyficzną. Akurat wraz z przyjacielem odkryli cudowny świat ziela zwanego pospolicie trawą i używali go dla zwiększenia swej wrażliwości na kulturę, bo w końcu nie były z nich jakieś buraki. Maniacko chodzili wieczorem do kina, uprzednio pobudziwszy receptory ziele. Siadali w pierwszym rzędzie i oglądali filmy jak leci. Wszystkie były zajebiste. A najlepszy moment to był ten, w którym rozsuwała się kurtyna, odsłaniając ekran. Szał i ekstaza. Po kolejnym wieczorze kinowym następnego dnia stawiali się dzielnie na zajęcia, nieco tylko przybladli, natomiast objawiła się w nich lekka mania prześladowcza i podejrzliwość w stosunku do świata. Co było zapewne bezpośrednim skutkiem nadużycia trawy, a nie kinematografii.

Tegoż to właśnie kolegę - nazywali go Głodny wskutek niejakich skojarzeń z nazwiskiem, jak to bywa często wśród braci studenckiej - spotkał na ulicy Dziadek z dziewczyną. Nadia jej było na imię, a pochodziła z Buga. Głodny miał wzrok rozbiegany i krok Jamesa Bonda w ciemnej

ulicze. Słońce świeciło wręcz natarczywie. Dziadek lubił Głodnego i postanowił mu się pochwalić najnowszym nabytkiem.

- Poznajcie się - powiedział, ogarniając oboje gestem kordialnym. - To jest mój kolega z roku, a to moja dziewczyna.

- Cześć - powiedział kolega tonem przygaszonym. - Jestem Głodny.

177

Nadia stropiła się, lecz włączył jej się instynkt słowiańskiej kobiety i otworzyła torbę.

- Wiesz, mam tu jakieś banany... - powiedziała zyczliwie. Dziadek umarł ze śmiechu, a Głodny zajarzył z pewnym opóźnieniem.

- A, nie - uśmiechnął się. - Nie potrzebuję nic jeść, tylko tak mnie nazywają. Głodny.

Nadia zrozumiała i też parsknęła.

- A, rozumiem - przestała szarpać się z torbą i wyciągnęła rękę. - Nadieżda.

Głodny przeraził się i wykonał ruch, jakby chciał schować się za kioskiem.

- Kto nadjeżdża? - spytał w popłochu, a oczy mu załatały. -Gdzie?

Dziadek umarł ze śmiechu po raz drugi. Nadia również.

- Nikt nie nadjeżdża, tylko ja mam tak na imię - wyjaśniła, chichocząc. - Nadia, Nadieżda. Z Ukrainy. A tośmy się poznali...

Głodny w końcu zrozumiał i również się ubawił, a następnie wszyscy poszli na wódkę, solidarnie olewając wykład z biofizyki.

A teraz oni już dawno pracują w zawodzie, a ja zdobywam pomału kolejne zaliczenia. Opuścił mi nawet doktor H. - za szóstym razem - dlatego mogłam pójść wreszcie i dostać tę piątkę u profesora, wyuczona jak szatan na potrzeby doktora. Opuściłam bramy wiadomej kliniki już definitywnie. W sumie to szkoda, bo mogłabym spytać kogoś o moje zespoły, ale z własnej woli nie wrócę tam za nic. Na razie wolę psychiatrów jako asystentów.

A propos ksywek i pseudonimów. Anka ma skłonność do nadawania nazw własnych, jak biblijny Adam. Ma też na swoim oddziale liczne ciekawe egzemplarze męskie, bo to chirurgia. Oprócz doktora B., na którego nawet jej brak określenia, jest tam też inny doktor, którego z uwagi na zespół zachowań dość typowych dla chirurgów Anka ochrzciła doktorem Lubieźnym. Używamy tego określenia dość często, bo doktor Lubieźny jest ciekawą postacią i jest o czym mówić. Doktor dał Ance swój numer komórki już dawno, krąży wokół niej jak sęp i czasami próbuje ją zabrać na kawę. Anka się na razie nie daje. Ale numer sobie zapisała, bo zawsze może się przydać.

Któregoś dnia doktorowi zaginął telefon. Szukał go wytrwale, pełzając po dyżurce i włączając pod stoły, po czym wpadł na myśl, że

178

przecież może do siebie zadzwonić. Anka niewiele myśląc dała mu swój aparat, zainteresowana, aby doktor przestał wreszcie krążyć wokół jej kolan i łydek. Doktor przycupnął u jej stóp, przyjął telefon i wystukał swój numer. Po czym, jako że numer był już zapisany w książce adresowej, na ekraniku ukazał się napis: Dzwoni do: Dr Lubieźny. Doktor osłupiał tak, że nawet nie rzucił się za kanapę, skąd odezwała się jego komórka, a Anka zmieniła kolor na czerwony. Teraz doktor chichocze i zaprasza na wódkę. Uznał, cholernik, trafność przewiska i postanowił wstecznie na nie zasłużyć...

-

W jednym kierunku

Moja Miśka przeżywa jakiś kryzys. Niby nic, niby wszystko po staremu - rano do przedszkola, w domu umiarkowanie grzeczna, u babci wyprawia brewerie i robi z siebie księżniczkę na piedestale - ale tego wszystkiego jest jakby więcej. Więcej wrzasku o byle co, więcej próśb w stylu „pokarm mnie”, „zdejmij mi buciki”, chociaż rączki ma sprawne jak dawniej. Pani w przedszkolu wzięła mnie na dywanik i pożaliła się, że nie może z moją córką nawiązać kontaktu. Misia, dawniej szalenie zdyscyplinowana, teraz wydaje się przebywać w zupełnie innym świecie. Nie reaguje na polecenia, nie może na czas pokolorować najprostszego obrazka, złości się i płacze o byle co. Nagle zaczęła bać się ciemności. Nie chce zasypiać w swoim pokoiku, nawet przy małej lampce, włączonej do kontaktu. Złości się na Malwinę. Krzyczy, że mała jest nieznośna. Choć nie jest i

dawniej wcale jej obecność Misce nie przeszkadzała. Zapytała, czy nie możemy odnieść małej z powrotem do szpitala albo oddać komuś, kto nie może mieć dzieci. Swoją drogą, skąd pięciolatka wychowywana bez telewizora wie, że są ludzie, którzy nie mogą mieć dzieci? Najlepsze jest to, że ja sama, zabiegana i zdenerwowana, często nie reaguję w najwłaściwszy sposób. Młoda mnie wkurza. Powiedziałam jej ostatnio, że jest głupia jak paprotka. Jak wraca od dziadków, gdzie funkcjonuje na prawach udzielnej księżniczki, dostaję amoku. Ja. Złoszczę się na nią tak, że wióry lecą, bo sama nie mogę się z nią dogadać. Nie chcę, ale samo mi tak wychodzi. Przy tej okazji rozgrzeszyłam pośmiertnie mojego ojca, który,

179

zapewne również niechcący, zafundował mi potwornie stresujące dzieciństwo, gdyż był człowiekiem bardzo wybuchowym. Też zaczynam być taka, kiedy Młoda wraca od dziadków. A mój ojciec miał jeszcze gorzej, bo dziadkowie wychowywali mnie, jak chcieli, przez całe pięć lat i dopiero w zerówce wróciłam do rodziców. I to nie do końca, bo babcia czuwała - przyjeżdżała często i zabierała mnie na ferie i wakacje, w zasadzie aż do liceum. Fundowała mi buty i kurtki, rozmaite atrakcje i szkolne wyprawki. Dla rodziców była to na pewno ulga i wygoda. Ale też niezła trauma. Jeśli wracałam od babci ze skazą w charakterze podobną jak Miśka -przywyczajona do obsługi w nieograniczonym zakresie, to już się nie dziwię, że mojego ojca trafiał szlag. W dodatku babcia stawała zawsze w obronie ukochanej wnusi. I miała argument, który zamykał ojcu usta: „Co, przez pięć lat podobały się moje metody wychowawcze, a teraz się nie podobają?” - pytała cierpko. I to wystarczało.

Ech, plusy i minusy korzystania z pomocy rodzinki.

Brakuje mi trochę pomysłów na Miskę. Absorbuję mnie Gośka, Magda, studia i katarę Malwinki. Na Miskę po prostu brakuje mi czasu; dodatkowo drażni mnie to, że wymaga tego czasu akurat teraz. Najłatwiejszy i najprostszy jest wariant siłowy. Wyśmiać, na-wrzeszczę i w ten sposób przywrócić do pionu. Za tym wszystkim stoi ogromna bezradność; teraz to wiem. Tylko co mi z tego? W życiu nie myślałam, że sięgnę po podobne metody. Przez tych kilka lat hodowania Miśki byłam szalenie dumna z tego, że moje dziecko mnie nie denerwuje. Że mam z nią kontakt spokojny i rzetelny, że wszystko załatwiam łagodnością i rzeczową rozmową. Że przerwałam pasmo wrzasków i przemocy, odwieczne przekleństwo mojej rodziny. Potrafię inaczej. Ha. Do czasu. Wyczuwam porażkę, tylko nie wiem dokładnie jaką. Czy przez łagodność i ustępowanie wyhodowałam młodą despotkę, która włazi mi na głowę? I teraz nie ma wyjścia, tylko trzeba skrócić postronki i udowodnić Młodej, że nie jest królową? Czy porażką jest to, że przy pierwszych próbach ustalania granic, budzenia się świadomości na wyższym poziomie rezygnuję z łagodności i sięgam do pudełka z dobrze znanymi, przetestowanymi na własnej skórze metodami starszego pokolenia? Metodami, od których odżegnywałam się nie tak dawno wszelkimi siłami? Czyli podniesiony głos, szarpnięcie, złośliwość?

180

A taka byłam z siebie dumna, taka pewna, że da się wychowywać dziecko bez tych wszystkich kwiatków...

Przyszłam do szpitala i smęcę Gosi nad uchem, bo komu mam smęcić? Gosia, powoli wracająca do świata, słucha uważnie.

- Wiesz, pamiętam, jak Andrzejek, miał wtedy pięć lat z kawałkiem, ubrał fachowo bliźniaki, które miały nieco ponad rok. Czapeczki, szaliczki, kurteczki, nic to, że w samych rajstopkach, i wylazł na krzesło, żeby odsunąć zasuwkę. Szuranie krzesła zwróciło moją uwagę, bo robiłam coś w kuchni. Zastałam w przedpokoju całą trójkę gotową do wyjścia. „Gdzie się wybieracie?” - zapytałam Andrzeja. „Idę odprowadzić bliźniaki do domu dziecka - powiedział Andrzejek spokojnie. - One za bardzo nas męczą”.

Tak więc, jak widzisz, on nawet nie pytał. Wziął inicjatywę w swoje ręce. Też wcześniej był w miarę grzeczny i spokojny, nie bił ich, nie krzyczał, nie sikał mi w majtki, co podobno też się zdarza, taki regres u starszego dziecka. Tylko nagle postanowił, że już dosyć tego dobrego. Porozmawiałam z nim wtedy poważnie i okazało się, że jednak ma do nas liczne pretensje, tylko o nich nie mówił. Czuje się zaniedbany i opuszczony, a jego ulubiona koleżanka w przedszkolu

powiedziała mu, że jest brzydki i brzydko rysuje. Uczepiłam się tego i zaczęliśmy, wieczorami, wspólne rysowanie. Usypiałam bliźniaki i siedziałam z nim w kuchni, rysując, wycinając i lepiąc z plasteliny. To wystarczyło. Chodził spać po dziesiątej i odprowadzałam go do przedszkola dobrze po śniadaniu, ale mieliśmy dla siebie dwie święte godziny. Przez dobry rok, może dłużej.

Kupowałam mu różne książeczki z ćwiczeniami i wciągnęło go tak, że do dziś mu zostało.

Pamiętam, jak w zerówce zaczął analizować albumy z malarstwem, sama mu pokazałam, bo on tak śmiesznie rysował postacie, trochę jak Miro, i chciałam mu udowodnić, że ma prawo do własnego stylu i że może to być piękne i wartościowe. Więc oglądał albumy i odrysowywał, co się dało.

- I teraz jest najbardziej utalentowanym plastycznie smarkaczem, jakiego znam - roześmiałam się. - Dzięki, nie znałam tej historii. Myślałam, że zawsze tak pięknie rysował.

- Żeby było śmieszniej, to w pewnym sensie zawsze, tyle że było to odmienne od rysunków innych dzieci. A on chciałby być jednocześnie i wyjątkowy, i taki sam jak inni. Musiałam mu tylko to uporządkować, pokazać, że to się nie wyklucza, że można się na-

181

uczyc rysować jak wszyscy, a nawet staranniej, i mieć możliwość malowania po swojemu.

Pokazałam mu, jak wierne i realistyczne obrazy potrafił stworzyć Picasso obok tych swoich dziwolągów. Wiesz, nie zastanawiaj się, co oznaczają poszczególne wybryki twojej Miśki i dlaczego reagujesz tak, a nie inaczej. Będiesz to roztrząsać i roztrząsać, jak gnój widłami, i do niczego mądrego nie dojdiesz. Najpierw znajdź coś, co mogłybyście robić tylko we dwie, coś wyjątkowego, a potem rób to konsekwentnie. I zobacz, co się będzie działo.

Więc dzisiaj wzięłam głęboki wdech, zlekceważyłam imprezę w Banasiu, chociaż możliwe, że to jedna z ostatnich, bo Magda ostro szuka pracy w Warszawie, i lepimy z Miską koty z masy solnej. Obiecałam jej to już dawno, dawno temu. Mają ozdobić pasek na ścianie w jej pokoju.

Rozmawiamy leniwie i już wiem więcej, niż godzinę temu. Wiem o Marysi, która jest niegrzeczna i każe Misce robić różne brzydkie rzeczy, i Miśka musi jej słuchać, bo Marysia jest starsza. O rok. A przecież trzeba słuchać starszych. Więc Miśka musi słuchać, chociaż wcale nie chce.

Wiem też, że Malwinka zniszczyła jej obraz, ten z ptakami, a to był najukochańszy obraz w Miśki życiu i dlatego Miśka jej teraz nie lubi. Ciekawe, że taka informacja, przyjęta w przelocie, wzbudziłaby tylko moją irytację i co najwyżej warknęłabym krótko, żeby nie była głupia i nie robiła problemu z bzdury bez znaczenia. Teraz, w ciszy naszej naprędce zorganizowanej pracowni w pustym pokoju na górze, można się nad tym spokojnie zastanowić.

Opowiadam Misce o tym, co wyprawiała, jak była malutka. Jak wstała raniutko, nikogo nie budząc, wypełzła z łóżka i zabrała się za wybebeszanie kaset magnetofonowych. Jak wstaliśmy wreszcie, a na środku pokoju ruszał się gigantyczny zwój brązowych tasiemek, z którego wystawały rączki i nóżki. Nie miałam pojęcia, że cztery kasety mogą zawierać tyle metrów taśmy. Teraz mam.

Mówiłam jej, jak zawzięła się na gniazdko telefoniczne w przedpokoju i kiedy tylko na chwilę spuściłam ją z oka, wędrowała wprost do niego i wyrwała ze ściany, po czym próbowała wydłubać kolorowe kabelki. Wytłumaczyłam, że nie jest to najwłaściwsze postępowanie. Miśka przyjęła do wiadomości i nawet zaczęła wyręczać mnie w udzielaniu pouczeń jej samej. „Nu, nu, nu” - mó-

182

wiła, pełznąć w stronę gniazdka. Niekiedy zatrzymywała się po drodze i groziła sobie palcem. „Nu, nu, nu!” - powtarzała. Po czym najspokojniej podpełzała do gniazdka i wystawiała kabelki na świeże powietrze, nie przestając krytykować swego zachowania. „Be! - powtarzała, przystępując do gmerania w kabelkach. - Nu, nu”. I potrząsała groźnie wyciągniętym paluszkami, patrząc na mnie wyzywająco.

Kiedyś otworzyła szafkę pod zlewem, wyjęła z kosza puszkę po sardynkach i nasadziła sobie na głowę. Kiedy indziej umalowała się moją szminką i oglądała się w piekarniku, bardzo zadowolona. Albo ogoliła się wprawdzie żyletką wujaszka, którą, idiota, pozostawił na dolnej półce w łazience. Raz przepelzła do kibelka, gdzie leżał na gazetniku papier toaletowy i zrobiła nam ze srajtaśmy jesień średniowiecza. Małe białe skraweczki były potem wszędzie. Z upodobaniem wyżerała kotom żarcie z miski, w związku z czym w naszym domu koty przez dobry rok jadały ze stołu; zjadła mi kwitek od płaszcza, przez co miałam problem z odzyskaniem odzieży zimowej z pralni.

Miśka zaśmiewała się serdecznie, słuchając tych opowieści, a ja uświadomiłam sobie, jak rzadko ostatnio słuchałam jej śmiechu.

Upiekłyśmy koty, całe osiemnaście, i jutro będziemy je malować. Miśka poszła spać dość późno, ale bez protestów i wydziwiania, choć oczywiście w naszym wspólnym łóżu i pozwoliłam jej zostawić światło w łazience.

Jakoś przestało mi to urastać do rangi wychowawczej porażki. Przyniosę Goście czekoladę z orzechami, tę niemiecką, którą tak lubi. Czasem warto słuchać starszych, nawet odrobinę. Choć nie tyczy się to raczej Marysi z przedszkola i mam nadzieję, że udało mi się to Misce uświadomić.

Koncert znanego zespołu

...

W Banasiu odbył się koncert Znanego Zespołu. Bilety szły jak woda, Mietek nieco z nimi przesadził i na dole ludność stała sobie na głowach, upchana w sali koncertowej jak solone śledzie. Czekali na Gwiazdę i nawet nie zgrzytali jeszcze zębami. Znany Zespół się spóźnił, jakżeby inaczej, i rozpoczął imprezę od posiadowy przy

183

barze, podczas kiedy publika leżała im na plecach i posapywała niecierpliwie. W związku z czym Gwiazdor postanowił się znieczulić przed wielkim występem, gdyż atmosfera była jakby gęsta. Znieczulał się, znieczulał, po czym nagle znikł.

- Wyszedł - zaraportował Magdzie przejęty Gibelec, który jako jedyny zauważył, że Gwiazdor podążył na górę, skorzystał z toalety dla personelu, po czym, zamiast zejść na dół i rozpocząć występ, chwiejnym krokiem opuścił Banasia. Tym prostym sposobem zwinął się z pola widzenia zarówno publice, jak i kolegom z zespołu (czyli Zespołu). Brak Gwiazdy został zauważony dość szybko.

Ludność na dole zaczęła się burzyć. Załoga zamknęła się w schowku na szczotki.

- Rany boskie - jęknęła Magda. - I co my zrobimy? Ja stąd nie wychodzę.

- Spoko, bez paniki - niejaki Plaża, kierownik artystyczny z do-skoku, organizator nieszczęsnego koncertu, starał się mimo wszystko nie tracić rezonu, choć również ulokował się w schowku na szczotki. - Ja go trochę znam. Pójdzie do innej knajpy, wyjmie portfel i zobaczy, że nie ma w nim kasy. Zorientuje się po tym, że jeszcze dziś nie grał i wróci. Zobaczycie.

- Byle szybko - mruknęła Magda, której drętwiał tyłek od siedzenia na wiadrach. - Zanim szanowna publiczność zdemoluje nam lokal. Gibelec, idź ich uspokoić.

- Ja? - przeraził się Gibelec i naciągnął берет. - Niech idzie Plaża, to jego impreza.

Plaża zebrał się w sobie i poszedł w tłum dziki. Wrócił po pięciu minutach. Nawet w całości.

- Byłem i tłumaczyłem. Na razie się śmieją. A reszta zespołu opróżnia wam bufet. Gitarzysta ma czkawkę. Na wypijanie nam zasobów pozwoliłem, bo co miałem zrobić. Trzeba jakoś ich tu zatrzymać, bo jak się po mieście rozleją, to w życiu ich wszystkich nie połapiemy. No co?

Magda zmierzyła Plażę złym spojrzeniem i ulokowała się na nieco większym wiadrze.

- A może byś poszedł go szukać, co? - zaproponowała. Plaża popatrzył na zegarek.

- Dajmy mu jeszcze kwadrans, potem pójdę. Magda wyrzała ze schowka.

184

- Wszyscy się rozłążą. Cholera, niedobrze.

Za barem Mietek dzielnie odpierał ataki i odpowiadał na głupie pytania. W końcu na dole rozległ się ryk tryumfu.

- Wrócił! - zaraportował zdyszany Gibelec. - Jesteśmy uratowani!

- Mówiłem? Mówiłem? - dumny z siebie Plaża aż podskakiwał. - Mówiłem, że wróci!

Magda rozmasowała bolące pośladki.

- Okej, to idziemy podziwiać występy.

Znany Gwiazdor ryczał na dole, domagając się Plaży, wódki oraz wygodnego krzesła. Plaża przedarł się przez podeksycytowaną tłuszcze, pozwolił sobą pomiatać przez chwilę i dostarczył co trzeba. Gwiazdor zwiśł przy stoliku, podparł się jedną ręką i zabełkotał coś do mikrofonu.

Publiczność szalała. Muza ruszyła i Gwiazdor zaczął bełkotać mniej więcej rytmicznie, acz nadal niezrozumiale. Fanom to nie przeszkadzało, teksty znali na pamięć lepiej niż ich autor, któremu się

nico mieszały ze sobą. Ale było cudownie. Znany Artysta przerywał czasem występ ni w pięć, ni w dziesięć i, nieco wyraźniej, ubliżał publiczności i światu w ogóle, co zgromadzeni przyjmowali z zachwytem. W pewnym momencie występ znudził mu się ostatecznie.

- A teraz, proszę państwa, będą kawałki instrumentalne! - zapowiedział i odłożył mikrofon, zastępując go flaszką. Zaraz potem koncert znudził się także basiście, który z impetem kopnął skrzynkę elektryczną, co spowodowało wywalenie korków w całym klubie. Publiczność wpadła w szal radości, Magda rzuciła się do schowka na szczotki, ale Plaża wraz z Mietkiem opanowali sytuację. Prąd się znalazł po chwili, zaginął natomiast gitarzysta. Plaża i tym razem nie stracił głowy - przeleciał się po kątach, wyciągnął gitarzystę z objęć wielbicielki i koncert potrwał jeszcze przez czas jakiś. Potem Znany Artysta znów wszystkim naubliżał, a cappella, bo zespół się związał, i przywalił w mordę jednemu koleśowi, który, jego zdaniem, nie patrzył z szacunkiem na swą towarzyszkę. Wszyscy byli zachwyceni.

- O w mordę, czy oni zawsze tak? - jęknęła Magda, nadzorując uprzątanie kabli.

- Zawsze, zawsze. I o to właśnie chodzi - powiedział usatysfakcjonowany Plaża, sprawdzając jak przeżyła skrzynka elektryczna.

185

- Po to się chodzi na ich koncerty. Zobaczyć, czy będzie zadyma i o co tym razem. Nie wiedziałaś?

- Nie, i dzięki, że mnie uprzedziłeś - warknęła Magda. - Nie znam się na megagwiazdach. I chyba nie chcę się zbyt poznać. Wolę już naszą młodzież metaliczną, tę, co rozkłada się jej dwunastnica. Nie kopią mi sprzętu. Rozkładają się sami, we własnym zakresie. I tylko ściany po nich śmierdzą przez tydzień, bo szkoda im czasu na mycie swoich i tak zagrożonych uniecznieniem organów. Ale nie muszę się chować po schowkach na szczotki. Następnym razem, jak będziesz chciał zorganizować jakiś większy koncert, to uprzedź mnie, proszę, wyraźnie.

Poproszę Ankę, żeby wypisała mi jakieś relanium. Albo L4 i wtedy bawcie się, jak chcecie.

- Było zajebiście! - zapiszczało jakieś dziewczę, rzucając się Plażowi na szyję. Plaża pokiwał głową wraz z dziewczęciem. Magda westchnęła i poszła za bar, liczyć spustoszenia w asortymencie, jakich dokonał znany wszystkim zespół, ze szczególnym uwzględnieniem pana gitarzysty.

Świt w pewnej dzielnicy

Wyszłam z imprezy o szóstej rano, znużona gwarem, wrzaskiem, tańcem i alkoholem, którego zresztą, w przeciwieństwie do reszty towarzystwa, wyjątkowo nie nadużyłam. Nagle, w połowie tej dziwnej nocy, na którą przecież długo czekałam - wciąż z uwagi na Baby rzadko mi się trafia impreza do rana - dopadło mnie uczucie wszechogarniającego bezsensu. Puste, jałowe godziny. Przeplływający bez celu czas, splukiwany kolejnym drinkiem. Co ja tu robię?

Zostawiłam na dole rozbawionych znajomych i uciekłam, zresztą na tym etapie i tak nie zauważają mojej nieobecności, a jeśli nawet, to niewiele ich to obejdzie. Odmeldowałam się jedynie Magdzie, siedzącej przy barze i wlewającej w siebie z ponurą determinacją kolejne tequila, jakby jutro miał skończyć się świat. Klasyczne zalewanie robaka.

Wzruszyła ramionami i pokiwała ciężko głową.

- Zamów sobie taryfę - zaproponowała i westchnęła ciężko. - Ja już nie mam głowy...

186

Zostawiłam bezgłową Magdę na pastwę kaca i dylematów moralnych i na złość wszystkim nie zamówiłam taksówki. Wyszłam przed knajpę. Wstawał mokry, szary świt.

Nagle poczułam, że nie chcę tak od razu wracać. Chcę pobyć chwilę sama, naprawdę sama, bez dzieci, męża, ale też bez hałaśliwego tłumu. Pomilczeć, pomyśleć, może pójść na spacer.

Jestem coraz starsza i coraz dziwniejsza - pomyślałam na dobry początek. I strasznie zatęskniłam za licealnymi czasami, włóczęgami bez celu po mieście, wypadami w góry, za gitarą i ogniskiem, poezją Stachury i pierwszymi płytami Turnaua.

„Wtedy było, proszę pani, takie niebo ponad nami...” I gdzie ono jest? Było. Szare i zamglone.

Ulice najmodniejszej dzielnicy Krakowa były puste i obce. Zza zakrętu dobiegł śpiew i granie na bębnach. Uśmiechnęłam się. Normalka.

W jednej z odwiecznych w tym miejscu knajp kończyła się właśnie impreza. Barman próbował rozgonić rozbawione towarzystwo i zamknąć lokal. Uzyskał tyle, że goście gromadnie wylegli na

zewnątrz, ale zamiast rozejść się do swych domostw, obiegli pobliski chodnik i kontynuowali zabawę. Barman, ziewając rozpaczliwie, szarpał się z drzwiami.

Wysoki, szczupły chłopak w kolorowym berecie rozsiadł się wprost na ziemi i grał na bębenu, cicho, lecz melodyjnie, jego palce poruszały się tak szybko, że niemal niedostrzegalnie. Śpiewał. Melodia była dzika i porywająca, słowa kompletnie niezrozumiałe, i dłuższą chwilę zajęło mi zrozumienie, że chłopak śpiewa w języku, którego nigdy nie słyszałam.

Długonoga bosa dziewczyna o wspaniale okrągłych kształtach zaczęła tańczyć na ulicy; jej długie czarne włosy poruszały się wolnym rytmem, czerwona spódnica falowała miękko, wszystko razem było piękne. Na chodniku przysiadło już ze dwadzieścia osób, dołączali następni, wynurzając się z kolejnych lokali. Minęła szósta, otworzył się pobliski sklep, ktoś skoczył po piwo i puszki zaczęły krążyć wśród słuchaczy. Chłopak grał, dziewczyna tańczyła, dwoje młodych ludzi zerwało się z miejsca, wyjęli z plecaków tajemniczy sprzęt i za chwilę wirowali oboje, otoczeni płonącymi kulami, które

187

zataczały w szarym półmroku kręgi i pierścienie. Ktoś westchnął. Ktoś wyjął ustną harmonijkę i podjął melodię bębniarza.

Czysta magia.

Posiedziałam z nimi chwilę, potem wstałam i ruszyłam w kierunku placu.

Przez dłuższą chwilę stałam bez ruchu, nie rozumiejąc, co widzę. Założyłam, że plac będzie pusty, nie licząc paru stałych bywalców, kończących ostatnie flaszki na straganach. Tymczasem plac był wręcz zatłoczony.

Wypełniał go tłum identycznych facetów. Wszyscy mieli pod sześćdziesiątkę, podobne szarobure kurtki i jednakowe filcowe berety.

Wszyscy, jak Boga kocham!

Przez chwilę wydawało mi się, że śnię, bo na delirium byłam stanowczo za trzeźwa.

Potem zobaczyłam klatki. Dziesiątki odrapanych metalowych klatek - były wszędzie: na straganach, w dłoniach facetów, część stała na ulicy, w przejściach między straganami.

Niektórzy mężczyźni zamiast klatek trzymali w rękach ogromne papierowe torby.

W klatkach były ptaki. Najczęściej gołębie, ale w jednej dostrzegłam też pawia. Niektóre gołębie wyglądały dziwnie: długie, łysawe szyje, niżej nastroszone białe kołnierze z piór. Inne miały jakieś białe narośle, jakby narobiły sobie wzajemnie na dzioby. Jeszcze inne wyglądały zupełnie normalnie, jakby przed chwilą ktoś wyłapał je spod pomnika Mickiewicza i powsadzał do klatek. Zaintrygowały mnie papierowe torby - co też może w nich być? Ściółka? Żarcie dla ptaków?

Okazało się, że w torbach również były gołębie - szare, nastroszone kuleczki, stłoczone po kilka w jednej. Nie wyglądały na zachwycone. Pomyślałam, że ci z klatkami to hurtownicy, a reszta to detaliści, którym nie opłacało się kupować czy robić klatek, po prostu kilka swoich nadających się na sprzedaż ptaszków wsadzili do torby.

Mężczyźni stali, rozmawiali, przechadzali się po placu. Spierali się. Najpiękniejsze były kłótnie o płeć obmacywanego właśnie ptaka.

- Samiec, samiec, nie widzisz? - prychnął jeden dziadek na drugiego dziadka. - Ma jajka!

- Uhm... - mruknął drugi. - A jak zniesie, to już nie będzie miał! Po oczach widać, że to baba!

188

- Ty głupi, to nie po oczach się poznaje! - burknął pierwszy. Wałęsałam się po placu jeszcze dobry kwadrans. Oprócz gołębi

były też króliki, duże i małe, parę innych zwierząt. Dwa króliczki zajmowały się... cóż, pro kreacją. Grupka facetów przyglądała się i biła brawo, dopingując łaciatego samczyka. Samczyk dzielnie robił swoje, nie zważając na publiczność. Królicza wyglądała na znudzoną.

- Zupełnie jak moja stara! - orzekł jeden z panów i zarechotał sprośnie. - Tylko jej telewizor włączyć!

Pozostali panowie pokiwali zgodnie głowami i wydali z siebie zgodny rechot.

Nikt jakoś nie próbował sprzedać mi gołębi, zapewne ze względu na to, że odstawałam od hodowców wiekiem i płcią. Proponowano mi natomiast psa rasy bokser, dwa maleńkie,

szczurowate jamniki, tabun kotków i kilka żółwi. Wyglądały w swojej klatce na istoty z innej bajki, zupełnie jak ja. Z żalem odmawiałam - kotów mam dosyć, na psa mąż się nie zgadza, a nawiązania kontaktu emocjonalnego z żółwiem sobie nie wyobrażam.

Mimo to wracałam do domu w nadspodziewanie pogodnym nastroju, pogodzona ze światem, na którym można spotkać tyle dziwnych rzeczy.

Niektóre nawet dwa razy w tygodniu, jak targ gołębiarzy.

Kazik

Kazik przyjechał. Miły, śmieszny, domowy, od razu rozsiał swoje rzeczy po chałupie i Magda nie wie. Nie wie, co robić. Nie wyprosi go przecież tak od razu z ciepłej wanny z pachnącą pianką. Zresztą nie wie nawet, czy chce go wypraszać. Choć wczoraj podobno wiedziała. Ale dziś już nie. Bo Kazik wylazł z wanny i od razu rzucił się na sprawy bieżące. Zadzwoił do znajomego profesora w sprawie Goški. Przywiózł Magdzie obłądną kieckę, oblókł ją w dzieło osobiście i zawlókł do Banasia, gdzie obejrzał faktury i rozliczenia, pochwalił załogę i urządził małą bibkę, ściągawszy uprzednio swojego młodszego brata do pilnowania Agatki. Brata i Agatkę zasypał gramami zręcznościowymi, które oboje uwielbiają, i pozwolił im siedzieć przy komputerze do woli.

189

Powiedział Magdzie, że bierze ich życie we własne ręce, bo nadszedł czas na uporządkowanie pewnych spraw. Magda mruknęła nieśmiało, że porządkowanie jak najbardziej, ale spokojnie i może nie publicznie, ale Kazik był innego zdania. Tryskał ogniem, humorem i energią i w kulminacyjnej fazie bibki wyciągnął nagle pierścionek zaręczynowy.

Magdę zatchnęło z lekka, ale przecież nie będzie robić scen przy ludziach. Więc pozwoliła wsunąć go sobie na palec wśród licznych owacji oraz gratulacji. W pewnym momencie tylko uchwyciła wzrok Mięcia i pomyślała przelotnie, że pewnie mają teraz identyczny wyraz twarzy: minę szurka, nad którym zatraskuje się klatka. Czym prędzej więc skorygowała swoje oblicze, nakazując sobie uśmiech od ucha do ucha. Żeby sobie nie myślał, taki i owaki. I zaczęła tryskać entuzjazmem. Aż w końcu Mietkowi znikły z oczu dwa wielkie znaki zapytania, a on sam oklapł, jakby ktoś przydeptał go kapciem. Pierścionek był piękny, taki, jakiego Magda by chciała, gdyby tylko chciała. Z matowego złota, białego z żółtym, z pięknym pojedynczym szafirem o nieregularnym kształcie, bo Magda nie lubi diamentów, za to lubi nieregularne. Unikat.

Na poważne rozmowy nie było czasu, okazji ani klimatu. Po bibce Kazik zawiózł Magdę do domu, gdzie młodzież komputerowa, znużona rozrywką, spała już snem sprawiedliwego. W domu pozapalał świece, wyjął kolejne, kupione specjalnie na tę okazję hiszpańskie wino, powtykał świece w każdą wolną przestrzeń i włączył nastrojową muzykę. Magda siedziała oszołomiona w fotelu i myślała mętnie, że to wszystko się dzieje tak jakby obok. Obok niej. Ale nie mogła, no po prostu nie mogła psuć tego nastroju. Więc poddała się w końcu chwili, wyłączyła myślenie i dała się zaciągnąć do sypialni, gdzie narzeczony zużytkował ją tak, jak zazwyczaj użytkuje się narzeczone. Nie było to przykre, ani trochę. Wręcz przeciwnie.

Więc Magdalena od wczoraj oficjalna narzeczona Kazika, siedzi teraz w pustym, zamkniętym jeszcze Banasiu, trzyma się za głowę i patrzy na mnie wzrokiem bazyliuszka. I nie wie.

Zimno w tym Banasiu, jak zwykle w knajpach, w których nie włączono jeszcze muzyki, co jest swoją drogą ciekawym zjawiskiem. Śmierdzi petami i skisłym piwem. Tylko kawa pyszna, jak zwykle. Siedzę nad tą kawą, zamiast na zajęciach, i myślę sobie, że

190

nie wiem, co robić. Śmiać się czy płakać, współczuć czy gratulować. Tymczasem otworzę okna i nastawię muzykę, zrobi nam się raźniej.

- A co go tak nagle napadło? - pytam w końcu, bo Magdę, niezależnie od stanu, można zwykle zapytać o wszystko, odpowie najwyżej słownictwem brukowym, ale nie kłamliwie. A w sumie to jestem ciekawa.

- Stęsknił się. Ma dość życia osobno, chce, żebyśmy częściej wyjeżdżali razem... albo nie wyjeżdżali, ale żebyśmy się bardziej liczyli ze sobą. Wynajmował tym razem pokój u normalnej rodziny, z małym dzieckiem, psem i ciepłymi kapciami dla gości. Rodziny, która jeździła w soboty na wspólne wycieczki i spędzała wieczory przy wspólnym stole. Odbiło mu. Chce kupić duży stół,

domek w górach i psa. I chce mieć dziecko. Ze mną. A Agatka, ta przekupna mała, zachwyciła się pierścieniem, po czym włądowała mu się rano na kolana i spytała, czy jak on jest już moim narzeczonym, to ona mu może mówić „tato” albo przynajmniej „wujku”, no bo przecież jesteśmy rodziną. Wyobrażasz sobie? Całe życie mówiła mu po imieniu i było dobrze, całe życie jej wbijałam do głowy, żeby się nie przejmowała ani nie czuła gorsza, że czasem tak się zdarza, że tatusiów nie ma, ale mamy siebie i żaden facet nie jest nam tak naprawdę potrzebny. Chyba że po prostu mamy ochotę na męskie towarzystwo. A ta mi na starość wyjeżdża z tatusiem!

- Nie na starość, Magda. Ona niedługo skończy sześć lat, tylko sześć i jest jeszcze małą dziewczynką. Zresztą, to jest najbardziej tatusiowy wiek. Miśka też od niedawna zajmuje się tatusiem, wyciąga go na spacer i toczy z nim długie, poważne rozmowy. Wcześniej wołała mnie albo babcie. A teraz tatuś jest na pierwszym planie. Autorytet najwyższy i najlepszy na świecie. To normalne. Cholera, co ja będę psychologowi tłumaczyć, przypomnij sobie wykład z rozwój ówki!

- Przypominam sobie - powiedziała ponuro Magda. - I co z tego wynika?

- Nie wiem. Myślę, że powinnaś się naprawdę poważnie zastanowić. Nie ma już tutaj miejsca na ściemnianie. Nie możesz też sugerować się wyłącznie tym, że tak wyszło, Kazik chce, mała chce, a ty zaciśniesz zęby, uśmiech na ryj i jakoś przetrzymasz. Małżeństwo to nie obiadek u mamusi. Będiesz nieszczęśliwa, a to też do

191

niczego dobrego nie doprowadzi. Musisz podjąć decyzję, świadomą i własną. I w miarę szybko, bo nie możesz tak trwać w nieskończoność w zawieszaniu. Myślę, że i Kazik, i Agata uszanują twój wybór, jeśli ty będziesz absolutnie pewna, że wiesz, czego chcesz. A Zygmunt co?

- Właśnie nie wiem na pewno. Byłam w Warszawie, wiesz przecież, spotkałam się z nim i mówiłam, że Kazik wraca, a on nie powiedział nic konkretnego. Było fajnie i miło, ale nie było tak, wiesz... ewidentnie. Tak jak w ten pierwszy nasz wieczór. I nie wiem, co o tym myśleć.

- Chciałabyś pewnie, żeby powiedział jasno: „Rzuć Kazika w diabły, przyjedź do mnie, bo ja cię kocham jak wariat i będę kochał aż do końca życia”, co?

Magda jednocześnie wzruszyła ramionami i pokiwała głową.

- Może nie aż tak. Ale...

- Ale mógłby, co? - zapaliłam papierosa i pociągnęłam łyk kawy. Była zimna. Magda wzruszyła ramionami jeszcze raz.

- Fajny ten twój Zygmunt - powiedziałam bezlitośnie. - Myślę, że on nie chce wywierać na ciebie żadnych nacisków, wiesz? Chce, żebyś wybrała sama, bo tylko taki wybór ma sens. On już swoje powiedział, tego pierwszego wieczora. I nie sądzę, by tak szybko zmienił zdanie. Ale rozumie twoją sytuację lepiej niż ty sama i teraz ręka mu nawet nie zadrży w twoim kierunku, dopóki nie podejmiesz decyzji. Mam rację?

- Pewnie masz - powiedziała Magda z goryczą. - W każdym razie ręka mu nie zadrżała. Chociaż nie miałabym nic przeciwko temu. A teraz już nie wiem. Był jakiś taki... wycofany. A, co ci będę ściemniać, jechałam z nastawieniem, że pójdę z nim do łóżka i wszystko się samo wyjaśni. Będę mogła zwyczajnie powiedzieć Kazikowi, że go zdradziłam, jest mi przykro - chociaż nie jest - jestem wredna krowa i niech mnie lepiej unika albo coś, a tu wszystko wyszło jakoś tak... na odwrót. Przecież nie mogłam zaciągnąć Zygmunta do hotelu na siłę! No i poszłam do łóżka, owszem, ale z Kazikiem. Wczoraj.

- I co? - spytałam i znów mi się śmiać zachciało, bo Magda rzuciła tym wyznaniem z furją, jak kapciem w komara.

- Gównu - warknęła Magda. - Gdyby mi było z nim źle w łóżku, tobym go nie trzymała w domu od trzech lat! I właśnie o to

192

chodzi! Nawet to, że zakochałam się w innym facecie, jakoś mi nie szkodziło! Bo w danym momencie jakoś o tym facecie wcale nie myślałam! Ja to mam jednak kurewski charakter, cholera jasna, w mordę jeżem okładana!

Madzia złożyła tę samokrytykę i poleciała otwierać lokal na dobre, bo do drzwi dobijał się już jakiś klient. Za klientem stał Kazik, który miał jeszcze urlop po przyjeździe; załatwił rzecz z profesorem,

który ma cięć Gośkę wzdłuż i w poprzek, i przyjechał zdać nam relację. Przywiózł z placu świeżego łososia, bo dziś czwartek i przyjeżdżają ryby prosto z morza, i chrupiące bułeczki, żeby jego Magdusia mogła skosztować pożywne śniadanko.

- Dlaczego masz, kocie, kurewski charakter? - zainteresował się Kazik w połowie śniadanka, a Magda zakrzuszyła się bułką z łososiem. - Słyszałem coś takiego przez okno i, muszę przyznać, bardzo mnie to zaintrygowało.

Magda spojrzała na mnie z wyrzutem. No tak, w końcu to ja pootwierałam okna na oścież. Ale kto jej kazał tak się wydzierać? Przełknęłam łososia.

- Chyba już pójdę na te zajęcia. Zaraz zaczyna mi się seminarium. - Stchórzyłam; zebrałam się w pięć sekund i poleciałam jak do pożaru, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć cokolwiek. Może to i lepiej, z tym oknem. Tylko ciekawe, czy Magda skorzysta z okazji.

Duchy, prawa Mendla, prawda i ziemniaki

Przedwiośnie w toku. Po rezerwach witami» śladu nie zostało. Wszyscy mają fisia. Ja mam całe stadko. Znow nadużywam taksówek i w ciemnym pokoju chodzę plecami do ściany. Mój zmarły ojciec łązi po domu i koty mi straszy. Czyta ml przez ramię wszystko, co smaruję w komputerze, czego zasadniczo nie wolno robić nikomu, nawet duchom. Wkurzam się i wszędzie zapalam światła, czego z kolei nie lubi mój mąż, miłośnik półcienia i wszelakich przytulności. Ale jego nie śledzi rodzina z ciemności. Więc ja włączam. On wyłącza. Złoszczę się i chowam głęboko pod kołdrę, wtulając nos w uśpioną Malwinę. Pod kołdrę mi duchy, na szczęście, nie zagląдают. Tyle że wieczorami jestem bezproduktywna,

193

nie uczę się chirurgii i nie posuwam naprzód pracy zarobkowej. Albo ustawicznie się szlajam po knajpach. Mój ojciec nie chodzi za mną po knajpach, na szczęście. Chociaż za życia chodził, ale nie wieczorem i nie za mną. Tylko na kawę. W dzień, za to często. A na mnie warczał za „kawiarniany styl życia”. Zresztą, za jego życia prawie nie chodziłam. Odbijam sobie teraz. Cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Typowym przykładem złościwości praw Mendla są moje włosy. Matka ma proste, ale grube i gęste. Ojciec miał cienkie, lecz kręcone. Ja bym chciała mieć gęste jak matka i kręcone jak tatuś. Ale, rzecz jasna, mam dokładnie na odwrót: cienkie i proste. Wolałabym również odziedziczyć błyskotliwość po tatusiu i zamiłowanie do porządku po mamusi. Żyłoby się łatwiej. Ale, z całym szacunkiem dla obojga, jestem księżniczką chaosu z refleksem jak tępa krowa. Prawa genetyki utworzyły ze mnie egzemplarz zaiste unikalny.

Boję się dziwnych rzeczy: sekretarek, prysznic i jazdy tramwajem. I ciemności, jak pięciolatek. Życie przeżywam z nosem w lekturze, wtedy nie muszę patrzeć na ten straszny świat. Zajęcia na uczelni to mój osobisty wróg i idę na nie z zaciśniętymi zębami, jeśli w ogóle. Wolę pisać niż mówić. Jak mi się nasili, to będę mojej rodzinie zostawiała karteczki: „Wstawaj, kochanie, już ósma!”, jak w kawale o bacy. Miewam napady wstrętu do niektórych rodzajów pożywienia, ostatnio do jogurtów i wszelkiego nabiału z wyjątkiem serów pleśniowych. Jak jestem w ciąży, to unikam śledzi, odwrotnie niż przystoi kobiecie ciężarnej. Jak nie jestem w ciąży, to dla odmiany wchłaniam śledzie pudełkami, napadowo. Jak jestem sama, to zapadam w letarg i nie robię nic. Nie włączam muzyki i piję wodę z kranu, zagryzając suchym chlebem, choć tak ogólnie to lubię gotować, jak jest komu. Ja nie jestem kimś. Jak mi smutno, to znikam i nie ma mnie nigdzie. Miewam ataki szału, po tatusiu, i wtedy drzyjcie, narody. Na co dzień dotykam życia czubkami palców i nie wdaję się z nikim w żadne konfrontacje, dopóki się da. Magda mówi, że przechodzę przez życie jak kot łązący nielegalnie po półce kuchennej. Ostrożnie, cichaczem i nie zostawiając śladów.

- Tylko wiesz, co się dzieje, jak przestraszy się kota? - zapytała mnie kiedyś. - Podskakuje do góry, miaucząc przeraźliwie, a wszystkie kubeczki lecą na podłogę.

194

Coś jest na rzeczy. Już kilka razy w życiu zdarzyło mi się rozbić wszystkie moje ulubione kubeczki. Ale cóż, koty i tak spadają na cztery łapy.

Na szczęście miłość jest żywą tkanką, w przeciwieństwie do porcelany, i nawet jeśli się ją rozbije w drobny mak, to z czasem pęknięcia zrastają się mocno. Wystarczy tylko chcieć, pozbierać wszystkie

okruszki i przyłożyć z powrotem. Wypróbowaliśmy to wraz z tym moim już dawno temu i właśnie ta świadomość daje mi w życiu moje maleńkie poczucie bezpieczeństwa.

A Gośka jutro idzie na stół. Wszyscy trzymamy kciuki. Intry - badanie pod mikroskopem wyciętego guza podczas operacji, gdy pacjent leży na stole z otwartym brzuchem, a chirurdzy czekają z uniesionymi skalpelami, bo od wyniku zależy, czy mają wyciąć mu więcej, czy mniej - będzie robił Rysiek. To działa tak: jeśli hi-stolog, czyli na przykład nasz Rysiek, uzna, że guz nie jest złośliwy, nie ma szans na wznowę ani przerzuty, a węzły chłonne w okolicy nie zostały jeszcze zaatakowane przez nowotwór, to chirurdzy poprzestają na wycięciu guza z niezbędnym marginesem okolicznych tkanek, zaszywają pacjenta i wszyscy się cieszą. Jeśli natomiast znajdzie w preparacie komórki nowotworowe, stara się określić rodzaj nowotworu - sytuacja jest znacznie poważniejsza. Chirurdzy starają się usunąć wszystkie tkanki, do których mogłyby się przedostać złośliwe komórki, czyli, w wypadku jajnika i okolic, najczęściej usuwają drugi jajnik i całą macicę, pacjentka już nigdy nie może mieć dzieci, bo nie ma czym, wycinają też, jeśli trzeba, wszystkie okoliczne węzły chłonne, a potem zaczyna się walka o życie.

Rozstrzyga o tym kolejne badanie - wycięte tkanki trafiają znowu pod mikroskop, i tym razem bez pośpiechu, bardzo dokładnie, za pomocą różnych technik i wybarwień jeszcze raz określa się rodzaj nowotworu. Na wynik czeka się około dwóch tygodni. Czasem potrzebna jest druga operacja. A czasem walka innymi metodami o to, aby wykurzyć z organizmu wszystkie nowotworowe paskudy. Chemia, czyli agresywnie działające lekarstwa, które niszczą komórki z największą tendencją do rozmnażania się, na pierwszym miejscu te nowotworowe, ale przy okazji również trochę tych własnych chorego; dlatego wypadają włosy, dlatego pacjent ma nudności, wymioty i szereg podobnych atrakcji i naświetlanie, któ-

195

re działa w podobny sposób. Terapia jest przykra i wyczerpująca, ale odpowiednio wcześnie podjęta - ratuje życie. Dlatego wszyscy trzymamy kciuki za Gosieńkę. Żeby jej się udało ominąć całą tę późniejszą zabawę. Albo żeby przynajmniej miała ona sens.

A Rysiek to znajomy Magdy z dawnych, osiedlowych czasów, gdy cała wrzaskliwa młodzież z Piasków Nowych gromadziła się na ławeczkach przed pawilonem i ćwiczyła pierwsze damsko-męskie interakcje. To ten sam Rysiek, który nauczył Madzię pić piwo i oddał jej kiedyś swoją kartkę na mięso. Bo Magda swoją zgubiła i bała się wracać do domu. W owych czasach był to dowód wielkiej miłości, bo matka Ryśka mało mu uszu nie oderwała. W pierwszym momencie, bo w drugim Rysiek po prostu przyznał się mamusce, że oddał kartkę swojej ukochanej i zadeklarował bohatercko chęć żywienia się do końca miesiąca ziemniakami bez omasty. Mama poburczała trochę w temacie, że z powodu wielkiej miłości Ryśka cała rodzina będzie musiała przejść na dietę ziemniaczaną, ale tak naprawdę to wzruszył ją gest synka i z miejsca zrobiła mu ruskie. Z cebulką. Cebulka, na szczęście, nie była na kartki.

Sentyment do Magdy został Rysiowi do dziś i można z niego skorzystać. Mamy gwarancję, że chłopak przyłoży się do roboty i niczego nie przegapi.

A propos korzystania. Magda skorzystała w końcu z okazji do rozmowy z Kazikiem, swoim narzeczonym, i powiedziała mu to i owo. Że jest taki ktoś. I że ona nie wie. Kazikowi jest przykro, że nie powiedziała od razu, bo ma wrażenie, że się wygłupił. Ale nie przyjął pierścionka z powrotem. Tylko mu smutno. Magdzie też jest smutno, chodzą wokół siebie na palcach, jak dwa jeże, i nie wiadomo, co z tym wszystkim zrobić. Magdzie jest łyso i jest strasznie miła, jak nigdy, co sprawia, że Kazik już zupełnie zgłupiał. W ciągu kilku dni dorobił się narzeczonej, stracił ją, a teraz w zasadzie ma przy sobie, choć nie ma. Zaraz wszyscy zwariują.

Wszystko jest dziwne. Kazik w zasadzie powinien się wyprowadzić, ale nie ma gdzie, poza tym Magda wcale nie chce, by się wyprowadzał. Magda powinna zdać stery Banasia, ale nie może, bo jest wiele spraw, które tylko ona umie poprowadzić, w końcu Kazik przez te trzy lata był właścicielem tylko na papierze, wiecznie w rozjazdach, a Magda prowadziła klub wedle własnego uznania. I Kazik wcale nie chce, żeby go rzuciła. To znaczy klub.

196

I jego samego też nie, ale o tym się nie mówi. To tylko warczy w powietrzu.

Od tygodnia więc sprawa wygląda tak: Magda jak dawniej zajmuje się Banasiem, do którego Kazimierz prawie nie zagląda, w domu Magdy wieczorami przesiaduje Kazik przed komputerem, bo Magda stara się wracać późno i po cichu, w nocy jak dawniej śpią w jednym łóżku, bo drugiego nie mają, więc leżą w tym jednym plecami do siebie i mówią „przepraszam”, jak tylko się dotkną przez przypadek. Jak już muszą być razem, w jednym pomieszczeniu i nie na śpiąco, to są dla siebie tacy mili, że się niedobrze robi. Kazik ma w oczach ogromne zmęczenie. Magda ma w oczach szaleństwo i błaganie o litość. Mietek coś węszy i znowu ma w oczach znaki zapytania, a spod nich wyziera błysk dzikiej uciechy.

Magda się waha jak nurek przed skokiem na głęboką wodę, ale mleko już się rozlało. Napisała do Zygmunta, a on jej odpowiedział, żeby słuchała głosu swego serca, na co Magda dostała piany na ustach, bo słucha i słucha i nic to nie daje. Szale na wadze stoją w równowadze i ani drgną. Klasyczny osioł, któremu w żłoby dano.

Ciekawe, kto w końcu pęknie.

A ja, zgodnie z postanowieniem, jestem prawdomówna. Zaczęłam wczoraj. Przy zlewie od paru dni stał garnek, a w garnku cztery surowe ziemniaki, bo mi się za dużo obrało do placków, i tych ostatnich postanowiłam nie ścierać. Potem mi wyszły z pola świadomości i zalegają. Wczoraj zainteresował się nimi mój mąż.

- Co to jest? - zapytał, zaglądając do garnka.

- Ziemniaki - odpowiedziałam, mówiąc prawdę, całą prawdę i prawdę wyłącznie, bez zbędnych dodatków.

Mój mąż westchnął ciężko.

- Ale w jakim celu tu leżą? - uściślił. Na wiele mu się to nie zdało.

- Nie wiem - powiedziałam, wciąż ściśle trzymając się prawdy, a mojemu mężowi opadły ręce. Nic już nie powiedział.

Za to ja mu powiedziałam. Że jest wielki. To miał być komplement, ale on miał dzisiaj dzień na uściślenia.

- Fizycznie czy duchowo? - zapytał, licząc na to, że odpowiem: „Duchowo, rzecz jasna”, tym bardziej, że właśnie wyświadczył mi sporą przysługę i przez cały wieczór ofiarnie matkował dziewczyn-

197

kom, żeby mamusia mogła się pouczyć. Z kontekstu mu wynikało. Ale nie wiedział, że postanowiłam być prawdomówna.

- Duchowo, kochanie - odpowiedziałam. - I wszecz. No i się obraził.

Asystentowi, który domagał się ode mnie zwolnienia lekarskiego, żeby mnie dopuścić do odrabiania zajęć (fantastyczna upierdli-wość systemu), powiedziałam, że nie mam zwolnienia, gdyż seminarium przesiadłam w knajpie, a na to zwolnień, niestety, nie dają. Mój alkoholizm jest umiarkowany i na razie nie wymaga leczenia. Koleś wytrzeszczył na mnie oczy i wyznał, że z takim przypadkiem jeszcze się nie spotkał. Spytałam go, czy jest tego absolutnie pewien, na to gościu zarechotał zniecka, zapewne wspominając własne młode lata i w końcu zaliczył mi seminarke bez odrabiania, w nagrodę za odwagę. Ale na następnych zajęciach mam być. No to będę. Drugi raz ten numer nie przejdzie. Tym razem prawdomówność mi się opłaciła.

Moje dziecko też jest prawdomówne. Opiekunki nie było już od tygodnia, bo ma egzaminy, i w mojej kuchni zalega teraz wszystko, nie tylko ziemniaki. Miśka weszła do kuchni i pociągnęła nosem.

- Ja chcę do babci - zdecydowała. - Ona jest dorosła i u niej nie śmierdzi. Ona o mnie dba.

Więc się dowiedziałam, w telegraficznym skrócie, że u mnie śmierdzi, nie jestem dorosła i nie dbam.

Tatusz się dowiedział już dwa lata temu. Przyszedł z pracy wcześniej, czyli przed dwudziestą, był w dobrym humorze i w przyływie ułańskiej fantazji postanowił się z dzieckiem pobawić.

- Mogę? - zapytał, siadając na ziemi wśród klocków. Misia popatrzyła na niego spod oka.

- A czemu? - spytała celnie.

- Chciałbym się z tobą pobawić - wyjaśnił tatuś córeczce i złączył ze sobą dwa klocki.

- Nie możesz - powiedziało dziecko i odebrało mu klocki.
 - Dlaczego? - zapytał z żalem odtracony tatuś. - Przecież ja tak lubię się z tobą bawić!
- Dziecko przyjrzało mu się uważnie, zgarniając klocki dookoła siebie.
- Nie lubisz - odpowiedziało ponuro. - Ty lubisz tylko grać na komputerze.

198

I w ten prosty sposób samo dziecko sprawiło, że załatany tatuś regularnie znajduje czas na zabawę, żeby nie wiem co.

Ja również w końcu posprzątałam w kuchni. Nawet ziemniaki wylądowały w koszu i nie będą już więcej prowokować pytań.

A Dudek w nowej pracy ma sekretarkę po teatrologii, z nosem w chmurach i ego rozdętym jak balon. Ostatnio wypisywał kwitek na imprezę firmową, bo szef dał chłopakom z nowego działu parę stówek, żeby poszli sobie na piwko służbowe i przy tej okazji zaczęli wytwarzać między sobą przyjacielskie relacje. Mądry koleś. Ale sekretarka, która musiała wypisać kwity na imprezę, na którą jakoś nikt jej nie zaprosił, zaczęła wydziwiać.

- No i z jakiej to niby okazji? - zapytała surowo.

- A, tak na początek, żebyśmy mogli ze sobą pogadać na luzie - wyjaśnił jej Duduś, bo był w dobrym humorze i nawet skłonny do głupich wyjaśnień.

- No i o czym niby będziecie tak gadać? - nie ustępowała sekretarka, która dla odmiany właśnie miała okres i była upierdliwa do nieprzytomności, w dodatku Duduś jej wciąż nie zapraszał.

- Nie wiem - powiedział Duduś w zamyśleniu. - Może akurat będziemy dyskutować o Petrarce?

- Cóż, nie wiedziałam, że ekonomiści znają się na malarstwie... - odrzekła naburmuszona pani teatrolog, a dyrektor, podsłuchujący od pewnego czasu, aż kwiknął z uciechy. Duduś odwrócił się do niego i bez słowa przybili piątkę, z szerokim uśmiechem. Pani sekretarka popatrzyła na nich jak na pomyleńców i wróciła do swoich szeleszczących papierków.

Kotu blizna zarosła i nie musi już nosić czarnych kaftaników. W ogóle przytył po tej operacji, co jest akurat dziwne, powinien raczej schudnąć po ciężkich przeżyciach. Ale może to obrzęk i kot mi się kiedyś rozplynie i zostanie po nim mokra plama. Na razie zachowuje się radośnie, jak młoda kocinka, biega po domu w podskokach, czepia się firanek i odbija od ściany. Może mu lepiej bez tych guzów, chwilowo. A może już ma przerzuty do mózgu i któregoś dnia nas wszystkich zagryzie. Nie majak wiosenny optymizm.

Ja też przytyłam. Ale może to obrzęk. W moim wypadku jest to pocieszenie.

199

Babcie mają sny

Wszystko się sypie w związku z tym przedwiośniem. Znow zwiłam z zajęć i ukryłam się głęboko, przez co mam wyrzuty sumienia też głębokie jak studnia. Dziecko mi choruje, to młodsze. Kaszle i smarka, a ja nie mam czasu wziąć jej do lekarza, bo muszę iść na dyżur odrobić zajęcia. Niezły idiotyzm. Miśka ma rację. Nie jestem dorosła. Nawet nie używam makijażu. I noszę plecaczek z wielbłądem, chociaż akurat nie o to tu chodzi. Próbuje się jakoś zmobilizować i nie mogę. Mąż twierdzi, że w dupie mi się przewróciło od tego, że nic tak naprawdę nie muszę. Pewnie też ma rację.

Zresztą wszystkim wokół się poprzewracało. Babcia ma sny i oczywiście musi mi je relacjonować, bo co się będzie denerwować sama. Ostatnio na przykład wyśniła, że Malwinka jej na rękach umarła. Więc teraz wymyśla jej różne schorzenia, bo to na pewno coś znaczy. Zauważyła, że mała, jak robi „brawo”, to trzyma jedną łapkę trochę krzywo, więc mam ją zabrać do rehabilitantki, bo to na pewno z powodu komplikacji przy porodzie i mała zostanie kaleką na całe życie; kto wie, czy w ogóle będzie normalna. Ja na przykład nie wiem. I nie mogę tego babci zagwarantować. A babcia знаła takiego jednego, co miał krzywą rękę i był nienormalny. Więc mam młodą pokazać rehabilitantce. Rehabilitantka będzie wiedziała. Pewnie ją zabiorę, bo co mi ma babcia nie sypiać po nocach, ale jestem zła. Babcia i jej sny.

Magdy babcia też miała sny, najbardziej jak Magda była w ciąży z Agatką. Sny babcie nawiedzały hurtowo. Czasem relacjonowała je dosłownie, a czasami w sposób zawołowany. Na przykład kiedyś zadzwoniła, jak akurat pomagałyśmy Magdzie odgruzowywać mieszkanie po przodkach,

czyli po drugiej babci, właśnie zmarłej, które zgodnie z wolą nieboszczki przekazano w jej ręce. Magda odebrała telefon i z miejsca przełączyła na głośnomówiący, żebyśmy jej wreszcie uwierzyły. Gośka z Ewką przezornie wcisnęły mordy w kanapę.

- Witam, moja wnusiu - rozległ się głos donośny i pełen troski. - Dzwonię, bo właśnie mi się śniłaś, wiesz... Powiedz mi, czy u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, w najlepszym - odpowiedziała Magda, ruszając brwiami i pokazując na migi zegar w pokoju, co zapewne miało znaczyć:

200

„Czyżby babcię dręczyły sny prorocze w ramach poobiedniej drzemki?” - A co?

- A nic, nic... A z dzieckiem też wszystko w porządku? Robiłaś badania?

Magda przewróciła oczami i pogroziła Gośce, która szeptała na granicy słyszalności:

- Tak, babciu, i wyszło tylko pół promila, nie mam hifka, tylko kiłę, ale się nie przejmuj, bo kiłę się leczy...

- Jakież tam robiłam - odpowiedziała Magda. - A co ci się śniło?

- A nic, takie tam... - wykręciła się babcia, a Magda wysunęła język i zrobiła największego debila, jakiego umiała. Babcia ciągnęła dalej: - A to takie badanie, co widać dziecko na ekranie, też robiłaś? Słuchaj, a jakby ono było jakieś takie... no, mongołowate albo coś, to byłoby widać?

- Czasem byłoby, a czasem nie. A czemu pytasz?

- A nie, nic... Ale ty musisz uważać na siebie! - zaatakowała nagle. - A ty nie uważasz! Sama widziałam ostatnio, jak wносиłaś pranie na piętro, w tym twoim akademiku! Nie powinnaś!

Magda się zirytowała, więc wyjaśniła babci pokrótce, że na jej piętrze zepsuła się pralka, musiała skorzystać z pralni piętro wyżej, bo piętro niżej dzicz studencka zamieniła pralnię w palarnię, znajomi akurat wyszli, a ona w życiu nie widziała prania, które by samo wpęzało na piętro. Teraz się przeprowadziła i pranie będzie przemieszczać w poziomie. Poza tym sama słyszała, i to nieraz, że babcia osobiście, będąc w ciąży z jej matką, pracowała dzielnie do ostatniego dnia i nawet nosiła ciężary w przetworni.

- Ja to co innego - nadęła się babcia. - To było po wojnie. Ewcia na taki argument wierzgnęła z radości. Gośka wcisnęła ją głębiej w kanapę.

- Jakoś nie słyszałam, żeby wpływ wysiłku na ciążę u Polek zależał od odległości w czasie od drugiej wojny światowej - powiedziała Magda twardo. - Cięża to cięża, ciężary to ciężary. A trzeba to trzeba. I koniec dyskusji.

- A babcia to babcia - skomentowała Gosia, jak tylko Magda wyłączyła głośnik.

Babcia Gośki też miewa sny, bo co ma być gorsza. Też jej się nasiliło, jak Gośka była w ciąży, zwłaszcza tej bliźniaczej. Kochana

201

babunia zadzwoniła dwa dni przed porodem. Uznała za stosowne wyjawić treść snu.

- Ojej, Gosieńko, czy ty byś nie mogła już mieć tej cesarki? Dzisiaj? - zapytała na wstępie.

- Pewnie mogłabym, ale po co, babuniu? - odrzekła Gosia uprzejmie, bo Gosia uprzejmą kobietą jest. - Mój lekarz nie widzi takiej potrzeby i ja również nie widzę. Cesarka owszem, ale najpóźniej jak się da, żeby te żaby w środku dorosły jak trzeba. A co?

- A, bo śniłaś mi się tak okropnie, wiesz? Ze się męczyłaś i męczyłaś, i nie mogłaś urodzić. I dziecku nóżka już wypadła, i oni ciągnęli je za tę nóżkę, i nie mogli wyciągnąć, bo wiesz, one jednak były pozrastane. Te dzieci. Bo wiesz, ja czytałam kiedyś w takiej gazecie, że jednej pani to wcale nie wykryli, że to były te... syjamskie, i ta pani przy porodzie umarła.

Gośka zagotowała się w środku, ale zapewniła babcię, że ten sen ma raczej marne szanse na spełnienie, bo po pierwsze, dzieci od początku były w osobnych pęcherzach płodowych, po drugie dzieci najprawdopodobniej są różnej płci i nie były nigdy jednym organizmem, po trzecie oboje grzecznie wiszą już głową w dół, od kilku tygodni, a raczej nie mają szans się przekręcić, bo nie mają gdzie. Upchane jak korniszony w słoiku.

- No nie wiem - babcia najwyraźniej nie była przekonana. - Ja bym wołała, żebyś to miała już za sobą, bo wiesz, to było takie straszne i dobrze się nie skończyło...

No tak. Świetny sposób na zapewnienie spokoju ciężarnej przed porodem. To Gośka musiała babcię pocieszać, że nic się nie dzieje i wszystko będzie w najlepszym porządku.

Bo Gosi babcia jest mistrzynią w skupianiu na sobie uwagi, zwłaszcza jeśli dzieje się coś dramatycznego, co babci, nieszczęśliwie, nie dotyczy. Babcia musi w tym uczestniczyć chociażby pośrednio. Najczęściej przez sny i własne samopoczucie. Tak jak w dzień po śmierci ojca Gosi. Gosieńka wpadła do domu z pewnym opóźnieniem i zastała w nim stado ciotek, lament, chaos i ogólne zamieszanie. Ojca, na szczęście nie zastała, bo był uprzejmy zakończyć swój żywot w szpitalu, dokąd zgarnęli go zaraz po zawale - bo to był zawał, pierwszy i zarazem ostatni. Dotyczył trzech z czterech ścian serca. Z pomocą Andrzeja rozgoniła towarzystwo, opanowała chaos i ustaliła plan na jutro, włączając weń

202

wszystkich, którzy nadawali się do rzeczowej pomocy, a nie do bezproduktywnego szlochania. Po czym zostawiła matkę z babcią i dziadkiem i związała na noc do narzeczonego, gdzie mogła spokojnie palić papierosy, których bardzo jej było trzeba. Co, swoją drogą, było przedziwną reakcją na śmierć kogoś, kogo główną przyczyną zgonu były papierosy właśnie. Jaja akurat rozumiem, moja reakcja była identyczna. U mnie było to jeszcze bardziej dziwaczne, bo palenie porzuciłam kilka miesięcy wcześniej, po dwóch latach nałogu o umiarkowanej sile. Narzeczonego mnie w końcu urobił. Po śmierci ojca wróciło mi w pół godziny - i zostało na długie lata. W sile nieumiarkowanej. Ale mniejsza z tym.

Gośka pojechała, zostawiając mamę we względnym spokoju. Wzięła pod uwagę wszystko, z wyjątkiem babci. Otóż babcia, która nie była osieroconym dzieckiem ani świeżą wdową, a zaledwie niezbyt lubianą teściową z trudem tolerowanego zięcia, obudziła się o czwartej nad ranem z dzikim wrzaskiem, stawiając na równe nogi domowników, czyli Gośki mamę i własnego męża. Babcia siedziała na łóżku i szlochając, mamrotała, że śniła jej się czarna ręka, która ją dusiła, i że była to na pewno ręka Stefana, czyli całkiem świeżego nieboszczyka. I teraz jej duszno i serce jej kołacze, i zaraz jej z piersi wyskoczy, a bije nierówno, o tak... Przerażona mama Gośki, która przez kilka trudnych dni zupełnie straciła swą zwykłą energię, musiała wykrzesać jej nieco i wezwać pogotowie. Pogotowie zareagowało prawidłowo, przyjechało, dało babci w tyłek zastrzyk z uspokajaczem, dołożyło pigułki dla Gosi mamusi i odjechało w siną dal.

Pigułkami zgodnie podzieliła się cała rodzina, bo mamie nazajutrz wróciła energia. Poczęstowała Gośkę już w progu i Gośce udało się zachować spokój. Nawet nie uszkodziła babci. Pomyślała tylko, że jeśli czarna ręka to był jednak jej stary, to pierwszy raz w życiu w pełni się z nim zgadza. No, może z drobnym wyjątkiem. Ona by przydusiła mocniej. |

I płyną wspomnienia

Dziś postanowiłam być dorosła. Wzięłam dziecko do lekarza. Umyłam rano głowę pod prysznicem. Nie chcę wyglądać jak Ein-

203

stein. Einstein podobno miał ten sam zespół, który sobie znalazłam, ucząc się psychiatrii, tyle że nikt mu o tym nie powiedział i dlatego wyglądał, jak wyglądał. I nie mam na myśli geniuszu, bo teorii względności to ja nie wymyślę, tylko problemy dotyczące relacji międzyludzkich i specyficzny tumiwizizm. Powinnam sobie powiesić jego zdjęcie nad lustrem. Dla ostrzeżenia. Na razie walczę z olewnictwem wyglądu zewnętrznego, jeszcze chwilę, a zacznę używać szminki i tuszu do rzęs częściej niż raz w roku. Nie mogę przecież wyglądać jak Einstein. Kupiłam sobie pilnik do paznokci i będę piłować. Bez cienia litości.

I poszłam na zajęcia! Odrobiłam zaległe seminarium. Wysiedziałam do końca na bieżącym i nie usnęłam. Sukces. Bo ja w dusznych seminaryjnych salach na ogół usypiam. Najlepsza była asystentka z kardiologii. Prowadziła seminarke spokojnie, nie zważając na moje chrapanie, i tylko od czasu do czasu prosiła grupę: „A teraz, proszę, obudźcie koleżankę, bo będę omawiała naprawdę ważne rzeczy”. Więc mnie budzili i słuchałam, dopóki się dało. Po czym znów zapadałam w sen. Za to zwolniłam się z zajęć zaraz po tym, jak pan prowadzący znowu nam powiedział: „Eeee... już jesteście? To idźcie sobie na przerwę i znajdźcie mnie za jakieś pół godziny...”. Czyli kolejna porcja podpierania ścian, bo pan jest większym leserem niż my wszyscy razem wzięci. Uznałam, że tego

już dzisiaj nie zdzierzę i spytałam grzecznie, czy może mnie zwolnić do domu, bo mi tam dziś dzieci płaczą. Zwolnił mnie nawet chętnie. Jedna osoba mniej do deptania mu po piętach. Pana trzeba wychować. Zacznę od poniedziałku. Muszę tylko poczytać trochę literatury medycznej i wiedzieć, o co mam męczyć pana. Nie znoszę marnowania mojego czasu. Mój czas mogę marnować sobie sama. Pan ma pecha tym razem. Na cztery osoby w grupie mamy w sumie trojkę dzieci, obie z Joašką płacimy opiekunkom i szkoda nam płacić za podpieranie ścian. W dodatku pan jest młodszy ode mnie, choć zapewne nie przychodzi mu to do głowy. Tylko patrzy na mnie dziwnie, jak pyskuję. Mam to w dupie, jestem zbuntowana i zajęcia mają być konkretne. Krótko, jasno i na temat, a potem do domku, jeśli przeszkadzamy. Anka mnie popiera i buntuje dodatkowo. Dobrze jej mówić, ona już skończyła. Ale z drugiej strony niech mówi, bo przywraca rzeczom właściwe proporcje. Przestałam się bać, na

204

Ss

szczęście. Ciekawe, na jak długo. Na razie to moje studia przebiegają jak choroba dwubiegunowa, na przemian z manią i depresją. Raz jest to dziedzina, którą jestem zachwycona i która dodaje mi skrzydeł, innym razem to źródło frustracji i powód ucieczki od całego świata. Teraz prosto z depresji przeszłam w fazę manii i lepiej niech asystent ma się na baczności. Bo zobaczy, co to znaczy, że ludzie tacy jak Einstein są trudni we współżyciu. Co nie znaczy, że zamierzam z nim współżyć, tfu. Już wolałabym z Einsteinem. Z asystentem zamierzam współpracować. Mam ochotę na porządną imprezę, ale na razie z imprezy nici, bo dziecko choruje i domaga się matki. A ja przecież jestem osobą dorosłą i nie porzucę chorego dziecka na pastwę babć i opiekunek tylko dlatego, że nogi mnie swędzą. Poza wszystkim towarzystwo mi się wykruszyło. Gośka po zabiegu, leży i ogląda szpitalne sufity, Magda ma rozterki i słucha głosu serca; w końcu jej, cholera, stetoskop pożyczę. Anka ma debet w banku, głęboki jak szyb kopalniany, mój mąż ma terrorystów do wytepienia przez Internet, czyli ważny mecz klanowy i od tygodnia oglądam głównie jego plecy, pochylone nad laptopem. Pozostaje Duduś, ale Duduś maca. Pau-linka ma, jak się okazało, cukrzycę ciążową i nigdzie nie wychodzi, bo ma ścisłą dietę i nie może patrzeć, jak inni sobie jedzą. I jedzą. A ona nie może. Aleją dopadło, pewnie kara za wcześniejszy brak umiaru w życiu. W Banasiu wszyscy siedzą jak na szpilkach, bo Magda chodzi i wytwarza ciężką atmosferę; w ogóle do kitu.

Dobrze, że przynajmniej Kicia do mnie wpadła. Kicia to dawna koleżanka z roku, obecnie szanowna pani laryngolog w trakcie specjalizacji. Jeździłyśmy razem na spływy kajakowe. Na tych spływach to dopiero się działo. Byliśmy młodzi, piękni, radośni i notorycznie bez forsy. Zatem zwiedzanie kraju za pomocą kajaka, z możliwością nocowania gdzie popadnie, czasem w stanicach wodnej, czasem na polu u chłopca, a czasem w gęstym tataraku było naszym ulubionym sposobem spędzania wakacji przez ładnych parę lat. Było cudownie.

Raz przyplłynęły dwa łabędzie, wylazły na łączkę, na której zalegaliśmy w ramach przerwy obiadowej, i próbowały wyżerać nam z misek. Kumpel postanowił poczęstować je chlebem, żeby odczepiły się od zup chińskich, a potem z nimi tańczył. On się wyginał i one też się wyginały, klekocąc dziobami. Mam to na zdjęciach.

205

Innym razem dopadła nas burza na jeziorze Wigry i przygarnęli nas pod swój dach ludzie mieszkający nad brzegiem, całe osiemnaście osób, to znaczy najpierw siedemnaście, bo kumpel miał fanaberie i chciał sobie popływać, na piechotę, akurat w tę burzę, bo jeszcze takich wrażeń nie skolekcjonował. O tym, że woda przewodzi prąd elektryczny, pomyślał dopiero gdy burza przechodziła nad głowami, i z wrażenia schował się pod pomost, bo bał się wyleźć, żeby nie zostać najwyższym punktem w okolicy. Dlaczego doszedł do wniosku, że woda pod pomostem nie przewodzi prądu, tego nie wiem. On też. Jak strzeliło w okoliczne drzewa, wyleciałam po niego z ciepłej kuchni osobiście, bo kumpel stanowił moją własność prywatną. I siłę napędową mojego kajaka, gdyż to był akurat spływ, w którym mój narzeczony nie brał udziału, ponieważ właśnie podjął pierwszą w życiu pracę zarobkową i nie dostał urlopu. Kumpla znałam od stu lat, funkcjonował świetnie jako przyjaciel z dzieciństwa, zupełnie jak Miśki Amadeusz, i byłam do

niego bardzo przywiązana. Nie miałam ochoty znaleźć go w jeziorze pływającego brzuchem do góry wraz z rażonymi gromem rybkami. Poleciałam zatem jak strzała, przytomnie rozbierając się do kostiumu i zastanawiając pospiesznie, czy lepiej sadzić wielkimi susami, czy może skakać obunóż, żeby w razie czego nie przepłynął przeze mnie ładunek elektryczny w poprzek, czyli tak zwany prąd roz-kroczy. Wybrałam susy, bo szybsze. Znalazłam kolegę pod pomostem, zamachałam rękami i wrzasnęłam elegancko: „Spierdalaj”, przekrzykując huk gromów, po czym zawróciłam w miejscu i pognałam z powrotem, nie czekając na efekt, bo piorun właśnie znów strzelił w okoliczne drzewa. To już nie był huk, tylko paskudny, suchy trzask, od którego zadzwoniło mi w uszach tak, że przysiadłam. Kumpel na szczęście wylaź spod pomostu i przysiadł obok mnie. Otrząsnęliśmy się jak zmokłe psy i popędziliśmy do gościnnej kuchni miłych gospodarzy. Takiej z piecem, który miał jeszcze zapiecek. Czy może przypiecek, nie wiem. W każdym razie takie coś, gdzie dało się nawet położyć. Tam przysiadliśmy z koleżankami jak kury na grzędzie. Dostaliśmy wszyscy po kubku gorącej herbaty i, ku naszemu zażenowaniu, pożywną kolację. Mili gospodarze udostępnili nam stodołę, żebyśmy nie musieli rozbijać namiotów w tym deszczu. Pan gospodarz pomógł chłopcom naprawić kajaki, bo kilka z nich przy panicznym wciąganiu na brzeg

206

podczas burzy troszkę się uszkodziło. Na drugi dzień wstało słońce, gospodarze podjęli nas śniadaniem, pokazali swoje konie. Mieli cztery.

I za nic w świecie nie chcieli zapłaty. W końcu po ciężkich bojach udało się Olkowi, naszemu kierownikowi wycieczki, wcisnąć im stówkę. Po czym pani gospodyni wyniosła nam talerz swojskich wędlin, kilka słoików zawekowanej kielbasy własnej roboty - z wieprza, o co dopytała Baśka, bo miała głupie wrażenie, że z konia. I marynowane boczniki, bo oprócz koni hodowali też boczniki. Wszystko zapewne przekroczyło wartość tej stówy. Nie walczyliśmy z przeznaczeniem, bo się nie dało. Pozostało nam tylko wspomnienie cudownych ludzi, których zniemacka spotkaliśmy na drodze (wodnej). Myślę o nich zawsze, kiedy kupuję boczniki, których wtedy miałam okazję spróbować po raz pierwszy. Mam nadzieję, że dolatuje do nich cień tych ciepłych myśli i im się boczniki dobrze marynują, a kielbasa nie kielbasi.

Na pozostałych spływach był już mój narzeczony, była zatem i gitara, i śpiewy przy ognisku. Raz zresztą też załapaliśmy się na burzę, która nalała nam wody do kajaków i zmoczyła śpiwory. Mój osobisty narzeczony, człowiek oddany górom i muzyce, dokonał rzeczy nieprawdopodobnej, to znaczy rozpałił w tym ulewnym deszczu ogromne ognisko. Poznaliśmy drewno zewsząd, także ze stosu przygotowanego przez sąsiadów z biwaku, bez pytania, gdyż owych sąsiadów chwilowo nie było, były tylko ich namioty. Oczekiwaliśmy ich z pewną obawą w związku z dokonaną kradzieżą opału. Wrócili w końcu ze wsi, gdzie deszcz ich zaskoczył, i wpadli w szal radości, gdyż właśnie rozmawiali smętnie o tym, że zebrane drewno im na nic, skoro aż tak leje. Czym prędzej przynieśli własne śpiworki do okadzenia nad ogniem, później deszcz ustał, a ognisko zostało, i było fantastycznie.

Szał ciał i śpiworów, świeżo wysuszonych, oraz obowiązkowe ugryzienia w tyłek przez mrówki nocne.

Raz nam kolega wypadł z kajaka, bo postanowił w nim wstać, żeby poprawić na sobie sztormiak (też lało). Jego towarzyszką, w kajaku i w życiu, zamiast podać dłoń tonącemu, rzuciła się z miejsca na aparat fotograficzny.

Oni w ogóle byli specyficzną parą i warto było czasem ich podsłuchać.

207

- Wylaź - powiedział na przykład kumpel do owej kobiety po dobieciu szczęśliwie do portu przeznaczenia.

- Nie wylałam - odpowiedziała kumpela z urazą. - Śpiewałam.

Innym razem Kicia wyszła z namiotu głęboką nocą, gdyż przypomniła sobie, że nie umyła zębów, a Kicia jest istotą wysoce higieniczną i z bakteriami zjadającymi jej szkliwo nie zaśnie. Cały obóz spał, panowała głęboka cisza, i w tej ciszy rozległo się nagle, cóż tu ukrywać, donośne pierdnięcie. Pierdnięcie dobiegło z namiotu koleżanki Ewity i jej narzeczonego, zwanego Cedzakiem.

- Kobieto! - rozległ się w tej ciszy donośny, nabrzmiały zgrozą głos Cedzaka. - Kobieto, tak się nie robi!

Innym razem dopłynęliśmy do stacji wyposażonej w saunę. Do sauny udaliśmy się społem, jednak bez Kici, która ma astmę i w saunie jej duszno. W saunie, jak to w saunie, należy wystąpić w negliżu. Pierwszy raz miałam okazję poznać znajomych płci obojga od tej właśnie strony i niczego nie żałowałam tak bardzo jak tego, że okulary mi zaparowały. Cały urok rozrywki polegał na tym, że po wygrzaniu ciał w saunie pędziło się ochłodzić przez błocko do rzeki. Skok do rzeki łączył się z chóralnym wrzaskiem.

- Taka zimna! - wrzeszczeli chłopcy, rozstawiając palce na wymiar mocno skurczonego penisa. - Taka!

- Hy! - Marek potraktował rzecz jak licytację. - A u mnie taka! - I rozstawił palce odrobinę szerzej. Chłopcy potraktowali sprawę ambicjonalnie i postanowili uwiecznić się na zdjęciu. Na którym wyraźnie wyszło, że cała sytuacja dla jednych była bardziej, a dla innych mniej ekscytująca. Albo może my, również w negliżu, podobałyśmy się niektórym panom mniej, a innym bardziej. Różnica sięgała ładnych paru centymetrów. W porywach do kilkunastu.

Zanim zdjęcie zostało wykonane, myłam się z Mirką przy sąsiednich prysznicach, tuż przy wyjściu. Panowie wychodzili na sesję zdjęciową.

- Ty! - Chwyciłam za ramię namydloną kumpelę, która oczywiście wysmyknęła się jak wąż, więc musiałam odczekać, aż przestanie się pienić i zwróci na mnie uwagę. - Widziałaś? Przeszło koło mnie coś tak malutkiego...

Pokazałam, jak.

208

Mirka zdumiała się.

- No coś ty, nie widziałam! A czyje to było?

- Sęk w tym, że nie wiem. Nie ośmieliłam się podnieść wzroku... Poza tym właśnie znowu zdjęłam okulary...

Panowie uwiecznili się i miesiąc później zdjęcie obiegło akademik, budząc zrozumiałe emocje. Jeden z kolegów wyszedł, no cóż... niekorzystnie.

Jego narzeczona dostała amoku i tłumaczyła każdemu:

- Widzisz, bo tutaj Dawid tak źle stanął...

To, że źle stanął, każdy mógł zobaczyć. Ale raczej Dawidowi. Możliwe, że to on właśnie przeszedł obok mnie. Rozmiar, jak to określiła jedna moja kumpela, obgadując zresztą przed moim mężem zupełnie innego faceta:

- Widzisz, bo jeśli w całkiem niezłej fazie bierzesz TO w rękę, o tak, i nie wystaje, to znaczy, że jest już naprawdę niedobrze...

Ironiczny los sprawił, że obgadany koleś do dziś wchodzi od czasu do czasu z moim mężem w kontakty służbowe i mój mąż nie może na jego widok powstrzymać szerokiego uśmiechu. W związku z czym załatwiają sprawy w pogodnej atmosferze.

A sfrustrowana koleżanka od Dawida, w końcu skonfiskowała towarzystwu zdjęcie. Wraz z negatywem. Co ciekawe, jej narzeczony nie frustrował się wcale. Wisiało mu.

Przed jednym ze spływów obiecałam narzeczonemu rozstać się z nałogiem, który mu przeszkadzał, ale szło mi marnie, bo to jemu przeszkadzał, a nie mnie. Towarzystwo na moich oczach delektowało się fajkami i tym razem frustrację przeżywałam ja. W związku z czym wieczorami wyciągałam Kicię w krzaki, rzekomo za potrzebą bardziej fizjologiczną.

- Kicia, ja muszę w krzaki! - darłam się całkiem jawnie i bez cienia łgarstwa. - Idziesz ze mną?

- Idę! - wrzeszczała Kicia, której nikt nie naruszał swobód obywatelskich i bardzo mi współczuła.

- Weź papier! - żądałam z naciskiem, acz nieco skrótowo.

- Wzięłam!

Mój narzeczony lekko się dziwił.

- Słuchaj, co ty się tak czepiasz Kićki i jej papieru? Przecież mamy własny.

- Kicia ma lepszy - ucinałam. - Zapachowy.

209

Fakt, od wieków paliliśmy wyłącznie mentole. Z zapotrzebowania na papier toaletowy wyższej klasy w prymitywnych leśnych warunkach starałam się nie tłumaczyć. Mój narzeczony martwił się tylko moją nagłą niechęcią do pocałunków, więc wkrótce musiałam się zdekspirować, bo zaczął wyciągać wnioski błędne, aczkolwiek logiczne. Musiałam go uspokoić, że moja awersja do niego nie wynika z romansów na boku ani ze znużenia jego towarzystwem, tylko z prób ukrycia całkiem niewinnego nałogu, którego mimo wysiłków nie mogłam się pozbyć. W tym kontekście papierosy zastały mi przebaczone.

Siedzimy sobie z Kicią, pilnujemy mojego potomstwa, bo nikt go jakoś nie chce z tym katarem, więc nie możemy udać się do knajpy, i wspominamy cudowne lata. Nie tak znów odległe. Kicia wygląda, jakby czas omijał ją starannie. Nawet warkocz ma ten sam, związany na dole odwieczną czarną frotką. Figura jak z żurnala, czego, niestety, nie można powiedzieć o mnie. Ja obrosłam w potomstwo i piętnaście kilo sadła, Kicia obrosła w samochód i tytuły medyczne, gdyż oprócz laryngologii jej hobby stanowi praca naukowa. W związku z tą pracą przebywa ostatnio do południa w Krakowie, w klinice. Potem wsiada w samochód, zdobyty własnym sumptem i na własne raty, i jedzie do rodzinnego miasta, gdzie ma piętnaście dyżurów w miesiącu i dochodzącego faceta w pozostałe dni. Rankiem wsiada w swój pojazd i przyjeżdża do Krakowa, gdzie kończy specjalizację i wykańcza wyjątkowo błyskotliwą pracę doktorską, na którą już się czają renomowane pisma branżowe.

- A kiedy ty sypiasz? - zainteresowałam się nagle. Kicia wzruszyła ramionami.

- Jak to kiedy. Na dyżurach. Pacjenci o dziwo zwykle też sypiają. A jak się trafi bardziej zakręcona nocka, to wsiadam w pociąg i sypiam w pociągu.

- A życie towarzyskie? Knajpy, hulanki, swawole?

- W tak zwanym międzyczasie. Zresztą rozrywek w nadmiarze dostarcza mi towarzystwo na moim oddziale. Ordynator mnie rozśmiesza, jak tylko wejdzie do dyżurki, nie masz pojęcia, jaki to zabawny człowiek. I fajny, przede wszystkim. Niestety, żonaty, i jego żona też u nas pracuje - zastrzegła od razu. - Lubię ją. Poza tym

210

czasem gdzieś wyskoczę z tym moim na kontrolne piweczko. Poza tym wizytuję znajomych. W tej sekundzie też prowadzę życie towarzyskie, nie zauważyłaś? Upijać się nie lubię, wyczerpałam już limit w młodości. Szkoda czasu.

Podziwiam Kicię. Jest dowodem na to, że - i tu nie oprę się pokusie zacytowania kolegi, autora niezwykle błyskotliwych wierszyków dla dzieci - „Wróbel gwoździ ci nie sprzeda, jak się nie da, to się nie da, lecz jak mawiał stryj z Jaworzna: gdy się bardzo chce, to można”. Z nerwowej, emocjonalnie skomplikowanej studentki, tak samo jak my wszystkie dalekiej od rozsądku i umiarkowania, wyrosła w ciągu paru lat zaskakująco dzielna, pozbierana kobieta. Tyle że nie założyła jeszcze rodziny. Ale to w końcu nie jest obowiązek. I tak Kicia konsekwentnie zdobywa, co chce. Więc jak tylko zechce, to na pewno założy i wszystko jej zadziała jak w szwajcarskim zegarku. Ciekawe, czyja bym tak mogła. Z drugiej strony, kto mi zabrania?

Czyżbym znała odpowiedź? Czyżby czyżyk? A może to moje wielkie, rozbuchane, przesłaniające cały świat lenistwo?

Nie będę o to pytać nikogo, zwłaszcza mojego męża, bo na twarz mu wypłynie szeroki niekontrolowany uśmiech, i to wystarczy za całą odpowiedź.

Mała czarna kropeczka

- Była u was już może Paczka Stanisława? - zapytał zaprzyjaźniony barman z sąsiedniej knajpy, wpadając z impetem do Banasia.

Z lekka zaspany Mietek rozejrzał się nerwowo dookoła, ale żadnych dodatkowych przesylek nie stwierdził.

- Nic nie było - odpowiedział, zaskoczony. - Jakiego Stanisława? Nie znam żadnego Stanisława.

- Stanisława Paczka. Taka samica. Z sanepidu. Tak się nazywa. Mietek zachichotał.

- Nie, u nas była Wygrzmot Franciszka, dwa tygodnie temu. Też niezła ksywa. Oglądała nam odzież. Skąd oni takie biorą? W zeszłym roku chodził jeszcze Tabet Józefa. To znaczy chodziła.

- Faktycznie, pamiętam - ucieszył się zaprzyjaźniony barman i zapalił długiego cienkiego papierosa,

który nadzwyczaj pasował

211

do jego smukłych dłoni. - Taboret był w porządku. Mają w tym sanepidzie komplet jak u mojego dziadka na cmentarzu. Tuż obok niego jest wielki marmurowy nagrobek, a na nim napis: Kopała Aleksandra. Jak byłem młodszy, to myślałem, że to nie nazwisko, tylko przyczyna zgonu. Miecio się ubawił.

- I co ta Paczka? - przypomniał.

- Nic. Weszła, położyła futro, moherowy beret, i mówi do mnie: „Moje nazwisko Paczka Stanisława, jaką funkcję pan tu spełnia?”. „Dekoracyjną” - odpowiedziałem, bo zgłupiałem z lekka od tej paczki. Pani się obruszyła i zaczęła mi wyklądać na blat dokumenty, z których wynikało, że jest z sanepidu. No to wpuściłem ją na zaplecze, a ona z miejsca zaczęła się czepiać gulaszu, bo wisiał w cenniku. Mówię jej, że gulasz sprzedajemy latem, kiedy funkcjonuje ogródek i MAMY POZWOLENIE. A ona mi zwiedza zaplecze, na zapleczu lodówkę, a w lodówce trzydzieści litrów gulaszu. Spytała uprzejmie, czy zostało nam z lata, czy to są może zapasy na następny sezon. To ja jej mówię, że to nasza potrawka pracownicza. Na dziś i jutro. Spytała, ile osób tu pracuje. Musiałem jej zdradzić, że trzy, bo tyle miałem książeczek z badaniami. To ona mnie pyta, czy tu pracują sami tacy, co ich w domu głodzą, czy też może cały personel ma tasiemca. To ja jej mówię, że praca za barem jest ciężka i wyczerpująca, a młodzi ludzie mają duże potrzeby energetyczne. A pani dalej analizuje cennik i pyta, co tu jeszcze sprzedajemy z żywności. Mówię, że z żywności to tylko chipsy i paluszki, a cała reszta to są nazwy drinków. Na co pani wypuściła spod beretu zjadliwy uśmieszek i pyta mnie, czy „tosty” to też nazwa drinka. Ja na to, że nie, bez przesady, ale tosty to sprzedajemy wtedy, co gulasz, a kartę mamy tę samą na wszystkie pory roku, bo jesteśmy ubogą, młodą firmą. A pani ogląda toster i ser z niego wyskrobuje. Zanim spytała, czy ten ser to z lata, mówię, że ten toster służy do tostów pracowniczych, jak zabraknie nam potrawki. Pani ruszyła brwiami i radzi mi, żebym jej ciemnoty nie wciskał. To ja jej mówię, że ja jestem w pracy, ona jest w pracy, i nie wypada mi słuchać takich propozycji, poza tym jest to biologicznie niemożliwe, albowiem jestem rasy białej. Pani znów poruszyła brwiami, aż jej na oczy zjechał beret, i powiedziała, że nie rozumie. Musiałem jej zatem, choć bardzo niechętnie, udzielić wyjaśnień, że przypadek

212

wciskania ciemnoty ma miejsce, gdy człowiek rasy czarnej podejmuje współzycie z kobietą rasy białej, natomiast odwrotna sytuacja nazywa się potocznie waleniem w ciemno...

- O rany -jęknął Mietek. - Ile dostaliście mandatu?

- Wyobraź sobie, że nic. Ogólnie było czysto i oprócz gulaszu nie było się do czego przyczepić. Wczoraj był u nas wasz Gibelec i go nosiło, więc pozwoliłem mu wysprzątać kible. Swoją drogą, czy on u was też tak?

- Też - przyznał Miecio. - Chociaż nie wiedziałem, że chodzi też do was. Zmienia wszechświat metodą małych kroczków. Skutki używek. Ale mów, co z Paczką.

- Rany boskie - przeraził się zaprzyjaźniony barman, co jednak nie dotyczyło Paczki Stanisławy. - Muszę uważać, co biorę. A z Paczką nic, straciła ochotę na dalsze konwersacje i kazała szefowi zgłosić się do siebie. Ale mandatu nie dała. Myślałem, że przejdzie do was.

- Może straciła ochotę na dyskusje w ogóle - wysunął przypuszczenie Miecio. W tym momencie przez drzwi wejściowe wsunął się moherowy beret, zobaczył zaprzyjaźnionego barmana i szybko znikł.

- Dzięki, stary - Mietek błyskawicznie ocenił sytuację i poklepał kumpla po ramieniu. - Chcesz wiśniówki?

W życiu kumpla istniały rzeczy, których nigdy nie odmawiał.

- Dawaj, ale szybko, bo zostawiłem knajpę z jednym stałym klientem i szef mi jaja urwie, jak mnie przyłapie. Chciałem cię tylko ostrzec przed Paczką.

- Dzięki. Na wszelki wypadek dzwonię po Gibelca i rzucam się na zaplecza. A, to dlatego Niesforny Pudełek zabrał nam drzwi! Musieli coś wiedzieć. Patrz, i nie powiedzieli takie świnię! - zirytował się Miecio.

- Jaki pudelek zabrał wam drzwi? - zainteresował się zaprzyjaźniony barman, rozglądając się po pomieszczeniu, w którym nie brakowało żadnych drzwi.
- Niesforny Pudelek ta nowa knajpa na końcu ulicy, ta w miejscu po Jeżozwierzu - wyjaśnił Miecio.
- Przyszli rano, czekali pod lokalem, i zabrali nam drzwi, te dodatkowe, pozostałe z remontu. Wraz z framugą. Obiecali, że po południu oddadzą. Że też nie skojarzyłem! Przecież była mowa, że sanepid im kazał dodatkowo oddzielić zaple-

213

cze, a im się skończyła już kasa na remont. Więc potrzebowali drzwi. Ciekawe swoją drogą, czym je przymocowali tak w dwie godziny? I tak, żeby mogli potem zdemontować? Przywiązali sznurkiem?

- Nie wiem, nic Paczka nie mówiła. Rany kota, już dwunasta? To lecę, za chwilę szef do mnie wpadnie po kasę za wczoraj. Pożycz mi wódkę, miałem odkupić i zapomniałem!

- Zwariowałeś? - oburzył się Miecio. - Magda mnie za jaja powiesi!

- Nie powiesi, ona ma do ciebie słabość.

- Tak? - ucieszył się Miecio i wódkę pożyczył. W końcu nie będzie świnią dla kumpla, który wypłoszył mu Paczkę Stanisławę.

W tym momencie wpadła Magda, zderzając się w drzwiach z kumplem, który właśnie wynosił jej flaszkę. Zaraz za Magdą wpadłam ja.

- A ten co? - spytała Mięcia podejrzliwie i rzuciła okiem na półkę. - Czy mi się wydaje, czy właśnie wyniósł nam ostatnią flaszkę?

- Wyniósł - potwierdził smętnie Miecio, tłumacząc sobie w duchu, że ona ma słabość i nic mu nie zrobi. - Dokładnie to przedostatnią. Pożyczyłem do jutra, żeby mu Romek nie nakładł po pysku, bo miał oddać Romkowi do baru i zapomniał. Jak chcesz, to polecę do sklepu i odkupię. Za swoje.

Uratował nas przed kolejną panią z sanepidu.

I opowiedział nam o Paczce Stanisławie. Magda ubawiła się i okazała łaskę.

- Siedź na tyłku. Dzisiaj środa, wystarczą nam te smętne resztki. Tylko przypilnuj Jarka, żeby oddał jutro. Powiem wam coś, tylko morda w kubel! Dostałam pracę! Od ręki i mogę zacząć choćby zaraz. Ale poczekam jeszcze miesiąc i oni też poczekają.

- Gdzie? - spytał Miecio, mając na myśli firmę. - Wydawało mi się, że lubisz swoją pracę?

- Jak to gdzie, w Warszawie! Przecież mówiłam, że się przeprowadzam i nie mów, że nie podsłuchiwałeś!

- Podsłuchiwałem - przyznał się mężnie Miecio. - Ale myślałem, że to takie tam... gadanie. Naprawdę chcesz się przenieść? A co będzie z nami?

- Wami zajmie się Kazik, tak jak na początku. Naprawdę chcę. Muszę wreszcie coś zmienić w swoim życiu. - Magda miała nieodpartą potrzebę zwierzeń, choćby i przed Mięciem. Mnie już odpracowała, więc zasiadłam chwilowo w kąciku z gazetą i słuchałam,

214

co z tego wszystkiego wyniknie i ile Magda uzna za stosowne powiedzieć Mięciowi. Magda szła na całość. - Spotkałam tam mężczyznę moich marzeń.

- A myślałem, że ty masz całkiem fajne życie. I fajnego faceta - wytknął jej rozżalony Miecio, który pierwszy raz miał okazję zrobić to otwarcie, bo choć z podsłuchiwania wiedział bardzo wiele, to nie wypadało mu zdobytej wiedzy komentować. - A tu też masz pracę. Przyjaciół. I dziecko.

- Przyjaźni odległość nie zaszkodzi, zarobki w Warszawie są o wiele lepsze, a dziecko przecież zabiorę ze sobą - powiedziała beztrudno Magda, całkowitym milczeniem pomijając faceta. Mietek jednak nie rezygnował.

- Bez ciebie to będzie do dupy! - zaprotestował energicznie. - Nie zgadzam się i już. Zrobię strajk. Namówię do niego całą załogę. Będziemy leżeć plackiem i głodować.

- Zwariowałeś? Nie mów nic nikomu! - zdenerwowała się Magda. - Ja powiem wszystkim po kolei, ale spokojnie. Na razie wiesz ty i Marta. I Anka. Nikt więcej. Jeszcze nie odbyłam z Kazikiem zasadniczej rozmowy.

- Czyżby? To czemu unikacie siebie jak zarazy, co? Ślepy nie jestem i głuchy też nie. W piątek był tu Kazio, nawalony jak stodoła, i wyrażał się do kumpla o kobietach w ogóle.

- Tak? - zdziwiła się Magda. - Myślałam, że on tu prawie nie zagląda?
- Nie zagląda. Jak wie, że będziesz. W piątek cię nie było.
- Byłam w Warszawie. I co on tam mówił, o tych kobietach, świnia jedna? - zdenerwowała się. - Ja go nie obgaduję publicznie.
- On ciebie też nie. Mówił ogólnie. Nie umiem powtórzyć - wykręcił się Miecio.
- Akurat. Akurat nie umiesz i akurat ogólnie - wkurzyła się Magda. - Gadaj mi tu zaraz!
Miecio też był wzburzony i, wyjątkowo, nie dał się zastraszyć.
- Spadaj! - powiedział ostro. - Sama go zapytaj. To ty kombinujesz i masz wszystkich w dupie.
- Ja kombinuję? - zaperzyła się Magda. - Ja nic nie kombinuję, ja tylko układam sobie życie!
- Tak? A szukanie sobie cichcem pracy w innym mieście to nie kombinacja? A zagrzewanie sobie miejsca u boku nowego faceta,

215

gdy jeszcze mieszkasz ze swoim obecnym, to nie kombinacja? A celebrowanie zaręczyn, w takiej sytuacji, po czym nagły zwrot akcji, to nie kombinacja? - Miecio pozwolił sobie na brutalną szczerość. - Głupia asekurantka! - dołożył na koniec. Magda zbladła.

- Mietek, wyjdź - powiedziała po chwili. - Wyjdź natychmiast. I więcej nie wracaj. Nie chcę cię widzieć.

- Za to, że powiedziałem ci prawdę? - zapytał Miecio, nie ruszając się z miejsca. - Nie masz prawa mnie stąd wyrzucać. W końcu nie będziesz już moją szefową, sama powiedziałaś. Nie decyduj o sprawach, które nie będą już twoje.

Magda zaczęła szukać rękawiczek.

- Chodźmy stąd - powiedziała do mnie. - Nie zostanę tu ani chwili dłużej. Sami się bawcie. Przyślę wam Kazika.

I wyszła, nie czekając na mnie. Popatrzyłam na Mięcia bezradnie.

- Mówiłem prawdę - powtórzył Miecio z uporem. - Nie można tak.

- Trudno nam oceniać, co można, a czego nie. To jej życie. Ona też się szarpie. Cześć, Mietek - powiedziałam niezbyt odważnie i wyszłam. Magda czekała na zewnątrz.

- Palant - powiedziała bez przekonania. - Nie będzie mnie byle barman pouczał. Porozmawiam z Kazikiem dziś w nocy.

- Dziś są Anki urodziny. W Banasiu. Przecież przyjdiesz? - przypomniałam.

- O cholera. - Magda się zafrasowała. - A musimy w Banasiu? Przenieśmy do Pudła, to moi znajomi, załatwię nam piwo po kosztach. Proszę!

- A chłopcy? Przecież Anka ich też zaprosiła. Pawełek już od tygodnia obmyśla dla Anki specjalnego drinka! Bez alergenów. To co, w obcej knajpie będzie go robił? Mietek po kątach coś wytrwale smaruje, nie wiem, co to jest, sztuka czy opowiadanie, ale wiem, że dla niej. Miał odczytać. W obcej knajpie nie odczyta za nic, poza tym ktoś musi zostać za barem w Banasiu. Bez sensu.

- Bez sensu - przyznała Magda. - To zostańcie w Banasiu, najwyżej nie przyjdę.

- No coś ty? Ance będzie przykro.

- Zadzwoń do niej i powiem, jak jest. Albo umówię się z nią chwilę wcześniej, jak już znieczuli wszystkich, których trzeba, i wy-budzi z powrotem. Zrozumie przecież!

216

- Pewnie i zrozumie, ale głupio wyszło. Ej Magda, Magda! - pogroziłam jej palcem.

Rzuciłam opiekunkę na głęboką wodę i zostawiłam jej pięcioro dzieci do uspienia, bo mój mąż też lubi Ankę i idzie do Banasia. Andrzejowi - uznał - również się należy. Opiekunka to bohaterska dziewczyna i zgodziła się prowadzić domowe przedszkole przez najbliższych kilka godzin.

Najwyżej będzie dzwonić. Pojechaliśmy razem, jedną taksówką.

W Banasiu zastaliśmy już prawie wszystkich. Atmosfera była dość nerwowa, a solenizantka mocno niespokojna.

- Nie wiesz, co z Madzią? - spytała mnie od razu. - Zadzwoń do mnie, umawiając się na szóstą, w tej nowej knajpie, bo w Banasiu jej noga więcej nie postanie, tak powiedziała, i że wszystko mi wyjaśni, bo to nie na telefon, po czym nie przyszła. Przesiedziałam tam dwie godziny,

wydzwanając co chwilę, ale nie odbiera. Mietek mi mówi, że obraziła się na niego i że też do niej dzwonił, z takim samym skutkiem, i że nie będzie się wdawał w szczegóły, bo to nie jego.

Szczegóły. Znaczy, że Madzi. Nic nie rozumiem. Co tu się wyprawia? Swoją drogą, nie wiem, czy mi się wydaje, czy u nich stoją nasze drzwi, wsadzone w korytarz na wcisk? - zastanowiła się przez chwilę. - Nic nie rozumiem - powtórzyła. - I widzisz, nie wiem, czy dzwonić do niej do domu, czy nie, bo z Kazkiem oni żyją już jakby osobno, zupełnie nie wiem, co mogę komu mówić, a czego nie. Widziałaś się z nią dzisiaj?

- Mają nasze drzwi, mają, pożyczyci rano. A z Magdą się widziałam, byłam tutaj akurat jak Miecio ją obrażał. Choć moim zdaniem nie obraził tak strasznie, po prostu powiedział, co o niej myśli - wyszeptalam Ance do ucha. - Bo ona mu powiedziała, że planuje wyjechać.

- A on jej, że ją kocha? - Anka zachichotała, bo też miała co do Mięcia pewne podejrzenia. - I to ją tak obraziło?

- Nie, no nie aż tak. Wręcz przeciwnie. Powiedział jej, że jest głupią asekurantką i temu podobne. I że zachowuje się nie w porządku wobec Kazia. I w ogóle.

- I w ten sposób Miecio został orędownikiem Kazia, co? Niezły numer.

- Ej, baby, nie gadać na ucho w towarzystwie - zirytował się mój mąż. - Co to ma być!

217

- Ważne sprawy - odwarknęłam. - Prywatne.

- Prywatne czyje? - zainteresował się Duduś. - Bo jeśli któreś z was, to możecie od razu mówić głośno. W tym towarzystwie nic się nie ukryje, i tak wszyscy się dowiadują o wszystkim, kanałami.

- Najbardziej przepustowy kanał leży w szpitalu - Andrzej pozwolił sobie na małą nielojalność. - No co, wszyscy wiedzą, że moja małżonka ma jęzor długi jak rzeka Amazonka... Ostatnio Paweł mnie pytał, czy dalej golę się pod pachami i czy to bardzo kłuje, jak odrasta. Jak myślicie, kto mu mógł powiedzieć? Bo ja nie pamiętam, żebym się komuś chwalił?

- Gośka nie - Mietek dla odmiany postanowił być lojalny. - Ja mu powiedziałem. Wiedziałem od Kudłatego.

- A Kudłaty skąd? - spytał Duduś i zachichotał szatańsko. - Bo ja wiem od Pawełka.

- Pewnie też od Pawełka. A Paweł od Magdy. A Magda od Gośki albo od Liliany - wyjaśnił mój mąż. - Ja też od Pawełka. Także sami widzicie. Tajemnice są bez sensu i wcale nie trzeba nam do tego Gosi. Pawełek też działa jak wzmacniacz. Nie mówiąc o reszcie.

Pawełek, lekko rumiany, potrząsał zapamiętałe urodzinowym drinkiem i udawał, że nie słyszy.

- Masz - wręczył Ance cudo na kruszonym lodzie. - Mam nadzieje, że limonki cię nie uczulają.

- Też mam nadzieje. Także na to, że Magdzie nic się nie stało. Zniknęła mi - powiedziała, patrząc surowo na Mietka.

- Ja nie wychodziłem z za baru od rana - zapewnił sobie Mietek natychmiastowe alibi.

- Słuchajcie, ale przecież ona była dziś po południu u mojej żony w odwiedzinach. - Andrzej nagle zajarzył, o czym rozmawiamy. - Widziałem ją, wyglądała zupełnie normalnie.

- O której? - spytała Anka.

- Koło czwartej. Ja przyszedłem, ona właśnie wychodziła. Obiecała mi jeszcze porozmawiać z Kaśką, tą lekarką, o wynikach Gosi, bo powiedziałem, że nic z tego nie rozumiem. Jeśli nie był to rak, to czemu się zastanawiają, czy włączyć jej chemię? Anka? Miała ci przekazać jakieś informacje?

- Przecież mówię, że się z nią nie widziałam - Anka się wkurzyła. - I o to właśnie chodzi! Umówiła się i nie przyszła! I nie dała znać! Ona zwykle daje!

218

- Dzwonimy - zdecydowałam nagle. Nie odbiera.

- Dzwonimy do Kazia - zdecydował Miecio, który miał oczy jak spodki i wyrzuty sumienia. - Marta, dzwoń.

Zadzwoń.

- Cześć, Kaziu, przepraszam cię bardzo, ale nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z Magdą?

Umówiła się z Anią i nie przyszła, może zapomniała...

- Nie zapomniała - powiedział Kazik. Głos miał dziwny. - Po prostu... nie mogła. Ale już do was

jedzie. Tylko jeszcze po drodze wpadnie po prezent. Ja też przyjadę, tylko... może później. Jak uśpię Agatę.

I rozłączył się szybko. Uniosłam brwi.

- Nic nie rozumiem - powiedziała towarzystwu, które wpatrywało się we mnie jak koty w polędwicę. - Ponoć nie mogła, ale teraz może i już jedzie. Kazio też przyjedzie.

Pawełek za barem wzdrygnął się i wychylił drinka jednym haustem.

W tejże chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich nasza zaginiona. Taszczyła sporych rozmiarów pudełko. Powitaliśmy ją zbiorowym okrzykiem ulgi. Najgłośniejszym jęknął Miecio i rzucił się zdzierać z Magdy odzienie wierzchnie.

- Gdzie byłaś, jak cię nie było? - wykrzyknęła Anka. - Wszyscy się zamartwiamy o ciebie!

Magda opadła na krzesło. Była blada jak ściana.

- Nie jadę do Warszawy - oświadczyła głośno i wyraźnie, budząc tym samym śmiertelne zdumienie Dudusia, który nie słyszał o tym, że jedzie, oraz Mięcia, który słyszał coś wręcz przeciwnego. My z Anką tylko popatrzyłyśmy po sobie.

- Nigdy w życiu? - spytał inteligentnie Duduś. - A co cię tak zraziło do stolicy?

- Nie jadę na stałe, baranie - powiedziała Magda. - Chociaż planowałam.

Wszyscy wpatrzyli się w nią, jakby z kolei ona była polędwicą, i czekali na ciąg dalszy. Ciąg dalszy jednak nie nastąpił.

- Wszystkiego najlepszego - rzuciła Magda do Anki, jakby nigdy nic. - Masz!

I włądowała pudło jubilatce na kolana. W pudełku zapiszczało.

219

- Co to? - przeraziła się Anka. i nie ośmieliła się zaglądnąć do pudła.

- Chciałaś dostać coś z jajem, o ile się nie mylę. To w środku ma dwa.

- Otwórz, otwórz! - wrzasnął Dudek.

Anka otworzyła. W środku siedział kotek, malutki, puszysty i bardzo przestraszony. Rudy. Polizał Anki palec szorstkim języczkiem. Anka natychmiast się rozczuliła.

- To dla mnie? To naprawdę dla mnie? - zapiszczała i wzięła stworzonko na rękę. Nie protestowało, tylko od razu spróbowało wcisnąć się pod bluzkę.

- Ma facet gust - docenił Duduś błyskawicznie. - Też bym tam chciał.

- Dudek! - jęknęłyśmy zbiorowo. - Pijesz dopiero trzecie!

- No to co? - obruszył się Duduś. - Mówię o przytulaniu. Brakuje mi czułości ostatnio. Ten mały wampir wypija mi żonę i dla mnie prawie nic nie zostaje...

- Już niedługo, Dudek - pocieszyłam go. - Hormony opadają po kilku miesiącach i przypomina się nam, że oprócz dzieci na świecie istnieją również mężczyźni. I też mogą dostarczyć wrażeń pozytywnych.

- Po ilu miesiącach? - zainteresował się Duduś - Bo ja czekam już trzy. I nic.

- Po kilku, Duduś, po kilku. Różnie.

- Kilka to od trzech do dziewięciu... - rozżalił się Duduś. - Uschnę przez pół roku...

Kotek tymczasem nasikał na spodnie swojej nowej pani i temat Magdy zupełnie się już rozmył w chaosie. Chociaż Miecio śledził ją uważnie.

- Coś pijesz? - zapytał uprzejmie po udostępnieniu Ance zasobów zaplecza.

- Kawę - powiedziała Magda. - Albo nie, herbatkę.

- A tej co? - zdziwił się Duduś. - Jutro rano do pracy?

- A coś ty myślał, przecież dzisiaj środa! - warknęła Magda. - Nie każdy może sobie pozwalać, jak ty.

Duduś znów zachichotał.

- Ja nie mogę. Ale sobie pozwalam. Anka też wstaje rano. I też sobie pozwala. Twoi barmani pozwalają sobie permanentnie,

220

przed pracą oraz w trakcie - powiedział i z rozbawieniem patrzył, jak Pawełek nerwowo upycha drinka pod barem. Anka wróciła z zaplecza w sukni wieczorowej.

- Mogę? - spytała Magdy. - Ta czarna jest za wąska, a flanelowa rozpruta. Pozostało mi to i rycerz.

- Jasne - przyzwoliła Magda. A panowie zbiorowo westchnęli z uznaniem. Anka na co dzień nosiła się raczej skromnie, choć elegancko, i teraz wreszcie wyeksponowała swe walory. - Tylko nie podstawiaj się więcej pod kota.

Kota tymczasem piastował mój mąż. Wyraźnie przypadli sobie do gustu.

- Dziewczyny, mogę was na chwilę prosić na zaplecze? - spytała nieoczekiwanie Magda.

Podniosłyśmy się z Anką szybko, gnane ciekawością. Panowie unieśli brwi i tak im zostały.

Magda weszła do biura i zamknęła drzwi na zasuwkę.

- No, co jest? - spytała Anka, bo Magda nic nie powiedziała, tylko usiadła na krześle i zaczęła dłużyć w biurku.

- Przepraszam cię, że nie przyszedłam - odezwała się w końcu. - Opowiem wam, co się wydarzyło. I zamilkła.

Z sali barowej dobiegł nas chóralny ryk i tubalny głos Kazimierza.

- Rany boskie! - Magda otrząsnęła się nerwowo. - No nic, może zdążę. Oni już wiedzą. Za długo wybierałam ci kota.

Znowu zamilkła. Z sali barowej dobiegł śpiew, coś jakby „Sto lat”, w męskim wykonaniu, co było o tyle dziwne, że jubilatka znajdowała się tutaj.

- Mnie śpiewają? - zdziwiła się.

- Chyba mnie - Magda westchnęła smętnie. - To znaczy Kaziowi.

- Nie? - zdziwiłam się, bo coś mi zaczynało świtać. Magda pokiwała głową.

- Mogę od początku? Przyzwoliłyśmy łaskawie.

- Poszłam dziś do Gośki i zastałam Kaśkę, tę z twojego roku - powiedziała do mnie. - Miała dyżur, więc wymaglowałam ją o Gosię, dowiedziałam się, co chciałam i przy okazji napomknęłam jej, że mnie ostatnio też coś kłuje w boku i w ogóle to brzuch mnie jakoś boli, może to jajnik, a może histeria, po przygodach naszej Małgo-

221

rzatki. To ona mi na to, że co się będę głupio zastanawiać, jest teraz sama na oddziale, jak wyskoczę z bucików i położę się na leżance, może mi od ręki zrobić USG, zawsze czegoś się dowiemy. No to ja na zegarek, miałam jeszcze pół godziny, uznałam, że mogę skorzystać z okazji. Zdjęłam obuwie i leżę plackiem, a ta mi jeździ i jeździ po tym brzuchu i nagle dziwnym głosem pyta, kiedy miałam okres. To ja jej na to, że z pięć tygodni temu, ale żeby się nie przejmowała, bo ja mam nieregularne. Właśnie się spodziewam. A ona kiwa głową i nagle mi mówi, że ona się wcale nie przejmuje, ale możliwe, że ja zaraz zacznę. Bo ona tu widzi pięknie zaimplantowany pęcherzyk ciążyowy i mogę sobie poczekać na najbliższy okres tak około roku. Nie padłam trupem tylko dlatego, że właśnie leżałam. A i tak miałam poczucie, że lecę. W przepaść. Fizycznie. Czułam, jak mi powietrze gwizdże za uszami. Powiedziałam tylko: No, to fajnie. Kaśka przyjrzała mi się spod tej czarnej grzywki i pyta, czy się cieszę, czy wręcz przeciwnie. Odpowiedziałam jej, zgodnie z prawdą, że nie mam pojęcia. I pojechałam do domu. Wyryczałam się po drodze. W sumie to nawet nie wiem czemu. Pewnie z zaskoczenia.

- No i co? - spytała znów Anka, wstrząśnięta. - I co na to Kazio? To jego?

- No wiesz! - obruszyła się Magda. - Wątpliwości to ja mogę mieć, ale przecież nie będę sypiać z całym światem jednocześnie!

Akurat. Jakbym nie pamiętała, z jakim nastawieniem ostatnio jeździła do Warszawy i jakie było jej rozczarowanie, że Zygmunt z nastawienia nie skorzystał...

- No i co? - Anka miała dziś najwyraźniej wąski repertuar odzywek. - Powiedziałaś mu?

Magda wzruszyła ramionami i pokazała na drzwi. Owacje wciąż trwały.

- Powiedziałam, powiedziałam. Zresztą on się domyślał. A ja nie. Niezły numer.

- I co? - wyręczyłam Ankę. - I co on na to?

- Usiadł ze mną, spokojnie, zrobił mi herbaty i długo rozmawialiśmy. Agata tkwiła za lodówką i podsłuchiwała, czego w pierwszym momencie nie zauważyliśmy. A Kaziu na wstępie mi powiedział, że zrobię, jak będę chciała, on się dostosuje zupełnie, ale... gdybym chciała zachować ich przy sobie... oboje, to dołoży wszelkich starań, żebym nigdy, ale to nigdy nie żałowała tej decyzji. Nie

zadawał głupich pytań i nie miał głupich wątpliwości - popatrzyła z wyrzutem na Ankę - ale ja na wszelki wypadek od razu mu powiedziałam, że z nikim innym nie spałam. Przynajmniej ostatnio. Powiedział, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Na co Agatka nie wytrzymała i sprostowała zza lodówki: „Jeszcze, mamó, ze mną spałaś-!“. Co zakończyło ten trudny temat akcentem humorystycznym. Oddelegowaliśmy gówniarę do pokoju i on mnie wreszcie porządnie przytulił i powiedział, żebym się nie martwiła, żebym spokojnie pomyślała i że wszystko będzie dobrze. I że jak chcę, to da mi czas. Wyryczałam się porządnie i uznałam, że żadnego czasu już nie potrzebuję. No, bo powiedzcie, czy mogę kopnąć w tyłek takiego faceta? Nie mówiąc już o tym, że nigdy w życiu nie kopnęłabym w tyłek własnego dziecka. Przeszłam dziś naprawdę długą drogę, dziewczyny. Najdłuższą w życiu. I chcę pozostać tam, gdzie doszłam. Koniec opowieści. Do drzwi zaplecza ktoś załomotał gwałtownie.

- Hej, laski, długo tam jeszcze będziecie konferować? - zapytał mój mąż. - Potrzebuję jakichś spodni! I weź ode mnie swoje bydłę, Anka! On leje!

Wpuściliśmy następną kocią ofiarę do środka.

- Cholera, to moje jedyne spodnie do pracy - mój mąż skrzywił się, demonstrując sporą plamę. - A teraz pokażcie, co tu macie... Rany boskie, z kogo to? Ze słonia? - zdziwił się, wyciągając ze stosu ciuchów gigantyczne spodnie.

Magda wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Zdobyczne. Mietek je znalazł w ostatniej sali za kanapą. Zatrzymaliśmy na potrzeby sanepidu.

- A ich właściciel to co? Poszedł do domu bez gaci? Rozumiem, że można zostawić w knajpie czapkę. Sweter, jeśli gorąco. Parasol. Ale spodnie?

- Mamy jeszcze spódnice. Dwie. Też zdobyczne. Nie mówiąc o biustonoszach.

- A to co? - zainteresował się mój mąż, wyciągając ogrodniczki.

- Odzież robotnicza. Pozostało z remontu.

- Nie włożę, za nic - mój małżonek wzdygnął się z obrzydzeniem. - Pamiętam tych panów.

Ostatecznie wystąpił we flanelowej spódnicy. Innych pasujących na niego sztuk odzieży nie było, a zbroja okazała się niewygodna.

Na Magdę z miejsca posypał się grad gratulacji. Kotek natychmiast skorzystał z okazji i dał nogę za bar. Mietek go wyciągnął i wręczył Ance wraz z pozostałą z osiemnastki ceratą, która robiła za eleganckie obrusy. Teraz robi za wał przeciwpowodziowy.

Agatka przed pójściem spać posegregowała swoje zabawki. Wszystkie, których nie lubi albo się jej znudziły, odłożyła dla rodzeństwa. Zabrała Magdzie wydruk z USG, na którym widać jedną wielką szarość i małą czarną kropkę. I rozmawiała z tą kropką przed snem.

Kotek nasikał Ance na ceratę i wszystko spłynęło Dudusiowi do buta.

Jedni majączą, innym ciąży, a niektórym tyso

Gosia wyszła ze szpitala, choć jeszcze będzie musiała do niego wrócić. Jest w domu i życie wróciło mniej więcej do normy.

A w moim domu cicho i pusto. Miśka narzeka. Domaga się większej ilości rodzeństwa i żeby ta Malwinka już wreszcie dorosła. Tłumaczę jej, że wszystko wymaga czasu, ale ona nadal snuje się z kąta w kąt. Zasypuje mnie pytaniami „biblijnymi“, bo mają nową katechetkę w przedszkolu - Miśka ją uwielbia i siłą rzeczy weszła w drugą w życiu fazę biblijną. Wieczorami leci „Biblia dla moich dzieci“, a popołudniami lecą pytania, od których czasem przejmują mnie dreszcze, a czasem ogarnia pusty śmiech. Jak Maryja miała na nazwisko? Czy te zwierzęta, które nie weszły do Arki Noego, to czy one też nagrzeszyły i Bóg je potopił? A czy jakby przyszło jedno dodatkowe zwierzątko i poprosiło, to Noe by je wpuścił? Przecież był dobry? A czy ci ludzie, co się potopili, to mieli dzieci? Czy one też się utopiły? Czy wszystkie były złe? Czy jak Bóg wygonił z raju Adama i Ewę, to nie mógł zrobić sobie nowych ludzi? Fajniejszych? Czy to prawda, że ojcem Jezusa był Pan Bóg? To dlaczego nie był przy porodzie? Czy anioły śpią? A jeżeli zaśnie Anioł Stróż, to czy może nam się w nocy stać coś złego? A czy diabeł też ma swojego syna? Czy on też się kiedyś urodził? A

co by było, gdyby do nas przyszedł diabeł? A ta dziewczynka, co ją Jezus ożywił, to ona żyje do tej pory, czy umarła? A co by było, jakby Bóg też umarł? Na

224

przykład się zaraził? A czy jak Miśka będzie bardzo stara, jak umrze, to w niebie będzie starsza od babci Ali? I czy babcia ją pozna? Czy Pan Bóg może słuchać wszystkich ludzi naraz i czy mu się czasem nie myli? I czy w niebie są także inni bogowie, ci, w których wierzą inni ludzie, czy oni mają swoje osobne niebo?

Odpowiadając młodej najlepiej jak umiem, uświadamiam sobie, że większość tych odpowiedzi tak naprawdę powinna brzmieć: „Nie wiem”.

Cóż, krótki kurs pokory. Chyba zaproszę na kolację Ojca L. Ciekawe, jak sobie poradzi. Zwłaszcza z potopem i Arką Noego.

Ciekawa też jestem, jak by sobie poradził z depresją Gosieńki. Matki, która straciła dziecko z powodu spiralki i odmawia sobie prawa do zaświatów. Dobrej, uczciwej, miłosiernej dziewczyny, którą ogarnął wielki lęk. I która woli myśleć, że poza nami nie ma już nic, żeby nie myśleć inaczej. Prosta spowiedź nie wystarczy. Pomijam fakt, że Gosieńki nie zaciągnę do konfesjonału nawet wołami. Zresztą po co. Widzę tylko, jak cierpi, bo pierwszy raz ma poczucie, że wyrządziła w życiu wielkie zło. Teraz. Nie miała tego poczucia, nosząc spiralkę przez parę lat. Ja zresztą też nie. Choć sama sprężynek zasadniczo nie używam, wolę już katować mózg pigułkami. Ale nie uważałam żadnej formy planowania rodziny za coś złego. Ani żadna z moich koleżanek. A teraz nie wiem. Pamiętam, jak kiedyś, w młodości, bardzo przerażona, zanosila do niebios modły: „Panie Boże, ja już będę rozsądna, będę myślała o zabezpieczeniu, tylko niech mnie ominie ciąża tym razem!”. Tylko że szybko zdałam sobie sprawę z ich niestosowności. Potem jednak dogłębnie wszystko przemyślałam i doszłam do wniosku, że nie ma w nich nic zdrożnego. Są takie chwile w życiu żółwia, gdy po prostu nie może sobie pozwolić na rozród. Byłam wtedy w bardzo kiepskiej formie, na antydepresantach, i w dość skomplikowanej sytuacji życiowej, co oczywiście nie powstrzymało mnie przed wygłupem z gatunku tych niekontrolowanych. Stąd modły. Wysłuchane zresztą. Postanowiłam być grzeczna i rozsądna i więcej tak się nie wygłupiać, nawet z własnym mężem. Zaglądałam uważnie w głąb sumienia i nie znajdowałam tam nic, co by mi podpowiadało, że zabezpieczenie się przed ciążą, za pomocą choćby pigułek, jest naganne moralnie. W związku z tym nie poruszam tego tematu przy spowiedzi, kiedy wyznaję grzechy naprawdę istotne, a bywa ich sporo.

225

Nieuczciwość, agresja, brak miłości i zaniedbanie rzeczy ważnych. Chciwość. Złośliwość. Bezmyślność. To są rzeczy, które szarpią moje sumienie i za które czasami szukam przebaczenia - w niebiosach i na ziemi. Ale nie antykoncepcja, dopuszczana zresztą przez inne wyznania chrześcijańskie. Zapytana wprost, bo oczywiście bywa to podstawowe pytanie do dorosłej mężatki, jakby doprawdy nie było kwestii poważniejszych, nie kłamię. Skrótowno wyjaśniam, co i jak. I co na ten temat myślę. Próbują mi czasem przemówić do rozumu, ale rozgrzeszenie otrzymuję zawsze. Ostatnio zresztą wcale nie pytają, co wydaje mi się raczej nie przypadkiem, lecz delikatną zmianą kursu mojego kościoła w tej sprawie. Takie mam wrażenie. A jeśli się myślę, to trudno. To akurat jestem w stanie wziąć na siebie. Wytlumaczę się Mu sama, kiedy przyjdzie czas. I kropka.

Tylko przypadek Gosi mną wstrząsnął, głównie dlatego, że tak wstrząsnął Gosią.

Klasyczny przypadek, kiedy pojawia się pytanie o granice wolności.

A Magda, a propos wolności, promienieje na razie spokojnym szczęściem, bo życie zdjęło z niej odpowiedzialność za najważniejszą decyzję. Ona jest klinicznym przykładem, że wolność wyboru bywa ciężkim utrapieniem i nie bardzo wiadomo, co z nią zrobić. Szybko się pozbierała, przepłynęła nad swoją alternatywną przyszłością jak rzeka i zostawiła ją za sobą. Na razie nie myśli o Zygmuncie. Ale wróci to do niej jeszcze, oj, wróci. Ja to wiem. Ale też przepłynie nad tymi powrotami, z szumem i wzburzeniem. Ale do przodu. To nieprawda, że można żyć, nie oglądając się za siebie. Każdy się ogląda, i co z tego? Są tacy, którym przeznaczona jest rola kamieni. Niekiedy milowych. Przynoszą szum i zawirowanie i sprawiają, że podróż jest ciekawsza. A są tacy, którzy płyną z nami jedną tratwą i unosi ich ten sam prąd. Tak zwyczajni, że można ich nie

zauważyć, czasami, a przecież nieraz zostawiamy stery w ich rękach, zwłaszcza kiedy nie podoba nam się ten rejs. Czasami uda nam się porwać z brzegu maleńki kamyczek. Na pamiątkę. Ja na przykład mam w pudełku zasuszone trzy białe róże. Dla wszystkich pozostałych wyglądają jak brązowe, suche i pomarszczone. Gdybym tylko je chciała komukolwiek pokazać, na pewno by się zdumiał, po co w ogóle je trzymam. Dla mnie pozostaną już na zawsze białe, a dokładniej kremowe, o płatkach delikatnych jak tam-

226

te wspomnienia. Taką już mam wadę wzroku. Ale tamten kamień milowy minęłam i podążam dalej. Reszta jest milczeniem.

Magda poleciała na szybkie zakupy, bo dopadła ją nagle ochota na sałatkę. Z makrelą, avocado i naciowym selerem. Niedługo Kazimierz będzie, jak mój mąż niedawno, pędził w środku nocy po frytki pod dworzec, bo Madzia nie zamierza mu w niczym popuścić. Nawet nie ma zamiaru oszczędzić mu szkoły rodzenia. Ja byłam dla swojego bardziej litościwa. Oszczędziłam rozrywki i jemu, i sobie. Ale ja mam fragmentaryczne wykształcenie medyczne i uznałam, że to mi wystarczy, a poród i tak będzie biegł swoim trybem, niezależnie od mojego przeszkolenia na sucho. Magda natomiast uważa, że Kaziowi nie zaszkodzi, bo na razie się nabija, kiedy ona przemawia do własnego brzucha. Magda też się nabija, jak przemawia. Bo do Agatki jej się jakoś nie chciało. Twierdzi, że wtedy nie wierzyła, że jest matką, dopóki nie dostała w rękę zawiniątka, z którego wyglądały czarne, mętne oczka i czerwony, pomarszczony nos niewątpliwie ludzkiej istoty. A teraz już wie, że w jej wnętrzu mieszka mały ktoś. Na razie nie większy od krewetki.

Wysiało nam tych cięż, swoją drogą. Muszę się mieć na baczności, bo znów dookoła same wielkie brzuchy, a Malwinka jeszcze na dobre nie zaczęła chodzić. Wcześniej mi się zaczyna.

Tfu, nic się nie zaczyna. Najpierw muszę skończyć te cholerne studia. I zająć się na dobre pracą zarobkową. Potem zobaczymy. Na razie pochwa w supeł, witaminka C między kolanka i mocno trzymać. Przez najbliższe trzy lata. Taki mam ambitny plan.

A Paulinka zaczęła już wyglądać jak kobieta ciężarna. Rośnie wszerek w sposób niekontrolowany, bo puściły jej wszelkie hamulce, dodatkowo rekompensuje sobie brak nałogów i zżera wszystko, co wpadnie jej w pole widzenia i jest w miarę zgodne z dietą cukrzycową. W związku z czym wrzeszcza na nią tabuny lekarzy. Bo nie trzyma limitów, jeśli chodzi o ilość. Wystarczająco wyczerpuje ją pilnowanie jakości. Nie chcę się czepiać, ale chyba lepiej by było na odwrót. Jasiak też wygląda na zadowolonego, choć musiał przesunąć stypendium prawie o pół roku. Paulinka tak zdecydowała, gdyż twierdzi, że z dzieckiem już sobie poradzi, a z przestrzeganiem diety nie za bardzo. Cóż, jeszcze nie wie, co ją czeka. Chociaż może ma rację. Taki typ. Poradzi sobie z największymi zakrętami, na złość całej-

227

mu światu, po czym wymięknie na własnej psychice. Może więc faktycznie lepiej jej pilnować właśnie teraz. I Jasiak się stara. Wyrzywa Pauli z pyska placki ziemniaczane i wysłuchuje różnych gróźb karalnych na przemian z wyrazami skruchy. Już nie ma mowy o psuciu kariery i podobnych bzdetach. Rozkwitają jak pączki na wiosnę.

A Miśka mówi przez sen fajne rzeczy. Ostatnio na przykład usiadła na łóżku, z zaciśniętymi oczami, bo właśnie przez pomyłkę zapaliłam światło, i wyrecytowała głębokim głosem: „Tak naprawdę, to nie ma słońca, gwiazd ani księżycy. Jest tylko blacha, pomalowana na złoto”. Po czym walnęła się z powrotem w piernaty. Innym razem powiedziała wyraźnie: „I zdziwili się bardzo, i szczęki im wypadły”. I też zapadła w głęboki sen.

To mi przypomniało moją koleżankę Kaśkę, która w czasach licealnych należała do naszej najściślejszej paczki. Paczka składała się dokładnie z Kaśki, ze mnie samej i z naszych chłopaków, w moim wypadku pojawiających się naprzemiennie, bo miałam dwóch i nie mogłam się zdecydować. Jeden należał do paczki trochę bardziej, drugi trochę mniej, niekiedy wyjeżdżali z nami jednocześnie -dopiero miałam urozmaicone życie, a wszyscy wraz ze mną. Bo paczka była wyjazdowa, nosiło nas po świecie, a zwłaszcza po górach. Nałogowo grywaliśmy w brydża, jako że była nas zazwyczaj czwórka, przy czym ja robiłam bardziej za atrapę, bo mimo intensywnych starań otoczenia ni cholery z tej gry nie rozumiałam. Najlepiej to się nauczyłam tak kombinować z

licytacją, żeby zostać stołem, i dziwię się do dziś, że żaden z moich partnerów mnie wtedy nie zabił. Możliwe, że obaj mnie naprawdę kochali. Najgorzej było późnym wieczorem, bo Kaśka była typowym skowronkiem i wieczorami to ona wolała być stołem, w związku z czym ja mobilizowałam siły umysłowe, a zębami zgrzytał jej partner życiowy. I brydżowy, dwa w jednym. Któregoś wieczora Kaśka wyłożyła stół i poszła się zdrzemnąć na chwilę, co dość często oznaczało koniec gry w ogóle, gdyż stół nie chciał na powrót zmienić się w człowieka. Ale tymczasem graliśmy, Michał rozgrywał ileś tam trefli, ja usiłowałam przeszkodzić, w czym całe życie byłam w miarę dobra, nie tylko przy kartach, a Kaśka spała. Nagle usiadła na łóżku i nie otwierając oczu zaproponowała nam z ożywieniem:

- Wiecie co? Zagrajmy w pinczerka-pończoszka, po sześć każdy! Będzie fajnie!

228

Po czym walnęła się w bety z powrotem. Nieco ogłuszeni propozycją, zażądaliśmy dalszych wyjaśnień.

- Jakiego pinczerka? - zapytała półprzyciemnie, wyrwana przez nas z błogiej drzemki. - Co wam znów odbiło?

Wyjaśniliśmy jej sytuację. Zastanowiła się głęboko, ale niestety, nic nie pamiętała. Jakiego pinczerka i dlaczego po sześć. I to każdy.

Łosoś też był niezły. Na którymś obozie naukowym, chyba w maturalnej, zerwał się nagle z własnej karimaty i kategorycznie kazał nam unikać jeża-bratobójcy. Obiecaliśmy unikać, ale również zaciekawili nas dalsze szczegóły. Niestety, przywrócony do jakiejś takiej świadomości Łosoś nic nie pamiętał. Ponadto Łosoś, w każdej fazie drzemki zapytany: „Śpisz?“, odpowiadał nieodmiennie: „A co to ja, kurna, jestem? Śpiąca Królowa?“. Po czym spał dalej.

Nie szukając daleko, ja sama kiedyś usnęłam zniecka na ławie w schronisku, znużona dyskusją. Po czym, gdy towarzystwo omawiało wady i zalety naszych profesorów, z przewagą tych pierwszych, zniecka postanowiłam włączyć się w rozmowę.

- Wiem tylko, że na mojej pokrywce Przemek smażył jajecznicę! - oświadczyłam, jak donieśli mi liczni świadkowie. Sama obudziłam się w połowie tej kwestii i, w przeciwieństwie do poprzedników, po pewnej mobilizacji szarych komórek zdołałam nawet udzielić wyjaśnień. Otóż trzy lata wcześniej, na pierwszym obozie, Przemek faktycznie smażył jajecznicę. W braku patelni posłużył się pokrywką od menażki, nieszczęśliwie moją, i przypalił na mur.

- Rany, nie wiedziałem, że masz do mnie pretensje! - przeraził się Przemek, obecny w towarzystwie. - Odkupię ci komplet!

- Nie trzeba! - uspokoiłam go. - Nie gniewam się na trzeźwo, coś mi się tylko przez sen ubzdurało...

- Tak, a potem w schronisku przez sen mnie udusisz... Może ci jednak odkupię?

Zarzekałam się, że nie trzeba. Zemsty dokonał zresztą mój ówczesny chłopak. Też w schronisku i też w środku nocy. Coś mu się przyśniło i ugryzł Przemka w dupę. Przez śpiwór. Przemek spał najbliżej. Przysięgam, że to nie jest fikcja literacka. Są na to liczni świadkowie. Prawie cała klasa. Ryk Przemka wyrwał ze snu niemal wszystkich. Ja tylko błogosławiłam w duchu pana profesora, który pilnował naszej moralności, i tym razem dziewczęta, wszystkie siedem - to była klasa z przewagą płci męskiej - poszły spać w od-

229

dzielnym pokoju. Swoją drogą też nie wiem, co w tego mojego wstąpiło. Od lat kilkunastu żyję z nim mniej lub bardziej legalnie, zaryzykowałam, i jeszcze mnie do tej pory nie ugryzł. Może jednak postanowił odegrać się za moje menażki.

Tak więc życie powoli wraca do normy, wszystkim po kolei. Anka ma upatrzone mieszkanie swoich marzeń, z widokiem na Wawel, i jej ojciec nawet wyraził wstępną zgodę. Czeka ją, aż pani właścicielka pozałatwia jakieś tam formalności, bo mieszkanie formalnie należy do jej synka, nieobecnego w kraju od lat, i potrzebna jest jego aktualna zgoda. Trzymamy kciuki, żeby wszystko udało się załatwić, bo Ance wściekle zależy.

Na razie rozpoczął się sezon wyprzedaży, odzieżowej i nie tylko. I Anka chodzi po mieście z zaciśniętymi zębami, bo nie stać jej nawet na rękawiczki z przeceny. Mimo że siedzi w szpitalu do piątej i zniczuła wszystkich jak leci, bo pani doktor, która miała być jej opiekunem, zmieniła się

zniecka z lekarza w pacjenta, bo coś jej się tam skomplikowało wewnętrznie i zostawiła Ankę z całą menażerią i tylko jednym starszym lekarzem do pomocy, któremu się z tyłka kurzy, bo próbuje obsłużyć dwa oddziały naraz.

A w Banasiu była wizytacja dresów. Niemiła. Zaczęło się od tego, że rozstawili ogródek (personel, nie dresy) - półlegalnie, bo pozwolenie jest od piętnastego marca, a dziś mija czwarty, ale słońce przygrzało i cała rozrywkowa dzielnica zgodnie nakichała na terminy. W pół godziny wszędzie zakwitły kolorowe parasole, aż Straż Miejska dostała oczopląsu i nie wiedziała, za kogo się złapać, więc odczepiła się w ogóle. Albo pojechała po posiłki. No i wczesnym popołudniem przyszło stado łysych, rozsiedli się w ogródku i wyjęli własne puszki z browarem. Mięcia szlag trafił, ale nic nie powiedział, bo był chwilowo sam, no i w dodatku był zgrzyt z tym terminem. Ale w pół godziny później od strony zaplecza przybył Kazio z pękiem nowych mopów, bo akurat go zawiało do Makro, zobaczył dwóch łysolców wyjmujących lufkę i polecił wykazywać odwagę cywilną, zanim Miecio zdołał go powstrzymać.

- Ty, spierdalaj! - wrzasnął na jednego z łysych, zaciągającego się w biały dzień trawskiem. Łysy wstał leniwie i Kazio spostrzegł z konsternacją, że typek przerasta go o dobre pół głowy, a przy kolejnych

230

dwóch stolikach, ukrytych za węglem, siedzi dwunastu identycznych łysych, jakby sklonowanych, i gapi się na niego pustymi oczami.

- Ty spierdalaj! - poradził mu łysy nieomal życzliwie.

- Okej - Kazio okazał ugodowy charakter i sprawnie wykonał polecenie. Razem z Mietkiem zastanawiali się, co dalej. W kilka minut później na horyzoncie pojawił się radiowóz. Dwóch smutnych panów, pukających przezornie od strony zaplecza, zostało przywitanych nieomal radośnie. Niesłusznie. Panowie mieli zgłoszenie, że w ogródku jest za głośno, i przyszli sprawdzić pozwolenia oraz ukarać mandatem barmana, gdyż, jak wiadomo, głośność w ogródku jest winą barmana niezależnie od okoliczności. Barman powinien do piwa na ogródek dołączać klientom kneble gratis. Kazio z rezygnacją wziął winę na siebie i zobowiązał się zwinąć ogródek, pod warunkiem, że panowie mu pomogą pozbyć się zalegającej w nim klienteli.

- To, proszę pana, nie jest nasza sprawa - usłyszał w odpowiedzi. - Dostaliśmy wezwanie o głośność. Państwo mają się uciszyć.

Mietek zacisnął usta w linijkę oraz demonstracyjnie wyłączył muzykę. Z ogródka dobiegł ryk protestu.

- My jesteśmy cicho - powiedział Kazimierz. - Czy mogą panowie wywrzeć wpływ na panów? Tych w ogródku? Tyle że może jednak nie z lokalu, bo będziemy mieli przerąbane.

- Nas jest dwóch - powiedział mu policjant na wypadek, gdyby Kazio sam nie zauważył.

- Nas też - podsunął mu Miecio. - Razem czterech. Mogliby panowie wyjść zapleczem i przejść się spacerkiem od frontu, niby że przypadkiem. Tylko tyle.

Pomysł został starannie rozważony, aż panu pot wystąpił na umundurowane czoło. W tym momencie do lokalu wszedł jeden z łysoli. Pewnie chciał do kibla. Cofnęło go z lekka na widok mundurów i zawrócił do kumpli. Po chwili ekipa zaczęła się zbierać. Kazio westchnął. Wyjdzie, że to oni wzywali. Kicha.

- W każdym razie dziękujemy panom za interwencję - mruknął smętnie.

- Nie ma za co - przyznał policjant. - Dwieście złotych. Za zakłócanie spokoju mieszkańcom.

Którego z panów mam spisać?

Kazio westchnął i wyciągnął dowód osobisty. Wysłuchali jeszcze pouczenia w temacie rozstawiania stolików bez zezwolenia. Następnym razem będzie mandat też za to. Panowie mundurowi

231

opuścili bohatersko lokal wejściem głównym i przespacerowali się przez opustoszały ogródek.

Mietek z Kazikiem spojrzeli po sobie.

- Kudłaty ich zna - pocieszył się Miecio i nie miał na myśli panów policjantów, choć Kudłaty znał ich także. - On zna wszystkich łysoli w tym mieście. Może im wytłumaczy, że to nie my ściągnęliśmy tu władzę.

- Mam nadzieję - Kazio westchnął po raz setny. - Na coś w końcu się musi przydać pan ochrona. Kudłaty chcąc nie chcąc wyruszył na poszukiwanie zgranej łysej paczki, znalazł i wytłumaczył. Na szczęście. Podsunął też swoim kolegom, że Smutny Banaś nie jest zbyt dobry na zgromadzenia panów w odzieży sportowej, gdyż wokół mieszkają nerwowi sąsiedzi, wydzwanają do władz porządkowych i biedna ekipa nic na to nie poradzi. Kupił im dwie flaszki i było po sprawie. Nie mając odpowiednia opieka i poczucie bezpieczeństwa. Tylko po co do tego panowie w mundurach? Pijmy, póki się nie ściemnia

W Banasiu impreza, z wielu różnych przyczyn. Zamknięta, co się rzadko zdarza, ale nie chcemy dziś żadnych intruzów. I tak jest nas dużo, obsiedliśmy całą salę - na dole, bo góra została dla przygodnej ludności. My okupujemy tę obok tanecznej, bo tańce też są w planie. Zatrudniliśmy całą rzeszę babć i opiekunek, bo dzisiaj mają być absolutnie wszyscy, pić i świętować, na ile tylko pozwolą stan i kondycja. Złożyło się na to milion rzeczy. Więc jesteśmy w komplecie.

Jest Duduś i jego żona, pierwszy raz w zestawie, od kiedy urodził się im synek. Wcale nie trzeba było jej bardzo namawiać. Jest to impreza także na ich cześć. Na cześć Dudusia, który poprawił swojej firmie wyniki finansowe i dostał pierwszą w swoim życiu dużą premię. Połowę wydał na swoją uroczą małżonkę, fundując jej suknię, buty i fuli wypas u kosmetyczki - z radości, że w końcu został wpuszczony do łóżka, jak dość złośliwie wypaplał Pawełek, nie odmawiając sobie nawet pełnej zadumy refleksji na temat, w jakim stopniu atrakcyjność seksualna Dudusia wzrosła po otrzymaniu premii. Duduś to wieczne dziecko. Jeszcze się nie nauczył, że są takie

232

rzeczy, których nawet na dużej bani nie mówi się Pawełkowi, chyba że chce się koniecznie, aby wiedział o nich cały świat. Ale może Du-dusiowi to zupełnie zwisa. W każdym razie teraz patrzy na swoją ślubną jak spaniel na kości, para mu z uszu bucha i je jej z ręki. Chyba dziś nie będzie macał nikogo innego. Impreza jest też po części na chwałę ich synka, bo właśnie wyszedł mu pierwszy ząb, dość wcześnie wedle tabelki z mojego podręcznika. Duduś jest dumny, że jego dziecko takie przyspieszone w rozwoju i ma nadzieję, że tak mu zostanie. I młody zakasuje kiedyś cały świat. Jego żona jest dzisiaj piękna i dowcipna i nie wygląda, nic a nic, na kogoś, kto nie przepada za posiadówami w knajpach. Przebiera nogami i czeka na tańce.

Jest Gosia, blada i wymizerowana, ale w końcu z nami. Siedzi na kolanach Andrzejowi, choć są wolne krzesła, i w końcu się uśmiecha. Oboje palą swoje własne papierosy, choć są niezdrowe oraz rakotwórcze, i bije od nich blask spokojnego szczęścia. Jest to impreza na cześć naszej Gosi, jak najbardziej. Wznosimy za nią piętrowe toasty, jeden za drugim, choć sama Gosia pije tylko soczek. Za to Andrzej wypłukuje z siebie cały stres za pomocą finlan-dii, a jego surowa małżonka w pełni to aprobuje. Należy mu się. Coś się w nich zmieniło, w obydwójgu, są jakby bardziej razem i bez przerwy szepczą coś sobie na ucho, śmiejąc się i chichocząc. I nikomu to nie przeszkadza.

Jest Magda w nowej, prześlicznej fryzurze, powarkuje jak dawniej i obciąża na sobie błękitną tunikę, ostentacyjnie ciężową, choć na razie schudła, bo rzyga jak kotek. Popatrzyła na wejściu z niepokojem na Gosię, jakby nagle zdała sobie sprawę z jakiegoś nietaktu, ale Gośka wstała na chwilę z kolan swego męża, pogładziła ją po płaskim jeszcze brzuchu i serdecznie ucałowała. W oba policzki. Obie coś tam sobie jeszcze poszeptały i obie miały przez chwilę mokre oczy. Czemu nikt się nie dziwił. Potem przyszedł Kazio i klepnął Magdę w tyłek, na co jak zwykle fuknęła, ale z satysfakcją. Impreza jest również na cześć tej dwójki i robi za oficjalne, huczne zaręczyny, bo tamte zostały pущzone w niepamięć. Ustalili już termin ślubu. Kościelnego. Magda marzy o białej sukience, tyle że bez welonu, gdyż, jak powiedziała, istnieją pewne granice hipokryzji. Kazio zgodziłby się nawet na ceremonię w obrządku hinduskim, a tak w ogóle marzy o tym, żeby w ich życiu zapanował ład i porządek. Więc w ramach generalnych życiowych porządków ślubu udzieli im nasz

233

Ojciec L. Kazio postanowił udać się nawet do spowiedzi. Ma tylko nadzieję, że spowiednik będzie młody i tolerancyjny - lub odwrotnie: stary, ale doświadczony - i nie zejdzie na zawał. Do Ojca L. nie chce, bo ma wrażenie że Ojciec go lubi; wolałby, żeby tak zostało. Jest też inna okazja, związana z tą dwójką i przyległościami: Smutny Banaś wyszedł właśnie z zimowej zapaści i zaczął

w końcu zarabiać na sobie, po półrocznej przerwie. Więc jest to impreza na cześć wszystkich, którym zawdzięczają sukces finansowy. Mięcia, Pawła, Gibelca i naszej Paulinki, która też przyszła, razem z reklamówką przekąsek dla cukrzyków, żeby nie musiała zaglądać nam w zęby. Jasiak jej pilnuje i oka z niej nie spuszcza. Jest zadowolony, bo Paulina nie przerwała studiów i udało jej się nadrobić wszystkie zaległości, jak tylko doktory pozwoliły jej wstać. Tak więc mimo ciężowych komplikacji nie zawali roku i młody naukowiec będzie miał jednak wykształconą żonę. Więc patrzy na nią z dumą i nadzieją.

Ja też nadrobiłam wszystkie zaległości! Na studiach. I też mam nadzieję je skończyć! Poza tym w wydawnictwie jest już moja książka - niby nic, śmieszne, głupkowate opowiadania, ale to mój debiut i też jestem dumna. I wszyscy wokół też są ze mnie dumni i piją moje zdrowie. A jeszcze - zapomniałam i ciekawe, co by na to Freud powiedział - Duduś też debiutuje. Pozazdrościł mi i czym prędzej posłał do wydawnictwa swoje dzieło, które wyprodukował cichaczem w te tragiczne wieczory, kiedy rodzina nie chciała się uśpić i musiał siedzieć w domu i robić za odpowiedzialną głowę. I stał się cud, przyjęli od ręki. Choć to może nie cud, tylko Duduś jest rzetelnie utalentowany. Jego dzieło to już grubsza sprawa, i w końcu Duduś będzie „znaną literata”, jak od dawna wszyscy podejrzewaliśmy. Tak więc z Dudusiem patrzymy na siebie i zazdrościmy sobie wzajemnie. Duduś mi zazdrości na objętość i dlatego, że moje dzieło ma się ukazać w większej liczbie egzemplarzy, jak przystało na literaturę masową oraz rozrywkową. Ja mu zazdroścę, bo jego przyjęli od pierwszego kopa i nie musiał wysyłać, jak ja, po całej Polsce kilogramów makulatury. Oraz tego, że nad jego pozycją już wydziwiają tak zwane nazwiska, a nade mną co najwyżej będą chichotać panie po kioskach. Mój mąż ma uciechę i mówi mi, że nie mam co zazdrościć, tylko spokojnie i na luzie robić swoje, bo Duduś nie jest dla mnie żadną konkurencją. Przy okazji w trzech słowach wyjaśnił mi różnicę między literaturą roz-

234

rywkową, której oddają się, i literaturą wyższą, do której pretenduje Duduś, a ja raczej nie, bo nie chcę oraz nie potrafię.

- Bo ty, Marta, jak piszesz, to prosto. Konkretnie. „Wszedł, pierdnął i wyszedł”. I wszyscy się cieszą. I tak ma być. To jest właśnie literatura rozrywkowa. A jak pisze Duduś, to jest piękny i nastrojowy opis tego, że wszedł i dlaczego, i co to zmieniło w obrotach sfer niebieskich. A tego, że pierdnął i wyszedł, to już się musisz domyślić. I na tym polega wyższa literatura.

Aha.

W każdym razie piją za nas równo.

A Kudłaty pozazdrościł i zakłada swoją knajpę, z kapitału, który spadł nań z nieba, to znaczy ze spadku po majątnej babci. Kudłaty ma nadzieję, że życie pozagrobowe to bajka i babcia mu kiedyś po pysku nie nakładzie. Natomiast sporą uciechę miałby z takiego rozporządzenia mieniem po małżonce świętej pamięci dziadek. Który z knajp, dopóki mógł, niemal nie wyłąził. Knajpa zresztą będzie się nazywać Karabela, na cześć dziadka i jego burzliwej młodości. Zabytkowa karabela zawisnie nad barem i nasz pan ochrona ma nadzieję, że jej upilnuje. Zarówno knajpy, jak i karabeli. W każdym razie ma zamiar zatrudnić sam młody narybek i wychować go po swojemu. Wojskowy dryl i dyscyplina. Żadnego picia w pracy, żadnego spoufalania się z szefostwem. „Dzień dobry panu” i mundurki służbowe. Kudłaty sam był personelem ładnych parę lat i ma doświadczenie. Podśmiewamy się z niego i trzymamy kciuki, żeby mu wyszło, jak sobie wymarzył. Niech ma. Na razie walczy, biedak, z papierkami. I z sanepidem, który kazał mu dowiesić piątą umywalkę, bo cztery nie wystarczą. Musi być piąta, a najlepiej i szósta, na wypadek, gdyby Kudłaty chciał rozbierać świeże mięso. Kudłaty powiedział, że jak będzie chciał rozbierać świeże mięso, to raczej nie w pracy i umywalka mu do tego niepotrzebna, lepszy byłby prysznic, ale pani nie załapała i tłumaczyła mu z kamienną twarzą, że rozbiór mięsa może mu się przydać, a inwestycja niewielka. Kudłaty poddał się i obiecał przemyśleć sprawę. Kazik się roześmiał i powiedział, że może mu ofiarować dwie umywalki pozostałe z remontu i Kudłaty będzie mógł rozbierać, co tylko zechce. W ogóle to fajnie jest urządzać knajpę, jak się ma fundusze i mnóstwo znajomych. A Kudłaty ma. Więc będzie nowa, bardzo fajna knajpa. Dwie zakręcone artystki, wielbicielki Mięcia, a po

235

trosze też Kudłatego, robią mu wystrój pod tę karabelę. Klimacik jest niezły, odbyło się już kilka nielegalnych imprez na gruzowisku, z podkładem muzycznym z trzeszczącego radia, które przełączały duchy. Podobno w sąsiedniej piwnicy, parę lat temu adaptowanej na potrzeby banku, znaleziono szkielet. No i teraz Karabela ma własnego ducha, który widocznie uznał, że w banku jest nudno i wizytuje pomieszczenia obok. Chodzi po gruzie, aż mu pod stopami chrupie i zniecka przełącza radio na inne kanały. Szczególnie upodobał sobie Radio Jazz, zupełnie jak mój mąż. Sama słyszałam, jak się przełączyło, choć wszyscy pili w innym pomieszczeniu. Zrobiło nam się tak nastrojowo, że chodziliśmy do kibla stadami. A duch chrząścił gruzem i łapał w eterze acid jazz. Będzie fajnie.

A Mietek zaprosił dziś swoją dziewczynę, Kingusię, i już nie patrzy przez nią tak na wylot. Ruszyli w tany jako pierwsi, bo Mietek dzisiaj jest tu towarzysko. Za bar wszedł Pawełek z Lidką - najnowszym nabytkiem Banasia, która ma na razie zastąpić Paulinkę.

Lidka kończy teatrologię, ale na szczęście wie, kim był Petrarka. Zdziwiła się mocno, gdyż było to pierwsze pytanie, jakie padło w ramach rozmowy o pracę, po uważnym przeanalizowaniu jej CV przez Magdę i dołączonego zdjęcia przez Kazimierza. Lidusia jest miła, tylko na razie piwo jej się pieni i zalewa potokami cały bar na dole. Ale to jej przejdzie, a tak w ogóle to wygląda na przytomną dziewczynę. Chociaż wczoraj zrobiła drinka stulecia. Mianowicie przyszedł klient, zamówił drinka o wdzięcznej nazwie Kaffa na raffach, o tyle skomplikowany, że składa się z trzech warstw, które nie powinny się mieszać ze sobą, tylko utworzyć rodzaj flagi. Miecio postanowił rzucić Lidkę na głęboką wodę i kazał jej spreparować cudo. Dał karteczkę z przepisem, na której był tylko skład, bez proporcji. Lidce z przerażenia oczy w słup stanęły. Ale Miecio był bezlitosny.

- Mniej więcej po równo, do szklanki od shortów, bo to short. Lej po łyżeczce - rzucił jej nonszalancko i wyszedł na zaplecze.

- Po łyżeczce? - zdumiała się Lidka.

- No po łyżeczce, wtedy się nie miesza - dobiegł z zaplecza baryton Mięcia. Lidka wrzuciła ramionami. Odmierzyła starannie, wlała trzy składniki po kolei do niewielkiej szklaneczki, którą wskazał jej Mietek jako tę do shortów, po czym uniosła swe dzieło do góry i przyjrzała mu się krytycznie. Klient również wytrzeszczył oczy. Lidka poczuła się trochę niepewnie i poszła na zaplecze poszukiwać Mięcia.

236

- Słuchaj, czy to na pewno ma tak wyglądać? - spytała, unosząc do góry rękę ze szklaneczką. Mietek zakrztusił się dymem, bo właśnie relaksował się z pomocą papieroska. - Chyba jednak użyłam niewłaściwej szklanki?

- Co to ma być? - wycharczał Mietek, wskazując na szklanę. Na dnie telepała się niewielka ilość płynu, może nawet tworzącego warstwy, ale pewność można było uzyskać jedynie po oględzinach pod mikroskopem.

- No... Kaffa na raffach - odrzekła nieśmiało Lidusia. - Zrobiłam, jak kazałeś...

- Ale dlaczego tyle? - jęknął Miecio - Obsługujesz krasnoludki?

- Nie, no też się dziwię, ale sam kazałeś. Po łyżeczce. To nalałam. Łyżeczkę tego, łyżeczkę tamtego i syropu też łyżeczkę. W równych ilościach. Żle?

Mietek zrozumiał i zwinął się w ósemkę.

- PO łyżeczce, dziewczyno, PO łyżeczce miałaś lać! Nie łyżeczkę każdego! Mówiłem o sposobie nalewania, a nie o ilości - wykrztusił, ocierając oczy. - Rozumiesz, chciałem żebyś włożyła do szklanki łyżeczkę i strumień likieru kierowała tak, by spływał w dół PO łyżeczce, no ja nie mogę... Wtedy się nie miesza i wychodzą warstwy, rozumiesz? A ta szklaneczka ma niecałą stówkę, trzeba wlać tak po trzydzieści mililitrów. Byłem ciekaw, czy znajdziesz sposób, żeby to odmierzyć; wiesz, taki test na inteligencję - powiedział słabo Mietek i zawył. Lidka, zrozumiawszy w czym dzieło, wcale się nie nadeła. Spłakała się ze śmiechu tak, że jej się precyzyjny makijaż rozmazał, po czym poleciała uszczęśliwić opowieścią nieco zniecierpliwionego klienta. Klient też się mało nie posikał z radości i zostawił jej nawet napiwek na dobry początek.

Mietek uznał, że z Lidki może jeszcze będą kiedyś ludzie i jest pewna szansa, że sobie poradzi.

Poradzi sobie, już Pawełek się o to postara. Jak ją zobaczył, to jęzor zwiesił aż do pasa i teraz mu

dynda na boki. Z zapalem wprowadza Lidusie w tajniki pracy za barem i to znacznie przystepniej niz Miecio. Mozna powiedziec wręcz, ze oprowadza japo barmań-skim swiecie za rączkę, a oczka mu blyszczą.

Anka wydaje sie zadowolona z takiego obrotu sprawy, bo romans z tym z Radomia nabiera rumieńców. Do tego stopnia, ze wstrzymala sie nagle z zakupem mieszkania i przebakuje o dwupokojowym, ja-

237

ko ze jest jednak bardziej rozwojowe, i juz tak nie prycha, kiedy pytam, jak bedzie wnosic wozek na piate pietro bez windy. Przedtem pryчала i warczala na mnie, ze biorę pod uwage rzeczy bez znaczenia. Pijemy tez zdrowie Anki -jako tej, która w ostatnim tygodniu pracowala juz samodzielnie, bez nadzoru i wszystkim jej pacjentom udalo sie przeżyć. Udalo jej sie tez splawic doktora ?. I w ogole coraz bardziej lubi prace. Łaczenie z dyżurami. Wyrabia nam sie dziewczę. Andrzeja pion złapal pion i mojego meza rowniez. Mamy tym samym w towarzystwie dwóch szanownych panów dyrektorów -czapki z głów. Wszystko przed nami.

Przed nami wiosna i gorace lato, i poród Paulinki, i ponowna operacja Goški, i wizyty dresów, i pań z sanepidu, i złamana noga Adelki, która wjechała na rolnkach w kolejnego jamnika, i włoczenie sie z Miską po licznych lekarzach, bo jej wyrosly węzły wokół szyi i napędzila nam niezlego stracha, i boje Banasia o koncesję, z sąsiadami, i Magdy załamka po wizycie w Warszawie - „O kurcze, co ja narobilam" - i dwa kolejne wyjazdy Kazimierza w siną dal, i afery, i powroty, i bardzo piękny ślub, i Mietka z Pawelkiem awantury i wybryki, i dwie następane ciąży, w tym jedna nieślubna, Kin-gusi, a jedna moja własna, tez niespecjalnie planowana, i awaria pompy w Banasiu z powodu powodzi stulecia, Gibelec latający po nocy w samych majtkach, i impreza stulecia z tej prostej przyczyny, ze udalo mi sie po latach wejść na szósty rok, i lzy, i dramaty, i śpiewy do rana, i tańce na barze, i nowy na nim blat po tym, jak pod moim meżem, Goški meżem i Magdy meżem załamał sie stary, i wielka awantura o to, kto przedawkował alkohol jednej pięknej pani, na którą miał ochotę cały męski personel, ale przesadzili we wstępny zmiekczeniu i pani poszła spać, zwisając z bufetu, i nie nadawala sie juz do niczego, i wielki literacki sukces naszego Dudusia, którego wreszcie powielili w nalezytej liczbie egzemplarzy i docenili odpowiednią ilość alkoholu, narkotykowych odjazdów, patologii społecznych i dewiacji seksualnych w jego wybitnej prozie, przyznając mu jedną z prestiżowych nagród, i Duduś nareszcie wyposażył swoją kuchnię w meble, bo przedtem miał tylko blat, elektryczną kuchnię i zlew używany, i Anki wielka miłość z kolejnym doktorem, tym razem prowadząca do legalizacji sprawy po cywilnemu z perspektywą kościelną, z domkiem pod Krakowem, drobne

238

czterysta metrów kwadratowych z ogrodem jak dzungla, i wyjazd Magdy z rodziną do Australii, bo znudziły im sie boje z sąsiadami, wciskanie biednym placówkom medycznym drogich leków (Magda) i notoryczny brak odczynników niezbędnych do pracy naukowej (Kazik), i przekazanie Banasia w ręce Mięcia z rodziną, juz ślubną, i wyjazd do Stanów Goški wraz z Andrzejem, po kilogramy nowej nadziei na lepszy obrót spraw, i mój własny poród, niezmiernie skomplikowany, po którym dostałam w ramiona wrzeszczącego synka, całego i zdrowego, choć zmęczonego jak ja, najwspanialszego, po moim ślubnym, faceta na swiecie, dzięki któremu dowiedziałam sie w końcu, ze człowiek może sypiać na dobę tak z piętnaście minut i przeżyć, i życie jest piękne bez żadnych zastrzeżeń.

Noc, jedna z wielu

Noc. Dzieci śpią. Koty śpią. Popijamy sobie zgodnie winko, każde przed swoim monitorem, błyskającym w półmroku. Zasilacz od komputera mruczy jak zadowolone zwierzątko. Mój mąż wstaje, przeciąga sie, aż mu trzeszczy w stawach, pochyla sie nade mną i opiera mi leniwie brode na ramieniu. Podczytuje od niechcenia to, co pojawia sie na moim ekranie.

Jest jedyną istotą w niebie i na ziemi, której czasem na to pozwalam. Resztę gryzę bez uprzedzenia. Mąż chichocze, bo na tapecie mam właśnie Dudusia i jego nawyki.

- Ciekawe, na jak długo starczy ci tak zwanych smaczków z życia -zastanawia sie szeptem, a jego ciepły oddech łaskocze mnie w ucho, aż przelatuje po mnie dreszcz z gatunku tych przyjemnych i

obiecujących.
Wzruszam ramionami.
Spokojnie, wystarczy. Na długo.
Dopóki życie trwa i śmieją się śmiechy w ciemności.
I tylko taką mnie ścieżką poprowadź.
Jest wiele osób,
których ogromna życzliwość dodała mi odwagi
i pomogła odnaleźć zagubioną ścieżkę.
Wśród nich jedna, szczególna:
Pani Teresko, Dziękuję.

Marta Madera

Marta Madera - matka, żona, studentka. Miłośniczka kotów, sałatki z krewetek, kawiarnianego półmroku i krakowskiego Kazimierza, który przez długi czas był dla niej miejscem pracy zarobkowej, zabawy i ucieczki od zębatej rzeczywistości. Do dziś - choć nie pracuje już w gastronomii - knajpy na Kazimierzu są dla niej środowiskiem niemal naturalnym. Ma tu swoje ulubione miejsca, gdzie zasiada z odrapanym komputerem z przeceny, kubkiem kawy albo herbaty i łączy barowe żarciki, podsłuchuje klientów, wspomina i pisze. Barmani i stali bywalcy podczytują ukradkiem i dorzucają swoje trzy grosze. Czasem cztery.

„Przyjaciele” to historia grupy bliskich sobie krakowian, opowiedziana w wielu odsłonach. Łączy ich przyjaźń, a przede wszystkim Kazimierz i knajpka Banaś - właściwie Smutny Banaś - w której spotykają się, by komentować codzienne życie i miłosne rozterki. Tu podejmują ważne decyzje i wspierają się w walce z nałogiem nikotynowym. Zwyczajne noce na Kazimierzu, błyskotliwe dialogi, świetny humor sytuacyjny i absurdy dzisiejszej polskiej rzeczywistości to materia tej książki.

Oczywiście wszelkie podobieństwa do realnych zdarzeń oraz osób są jak najbardziej przypadkowe - jeśli w ogóle możliwe. Bo czy może istnieć ktoś taki jak Duduś: „człowiek o bliżej nieokreślonej profesji aktualnej i ściśle określonych potencjalnych możliwościach”?

patronat medialny

ISBN 93-7777-270-?

Cena 28 zł

Informacje o naszych książkach
można znaleźć w witrynie internetowej

www.proszynski.pl

9788374692809